

Zakładowe opowieści 2.0

**Zapis wspomnień pracowników zgierskich
zakładów przemysłowych
w latach 1945-1990.**

Zgierz 2020

REDAKCJA:

Magdalena Grabia-Krawczyk

Maciej Rubacha

Robert Starzyński

ROZMOWY PRZEPROWADZILI:

Zuza Antczak,

Agata Drewnicz,

Bartek Górski,

Magdalena Grabia-Krawczyk,

Karolina Karolewska,

Paweł Kobylński,

Dagmara Leszczyńska,

Maciej Rubacha,

Mateusz Słowiński,

Nina Sroczyńska.

OKŁADKA I OPRAWA GRAFICZNA:

Maciej Rubacha

KOORDYNATOR PROJEKTU:

Adrian Skoczyła

KOREKTA:

Jakub Szymański – Robimy warsztaty

SKŁAD I DRUK:

Drukarnia Proxima

WYDAWCA:

Muzeum Miasta Zgierza

*Współfinansowane ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie
w ramach programu „Patriotyzm Jutra 2020”.*



ISBN: 978-83-64779-21-3

Wstęp

Historia – najczęściej kiedy słyszymy to słowo, przychodzi nam na myśl wielkie wydarzenia, królowie, rycerze, opowieści o wielkich podbojach i klęskach, bohaterowie walczący w obronie ojczyzny... A przecież w potocznym rozumieniu to po prostu opowieść o tym, co wydarzyło się dawniej. Często zapominamy, że ta wielka historia, o której czytamy w książkach i o której uczono nas na lekcjach w szkole, składa się z mikrohistorii – sumy pojedynczych opowieści ludzkich istnień.

Każdy człowiek z biegiem lat zdobywa bezcenną wiedzę i doświadczenie dotyczące czasów, w jakich przyszło mu żyć. Ta indywidualna wiedza, zachowana w formie wspomnień, składa się na obraz rzeczywistości – krótki wycinek historii, świadectwa tego, co było, co przeżył, czego doświadczył. Te wspomnienia powodują, że dzięki nim staje się depozytariuszem minionej epoki. Każde takie doświadczenia i wspomnienia są warte wysłuchania. Stają się tym cenniejsze, kiedy przestają funkcjonować w codzienności, a stają się jedynie wyblakłym wspomnieniem minionej epoki.

Zgierskie zakłady przemysłowe przestały już funkcjonować – część z nich zniknęła fizycznie z krajobrazu miasta. Hale zostały wyburzone lub przebudowane, zmianie uległy ich funkcja i znaczenie. Niemal pół wieku historii życia mieszkańców Zgierza zniknęło. Jeśli weźmiemy pod uwagę wcześniejszą historię miasta, wówczas okazuje się, że tradycje przemysłowe Zgierza sięgają 200 lat wstecz. Wszystko zaczęło się w latach dwudziestych XIX wieku, kiedy to Zgierz zaczął przekształcać się z małego rolniczego miasteczka w tętniące życiem miasto, okrzyknięte stolicą sukiennictwa Królestwa Polskiego. Co z tego pozostało? Nieliczne budynki oraz, co najważniejsze – historie żyjące we wspomnieniach mieszkańców. Można by zarzucić, że to nadużycie doszukiwać się proveniencji komunistycznych zakładów pracy, utworzonych po 1945 roku, w rodzinnych firmach pierwszych osadników z początku XIX wieku, ale czy aby na pewno? W wielu przypadkach zakłady przemysłowe doby PRL-u mają swoje korzenie w spółkach przedwojennych fabrykantów, realizujących w Zgierzu swoje marzenia. Po II wojnie światowej ich majątki znacjonalizowano, a hale fabryczne trafiły do zarządów poszczególnych zakładów. Potwierdzają to relacje pracowników. Rozmówczyni, opowiadając o swojej pracy w zakładach Fresco, utworzonych po 1945 roku, mówiły, że pracowały „u Borsta”. Rodzina Borstów była właścicielem tych zakładów przed II wojną światową. Zabudowania fabryczne częściowo stoją po dziś dzień i jak można wnioskować ze wspomnianych relacji, powojenne przeobrażenia przez długie lata nie wyparły ze świadomości mieszkańców początków Zgierskich Zakładów Przemysłu Wełnianego „Fresco”, mieszczących się niegdyś przy skrzyżowaniu ulic 3 Maja i J. Popiełuszki.

W roku 1989 rozpoczęła się w Polsce transformacja ustrojowa. Był to koniec władzy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i oznaczał wyzwolenie się spod

wpływów politycznych i gospodarczych Związku Radzieckiego. Przemiany, które rozpoczęły się wraz z pierwszymi, częściowo wolnymi wyborami parlamentarnymi, przyniosły naszemu krajowi demokrację. Nie da się jednak ukryć, że część zmian miała negatywne skutki dla naszego społeczeństwa. Tak stało się chociażby w przypadku reform gospodarczych i powiązanych z nimi problemów społecznych. Prywatyzacja dużych zakładów pracy, przekształcanie ich w spółki akcyjne i podobne przedsiębiorstwa, a przede wszystkim zamknięcie ogromnego rynku zbytu, jakim był ZSRR, z czasem spowodowały ich upadek i zamknięcie. Wziąwszy pod uwagę skalę zatrudnienia w zgierskim przemyśle (np. w Zgierskich Zakładach Przemysłu Wełnianego „Zeltor” zatrudnienie znajdowało ok. 1200 osób), wraz z jego stopniowym wygaszaniem bez pracy znalazła się duża część mieszkańców miasta.

Jednak nie był to jedyny problem. Wraz z upadkiem zakładów pracy do historii przeszedł też pewien sposób funkcjonowania i życia miasta – miasta, w którym rytm dnia wyznaczały fabryczne syreny, a na jego krajobraz składały się dymiące fabryczne kominy i hale, z których wciąż dochodził stukot maszyn. Miasta, w którym o jednej godzinie na ulice wylewały się tłumy ludzi idących do pracy, do Zety, Zeltoru, Waltera czy Boruty. Rytm ten powtarzał się niezmiennie o jednakowych godzinach, od poniedziałku do soboty. Ten wielki organizm przemysłowego miasta napędzany był mrówczą pracą tysięcy osób. Ci wszyscy ludzie i ich rodziny przez lata związani byli ze zgierskimi zakładami pracy. Ich historie to historie zgierskiego przemysłu.

Kto nam o nich opowie? Kto nam opowie o ich trudzie? Kto nam opowie o ich codzienności? Kto opowie przyszłym pokoleniom o tej połowie XX wieku?

Jesteśmy jeszcze w momencie, kiedy możemy porozmawiać z tymi bohaterami dnia codziennego i wysłuchać ich historii. Zwykłej opowieści o życiu i trudach pracy w fabrykach. Dlatego też w tym roku po raz drugi postanowiliśmy zgromadzić „zakładowe opowieści”. Zebranie i publikacja tych historii pozwoli nam zachować je dla następnych pokoleń. Współcześnie ustne formy przekazu w naszym kręgu kulturowym nie są zjawiskiem powszechnym, nawet w gronie rodzinnym. Stąd również istotne jest dla nas zapisanie i utrwalenie tych świadectw, ważnych dla historii naszej społeczności, a zagrożonych popadnięciem w zapomnienie. W szerszej perspektywie pozwoli to zaś przyszłym pokoleniom znaleźć odpowiedź na pytania o przeszłość i własną tożsamość. Dzięki tej publikacji jednostkowe wspomnienia nie odejdą bezpowrotnie w niepamięć razem z pokoleniem ludzi pracujących w zakładach przemysłowych. To bardzo ważne, bowiem stanowią one istotny element historii i dziedzictwa naszej lokalnej społeczności.

Historie poszczególnych zgierskich zakładów przemysłowych opisane zostaną w formie wprowadzenia do wywiadów z pracującymi tam bohaterami naszej publikacji.

Projekt

Projekt „Zakładowe opowieści 2.0” jest kontynuacją działania związanego z poznawaniem i dokumentowaniem historii Zgierza, które miało miejsce w roku 2019. Ze względu na niewielką liczbę istniejących opracowań dotyczących historii Zgierza okresu PRL, wywiady te będą stanowić istotny wkład w lokalną edukację historyczną. Dzięki zbieraniu opowieści byłych pracowników dawnych zgierskich zakładów przemysłowych rozszerzona o kolejne opowieści pracowników zakładów przemysłowych zostanie wiedza o robotniczej przeszłości miasta. Celem projektu jest promocja patriotyzmu i wzorca świadomego własnej tożsamości obywatela poprzez popularyzację wiedzy o historii Polski w kontekście lokalnym. Działania te przypomną historię zgierskich zakładów przemysłowych i działalności ówczesnych organizacji społecznych w celu odkrycia dziedzictwa i przywrócenia pamięci w wymiarze lokalnym, wzmocnienia więzi regionalnych i kształtowania przywiązania do „małej ojczyzny”. Jest to ważne szczególnie w kontekście okresu Polski Ludowej, często rugowanego ze względów politycznych poza świadomość zbiorową jako niewartościowy. Jednak pamiętać należy, że historia tego okresu to nie tylko tak zwana wielka polityka, ale również codzienne, trudne ludzkie życie. Zapomnienie tych historii oznacza utratę dziedzictwa tamtych lat. Projekt włączył zgierzan, głównie młodzież, w proces poznawania współczesnej historii Polski i Zgierza. Stało się to dzięki uczestnictwu młodych ludzi w cyklu spacerów i warsztatów poświęconych lokalnej historii okresu PRL. Działania te zostały podjęte, aby zbudować poczucie współodpowiedzialności i wzmocnić świadomość historyczną. W początkowej fazie przygotowani zgłosili się do uczestnictwa kilkanaście osób – wolontariuszy – które ostatecznie utworzyły tzw. zespół badawczy: Zuza Antczak, Agata Drewnicz, Bartek Górski, Karolina Karolewska, Paweł Kobylański, Dagmara Leszczyńska, Mateusz Słowiński, Nina Sroczyńska. W tym miejscu warto nadmienić, że najmłodszą, bo zaledwie czternastoletnią wolontariuszką, jest Nina. W grupie tej są również osoby, które brały udział w ubiegłorocznej edycji projektu, tj. Zuza Antczak i Mateusz Słowiński. Wolontariusze brali udział w warsztatach historycznych, dziennikarskich i etnograficznych. W trakcie spotkań zdobyli podstawową wiedzę i know-how, jak przygotować się do zbierania historii mówionych.

Wartością dodaną projektu jest jego wymiar społeczny i integracyjny, czyli łączenie pokoleń. Informatorzy to często osoby starsze, natomiast wolontariusze to ludzie młodzi, często nie pamiętający czasów, kiedy zgierskie zakłady przemysłowe funkcjonowały pełną parą. Spotkanie, będące warunkiem koniecznym do przeprowadzenia rozmowy i jej zapisu, wymaga zbudowania szczególnej relacji z osobą starszą, która jest żywym źródłem wiedzy. Jest to jednocześnie forma docenienia jej ciężkiej pracy i życia. To bardzo ważny aspekt, gdyż żyjemy w świecie, w którym afirmuje się młodość, podczas gdy społeczeństwo wyraźnie się starzeje. Zbieranie historii mówionych, w takim wymiarze, jest budowaniem więzi międzypokoleniowej.

Tematyka projektu związana jest z historią zgierskich zakładów przemysłowych w latach 1945-90. Dla Zgierza był to okres dużego rozwoju nie tylko w wymiarze demograficznym (blisko trzykrotny wzrost liczby ludności z 22 tys. do 58 tys.), przestrzennym (stworzenie wielu osiedli mieszkalnych, stanowiących znaczną część powierzchni miasta), lecz przede wszystkim przemysłowym. Fabryki międzywojenne skutecznie przekształcono po II wojnie światowej w zakłady przemysłowe, dzięki czemu Zgierz był na mapie kraju ważnym ośrodkiem włókienniczym (zakłady Zeta, Fresco i Zeltor – łącznie 40% zatrudnionych zgierzan), ale też chemicznym (zakłady Boruta – 25% zatrudnionych). W okresie transformacji fabryki te upadły, a współcześnie są symbolem zgierskiej stagnacji przemysłowej oraz fatalnej estetyki tkanki miejskiej. Okres PRL to dla starszych zgierzan wspomnienia sukcesów sportowych (głównie hokej na lodzie), rozwoju infrastruktury kulturalnej (np. istniejące 2 kina – dziś nie ma żadnego). Wszystko to związane było z istnieniem fabryk i zakładów. Bohaterami wywiadów w projekcie są pracownicy tych zakładów, niejednokrotnie działacze opozycyjni. Istnieje mała liczba opracowań dotyczących zgierskiego PRL-u (jedynie monografia ukazująca dzieje miasta do 1988 roku, pisana w dodatku pod koniec lat 80.). Większość wspomnień, faktów, fotografii nadal pozostaje ukrytych w domach zgierzan. Projekt przyczyni się do możliwości wykorzystania ich przez Muzeum Miasta Zgierza do dalszych badań historycznych i etnograficznych w tym temacie. Młodzież otrzymuje w szkole szczątkowe (ogólnopolskie, polityczne) informacje o tamtym okresie. Poprzez aktywne poznawanie lokalnej i codziennej historii we współpracy z seniorami, zdobyta wiedza pozwoli im lepiej zrozumieć, czym był PRL. Projekt przypomni regionalną historię i wzbudzi ducha miejskiego patriotyzmu. Z przyczyn naturalnych wiedza o tej przeszłości jest coraz mniej powszechna.

Sposób zbierania materiału badawczego

Uznaliśmy, że najodpowiedniejszą formą zbierania materiału badawczego będzie wywiad narracyjny – w tym przypadku zastosowany nie jako metoda, ale technika gromadzenia materiału badawczego. Wywiad narracyjny jest techniką badawczą stosowaną w naukach społecznych, a rozpowszechnianą na gruncie socjologii jakościowej, a także w badaniach antropo- i etnograficznych. Polega on na stymulacji opowiadania o przeżyciach związanych z uczestnictwem badanej osoby w jakimś wydarzeniu lub ciągu wydarzeń – w tym przypadku o pracy w danym zakładzie. Początek takiemu podejściu dały w 1955 roku badania Leonarda Schatzmana i Anselma Straussa, a rozwinięcie koncepcji wywiadu narracyjnego jest dziełem Fritza Schützego, który opracował tę technikę dla potrzeb badań biograficznych. Przedmiotem wywiadu biograficznego są przede wszystkim historie życia, dlatego też uznaliśmy, że ta technika będzie najstosowniejszą do zbierania opowieści dotyczących historii pracy w danym zakładzie. Drugim aspektem, z powodu którego zdecydowaliśmy się na wybór tej techniki, było stosunkowo proste przeszkolenie grupy badawczej, w skład której weszły osoby niezwiązane na co dzień z tematyką podjętych badań i nieposiadające pełnego warsztatu badacza. Wolontariusze poznali najważniejsze założenia wywiadu narracyjnego

oraz otrzymali wskazówki, jak go przeprowadzić. W trakcie warsztatów wypracowaliśmy wspólnie tzw. zachętę do wypowiedzi, czyli, najprościej rzecz ujmując, sformułowanie rozpoczynające spotkanie badacza z informatorem, które ma za zadanie spowodować, że informator (badany) rozpocznie po nim nieskrępowaną opowieść o własnym życiu w ramach wyznaczonego problemu badawczego. Na potrzeby naszych badań zachęta do wypowiedzi brzmiała następująco:

Prowadzę projekt pod tytułem Zakładowe opowieści 2.0. Jest to druga edycja i zbieram opowieści pracowników zgierskich zakładów przemysłowych. Chciałabym/Chciałbym prosić Panią/Pana, aby opowiedział(a) mi Pan(i) historię Pani/Pana pracy w zakładzie X, zaczynając od jej rozpoczęcia, a kończąc na jej zakończeniu. Proszę się chwilę zastanowić i kiedy będzie Pani/Pan gotowa, rozpocząć. W trakcie Pani/Pana wypowiedzi nie będę zadawał(a) żadnych pytań, jedynie słuchał(a). Dopiero na koniec Pani/Pana opowieści poproszę o poszerzenie niektórych wątków i zadam szczegółowe pytania. Ma Pan(i) nieograniczoną ilość czasu.

Wywiad narracyjny jednak wcale nie jest prostą techniką, gdyż zakłada stymulację do opowieści. Jednak nie każda opowieść jest narracją i w efekcie końcowym, nie we wszystkich przypadkach te narracje udało nam się u informatorów wygenerować, co dla nas nie oznacza, że zebrany materiał jest mniej cenny.

Wywiad narracyjny zostaje utrwalony na określonym nośniku. W naszym przypadku rozmowy były nagrywane w formie dźwiękowej oraz audiowizualnej. Następnie dokonuje się jego transkrypcji, polegającej na dokładnym i całościowym przepisaniu treści wypowiedzi narratora z oznaczeniem jej pozajęzykowych własności (m.in. przerwy, milczenie, śmiech, westchnienia). Taka forma zapisu jest istotna z punktu widzenia poprawności interpretacji wypowiedzi. Dlatego też sposób, styl i gramatyka wypowiedzi nie podlega korekcie (jedynie ortograficznej oraz interpunkcyjnej) – jak w przypadku wywiadu dziennikarskiego. Jest to żywy zapis języka mówionego, który, jak wiadomo, różni się od języka pisanego. Wiemy, że może to sprawiać trudność czytelnikowi lub razić jego odczucia estetyczne, jednak materiał zawarty w tej publikacji to przede wszystkim materiał badawczy. Zapis tych wywiadów ma być źródłem pracy historyków i etnografów, bazą do stworzenia późniejszych opracowań.

Informatorzy

Sieć informatorów utworzyła się niemalże samoistnie – po ubiegłorocznym finale projektu „Zakładowe opowieści” zgłosiło się niemal natychmiast kilka osób, które również chciały opowiedzieć nam historię swojej pracy w zgierskich fabrykach. Podobnie jak w ubiegłym roku, informacje o poszukiwaniu chętnych do wzięcia udziału w projekcie opublikowaliśmy w lokalnej prasie oraz mediach społecznościowych. Ostatecznie zgłosiło się do nas 29 osób, jednakże ze względu na ogólnoswiatową pandemię SARS-CoV-2 wywiady przeprowadziliśmy z 23

osobami. Materiał badawczy zbierany był od sierpnia do października 2020 roku. Informatorzy to osoby w różnym wieku, posiadający różne wykształcenie i wykonujący różne zawody. Zajmowali różne stanowiska pracy oraz posiadają różne doświadczenie życiowe. Dzięki temu ich historie dają szeroki obraz zgierskiej społeczności z okresu PRL.

Zebrane w niniejszej publikacji historie mówione powstały po to, by móc je wielokrotnie odtwarzać – czytając, analizując. Jesteśmy przekonani, że zebrany przez nas materiał, dzięki temu projektowi nie odejdzie w niepamięć. Niniejszy zapis historii pracy w zgierskich zakładach przemysłowych będzie nieocenionym źródłem wiedzy dla przyszłych pokoleń i wypełni karty historii, mówiąc nie tylko o budynkach i liczbach dotyczących produkcji, ale odda także głos ludziom w nich pracującym, niekiedy przez całe swoje życie zawodowe.

Podziękowania

My, koordynatorzy projektu, pragniemy serdecznie podziękować naszym informatorom wymienionym w kolejności alfabetycznej: Waław Bogucki, Jolanta Bliżniewska, Janina Błachowicz, Maciej Błachowicz, Brunon Fige, Teresa Gór-ska, Andrzej Grabia, Urszula Grzelązka, Wiesław Hulewicz, Leonard Jabłoński, Jan Jaborski, Jadwiga Jasina, Mariusz Klimkiewicz, Jadwiga Kuzańska, Stanisław Kuzański, Pani Maria [nazwisko do wiadomości redakcji], Iliana Mordzak, Pan Piotr [nazwisko do wiadomości redakcji], Henryka Rogalska, Jakub Rogalski, Mirosława Siemońska, Jadwiga Szumacher, Danuta Żurańska.

Dziękujemy, że zechcieli Państwo podzielić się z nami swoimi opowieściami. Dzięki Państwa zaangażowaniu i otwartości mogliśmy spojrzeć na naszą wspólną historię przez pryzmat Państwa doświadczeń. Dziękujemy, że obdarzyliście nas zaufaniem i wpuściliście do swojego życia. Ta książka należy do Państwa, to Wy jesteście jej Autorami. Dziękujemy!

Ten projekt nie powstałby bez udziału Wolontariuszy, również w kolejności alfabetycznej: Zuza Antczak, Agata Drewnicz, Bartek Górski, Karolina Karolewska, Paweł Kobyliński, Dagmara Leszczyńska, Mateusz Słowiński, Nina Sroczyńska.

Dziękujemy Wam bardzo! To Wy wykonaliście ogrom pracy. Spotkaliście się z byłymi pracownikami zgierskich zakładów, przeprowadziliście z nimi rozmowy, a później dokonaliście żmudnego i mozolnego procesu transkrypcji tych rozmów. Poświęciliście swój wolny czas, kierując się ciekawością, zaangażowaniem, chęcią spotkania z drugim człowiekiem. Bardzo Wam dziękujemy!

Krótki zarys dziejów zgierskiego przemysłu

Wszystko zaczęło się, kiedy w 1821 r. do Zgierza zaczęli przybywać tkacze z ziem niemieckojęzycznych. To w tym czasie powstały pierwsze, jeszcze ręczne manufaktury. Z nich w połowie XIX wieku zaczęły powstawać pierwsze prawdziwe zakłady przemysłowe, w których maszyny napędzane były parą. Przez ten czas, aż do drugiej połowy XIX stulecia, zgierski przemysł oparty był o produkcję tkanin wełnianych. Po powstaniu styczniowym część fabryk zaczyna przestawiać się na produkcję bawełny. W latach 90. XIX wieku w Zgierzu pojawia się zakład, który odmieni charakter miasta. Wtedy to Jan Śniechowski i Ignacy Hordliczka założyli Fabrykę Barwników „Zgierz”, która w ciągu XX wieku stała się jednym z najbardziej znanych zakładów tego typu w Polsce i Europie.

Zgierski przemysł opierał się wielu kryzysom. Powiązane one były bezpośrednio z kolejnymi wydarzeniami politycznymi. Duży wpływ na zahamowanie rozwoju zgierskiej gospodarki miały dziewiętnastowieczne powstania narodowe. Zgierscy przedsiębiorcy nie ucierpieli wskutek działań oddziałów zbrojnych, jednak znacząco dotknęły ich za każdym razem represje gospodarcze, jakie Rosjanie wprowadzali, aby ukarać Polaków. Najmocniej na zgierskich zakładach swoje piętno odcisnęła jednak I wojna światowa i powiązana z nią rewolucja bolszewicka w Rosji. Niepodległość nie była najszcześniejszym okresem dla zgierskiego przemysłu. Na wschodzie zamknęły się rynki zbytu. Konieczne były nakłady na ponowne uruchomienie zakładów, a nowa polityka rządu kładła nacisk na przemysł ciężki. Był to moment, kiedy pierwszoplanową rolę zaczyna w mieście odgrywać przemysł chemiczny, mimo że przewagę ilościową oraz kadrową nadal miały zakłady włókiennicze. W 1920 r. zawiązane zostaje przedsiębiorstwo Przemysł Chemiczny w Polsce Spółka Akcyjna, która w 1936 r. do swojej nazwy dodała miano „Boruta” i za znak towarowy uznała sowę. Według statystyki zakładów przemysłowych z 1935 r. został on zaliczony do kategorii największych przedsiębiorstw. Był on wizytówką miasta i często odwiedzali go członkowie rządu oraz prezydent Ignacy Mościcki.

Działania wojenne w 1939 r. oszczędziły Zgierz i nie uległ on znacznym zniszczeniom. Po wkroczeniu do miasta armii III Rzeszy administracja okupacyjna szybko zaczęła zajmować zakłady przemysłowe, które były wcześniej własnością Polaków i Żydów. Powołano do tego oddział Głównego Urzędu Powierniczego Wschód. Okupant postanowił wykorzystać potencjał miasta. Nadal prowadzono produkcję materiałów wełnianych i bawełnianych. Jednak wytwórczość w tym okresie znacząco spadła. Z ogólnej liczby 3500 krosien w mieście czynnych było zaledwie 15,4% z nich. Uzupełniono produkcję tkanin o zakłady szwalnicze produkujące mundury wojskowe i konfekcję. Przemysł chemiczny został przekazany firmie IG Farben, która w oparciu o fabrykę „Boruta” zaczęła rozwijać swoje zakłady. W końcowym okresie II wojny światowej dużą część maszyn z tych zakładów, gotowych produktów oraz półfabrykatów wywieziono do III Rzeszy.

Po zakończeniu II wojny światowej zgierski przemysł po raz kolejny musiał podnosić się z kryzysu. Poza kilkoma dużymi zakładami, takimi jak Przemysł Chemiczny „Boruta”, Zgierska Fabryka Tkanin Drucianych „W. Nobel i syn”, Fabryka Maszyn i Odlewnia Żeliwa J. Hoffmana oraz Zakłady Przemysłu Bawełnianego Posselta, w mieście działało jedynie kilkadziesiąt niewielkich warsztatów i wytwórni. Pierwsze lata powojenne zgierskich zakładów przemysłowych to czas porządkowania oraz poszukiwania maszyn – była to tak zwana komasacja parku maszynowego. Do 1947 roku udało się zorganizować dziewięć państwowych fabryk przemysłu wełnianego i jedną fabrykę konfekcyjną. Kolejna reorganizacja przemysłu lekkiego miała miejsce już w 1949 r. W jej ramach powstały: Zgierskie Zakłady Przemysłu Wełnianego nr 30 im. J. Dąbrowskiego oraz Zgierskie Zakłady Przemysłu Wełnianego nr 31 im. J. Pietrusińskiego.

Kolejnym krokiem milowym zgierskiego przemysłu był okres lat 60. XX wieku. Dla Zgierza był to czas dużego rozwoju w wymiarze demograficznym (blisko trzykrotny wzrost liczby ludności z 22 tys. do 58 tys.) i przestrzennym (stworzenie wielu osiedli mieszkalnych, stanowiących znaczną część powierzchni miasta), ale również, a może przede wszystkim przemysłowym. Fabryki międzywojenne skutecznie przekształcono po II wojnie światowej w zakłady przemysłowe. Dzięki temu Zgierz był na mapie kraju ważnym ośrodkiem włókienniczym (zakłady Zeta, Fresco i Zeltor – łącznie 40% zatrudnionych zgierzan), ale też chemicznym, gdzie same zakłady Boruta zatrudniały 25% populacji miasta oraz były najlepiej zarabiającym zakładem w Zgierzu. Był to również czas, kiedy to przemysł chemiczny zaczął dominować nad lekkim. Obok słynnych zakładów Boruta pojawiają się inne, takie jak: wytwórnia kwasu Cytrokwas i producent pianki poliuretanowej Polopren. W okresie transformacji fabryki te upadły, a współcześnie są symbolem zgierskiej stagnacji przemysłowej oraz fatalnej estetyki tkanki miejskiej. Okres PRL to dla starszych zgierzan wspomnienia sukcesów sportowych (głównie hokej na lodzie), rozwoju infrastruktury kulturalnej (np. istniejące dwa kina). Wszystko to związane było z istnieniem fabryk i zakładów, finansujących ową działalność. Ich historie opowiedzą w tej publikacji sami pracownicy.

Opowieściami podzielili się z nami:

Pan Waław Bogucki,

Pani Jolanta Bliźniewska,

Pani Janina i pan Maciej Błachowicz,

Pan Brunon Fige,

Pani Teresa Górka,

Pan Andrzej Grabia,

Pani Urszula Grzelązka,

Pan Wiesław Hulewicz,

Pan Leonard Jabłoński,

Pan Jan Jaborski,

Pani Jadwiga Jasina,

Pan Mariusz Klimkiewicz,

Pani Jadwiga i pan Stanisław Kuzański,

Pani Maria [nazwisko do wiadomości redakcji],

Pani Iliana Mordzak,

Pan Jacek Opawski,

Pan Piotr [nazwisko do wiadomości redakcji],

Pani Henryka i pan Jakub Rogalscy,

Pani Mirosława Siemońska,

Pani Jadwiga Szumacher,

Pani Danuta Żurańska.



ZPB „Boruta”

Zakłady Przemysłu Barwników „Boruta”

Największym, i to pod każdym względem, kombinatem przemysłowym Zgierza w okresie powojennym były ZPB „Boruta”. Jego dyrekcja mieściła się przy ul. A. Struga 30. Historia największego w Polsce zakładu produkującego barwniki rozpoczęła się w 1894 roku, gdy dwóch wspólników: Jan Śniechowski – jeden z niewielu wówczas polskich przemysłowców zajmujących się barwnikami – oraz Ignacy Hordliczka – czeski potomek rodziny fabrykantów – założyło fabrykę barwników w Zgierzu. Na początku spółka zatrudniała niewiele osób. Technologią produkcji zajmował się inżynier Oskar Gerlicz, a przy produkcji zatrudniano dziesięciu robotników. Na początku ich zakład mieścił się w centrum miasta przy dzisiejszej ul. Dąbrowskiego. Zdobycie lokalnych i regionalnych rynków zbytu zajęło im piętnaście lat. Większe rynki zbytu wymuszały modernizację zakładu. Utrudniała to mała działka, jaką dysponowali właściciele zakładu. Do tego, mieszkańcom i władzy miasta zaczęło przeszkadzać zanieczyszczenie środowiska, spowodowane przez zakład mieszczący się w sercu Zgierza. Właściciele zakupili działkę na obrzeżach miasta, niedaleko rzeki Bzury, przy dzisiejszej ulicy Andrzeja Struga. Budowę nowej fabryki barwników rozpoczęto w 1907 roku, a zakończono trzy lata później wraz z uruchomieniem wytwórni kwasu siarkowego. W latach 1913-1914 w Borucie pracowało około 150 robotników i 9 chemików.

Okres międzywojenny był dla zakładu trudny. Najpierw wymagał on odbudowy po zniszczeniach i grabieżach związanych z I wojną światową, następnie poddano go rozbudowie, by jak najbardziej uniezależnić się od dostawców zewnętrznych, szczególnie tych pochodzących z Niemiec. W międzyczasie zakład został zakupiony przez rząd. Lata 30. to walka z coraz to agresywniej wchodzącym na polski rynek niemieckim gigantem IG Farben – głównym konkurentem Boruty. To ta fabryka po rozpoczęciu okupacji hitlerowskiej w Polsce przejęła i wchłonęła zgierskie zakłady barwników.

Jeśli chodzi o ich powojenną historię, zakłady podjęły produkcję tuż po zakończeniu działań wojennych, bowiem już 22 stycznia 1945 r. utworzono tymczasowy zarząd fabryki, który kierował działalnością produkcyjną i administracyjną. Wznawiając produkcję, zakłady były nastawione na wytwarzanie mniej skomplikowanych technologicznie barwników, a ich produkcję oparto na surowcach i półproduktach krajowych. W 1947 r. nastąpiła nacjonalizacja zakładów Boruta. Oznacza to, że zostały w pełni przejęte przez państwo. W późniejszych latach zakłady zaczęły specjalizować się w wytwarzaniu barwników i ich półproduktów.

W latach 70. ZPB „Boruta” przeszły poważną modernizację. Dzięki tym inwestycjom stały się jednym z największych producentów barwników w kraju. W ciągu kilku lat Boruta zaczęła zaspokajać ok. 70% krajowego zapotrzebowania na barwniki. Jednocześnie była jedynym dostawcą tego wyrobu dla przemysłu drzewnego i spożywczego. Zakłady zaopatrywały w tym czasie ponad 1000 od-

biorców w kraju, z których ponad 700 nabywało barwniki. Produkcja zakładu obejmowała ok. 80 tys. ton kwasu siarkowego, 15 tys. ton barwników oraz 5 tys. ton półfabrykatów. Ogólna wartość produkcji przekraczała w 1975 r. 2,5 mld zł, z czego ponad 2 mld zł przynosiła produkcja samych barwników. Produkcja zakładu wymagała zaopatrzenia w liczne surowce, w połowie lat 70. sprowadzano je w ilościach dochodzących do ok. 100 tys. ton rocznie. Pochodziły one w 93% z kraju, a tylko w 7% z importu.

ZPB „Boruta” w połowie lat 70. wysyłały swoją produkcję w 90% do odbiorców krajowych, a w 10% na eksport. Odbiorcami zagranicznymi w 51% (ogółu eksportu) były kraje rozwijające się, w 33% ówczesne kraje socjalistyczne, a pozostały eksport przypadła na wysoko rozwinięte kraje zachodnie, kupujące w Borucie jedynie barwniki. Był to okres największego zatrudnienia w Zakładach Przemysłu Barwników – w samym zakładzie pracowało ponad 3500 ludzi, doliczając do tego wszystkie, powiązane z Borutą i działające przy niej, mniejsze przedsiębiorstwa, liczba ta mogła sięgać nawet 5000!

W drugiej połowie lat 80. ZPB „Boruta” użytkowały ogromny, liczący niemal 1,5 km² teren. Na obszarze zakładu znajdowało się: 16 km torów kolejowych, nie licząc linii łączącej teren produkcyjny z torami PKP, gęsta, dobrze zagospodarowana sieć dróg wewnętrznych, elektrociepłownia, mechaniczna oczyszczalnia ścieków i inne niezbędne w produkcji chemicznej instalacje. W roku 1988 Boruta dzieliła się na 17 oddziałów zlokalizowanych na jednym terenie, z których każdy mógłby stanowić oddzielny zakład.

Boruta u schyłku swojego istnienia nadal była monopolistą w produkcji barwników (ok. 50% produkcji krajowej). Dodatkowo produkowała środki pomocnicze (utrwalające, środki zmiękczające, powodujące zmianę przyczepności i in.). Boruta w swoje produkty zaopatrywała głównie przemysł włókienniczy, skórzany, papierniczy i meblarski. W końcu lat 80. ok. 50% produkcji zgierskich zakładów sprzedawano na eksport – w połowie do ówczesnych krajów socjalistycznych m.in. do ZSRR i Bułgarii, a w drugiej połowie do Anglii, RFN, Włoch, Kanady, USA.

W 1989 r. pracowało w zakładach Boruta 2300 osób, w tym 780 kobiet. Z pracujących, 280 osób miało wykształcenie wyższe. W strukturze zawodowej dominowali robotnicy (ok. 1500 osób), administracja liczyła blisko 500 pracowników, a pion inżynieryjno-techniczny wraz z laboratorium zakładowym ok. 270 osób. Codziennie do pracy zakładowymi autokarami dojeżdżało ok. 350 osób, z tego 60 z Łodzi.

Zakłady prowadziły m.in. zespół szkół zawodowych, przyzakładową przychodnię lekarską i szpital zakładowy. ZPB „Boruta” dysponowały trzema ośrodkami wypoczynkowymi: w Muszynie, Świbnie i Grotnikach, organizując tam wczasy i kolonie dla pracowników i ich rodzin.

Dyrekcja po 1989 roku pozostała ta sama i następnym krokiem kierownictwa zakładów była, po konsultacjach z radą pracowniczą, decyzja o wejściu przedsiębiorstwa na ścieżkę prywatyzacyjną. Program restrukturyzacji Boruty dyrekcja przygotowywała już wcześniej, niezależnie od procesu prywatyzacji, we współpracy z firmą CSC Europe. Chodziło wówczas o wspólne wypracowanie – przez specjalistów zachodnich oraz oddelegowanych pracowników zakładu – kierunków rozwoju oraz dokonanie rzetelnej oceny stanu technicznego i majątku fabryki. Stabilizacja i integracja kadry kierowniczej spowodowała, że pomimo ogólnej recesji gospodarczej, zgierska fabryka nie podzieliła losu innych podupadających wówczas przedsiębiorstw.

W pierwszej połowie lat 90. dużym problemem dla Boruty było opublikowanie listy osiemdziesięciu największych trucicieli środowiska. Dla zarządu fabryki stało się oczywiste, że budowa oczyszczalni ścieków jest podstawą dalszej egzystencji zakładu. Dlatego w ówczesnym programie restrukturyzacji firmy ten cel był wydzielony jako zadanie nadrzędne. Budowa oczyszczalni była konieczna, gdyż nad Borutą zawisło widmo kar za zanieczyszczanie środowiska nałożonych przez Głównego Inspektora Ochrony Środowiska. Według pierwotnego harmonogramu uruchomienie oczyszczalni powinno nastąpić do grudnia 1996 roku, gdyż do tego czasu zawieszono spłaty kar. Cała inwestycja została oddana do użytku dopiero dwa lata później. Nie udało się uratować zakładu. 1 stycznia 1999 roku zakłady ZPB „Boruta” SA zostały postawione w stan likwidacji.

Wacław Bogucki, ur. 1936 r.

ZPB „Boruta”, zaopatrzeniowiec

Lata pracy: 1958-2000

Rozmawiała Karolina Karolewska, ur. 1996 r.

Proszę mi powiedzieć, jak Pan trafił do zakładu.

Proszę panią, ja do zakładu Boruta trafiłem w roku 1958, w miesiącu listopad po powrocie z wojska. Przed wojskiem pracowałem w Zakładach Przemysłu Wełnianego im. Jarosława Dąbrowskiego od roku 1955, od miesiąca sierpnia, do końca listopada 1956 roku. W '56 roku, 4 grudnia odszedłem do wojska. Po powrocie z wojska zwróciłem się do działu kadr zakładu Dąbrowskiego. Kierownikiem działu kadr był pan Tomas, nie pamiętam imienia, a ponieważ ja byłem po trzech klasach zawodowej szkoły mechanicznej przy technikum chemicznym, miałem wykształcenie mechaniczne, ale we Fresco uczyłem się przez miesiąc na krosnach jako tkacz i po powrocie z wojska, kiedy wróciłem, zgłosiłem się do działu kadr i poszedłem do kierownika, i powiedziałem: „Proszę o przyjęcie mnie, ponieważ wróciłem z wojska.”, bo był taki przepis, że zakład, z którego się odchodziło do wojska był zobowiązany przyjąć swojego pracownika. Ale ponieważ proponowano mi pracę na tkalni, a mnie ta praca nie odpowiadała, poszedłem do zakładów Boruta i zostałem przyjęty jako ślusarz-spawacz, najpierw jako ślusarz do Samodzielnego Zakładu Wykonawstwa Inwestycyjnego, tak zwane SOWI to było. Tam pracowałem w SOWI przez trzynaście lat, do roku którego ja tam pracowałem, ale nie pamiętam dokładnie tej daty, do którego roku ja tam... Ale w międzyczasie kończyłem technikum dwa lata mechanicznego tutaj na placu Kilińskiego u pana Znańskiego, tam był dyrektorem tego technikum dla pracujących. Po skończeniu tego technikum zostałem przeniesiony z SOWI do Boruty, do magazynu inwestycyjnego, tak to się nazywa. Inwestycyjny to był magazyn, do którego przychodziła aparatura i wszelkie urządzenia, które były na wyposażenie nowych oddziałów produkcyjnych tudzież szpitala, który powstawał w tym czasie i całej przychodni. To wszystko znajdowało się w tym magazynie pod moją pieczę, bo pracowałem jako zastępca kierownika magazynu, a moim przełożonym pierwszym, pierwszym kierownikiem był pan Ewaryst Nużyński – pochodził z Lubelskiego – który z armią Wojska Polskiego spod Tobruku gdzieś tam siedł. Z Rosji on wyszedł, czy skądś był, jako sanitariusz tam pracował. Ile on miał odznaczeń, bardzo dużo pokazywał mi to... Wojskowych odznaczeń. I później jak pracowałem w magazynie pięć lat, bodajże pięć lat i po skończeniu tego technikum. Już wcześniej, po skończeniu technikum, pracowałem w tym magazynie, a później z magazynu inwestycyjnego zostałem przeniesiony do Działu Zaopatrzenia Technicznego, gdzie moim kierownikiem był Ireneusz... Głównym kierownikiem był Ireneusz Kaczmarek, a jego żona była

stomatologiem w Borucie i tam pracowałem u niego do przejścia na emeryturę, dwa tysiące tam jest angaż, ja nie pamiętam dokładnie. Zostałem skierowany na wcześniejszą emeryturę, ponieważ Boruta ulegała likwidacji.

W związku z częstą zmianą stanowisk – jak wyglądał Pana dzień pracy? Zacznijmy od początku... W SOWI, tak?

No dzień pracy wyglądał w ten sposób, że był brygadzysta, który miał pod opieką pięciu czy sześciu pracowników i on otrzymywał dyspozycję od kierownika, no, wydziału: montażu, aparatury, czy drut, czy tego. Brygadzysta otrzymywał od niego i rysunki techniczne, i dyspozycje, co należy zrobić, bo to była Boruta, to wie pani, tam nie było sobie gdzieś stanąć, żeby tam zapalić zapalną czy coś. Tam można było tylko było posługiwać się baterią taką, zwykłą baterią, żeby świecić. I on organizował pracę, przykładowo ten brygadzysta. Był spawacz, a pozostali to byli ślusarze, którzy szykowali na przykład rury później z magazynu albo ewentualnie, jak większa ilość, to były przywożone na przykład, że jak był aparat do montażu, na przykład, nie, to, proszę panią, była brygada ciężka, tak zwana, która aparat wstawiała do otworu montażowego, a pozostałe rzeczy to już należało do brygady, która ten aparat montowała. To znaczy się, musieli założyć mieszadło do mieszania, nie w każdej aparaturze, bo były kadzie bez mieszadeł i z mieszadłami również. Różna aparatura była to ten brygadzysta rozdzielał każdemu pracę, co kto ma robić.

Jasne, oczywiście. Kierownik musi być.

No musi ktoś rządzić, wszyscy nie mogą. Ktoś musi rządzić, jak jest brygada pięciu czy sześciu ludzi, to ktoś musi rządzić. Rozpoczynało się pracę o godzinie 8, do godziny 16, a w soboty do godziny 14.

I dalej był magazyn, prawda?

Dalej był magazyn inwestycyjny.

I co Pan tam miał za zadanie robić?

Ja miałem w magazynie inwestycyjnym... Mieliśmy pięciu pracowników. Pracowników fizycznych, którzy... Przychodziła, na przykład, dostawa, jakiejś tam aparatury czy urządzeń do wyposażenia jakiegoś biura, czy czegoś, to moim zadaniem było nadzorowanie przyjęcia dostawy do magazynu, sprawdzenie zgodnie z fakturą, z dowodem dostawy to właściwie się nazywało. Był to dowód dostawy i przyjmowało się zgodnie z dowodem dostawy, po przyjęciu do magazynu to wszystko musiało być opisane: nazwa, jaki producent i to było wszystko rejestrowane w księgach i pisało się tak zwane PZ, to znaczy przyjęcie [przyjęcie z zewnątrz] do magazynu i pezety szły do Działu Księgowości, i księgowość zakładała konta, na jakich kontach to było albo się znajdowało, niektóre rzeczy znajdowały się na kontach, a niektóre przedmioty znajdowały się na tak zwa-

nych numerach inwestycyjnych. Numery każdy miał. Jeżeli na przykład potrzeba było... Była brana aparatura na montaż, to przychodził brygadzysta czy ktoś tam, czy dwóch, czy trzech ludzi, czy brygadzysta przychodził, przynosił tak zwany RW.

Czyli?

RW [pobranie wewnętrzne materiałów – ruch wewnętrzny], czyli pobranie z magazynu i pracownik szedł, pokazywał to urządzenie czy te części, które mieli zabrać, albo jeśli to było w pomieszczeniu zamkniętym, to wydawał i później podpisywał się, że wydał, a jak leżało na powietrzu to brygada podjeżdżała, zabierała to na aparat, tak zwana brygada ciężka, która transportowała. Tak wyglądała sprawa pracy w magazynie.

I też w godzinach 8-16, i w soboty do 14. I w ostatnim dziale?

Zaopatrzenie.

I jak tam wyglądał dzień pracy?

Tam wyglądał dzień pracy w ten sposób, że się przychodziło również na godzinę 8. Tam pisało się przy końcu roku kalendarzowego, pisało się zapotrzebowania na aparaturę czy na urządzenia, czy na elementy, na części, na armaturę przemysłową, na silniki, pompy itd. Pisało się na końcu roku, na rok następny, bo były terminy dostawy trzy- i czteroletnie. Pisało się zamówienia, które zostały wysyłane do producentów, później otrzymywało się potwierdzenie terminów dostawy. Były takie sytuacje, gdzie następowała awaria.

I co wtedy?

Kiedy nastąpiła awaria urządzenia, wtedy się dzwoniło do producenta, czy jest możliwość otrzymania w jak najkrótszym terminie. No różnie to bywało, byli różni producenci, różnie to bywało, to jak się zawiozło souveniry, to się dostało, a jak souvenirów nie było, no to było ciężko.

Trzeba było czekać.

No tak, a jak przepracował człowiek tyle lat. No ja sprowadzałem tam części zamienne, armaturę przemysłową, armaturę sanitarną.

A skąd ona była sprowadzana?

Armatura sanitarna to była przeważnie brana z hurtowni w Łodzi, na ulicy Brukowej, ale nie pamiętam nazwy. Armatura przemysłowa była sprowadzana z Torunia, zakłady przemysłu to były takie. Metalchem się nazywały. Metalchem Toruń, z którego była sprowadzana armatura przemysłowa, czyli zawory, kur-

ki. Nazwy miały te zawory, tam membranowe i różne, przelotowe tak zwane. Również była sprowadzana armatura, już nie pamiętam w tej chwili, daleko się jechało. Nie pamiętam, jak ta miejscowość się nazywała, tam rzeka płynęła przez centrum miasta. [rozmówca wspomina o Śląsku, ale ucina, być może chodzi o Brzeg Dolny albo Katowice] Już dawno, wie pani, tyle lat, co ja już nie pracuję, to człowiek zapomina. Na przykład części zamienne aparatury były sprowadzane ze Zgody w Świętochłowicach, Chemaru w Kielcach. Na przykład części do pomp były sprowadzane z Zabrza, tam był Powen – tak nazywał się ten zakład. Chyba Powen się nazywali, oni tam produkowali pompy do wody, do szlamów, na EC-3 tam, na przykład. Były różne. Największe trudności to żeśmy mieli przy, na przykład, gdy wykonawca źle wykonał odlewy. Na przykład była aparatura, gdzie Boruta nie miała możliwości obróbki, na przykład pokrywy. Były problemy z wykonaniem obróbki, bo tam powinno się zrobić, a to gniazdo na uszczelkę, a to tak zwany samiec i samica był. Wie pani, gwarowa nazwa taka była, to największe trudności były z obróbką takich rzeczy, pokryw do aparatury przeważnie. No ja powiem pani, że kiedyś musiałem jechać do Elbląga, do Zamechu. Zamech w Elblągu, żeby załatwić obróbkę aparatów, które odlały nam chyba Kielce, nie pamiętam. Żebym nie miał souvenirów, to by nie obrobili. To były takie czasy, proszę panią, nie?

No pewnie, że tak. Trzeba sobie było radzić.

Dali jakiś bieżnik na stół, jakieś serwetki. Taki cały na przykrycie stołu, taki ten... Jak to się nazywa, to takie na stół?

Obrus.

Obrus taki, ale wie pani, to takie było z herbami Boruty, z tymi różnymi rzeczami, to były problemy z tym. A później jak już się zaczęło... Kiedy przemysł zaczął upadać, to było coraz gorzej, bo tam, żeby gdzieś, coś zdobyć, to było bardzo ciężko, ponieważ zakład nie płacił faktur, bo nie mieli pieniędzy, wie pani, to już wtedy....

Wspominał już Pan o pewnych trudnościach. A były jeszcze jakieś wady czy inne problemy się zdarzały?

Proszę panią, no każdy sobie radził jak umiał. No jeśli pracował któryś rok, bo trzeba było jeździć po tych zakładach, bo tak, czy pani zadzwoniła, czy tego, to nie, bo trzeba było jeździć z kierowcami. Nieraz się wyjeżdżało o godzinie 1, 2 w nocy. Żeby dojechać na rano, załatwić, na przykład, w jednym mieście, drugim mieście i wracało się za dwa dni, i człowiek niby, jak my mówilim, zawsze ten pański pies. Pada śnieg, mróz wszystko, nie było na to wpływu, bo trzeba było jechać, załatwić. No to jeżeli było potrzebne, to musowo było, na przykład łożyska, no to w Warszawie była tam taka, nie pamiętam, na Starym Mieście w każdym bądź razie – Prema się nazywała. Prema – łożyska, wszelkiego rodzaju: kulkowe, stożkowe, rolkowe, wałkowe, wie pani, jakie tam tego, no to trzeba było albo

zawieźć zamówienie, albo wysłać zamówienie i oni dopiero zlecali do Kraśnika, bo tam była produkcja czy do hurtowni w Łodzi, na Jaracza, tam była hurtownia, a w Kraśniku był producent. No i nie tylko, bo i jeszcze do innych miast zlecali nam, żeby dostać te towary to były trudności takie. Trudności były największe, jak to mówię, jak bezpański pies, noc wyгнаła, noc przyгнаła. To tak było. Raz jak człowiek pojechał, a wróciłem do domu, córka chodziła wtedy do drugiej klasy, czy do trzeciej, nie pamiętam. To jak matematykę... To czekała dopóki ja nie wróciłem z delegacji i jej nie wytłumaczyłem, jak to mówią, jak pastuszkowie krowie na miedzy, Jak takie zadanie czy coś rozwiązać i dziewczyna potem miała same bardzo dobre oceny z matematyki i z fizyki. [krótka wypowiedź o córce, która wyjechała do Anglii]

Dobrze. A jakie zalety miała praca w Borucie?

Dla mnie to miała duże znaczenie ta praca, w zaopatrzeniu zwłaszcza. Nie wiem, czy to pisać takie rzeczy.

Niech Pan mówi.

Moja żona chorowała na gościec stawowy [reumatoidalne zapalenie stawów], nie mogła chodzić, nie mogła wychodzić do sklepu, nie mogła robić zakupów. No to jak się poszło do pracy, to wie pani, miało się sprawy jakieś do załatwienia, czy w Łodzi, przeważnie do Łodzi samochodem się jechało, czy tramwajem się jechało, no to w międzyczasie trzeba było zrobić zakupy, no bo żona nie mogła wychodzić z domu. No co była, zjrzeć tutaj do niej, jak ona się czuje i tego to, wie pani, takie...

Takie codzienne, a w sumie bardzo ważne.

No tak, wie pani, z tym właśnie byłem zadowolony, dlatego że mogłem wyjść o każdej porze z zakładu, to był duży plus dla mnie w okresie kiedy żona chorowała.

No to rzeczywiście, a wspomniał Pan o stomatologu. Jak było z opieką lekarską w zakładzie?

Ja powiem pani tak – ja bynajmniej no problemów nie miałem z opieką lekarską, bo kiedy się człowiek zwracał do lekarza, zawsze został przyjęty. To znaczy jeszcze, bo z początku to była przychodnia na terenie Boruty, ale później, kiedy wybudowano szpital, to jeszcze pracowałem w tym magazynie inwestycyjnym, całe wyposażenie było u nas na stanie. Wszystko było dostarczane na magazyn do tej przychodni i szpitala. Ja bynajmniej, proszę panią, dostałem – po wojsku chyba trzeci rok, jak zacząłem pracować – paradonzozy, tak to się nazywa?

Parodontoza, z zębami?

Tak.

Tak, to parodontoza.

Wychodziły mi zęby, z wojska jak wróciłem, no to mało witamin jakichś.

Tak się dzieje przy niedoborach.

To nie to, że w Borucie pracowałem, tylko że jakichś mało witamin, no to była kierowniczką tych stomatologów, pani doktor Andrzejowska. Wysoka była, przystojna taka, a jej mąż był radcą na Borucie. Rezydentem czy radcą, już nie pamiętam dokładnie i ona mnie leczyła właśnie na tą chorobę, i skierowała mnie do Łodzi na Nowotki. Tam była jakaś przychodnia protetyczna czy jakaś i tam mi robili okłady z siarczanu miedzi, takie tu na tego, na te dziąsła, ale to nie pomogło, zęby i tak wyszły. W każdym bądź razie nie było trudności z dostaniem się do lekarza, nie było trudności. Było więcej lekarzy w przychodni jak w tej chwili, a w tej chwili jest chyba dwóch lekarzy chyba w Borucie, a poprzednio było... Wszyscy specjaliści byli, szpital był.

I nie było problemów.

Nie było problemów, nie. Ja, na przykład, no i pozostali, jak ktoś symulował, no to mu nie dali zwolnienia, ale jak ktoś był chory, to dostawał zwolnienie.

Pokazał mi Pan właśnie zdjęcia z wczasów. Jak to było z ośrodkiem wczasowym?

A, ośrodek wczasowy... Proszę panią, ośrodek wczasowy to był zaraz, ja pracowałem w tej SOWI jeszcze, kurka wodna, chyba już z pięć lat pracowałem, a w '58 zacząłem, to w '60 którymś roku, '62 chyba, nie wiem, nie pamiętam dokładnie tej daty, rozpoczęto budowę ośrodka kolonijno-wczasowego w Świbnie. To ja byłem jako pionier, można powiedzieć, bo tam jak żeśmy pojechali do pracy to była łąka, normalna łąka. No i tam żeśmy się wzięli za zagospodarowywanie terenu, ale przed naszym przyjazdem do Świbna zakład zarezerwował kwatery dla wszystkich pracowników. W początkowej fazie kierownikiem budowy tego ośrodka kolonijnego, najpierw kolonijnego, był pan Wyżykowski, tylko ja nie pamiętam jego imienia. Ja tam byłem... No tam było nas chyba ze dwadzieścia osób albo więcej, nie pamiętam dokładnie. Ale dwadzieścia osób to na pewno i żeśmy zwozili materiały budowlane. Część przychodziła taką wąskotorówką nad rzekę Wisłę. Tam nad Wisłą... Był tam, taki jak stacyjka – nie, stacyjka to nie była pasażerska, tylko towarowa, bo szedł tam przez Przegalinę i z Gdańska przez Przegalinę do Świbna. Tam przychodziły, jak jakieś materiały przychodziły w wagonach towarowych, i myśmy stamtąd wozili na ośrodek do... Cegłę, materiały, cegła, cement... Tam jeszcze inne: pustaki, suporeks. No tam żeśmy to robili wy-

kopy różne, wykopy pod fundamenty... Czego to się nie robiło. Nie było sprzętu żadnego, wie pani. No były tylko jedynie betoniarki, które kręciły zaprawy, a tak to wszystko ręcznie żeśmy robili i tam byłem chyba dwa lata i po dwóch latach wróciłem z powrotem do zakładu. No byłem również jako na koloniach jednego roku, jako zaopatrzeniowiec... Zaopatrzeniowiec produktów żywnościowych, wszelkich materiałów na kolonie. Też byłem przez jeden okres wakacji, byłem oddelegowany i musiałem załatwić książeczkę zdrowia, to wszystko to było ważne, bo bez tego to ani rusz. A kierowcą etatowym na koloniach to był Andrzej Błachowicz [śmiech] i biedny już nie żyje, a jego żona była magazynierką... Jeździli od wielu lat. Można powiedzieć, że od początku oni tam jeździli.

A czy przy zakładzie powstały jakieś związki zawodowe?

No były związki zawodowe, no były...

Tak? I jak one funkcjonowały?

No ja wiem, no co ja tu mogę powiedzieć. Odbywały się tam zebrania, ale, ja wiem, tam te zebrania to były raz na pół roku... Raz na pół roku raczej takie zebrania. Grupy związkowej z każdego oddziału... To nie były z całego zakładu, to były tylko grupowe oddziały poszczególnych oddziałów produkcyjnych... No były również organizacje partyjne na tych oddziałach i oni też mieli swoje zamiary, ale ja byłem bezpartyjny i to, żeby dostać tą odznakę... [dla zasłużonego pracownika, której rozmówca szukał w trakcie wywiadu, ale nie mógł znaleźć] Ja byłem wystawiany chyba ze trzy razy, żeby to dostać, to przecież kierownik wyznaczał przeważnie i grupa jakaś tam partyjna, a ponieważ byłem bezpartyjny, to mnie odrzucali zawsze. Dopiero przed odejściem na emeryturę dostałem tą odznakę.

A czy z racji funkcjonowania związków zawodowych brało się udział w jakichś pochodach?

No pochody były, pierwszomajowe pochody były, były, proszę panią.

I one były obowiązkowe dla wszystkich?

Proszę panią... [rozmówca pokazuje przedmiot niezwiązany z zakładem – prezent, który kiedyś dostał, i opowiada o nim].

Dobrze to wróćmy do tych pochodów.

Pochody pierwszomajowe to były obowiązkowe, no wie pani, jak to było za komuny. To znaczy się obowiązkowe... Wszystkich ludzi, że tak powiem, namawiano wszystkich, nie? Żeby jak najwięcej ludzi z załogi, z zakładu, było na takim pochodzie. A jeszcze powiem pani taką rzecz – jak chodziłem do szkoły podstawowej, do dwójki za młodych lat... Tam był dyrektorem naszym taki Roszkowski,

tak się nazywał, to był łodzianin. On też przeszedł, jak mówił, z tą armią, od Lenina do Berlina aż szedł. To jak żeśmy szli na pochodzie, to nas nauczyli takiego hasła: „My jesteśmy młodzież młoda. Młodzież Bierutowa.” Jeszcze za rządów Bieruta było takie hasło. [śmiej] Jeszcze to były lata powojenne zaraz. Lata '48-'50. Za Bieruta.

No właśnie, a jak Pan wspomina okres przemian i strajków w Borucie?

Proszę panią, no jak tu ocenić, proszę panią? No w każdym bądź razie, kiedy pracowałem w zaopatrzeniu, w tym okresie, kiedy były trudności ze wszystkimi rzeczami, to koledzy wszyscy tam z tego zaopatrzenia dawaliśmy sobie radę. Mieliśmy różne wejścia, różne dojścia, różne przygody. A najlepiej jak się... Było najlepiej, jak się jechało do Warszawy. Były dwa sklepy Wedla, u nas nie było słodyczy żadnych, a jak się pojechało do Warszawy, w sklepach Wedla były kolejki, sprzedawali pod wydział, ale zawsze żeśmy zdążyli coś tam kupić. Najpierw jak się pojechało, to do sklepu, żeby wcześniej rano, a później dopiero załatwiało się sprawy związane z zakładowymi sprawami. [śmiej] O ile razy jak przyjechałem do dzieci, bo dwie córki miałem: „Tata, co przywiozłeś dobrego? Tata, co przywiozłeś jeszcze?”. Chodziły do szkoły: jedna do średniej, druga do podstawówki, to wie pani, to było dziewięć lat różnicy między nimi, to tego. To zaraz, jak tylko tata przyjechał, nie było problemów tam z ptasim mleczkiem, z czekoladą. Oni tam sprzedawali przykładowo po dwie czy po ile sztuk każdemu przypadało, ale ludzie... Sezamki, na przykład, po trzy paczki. A ludzie wkoło chodzili i brali, a później dopiero handlowali tam podobno. Wie pani, mnie to tam...

Każdy sobie radzi, jak może.

Każdy sobie radził w tym czasie, tak. No bo to były trudności.

A wspomniał Pan o samcach i samicach jako nazwie gwarowej. Jakie jeszcze nazwy funkcjonowały w żargonie zakładowym i czego dotyczyły?

No dotyczyły narzędzi na przykład: meser – przecinak. Jeszcze co tam było: meser to była niemiecka nazwa [z niem. Messer], nie, a po polsku to był przecinak. Jeszcze co tam było z takich, z tych gwarowych rzeczy... Wycisk, ale co to był ten wycisk to... A, to był taki przeciągacz. Wycisk to był taki przeciągacz, przepychacz taki to był. Wycisk mówili na to. Takiego, tam opowiadali, wysłali faceta do narzędziowni, nie? Bo to była narzędziownia, gdzie się pobierało wszystkie narzędzia, które potrzebne i też tam młodego człowieka jakiegoś tam wysłali po wycisk, a ten: „Ja ci, cholero, dam wycisk. Nie wiesz jak to się nazywa?”. A, proszę panią, tam były takie humorystyczne rzeczy. Na przykład pamiętam, jak wybudowali nową stołówkę, nie? I tam został kierownikiem tej stołówki taki pan Adamski Przemysław, a jego brat był zastępcą głównego księgowego. Głównym księgowym był pan Granosik, nie? Ten Adamski Czesław to był kierownikiem... Zastępcą kierownika działu księgowości i, proszę panią, ten, ten Przemek był na tej stołówce i potrzebował samochód chyba, żeby tam gdzieś jechać czy coś. No

i dzwonił do dyspozytora transportu. Zadzwoił, a ten nie powiedział temu kierowcy, jak się ma... Do kogo ma się zgłosić, tylko do Rudego czy do kogoś. A ten kierowca, nie wiedząc o co chodzi, a on był rudy ten facet, rude włosy miał. Nie wiedział ten kierowca o co chodzi, nawet nie znał nazwiska jego, tylko tak jak mu powiedział dyspozytor. Poszedł i mówi: „Słucham, kogo pan szuka?”. I powiedział mu jakiego. „Panie, taki nie pracuje.” „– A jak to? Buczyński mi powiedział, że taki i taki ma być kierownikiem czegoś.” Ale go ochrzanił, tego kierowcę, co był Bogu ducha winien. Dopiero dyspozytorzy to się później pokłócili jak nie wiem. Związki zawodowe organizowały wycieczki na grzybobrania. Jesienią były organizowane wycieczki na grzybobrania, organizowane przez członków związku zawodowego, to takie grupowe. Grupowe – związkowcy organizowali, bardzo było wesoło na takich wycieczkach. Raz się nabierało, raz się wypiło, niektórzy zostawali w lesie, jak nie mogli trafić i zabłądzili. [śmiech]

To jeszcze coś organizowały związki zawodowe poza grzybobraniem?

No akademie, jak były tam z okazji Dnia Chemika, wie pani, czy tam jakaś rocznica zakładu, czy coś. No to związki zawodowe tam organizowały akademie, nie? Na terenie zakładu przeważnie, a tam różne upominki wręczano, dyplomy pracownikom, premie różnego rodzaju.

A tak ogólnie rzecz biorąc przez te lata, jak wpłynęły na Pana życie praca w Borucie i te zmiany, które Pan przechodził?

Proszę panią, no po prostu po tej... Kiedy ja zacząłem pracować w Borucie, na początku mi się nie podobało, ale później już się przyzwyczyłem, jak pracowałem w charakterze tego ślusarza, nie? I później byłem na kursie spawaczy w Piątkach, skończyłem kurs spawaczy, później byłem jako ślusarz-spawacz ,to podwyżki, to, widzi pani, jakie tam były, po parę złotych na grupie.

Widziałam.

Dopiero jak przeszedłem do działu zaopatrzenia, dopiero odżyłem. No już jak w magazynie pracowałem... Wie pani, pracownik umysłowy a fizyczny jest różnica, prawda?

I to duża.

To bardzo duża różnica, nie potrzeba. Bo tam jak człowiek robił na tym montażu, rury dźwigać, tregły [tregry – metalowe lub drewniane belki konstrukcyjne] różnego rodzaju. Tregły to te belki takie, na konstrukcje takie. To były tam dłutowniki i ceowniki, i kątowniki, różne rzeczy. To wie pani, to tego trzeba było się nanosić, a później jak już poszedłem do tego magazynu, to już odżyłem. Przeżyło się już 84 lata, to wie pani, jest już jaki wiek.

Pozazdrościć werwy.

[opowieść, że rozmówca woli spędzać czas na działce niż w bloku]

A jeszcze będę mieć pytanie. Wspomniał Pan, że pracował przez chwilę we Fresco. Jak to Pan wspomina?

Proszę panią, praca jako tkacz to mnie nie odpowiadała w ogóle, nie tego... Nie lubiłem monotonnej pracy, po pierwsze primo. Po drugie, można było dostać garba, bo bez przerwy trzeba było się schylać na tą nicielnicę, bo jak nitki popękały w osnowie, to trzeba było naciągać bez przerwy, to była praca nie dla mnie. Ja lubiłem inną pracę.

I w Borucie się Pan odnalazł.

Odnalazłem się w zawodzie tym, jakim się uczyłem na początku, wie pani.

Bardzo dziękuję za rozmowę.



Zdjęcia Wacława Boguckiego podczas wczasów.

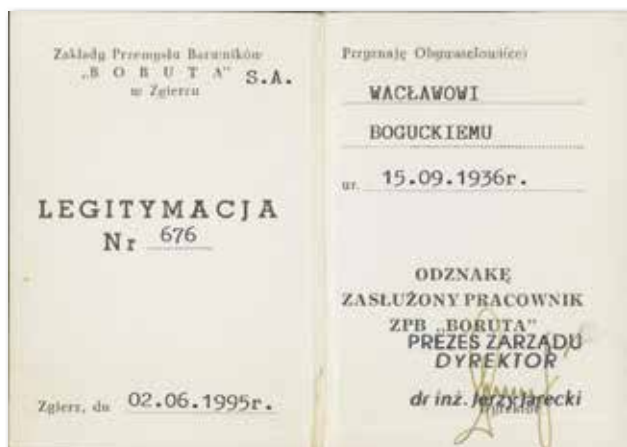


Zdjęcie Wacława Boguckiego z żoną podczas wczasów.

Legitymacja związkowa
należąca do Wacława
Boguckiego.



Legitymacja do odznaki
Zasłużony Pracownik
ZPB „Boruta”
przyznanej Wacławowi
Boguckiemu.



Legitymacja pracownicza
ZPB „Boruta” w Zgierzu
Wacława Boguckiego.



Brunon Fige, ur. 1938 r.

ZPB „Boruta”, Elektrociepłownia

Lata pracy: rozmówca nie pamięta dat ¹

Rozmawiała Karolina Karolewska, ur. 1996 r.

Proszę mi powiedzieć, jak Pan trafił do zakładu?

Jakiego?

Tego, w którym Pan pracował, w elektrowni.

A zacząłem pracę ucznia.

Czyli?

Czyli u starszych osób brałem, no fachową wiedzę, no i przepracowałem w zakładzie bawełnianym, nie wiem tam, sześć lat, i później zacząłem pracować w elektrociepłowni borucianej, i tam do emerytury dopracowałem.

I w którym roku zaczął Pan pracę w elektrociepłowni?

Nie pamiętam, nie pamiętam, ale od początku powstania elektrociepłowni, ale który to był rok... Moja pamięć już jest zawodna.

I co Pan miał tam robić? Jak wyglądał Pana dzień pracy?

Najpierw byłem elektrykiem dyżurnym, a później awansowałem na nastawczego, to znaczy się prowadzenie po stronie elektrycznej turbiny i zajmowałem się łączeniami. Zakład elektryczny plus elektrociepłownią i zakładem Boruta, po stronie elektrycznej oczywiście.

A jakie były zalety pracy w tym zakładzie?

[westchnięcie] Zalety, no stosunkowo, no ja to po zawodzie poszedłem, no to tam, bo ja wiem... Zalety, kiedyś to wszyscy jednakowo zarabiali, no stosunkowo dobrze tam płacili na ówczesne czasy no i... [delikatne klaśnięcie]

¹ Lata pracy – w wywiadzie na pytanie: od kiedy pan tam pracował? Informator odpowiada „od początku istnienia” [Elektrociepłowni]. Elektrociepłownia EC – II została uruchomiona w 1953 roku – rozmówca miał wtedy 15 lat więc najprawdopodobniej wówczas zaczął tam pracę jako uczeń. Pracował aż do emerytury, na którą przeszedł w drugiej połowie lat 90. XX w.

To jakie były wady?

Wady, ciągłość pracy.

Proszę rozwinąć, co to znaczy ciągłość pracy?

Świątek, piątek, dzień i noc. Najpierw pracowaliśmy w trzymianowym systemie, a przyszła niedziela, po dwanaście godzin pracy. A później zakład przeszedł na czterobrygadowy system pracy, gdzie pracowaliśmy po dwa dni. Dwa dni od rana, dwa dni po południu, no i jak przyszła sobota, niedziela, poniedziałek to trzy dni.

Czy w związku z takim nawałem pracy, jakoś wpłynęło to na Pana życie rodzinne, na przykład?

Nie, no człowiek się przyzwyczaił do systemu pracy, no i trzeba było wychować, wyżywić rodzinę, trzeba było pracować.

A Pana rodzina jakoś się w tym odnajdywała, że Pan pracował w takim systemie, a nie inaczej czy odczuwała jakieś braki?

Resztą się zajmowała małżonka.

Oczywiście.

Ale jak pracowałem założyłem na noc, no to się też trochę zajmowałem rodziną, czy po południu resztą dzieciaki, przedszkole i szkoła była dla dzieciaków, no ale trzeba było w domu też trochę ogarnąć to wszystko.

Pewnie, a czy jakieś sfery życia niezwiązane w wykonywaniu pracy były związane z zakładem, nie wiem, jakieś wczasy, ośrodki wczasowe?

Ach tak, co mówiąc, to mówiąc o komunie, to było to dobre, że wysyłali na wczasy.

A gdzie były te wczasy?

No w Polsce.

Nad morzem, w górach?

Tak, tak, nad morzem i w górach. No i dodatkowo był urlop, tak zwany zdrowotny, profilaktyczny, gdzie wyjeżdżaliśmy do uzdrowisk, w Polsce oczywiście, do uzdrowisk.

Ile ten urlop zdrowotny trwał?

Dwadzieścia jeden dni, no i mieliśmy [westchnięcie] w górach, to znaczy się w Muszynie, swoją, swój ośrodek wypoczynkowy, z którego często korzystaliśmy z rodziną, a najlepsze były...

Tak.

Wczasy świąteczne.

Dlaczego?

A dlatego, że wszystkie obowiązki z domu, ze świętami odpadły, bo tam miałeś wszystko podane.

Czy była jakaś, nie wiem, potrawa, którą Pan pamięta z tamtych świąt?

No nie, niespecjalnie, ale rodzina się bardzo dobrze czuła, bo mieliśmy bez przygotowania, tylko spacerować po górach, no i na czas przychodziło się na pożywienie, no, na czas.

I podczas tych wczasów świątecznych były tam też inne rodziny związane z zakładem?

No tak, cały ośrodek był z rodzinami, także było wesoło. Dzieciaki się zajmowały sobą, po śniadaniu się wychodziło na jakiś spacer, po obiedzie jakiś mecz, telewizję się obejrzało.

Skoro mówimy o komunie, to na terenie zakładu były jakieś związki zawodowe czy coś w tym rodzaju?

Były, były związki, ale ja nie należałem do żadnego. Dopiero zacząłem trochę współpracować, jak powstawała Solidarność, no to wszyscy się tam jakoś do tych związków garnęli.

I co robiliście w tych związkach po powstaniu Solidarności?

A no wiesz no, walczyliśmy o swoje lepsze prawa pracy, bo w pracy, no nie wszystko było ładne, różne rzeczy tam były, z którymi się człowiek nie zgadzał, a jak ten związek powstał, no to dyrekcja trochę też zmiękła i ustępowała nam.

To z czym się pracownicy nie zgadzali?

No różne, ale to drobnostki były, drobnostki były. Ja tam specjalnych nie miałem uwag, ale niektórzy mieli uwagi do swojego stanowiska pracy, no i tam monitorowali to, żeby to coś zmienić na danym stanowisku pracy.

Pamięta Pan, jakie były uwagi tej części, która je miała? Oczywiście przy tych stanowiskach.

No ja to nie miałem żadnych uwag, ja osobiście. No, ale niektórzy tam pracownicy, w niektórych, na niektórych stanowiskach pracy mieli pewne uwagi, no ludzie w elektrociepłowni, no to człowiek pracował w takich... Każdy człowiek pracował w innych warunkach, ja na przykład pracowałem na nastawni, gdzie miałem wszystko: klimatyzowane pomieszczenie i tego, tylko musiałem dbać i być, jakby to powiedzieć, czujny cały czas na temat połączeń. Najgorzej to była dla mnie praca najgorsza w czasie burzy, bo mogło nastąpić gdzieś wyładowanie i przerwać połączenia energetyczne, dla mnie to było to najważniejsze, ale przecież byli koledzy, którzy pracowali na nawęglaniu. Gdzie zima, lato, a były, no jakby to powiedzieć, no pracowały, cały czas na dworzu i to wiesz, no chcieli przerwy, jakiejś tego w czasie tych nawęglania, a to sprzęt był niedoskonały, a to to, no różnie tam bywało. No i na przykład pracownicy obsługi pomp, gdzie bardzo było głośno, no i gdzie tam dopominali się o słuchawki. No zresztą każda praca tam polegała na dopilnowaniu swojego stanowiska pracy i to wszystko.

Wymienił pan w sumie trzy działy w elektrociepłowni. Były jeszcze jakieś inne?

Działy?

Tak, działy.

Oj, moja droga, był dział elektryczny, później szła kotłownia, gdzie jeden palacz prowadzący siedział na nastawni, resztę obsługi było przy kotle. Później był dział turbin, gdzie pracownicy byli: jeden na nastawni też, resztę na obiekcie przy turbinach, pompach. Bo taka pompa, moja droga, założymy na elektrociepłowni ma dwa tysiące kilowatów, dwa megawaty, to by oświetliło pół Zgierza. Tylko jedna pompa, która pchała wodę do kotła, to znaczy się ta duża pompa, bo były dwie mniejsze, po jednym megawacie, no to one pracowały, a ta była zastępcza duża pompa. No i tam bardzo głośno było, no i co tam jeszcze... Później była oczyszczalnia, gdzie pracował pracownik, który popiół z wodą zgarniał do swojego pomieszczenia, gdzie były duże pompy i pchały to na wysypisko... Popiół, który był spalony, no i to z wodą było spod kotła wodą wyflukiwane i wypchane na składowisko, na piaskownicę... Przystań już mnie męczyć. [rozmówca wstaje i wychodzi]

Dziękuję za rozmowę.

Andrzej Grabia, ur. 1941 r.

ZPB „Boruta”, spawacz-ślusarz, brygadzista

Lata pracy: 1962-1996

Rozmawiała Magdalena Grabia-Krawczyk, ur. 1984 r. (wnuczka)

Chciałabym, żebyś opowiedział historię twojej pracy w zakładach Boruty. Jak zacząłeś pracę, jak przebiegała aż do jej zakończenia? Nie będę zadawała żadnych pytań, najwyżej sobie coś wynotuję i zapytam na końcu. No to od początku...

Kiedy zacząłem robić? No to w '62 roku, 28 czerwca. Jak trafiłem? No przez pośredniak, bo z budowy się zwolniłem, bo dojazdy mnie tam tego, i co chcesz jeszcze wiedzieć?

Co tam robiłeś? Na jakim stanowisku pracowałeś? Wiem, że byłeś spawaczem, ale to tak od razu trafiłeś na to stanowisko czy na początku miałeś jakieś przyuczenie do zawodu, jakiś kurs?

No ja rozumiesz, jak poszedłem tam, to w '63 roku wysłali mnie na kurs spawalniczy elektryczny, bo miałem gazowy, do Pionek. Tam w Pionkach byłem sześć tygodni na kursie. I mam świadectwo jeszcze, mogę ci pokazać.

No co tam... Do roku '70, dokładnie do '69 robiłem jako spawacz-ślusarz, a od '70 roku byłem brygadzystą do końca, do '96 roku. 26 lat byłem brygadzystą, prowadziłem różne roboty. Montowałem dwa młyny nowej konstrukcji na budynku okrągłaków, wymienniki ciepła na szpitaliku robiłem, ciepłej wody robiłem na borucianej, no, bo różne zlecenia... Gaz na Kolejowej zakładałem, wodę na spółdzielni, na tym zapleczu spółdzielni, co jest obok cementarza, teraz się tam firemków różnych robiło. Cyntralne zakładałem w Łodzi w... Firma, która produkowała, rozumiesz, tabletki różne... Tam tego... Przeciwbólowe... Nie mogę tego wytłumaczyć, bo nie wiem. No i sacharynę tam produkowali, bo tak było tam słodko, tak było czuć w powietrzu... To było na ulicy Sarniej na Widzewie. Tam żeśmy robili około trzech miesięcy to centralne. No i tam robiłem sufonacji i nitracji, przebudowę wielkich aparatów, które ważyły 25 ton. Wkładaliśmy takie dwunastotonowe, o połowę mniejsze, bo tamte były za ciężkie, niewygodne do roboty i tam im nie wychodziło. Budowałem wiaty magazynowe, zadaszenie na blaszankach – rampy kolejowej, na którą przychodziły blachy, z których robili beczki i puszki. Różne tam... Ojeja, to jest kupa opowiadania! [śmiejch]

No to opowiadaj, opowiadaj...

Co tam jeszcze robiłem, kurczę... Odgromy, rozumiesz, przy zbiornikach z materiałami łatwopalnymi montowałem... I różne instalacje rurowe na oddziałach, wymiana była aparatów, to żeśmy wymieniali aparaty i orurowanie żeśmy zakładali nowe, bo to tego... Ramownice pod aparaty żeśmy wymieniali, które korozja zjadła – to trzeba było, to aparat się wyciągało i nowe kratownice, aparaty stopowe żeśmy robili... No to jest po prostu nie do opowiedzenia co się robiło przez 34 lata... [lekki śmiech w głosie]

To wszystko wykonywaliście jako pracownicy Boruty, te rzeczy dla spółdzielni...

Tak, tak, to była jakaś umowa zawiązana, że tam tego, a tam to w Łodzi, to żeśmy zakładali to centralne ogrzewanie to było Zjednoczenie Przemysłu Chemicznego. To podlegało pod to tamto i Boruta, i przez to dali nam tą robotę. No i na Borucie bardzo dużo rurociągów się robiło, rozumiesz... Żeśmy zbiorniki, takie ogrzewanie na zbiorniki robili, w których był naftalen, rozumiesz. To materiał łatwopalny, jak jest tego w płynie, bo tak jak był tego... Jak przychodził, to był w takich pastylkach [gestykulacja dłońmi] przychodził po 50 kilo, tłukli to młotem ręcznym i do aparatu ładowali. A tak to tylko pompę włączył, krany otworzył, przez miernik napompował, ile tam potrzeba wsadu do danego, do aparatu... Zresztą ja chemikiem nie byłem... [śmiech]

Ale po tych wszystkich oddziałach...

Chodziłem. Nie było takiego oddziału, żebym ja nie robił na nim. Przepompownię robiłem nad stawem, tam osiem pomp wstawiałem. Ssawki to były tam 300 [mm], wylot 200, to tam osiem pomp, bo to było mało wody, bo to szła woda z lasu z Krogulca tam, tam jeszcze te studnie są, ale czy ta woda jeszcze tam idzie, to ja nie wiem. Staw już zasypali. [śmiech] No i robiliśmy na WKS-ie – Wytwórnia Kwasu Siarkowego. Tam rury średnicy 1500 mm takie, kurczę, były [gestykulacja dłońmi i rozbawienie w głosie], to kawałek rury, żeby wpasować, to się około dwa tygodnie robiło, żeby wpasować to między wieże, rozumiesz. No co tam... Filtr taki VC angielski wstawiałem, którego wartość to ja nie wiem... Kilkaset tysięcy, rozumiesz, złotych było, chyba nawet więcej, bo młyn, który wstawiałem jeden kosztował milion marek. To był dziewindziesiąty drugi rok, to jeszcze żeśmy byli na ubawie, bo ci Niemcy nas zaprosili do hotelu przy Dworcu Fabrycznym, który jest ten hotel rozwalony już, tam żebyśmy tego... Tam było dwóch Niemców, bo był spawacz niemiecki, bo tam filtr... Nie mogliśmy dokręcić tego filtra, był krzywy, no i przyjechali, na poprawki ich ściągnęli. Najprzód inżynier niemiecki tam przyjechał, tam z Alpiny, z tej firmy... No i co mu tam pokazywałem, to tylko nogą kopał, to według dokumentacji jest co innego, to co innego, szajs, szajs [Scheisse] tylko. [śmiech] Kurczę no... No i później przyjechali spawacz i ślusarz i ten filtr zrobili, kurczę tego... To beeską [szlifierka kątowna] chciał ciąć. A ja wziąłem i krajaczem przeciąłem mu na spawy i mówi:

„Ooo, gut!”. Tylko trochę poszlifowali, później spawał, też sam wziąłem tą rączkę do spawania od niego, a on wypalił dwie, trzy, cztery elektrody, obcirał się, piwa się napił [w głosie rozbawienie gestykulacja dłońmi – obcieranie twarzy i odstawianie niewidzialnej butelki], bo mieli skrzynkę piwa, no i dalej spawał, ja też tam trochę pospawałem tą rączkę. „Gut”, mówił, „gut”, może być, dobrze jest. Bo to ciśnieniowe wszystko było, rozumiesz, no...

I po tym byliście zaproszeni na zabawę...

Taaaak, żeby tam to... Kierownik był [Wydziału] Mechanicznego – Miksa, ja, taki Sławek Kucharzewski, ze mną co robił, później Kominiak z pomiarowego.

Sebastiana ojciec? [Bogdan Kominiak]

Tak i Niedziela... A ten Niedziela to chyba ze 2-3 tygodnie temu zmarł, kurczę, elektryk – Jurek Niedziela. No i czekaj... Kto tam jeszcze był? Mechanik z młynów... Jak on się nazywał... Janek, Janek... Z głowy mi wyleciało... Pruszczyk się nazywał...

I co, popiliście?

No żeśmy wypili, ale nie tam, że tam tego...

Ale to zakład pracy wam to zorganizował czy sami się skrzyknęliście po robocie?

Po robocie sami żeśmy pojechali, bo Niemcy nas zaprosili.

Który to był rok? '92? To już było po transformacji?

'92 albo '93, dokładnie ci nie powiem, ale tak by wyglądało.

Do którego roku pracowałeś?

Do '96 roku, do maja. W maju jeszcze tego, to byłem jeszcze na urlopie maj, czerwiec. Także od 1 lipca wszyscy byliśmy zwolnieni, bo [Wydział] Mechaniczny był cały rozwiązany. Bo pierwsze to robiłem w SOWI i SOWI się rozwiązało w latach 80., jakoś pod koniec lat 80. się... I wtedy nas przejął [Wydział] Mechaniczny. Nas dużo tam nie zostało. Bo tam nas zostało, ja wiem, z 20-30 ślusarzy i spawaczy. To wszystko.

A jak się przyjmowałeś, to dużo was było?

Do SOWI? A to nas było, rozumiesz, tam... Z murarzami, cieśle, gdzieś 250 ludzi.

I to SOWI to była taka...

Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego, taki wydział specjalny w Borucie. No, co jeszcze chcesz wiedzieć?

Jak wyglądał typowy dzień pracy? Mieliście jakieś szatnie? Trzeba było najpierw wejść na zakład...

Na szatnie się szło, przepustka była... Brama była na Struga, nie ta pierwsza, co ten parking jest, tylko tam jakieś 150 metrów dalej była stara brama, także później przenieśli, także Instytut zagrozdzi do tej bramy. Człowiek szedł, rozbierał się, szedłem do majstra wypisać, co mi na robotę potrzebne jest, jaki materiał, śruby, nakrętki, inne rzeczy, rury nie rury, zawory, krany, kurki – co było potrzeba, to wypisywałem. Rano się szło wcześniej i pisał mi.

No i potem musiałeś iść to pobrać...

A to już dostawał kurczę... Ci, co wozili, taki transport był i przywozili mi na robotę. No przecież to nie była jedna, dwie śruby, tylko 50-100 kilo śrub, rur było kilkadziesiąt metrów, zależy jakie zawory... Zaworek to taki, rozumiesz, malutki był, że tam w rykę go wzięłeś, ale był taki co we dwóch go trzeba było dźwignąć, potężne. [śmiech] No i co tam jeszcze chcesz wiedzieć?

Czy po pracy spotykałeś się z tymi ludźmi, z którymi pracowałeś? Czy korzystałeś z tego, co oferowała Boruta po godzinach pracy dla pracowników?

Po pracy to się na gorzole szło. [śmiech] Od czasu do czasu.

Dobrą ekipę mieliście?

Tak, no Edek Sikorski to mieszka tam w drugim łączniku jak... Nie ten pierwszy, tylko w tym drugim łączniku, robił ze mną, później ze Strykowa Józio Cynkiel, Płócinickowski Jurek, Mariański Zbychu przyszedł, robił ze mną... Ja już nie pamiętam, ilu, kurczę, bo to się ludzie się zmieniali, kurczę. Dużo przychodziło, odchodziło, bo myśleli że go posadzą i będzie siedział w robocie, a tu trzeba było robić. No, co jeszcze chcesz?

Z przykładowych żłobków...

Były i przedszkola, i żłobki, ale ja nie korzystałem bo Tadeusz [syn rozmówcy] chodził na Kurak do przedszkola, później tu róg Narutowicza i Długiej, gdzie ta ruina stoi i stamtąd już do szkoły poszedł.

A jakieś wyjazdy, delegacje z pracy były?

Tak wyjeżdżałem do Świbna z pracy i tam sanitariaty robiłem.

Co tam było w Świbnie?

Kolonie i wczasy pracownicze, taki ośrodek był, to dwa razy tam byłem. I tu w Grotnikach też mieli tam, ale tu długo nie robiłem, bo tu był taki Janek Olczak i on mnie tam wziął do pomocy, żeby szybciej skończyli, no. No i rozumiesz co... Dostałem srebrny krzyż zasługi i brązowy krzyż zasługi dla przemysłu chemicznego i to wszystko.

A zarobki były dobre jak na tamten czas?

No ja, jak poszedłem, rozumiesz, na akord, jak żeśmy przeszli w '70 roku, to ja miałem tak 2200, 2100, to pierwszy miesiąc miałem 3300 czystego, to było tak gdzieś koło 1100, 1200 [złoty] więcej. No nie były tam specjalne, ale tam też złe nie były, średnie takie można powiedzieć. No lepiej jak we włóknie, kurczę...

No ale praca... Chociaż we włóknie też kobitki miały ciężko...

No oczywiście.

A jak myślisz o pracy w Borucie, to przychodzą ci się na myśl jakieś jej zalety?

Ja wim, zalety... Robić trzeba wszędzie, bo przecież za darmo nic nie dali. No ja wim, jakie zalety? No tyle, że robotę się robiło... No były takie, że u jednego kierownika na WT4 [Wytwórnia Techniczna 4] premie nam dał za wcześniej skończoną robotę, ze swojego oddziału od siebie. To ja miałem 1300, majster mój, który był w tym czasie na urlopie [śmiej], też dostał 1300, a chłopaki po 960 złotych z brygady, kurczę. A w tym czasie to jeszcze ja zastępowałem majstra, jak był na urlopie, a w międzyczasie chodziłem do chłopków, tam jak wypisałem kwity, tego, książki obmiarów porobiłem, to szłem jeszcze im tam pomagałem na budowie tych... Bo tam takie dwa zbiorniki, pompy, rurociągi... No i później to już nie wiem dokładnie... Ale dostałem rozumiesz, za młyn, który montowałem, za tą Alpinę, rozumiesz... To już... Dość tego... [drapanie się po głowie, zastanowienie] 300 parę tysięcy złoty[ch], ale to już tego... To już lata 90. były. '93 chyba, ale to już tego... Taką nagrodę.

Czułeś się doceniany jako pracownik?

Oczywiście. [zdecydowane] Na grupę [grupa zaszeregowania wynagrodzenia pracownika] nie mogłem narzekać, kurczę, bo w '74 roku zrobiłem papiery mistrzowskie i po tym od razu dali nam wyższe grupy, ci, co tego, pokończyli tam. To te stare tam: [ze śmiechem] „Ooo, szczydnioki wielkie tego majstry się porobili.” No ale takie same roboty, żeśmy robili jak i tamci no. Także rozumiesz, dziewiątą grupę dostałem, to był '80 rok, robiłem przebudowę na H-kwasie nitracji i sulfonacji. To najwyższa grupa była.

Czyli najwięcej zarabiałeś wtedy pieniądze...

No to tam było nas tak jak w SOWI, trzech czy czterech chyba, rozumiesz, co mieli wyższe grupy. To już coraz mniej ludzi zostawało, bo tego... No. To tyle by było.

A na mistrza musiałeś jakiś egzamin zdawać? Opowiedz, jak to było.

No tak! No jak?! To chodziłem: wrzesień, październik, listopad, grudzień, do połowy maja. Później, rozumiesz, były egzaminy praktyczne, tam szafkę robiłem. No i później były egzaminy państwowe po tym kursie... No to był '74 rok, [rozbawienie w głosie] to jeszcze ten główny mechanik mnie egzaminował, z Boruty... A on już nie żyje. Giziński, rozumiesz. Człowiek chodził do roboty, robił. I kurczę na kurs i o 9 przychodziłem do domu, 9 czy przed 9. Jak wyszedłem rano o 6, tak o 9 [wieczorem] przychodziłem.

Czy miałeś płacone za kurs?

Za kurs nie miałem płacone, za swoje, co wyrobiłem, miałem płacone, a za to to nie i za kurs też nie płaciłem.

A w jakim systemie pracowałeś?

Na jedną zmianę robiłem. Tam rzadko kiedy na dwie zmiany, jak była pilna robota jaka. To na dwie zmiany. O! Jeszcze robiliśmy to był '69 rok, przebudowa czwartej sali Barwników Azowych była. Tam kadzie, prasy wstawiałem, mierniki żeśmy montowali, rurociągi... Od nowa, rozumiesz, tego... Bo tam były kadzie, które miały napędy, rozumiesz, był napęd transmisyjny. Na wszystkie, tylko kołami regulowali z pas-koła [koła pasowego] na koło, na jałowe koło, na jałowym biegu przesuwali na tego... To wszystko żeśmy likwidowali i tego... Szło na... Na indywidualne napędy.

Na kotłowni montowałem takie... Demontowałem i montowałem takie silniki, które się tam popaliły: pińć ton, pindziesiąt kilo silnik. [pauza]

Olbrzymie.

Olbrzymie. Pompy montowałem na kotłowni, które pompowały wodę na ogrzewanie, na miasto. To trzy tysiące, chyba, pińcet obrotów miały na minutę. Ileś tam metrów, już nie pamintam, sześciennych wody tłoczyły na miasto. Takie różne rzeczy się robiło. Nawet się nie pamięta już.

W zasadzie wychodzi na to że Boruta była też takim zapleczem dla miasta, jak chociażby z tym ogrzewaniem...

No tak. No przecież była jedna kotłownia, stara kotłownia, koło [Wydziału] Mechanicznego, ale jak się rozbudowywała to postawili dwójkę, elektrownię. Elek-

trociepłownię w zasadzie, bo to chodziło o parę, rozumiesz... I później, w latach 60., zaczęli stawiać tą kotłownię trójkę, która stoi obecnie. Bo te dwie są rozwalone, ta stara jedynka była rozwalona jeszcze jak robiłem, a ta dwójka później. Jeszcze na dwójce to robiłem obudowę elewatorów, które podawały węgiel na kocioł, na taśmociąg i później tam... Bo tam były chyba cztery piece na tej dwójce kotłowni. Takie rzeczy robiłem.

Jak zaczynałeś pracę w '62 roku, to Boruta wówczas była prężnie działającym zakładem...

No szły budowy oddziałów wtedy i produkcja... Także tego... Ludzi w tym czasie... Tam robiło ponad 7 tysięcy ludzi. To jeszcze jak my żeśmy robili, [Wydział] Mechaniczny, SOWI i jeszcze była taka firma Monterks z Pionek, to też robili te same roboty, które my.

Jak kończyłeś pracę po tych wszystkich transformacjach, było widać, że firma upada?

Było, ale w tym czasie, kiedy ja odchodziłem to jeszcze działała. Jak [Wydział] Mechaniczny rozwiązali, to już wtedy tego, na oddziałach, ale to już tam długo nie szło. Później już nie wiem jak było, bo nie chodziłem tam już, a mogłem iść, zobaczyć. No i to na tyle by było.

A jakieś wypadki miały miejsce?

Ale o jakie wypadki pytasz?

Takie, które pamiętasz. Jakież się zdarzyły przy pracy?

Ano rozumiesz... na WT-8 [Wydział Barwników Kadziowych] robili... Mieli tam do pomocy OHP [Ochotniczy Hufiec Pracy] i we windzie wsiedli, i nie wiem, tego dyszla nie zabezpieczyli, nie podstawili klinów pod koła i chłopak zginął. Z Lubelskiego tam, czy z Rzeszowskiego... Dyszel go przygniótł w szybie do muru i zginął, młody chłopak, 18 lat czy coś takiego. To był taki wypadek. Później... A jeszcze to był '65 rok chyba... Był wybuch na jednym oddziale, na którym my żeśmy instalowali mierniki, ja i tam jeszcze dwóch... Bo ja byłem za spawacza w tym czasie, nie byłem przecie z... Tego... I to z soboty na niedzielę. Popołudnie, gdzieś 6. To był październik albo koniec września. Wybuch nastąpił. Tam aparat wyleciał w powietrze, no i jeden zginął. Został uderzony szkłem w szyję, w kark, i się wykrwawił. Niejaki Rurka się nazywał. To na tym oddziale to był już drugi wypadek, bo pierwszy to zanim ja jeszcze tam robiłem, to był '59 albo '60... W piwnicy się tam zagazowało... Weszli do piwnicy i już nie tego, kurczę... Tam jakieś smrody były, opary i tego... Tam wtedy ich zginęło chyba czworo. Później to był... '88, może '89 rok, na WT-6b. To już był trzeci wypadek, czyścili kadh z pozostałości i weszli tam, i czyścili, kurczę, i odkuwał... Nie wiem tam, miał brechę i tą brechę [łom], kurczę, i zaiskrzyło, i się zapaliło i jego... On

nie wiem, jak tam z tej kadzi wyszedł, chyba miał drabinę. To ja go widziałem przed oddziałem. To opalone ubranie, wszystko... I za dwa dni zmarł. To cały popalony był. On był kierownikiem zmiany, inaczej mistrzem zmianowym. To zamiast to skropić wodą, żeby tego... A to tak weszedł i ot, zginął. Młodszy ode mnie, nie wiem, ile tam miał lat. Koło 40 chyba lat. Niejaki Nowak. To na tym jednym oddziale. Później jeszcze w kompresorowni, to na Barwnikach Siarkowych. Wszedł gościu i... Do kompresorowni. No jak kompresory to wiadomo, że tam tego... Powietrze były, jak tam... Nie wiem, że on tam upadł, go znaleźli, ale już nieżywy był. To były lata... Początek 80., koniec 70. No i co z wypadków, to tam tego... O! W trakcie budowy EC-3, tej nowej, która stoi, tam spadł chłopak z Wołomina, 19 lat czy coś tam takiego i zabił się, jak budowali komin. No ale to była obca firma. To była firma, Beton-Stal się nazywała, z Warszawy i oni stawiali ten komin. Takie rzeczy pamiętam.

A jakieś choroby zawodowe były?

Prawdopodobnie rak pęcherza i... Jakies tam astmatyki, coś tego, ale to... Bardzo mało. Widzisz, ja mam 79 lat i takich chorób nie tego [śmiej], trzeba po wszystkich oddziałach chodzić. No nie było oddziału, żebym na nim nie był, nie robił.

Ale ty dużo na dworze robiłeś? [śmiej]

Nieeee, różnie, i na dworze, i na oddziale... Tak samo jak śmierdziało, to trzeba było uciekać, kurczę. [śmiej]

A często śmierdziało?

No oczywiście, że śmierdziało... No i później, rozumiesz... To był... '90 któryś rok. Rozbierali granat, do siarkowych należał. Później [Wydział] A-gamma Kwas rozbierałem, bo tam zaczyły te słupy gnić, ułam... Ukrychały się tam... Nie! To korozja zjadła i to siadało, to rozbierałem, rozumiesz. To przyszedł dźwig gryowes [chodzi o dźwig Grove] z Teresy z Łodzi i ja tam robiłem ze swoją brygadą, nie sam, bo ze swoją brygadą. No i później żeśmy jeszcze siódmkę, starą część, rozbierali też ze swoją brygadą. I jeszcze jedna brygada, taki Sobczyński Jurek ze swoją i żeśmy tam rozbierali. Bo tam jakaś firma weszła to wszystko na zawał robili, nie? A my żeśmy zdjęli to, wytoczyli i tego... Takie roboty żeśmy robili Madziu. Wincyj grzechów nie pamiętam. [śmiej]

E tam, pamiętasz...

Nie no tyle lat... Patrz już dwadzieścia lat przeszło... 24 już minęło, jak nie tego... A tam robiłem 34 lata na Borucie... Jeszcze cię pamiętam, jak żeś z babką wyszła: „O dziadek!” i ręce takie jak samolot na Długiej... [śmiej] To co? [rozmowa schodzi na temat moich dzieci, a prawnuków rozmówcy]

Mówiłeś na początku, że robiłeś becзки, że spawałeś...

Nieeee, becзки to robili na WKS-ie, to maszyny i zgrzewarkami, bo to cienka blacha, a ja beczek nie spawałem. Rury, konstrukcje, teraz gdzieś, jak na WKS-ie, to takie płyty wstawiałem na wieże, potężne te wieże były to tam wagon pierścieni ratziga [Raschiga]... To pierścienie były jak ten wazonik [wskazuje na wazonik wysokości ok. 10 cm, stojący na segmencie] i to wszystko ceramiczne były, okrągłe takie rurki i to tego... Przez to szła, rozumiesz... Gazy i z tego się wytwarzał kwas siarkowy. To mniej więcej tak tego... To było wyżarte, to ja spawałem te łąty. To taka dwa metry na dwa metry takie potężne z blachy dziesiątki żeśmy łątali. No takich... już nawet nie pamiętam.

A jakieś życie po pracy, które Boruta organizowała, korzystałeś?

Nie, robili, ale mnie to nie interesowało. Ani wczasy jeich mnie nie interesowały, ani nic, bo ja miałem wczasy, jak sobie na urlop pojechałem na grzyby, o! To dla mnie były wczasy. A tak na gwizdek, żeby tam szedł to nie.

A opieka zdrowotna jak wyglądała?

No to szpitalik, przychodnia. Co pół roku żeśmy mieli badania. I tak jak my żeśmy tam mieli, czy na wysokościach możemy robić, pierwsze to było z psychologiem. Były takie ekrany, no nie, tak jak tablica i światełka się świeciły, a ty musiałaś gasić i dwa razy zem na tym był, co pół roku. Później to zlikwidowali, to znowu laryngolog nas tam tego... Brał na fotel i kręcił, później palcem do nosa trzeba było trafić...

Na fotelu was kręcił?

No tak, był taki specjalny fotel kręcił i tego... Za każdym razem, co zeszłem, to trafiłem do nosa palcem. „Może robić na wysokościach”. [śmiech] Chodziło o to... O błędnik. No. To tam parę razy na tym byłem. To robili nam co roku, później też zlikwidowali, tego nie było.

A jakieś zabawne sytuacje pamiętasz? Anegdoty śmieszne?

No śmieszne, no takich to tam w zasadzie nie było, bo trzeba było uważać, bo tam się robiło na oddziałach czynnych. Żeby gdzieś nie poparzyć się, nie wleźć niepotrzebnie. O, to wszystko. Już?

To głupot żadnych nie pamiętasz?

Nie, głupot nie... To tam były takie, że na jednym oddziale się zaczyli wodą łąć [śmiech], to tam na tych azowych, na tym... Czwartej sali. A tam jeszcze stały dwa aparaty czy trzy na konstrukcji. Ja tu za nimi miałem falbanek, spawarkę i spawałem kornierze. I leci, jedyn drugiego z wodą goni [śmiech], a ja miałem

tam puszkę z wodą do studzenia, kurczę, kołnierzy [śmiech] i ten Józek... Nie, Edek taki, przelatuje, a ja mu chluz jak poszedł nie wiedział, kto go oblał. No to takie o. No i na młynach się lali, ale ja tam w tym udziału nie brałem. Taki Józiu, on tam jeszcze mieszka, w 52. bloku mieszka, o kiju chodzi, często się widzimy. To z takim Mańkiem Balcerzakiem się lali. Tak to nie było takich rzeczy, to nic.

A jeszcze się chciałam zapytać... Jak się zatrudniałeś, to było bardzo dużo młodych ludzi, a wszyscy byli pełnoletni?

No oczywiście, dużo ludzi robiło młodych i tego. Młodych i starszych, i starych już. Bo jak ja tam tego, to ludzie odchodzili na emeryturę w '65, '67 roku, no to już musieli mieć sporo latek, bo to nie tego. Także musiała być wymiana ludzi na takim zakładzie.

A jak się zatrudniałeś, to pracowali tam ludzie, którzy pracowali w Borucie jeszcze przed wojną?

Tak.

A coś opowiadali?

To jeszcze były kadzie, co nie miały napędu i wiosłami mieszały w tych kadziach. Siedziało dwóch, jeden po jednej stronie kadzi, drugi po drugiej. A w taką kadź wchodziło 4-5 m³ cieczy. Przed wojną takie były. To były napędy transmisyjne, oś taka szła 20 czy 25 metrów, silnik potężny, tam z 50-60 kW. I tam było siedem czy osiem kadzi i miały jałowy bieg, i na koło, które luźno chodziło i nic nie obracało, a tak to była taka... Żeby mieszać. Jak chcesz wiedzieć, aparat najcięższy to był 25 ton.

To dźwigi to wstawiały.

Nie, ręcznie blokami żeśmy to wciągali. wstawiali. Dziesięcotonowe wciągi łańcuchowe i żeśmy to ciągli. Ta. To na H-kwasie takie były, to później żeśmy to zwalalałem, rozbierałem i mniejsze o połowę mniejsze żeśmy wstawiali. To by było na tyle. Muszę się ubrać teraz. [ubrać do wyjścia]

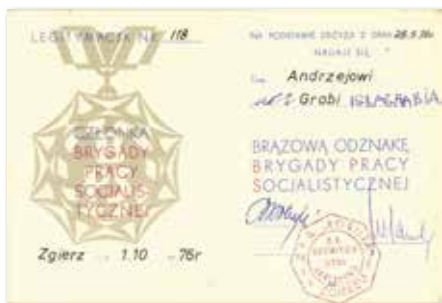
Dobrze, to dziękuję bardzo.



Fotografia pamiątkowa z kursu zawodowego spawaczy w Łodzi, w którym uczestniczył Andrzej Grabia.



Fotografia przedstawiająca brygadę Andrzeja Grabi na terenie ZPB „Boruta” w 1976 roku, jak wspomina p. Andrzej: „A to Jurek Płóciennikowski, Sikorski, Mariański i Grabia. [wymienieni od prawej] Moja brygada, ale ja miałem też taką brygadę, że było dziewięcioro ludzi w brygadzie, bo tu jest nas tylko czworo. To są podnośniki, w których był barwnik w płynie, wypompowany z kadzi, wyciągnięty, a z tego dopiero powietrzem tłoczyli na prasę. Barwniki były, płótna i na tych płótnach się osiadał barwnik.”



Legitimacja do brązowej odznaki Brygady Pracy Socjalistycznej przyznanej Andrzejowi Grabii w 1976 roku.



Legitimacja do srebrnej odznaki Brygady Pracy Socjalistycznej przyznanej Andrzejowi Grabii w 1979 roku.



Legitimacja do odznaki Zasłużony Pracownik ZPB „Boruta” przyznanej Andrzejowi Grabii w 1993 roku.



Proporzeczek pamiątkowy ZPB „Boruta”.



Odznaki otrzymane przez Andrzeja Grabię za wzorową pracę.

Wiesław Hulewicz, ur. 1946 r.

ZPB „Boruta”, inspektor w Dziale Inwestycji

Lata pracy: 1972-1977

Rozmawiała Nina Sroczyńska, ur. 2008 r. (wnuczka)

Opowiedz o swojej pierwszej pracy.

Moją pierwszą pracą była praca w szkole budowlanej w Zgierzu, mieszczącej się przy placu Kilińskiego.

W jakim okresie tam pracowałeś?

WH: Pracowałem tam od 1967 do 1972 roku.

Byłeś nauczycielem? Czego tam uczyłeś?

Uczyłem przedmiotów zawodowych budowlanych. Podczas zajęć uczniowie uczyli się tam o poszczególnych elementach budynków – konstrukcji fundamentów, stropów, ścian. Jak należy wykonywać prace budowlane. To były zajęcia teoretyczne, przygotowujące do tego, aby później na zajęciach praktycznych młodzież umiała to wykonać.

Jak wyglądały takie zajęcia?

To były normalne lekcje, ale do tych lekcji były różne makiety, modele różnego rodzaju stropów, okien, drzwi – z czego, z jakich elementów się składają i jak się takie elementy wykonuje.

A czy prowadziłeś też zajęcia praktyczne?

Tak, w jednym roku tak. Miałem z jedną z klas zajęcia praktyczne... W warsztatach, a później na budowie tych warsztatów szkolnych. Klasa murarska budowała ściany, klasa zbrojarska wykonywała zbrojenia fundamentów, stropów.

A jak była twoja kolejna praca po szkole budowlanej?

Zacząłem pracować w zakładach Boruta w dziale inwestycji. Byłem inspektorem nadzoru na budowanych nowych oddziałach w Borucie. Pracowałem tam od 1972 do 1977 roku.

Jak wyglądał twój typowy dzień pracy?

Moja praca polegała na nadzorze nad robotami budowlanymi, które były tam wykonywane na tych oddziałach. Byłem na placu budowy na terenie Boruty. W tamtym okresie zakłady Boruty były rozbudowywane, powiększane. W tym okresie nadzorowałem prace na trzech oddziałach – na Oddziale Barwników Helaktynowych, WT-17 i Benzydynie – Oddział Benzydyny był najbardziej niebezpieczny, kiedy już ruszyła tam produkcja, bo tam ludzie chorowali na raka. Substancje tam używane były niebezpieczne.

Ile osób zatrudniały wówczas zakłady przemysłowe Boruta?

Dokładnie trudno powiedzieć, ale na pewno kilka tysięcy.

Czy to były największe zgierskie zakłady produkcyjne?

Tak, Boruta była największym zakładem w Zgierzu. Produkcja na niektórych oddziałach w zakładzie szła na trzy zmiany. Były to największe zakłady barwników w Polsce, w przypadku niektórych barwników chyba nawet jedyne.

Boruta organizowała też pracownikom odpoczynek po pracy, miała swoje ośrodki wypoczynkowe – nad morzem w Świbnie, w górach – nie pamiętam gdzie. Organizowano obozy żeglarskie, był klub żeglarski koło Włocławka nad jeziorem, ośrodek kolonijny dla dzieci pracowników w Świbnie. Były też wyjazdy w niedziele na grzyby – soboty były wtedy pracujące.

A kluby czy koła zainteresowań?

W Borucie działał zespół tańca Boruta, w DMR-ze [Dom Młodego Robotnika] na 3 Maja były organizowane spotkania, zajęcia, Boruta finansowała klub sportowy, na hali odbywały się zajęcia sportowe.

Pracowałeś głównie na budowie?

Zawsze, każdego dnia, część czasu nadzorowałem prace budowlane. Musiałem być na budowie. Dostawaliśmy tam zupki regeneracyjne. Ale była też praca w biurze. Jak wykonawca przyniósł faktury, książki odmiarów, to musiało być sprawdzone. A poza tym musiała być porównana dokumentacja z innymi kolegami – mechanikami, jak był nowy oddział rozpoczynany, to dokumentacje musiały być porównane, czy są na nich wszystkie fundamenty, przejścia, wentylacje. Współpracowałem z kolegami, którzy nadzorowali poszczególne rodzaje prac – elektryczne, mechaniczne, aparaturę kontrolno-pomiarową.

A jaką powierzchnię obejmowały te nowo budowane zakłady? To znaczy nie chodzi o powierzchnię w metrach, tylko zasięg.

Te nowo budowane? Czy całość?

Całość.

Powierzchnia Boruty zaczynała się od Andrzeja Struga, w okolicach przychodni, sięgała za elektrociepłownię, w stronę Konstancyńskiej, od Konstancyńskiej do obecnej oczyszczalni ścieków i Wodkanu [ul. Miroszewska i Łukasieńskiego].

Po 1977 zmieniłeś pracę i zacząłeś pracować w spółdzielni mieszkaniowej. Jak długo tam pracowałeś?

Trzy lata. Byłem tam zastępcą kierownika zakładu remontowo-budowlanego.

Czy dużo budowało się domów i bloków w Zgierzu?

Wtedy rozpoczęła się budowa segmentów na Tuwima i na Kamiennej. To było budownictwo spółdzielcze. Były też prowadzone remonty w różnego rodzaju budynkach należących do spółdzielni, blokach. Na różnych budowach byli różni kierownicy robót remontowych, przygotowania produkcji, stolarnia i ślusarnia.

Gdzie mieściła się siedziba spółdzielni?

Na Hożej, tam, gdzie obecnie jest skład materiałów budowlanych. Wtedy się dużo budowało. W tym czasie trwała rozbudowa osiedla od ulicy Witkacego w kierunku lasu. W połowie lat 70. były zasiedlane bloki w obrębie ulic Gałczyńskiego, Leśmiana, Lechonia. Bloki powyżej numeru 40 były budowane już po 1976 roku. Był plan zagospodarowania części osiedla, najpierw do ulicy Witkacego, później tej części, gdzie stanęły wieżowce. Były kolejne etapy rozbudowy. W tym samym czasie budowało się osiedle Spacerowa, do Zgierskiej Spółdzielni Mieszkaniowej należały też bloki w Strykowie.

Jak długo czekało się na mieszkanie w tym czasie?

Krótko. Każdy zakład wykupował pulę mieszkań w spółdzielni dla swoich pracowników. My czekaliśmy na mieszkanie trzy lata, niecałe trzy lata. Duże zakłady, takie jak Fresco czy Boruta, współfinansowały ich budowę, dzięki temu dostawały pulę mieszkań, którą mogły przeznaczyć dla swoich pracowników – tam, gdzie my dostaliśmy mieszkanie, to wszystkie mieszkania oprócz jednego zostały przydzielone pracownikom Boruty.

Czyli kiedyś trzy lata to było krótko.

No tak.

Przydział metrażu był zależny od liczby osób w rodzinie czy jeszcze od czegoś?

Od ilości osób. Musieliśmy dziadków domeldować. To znaczy przydział zależał od liczby osób w mieszkaniu, które zajmowało się poprzednio, kiedy się starało o nowe mieszkanie.

A kto się zajmował przydziałem mieszkań?

W Borucie była społeczna komisja, pisało się podanie. „Proszę o przydział mieszkania z puli zakładowej” i komisja rozpatrywała taki wniosek, [brała pod uwagę] warunki w jakich się mieszka, ile osób mieszka, jakie warunki są w mieszkaniu, w którym mieszkasz i przydzielala mieszkanie.

Czy kiedy projektowano takie osiedle jak osiedle 650-lecia, to oprócz budynków mieszkalnych projektowano także infrastrukturę, na przykład sklepy? Choćby pawilony, takie jak Bogdanka czy Agawa?

Szkoła. Oczywiście ze tak. Tyle tylko, że budową tych obiektów nie zajmowała się już spółdzielnia. Nakładem spółdzielni powstał budynek obecnego SEM-u, z puli pieniędzy spółdzielni.

I później tam się przeniosła siedziba spółdzielni?

Najpierw siedziba spółdzielni była na ulicy Dąbrowskiego, tam, gdzie kiedyś była apteka, a teraz jest sklep z opakowaniami jednorazowymi.

A budynek SEM-u miał znaczenie użytkowe?

Tam początkowo były zajęcia, kółka taneczne, zajęcia dla dzieci. Dopiero później przeniósł się tam zarząd spółdzielni, w latach 80., wydaje mi się.

A ta duża sala była budowana z myślą o widowiskach, spotkaniach, koncertach?

Tak. Tam była jeszcze jedna sala konferencyjna. Odbywały się tam różne zajęcia, modelarstwo, nauka języków, zajęcia rękodzieła, ikebany, hafty.

Przejdźmy do kolejnego miejsca pracy.

To był RPGKiM – Rejonowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Zgierz. Tam pracowałem od roku chyba 1979 do 1990.

Czym się zajmowało to przedsiębiorstwo?

WH: To przedsiębiorstwo obejmowało w swojej działalności takie miasta jak Aleksandrów, Ozorków, Głowno, Stryków, no i Zgierz oczywiście.

I zajmowało się...

I zajmowało się gospodarka mieszkaniową, czyli mieszkaniem poza zasobami spółdzielczymi.

Przydzielaniem tych mieszkań? Remontowaniem?

Eksploatacją. Utrzymaniem. Przydziałem zajmowały się urzędy miast. Przedsiębiorstwo zajmowało się remontami, polepszaniem warunków, doprowadzaniem wody, bo w tamtym czasie jeszcze sporo mieszkań nie miało wody, doprowadzaniem kanalizacji, gazu, ogrzewania. Wiele bloków w Zgierzu nie miało instalacji ciepłej. Były piece, w których trzeba było palić, żeby ogrzewać mieszkania.

I czym się zajmował w tym przedsiębiorstwie, w tej pracy?

Byłem tam kierownikiem działu technicznego. Techniczno-eksploatacyjnego. Jeśli były remonty budynków, remonty kapitalne, to ten dział je nadzorował, a wcześniej należało zlecić wykonanie dokumentacji. Jeśli był gdzieś prowadzony wodociąg, ciepłociąg albo kanalizacja, to ten dział musiał podzlecać dokumentację, zrobić wszystkie uzgodnienia, znaleźć podwykonawców na te roboty, wykonawców na remonty budynków, no i później nadzorować te roboty. Później je rozliczyć. W tym czasie były też wiercone studnie na ujęciu wody. Były też wtedy wiercone studnie na wypadek braku wody na ulicach, między innymi na osiedlu 650-lecia – przy bloku 30, obok przedszkola. Kiedy zdarzała się awaria, to stamtąd można było pobierać wodę. Klucz miał dozorca, co pewien czas musiał przepompować wodę. Były też studnie wiercone na ulicy. Niektórzy mieszkańcy czerpali i nadal czerpią wodę z tych ulicznych studni w niektórych rejonach miasta – na Piotra Skargi przy Łęczyckiej, na Sieradzkiej. Wciąż kilka ulic nie ma doprowadzonej wody. Dział RPGKiM zajmował się inwestycjami, zakupami samochodów do wywozu nieczystości, do transportu, kosiarek do wydziału zieleni.

Jeśli to przedsiębiorstwo działało na terenie kilku miast, czy to znaczy, że były inwestycje, które obejmowały różne miasta?

Każde miasto miało swój oddział. Na przykład było Rejonowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej – oddział w Strykowie. Oni działali na tamtym terenie, ale główny oddział był w Zgierzu – tu zdecydowano o puli pieniędzy czy rozdziale pieniędzy na poszczególne oddziały, o kwestiach zakupów – to było uzgadniane w Zgierzu. W Zgierzu była dyrekcja, a w podległych oddziałach kierownicy.

Dziękuję za rozmowę.

Leonard Jabłoński, ur. 1936 r.

ZPB „Boruta”, biuro geodezyjne,

biuro projektowe – projektant

Lata pracy: 1959-1980

Rozmawiał Maciej Rubacha, ur. 1986 r.

Proszę opowiedzieć o swojej pracy w zakładach Boruty.

Ojciec mój był pracownikiem Boruty od przed wojny. [westchnięcie] Nas była trójka. I po prostu mama moja nie pracowała, ponieważ była chora od urodzenia na narkolepsję, to jest tak zwana śpiączka. Ten stan zdrowia uniemożliwił jej pracę, więc ojciec pracował sam. [westchnięcie] Ja po skończeniu szkoły powszechnej poszedłem do liceum Staszica i po skończeniu ósmej klasy, już sytuacja tak nabrzmiała, że tak powiem, że zdecydowali się... I rodzice, no i ja w sumie, że zamiast kończyć Staszica, w tym trybie dziennym, prawda, musiałem pójść już do dziewiątej klasy... Już poszedłem do liceum dla pracujących i skończyłem. Wracając do pracy, w 1952 roku, ojciec mój, no ponieważ pracował w Borucie, mając, no, znajomości, prawda, i jako długoletni pracownik i sportowiec, załatwił mi tę pracę.

Poszedłem do pracy do biura technicznego, w charakterze pomocy technicznej, do działu inwestycji. W dziale inwestycji istniała komórka geodezyjna, którą do momentu kiedy ja przyszedłem tworzył tylko jeden człowiek, więc ja poszedłem właśnie do tej komórki geodezyjnej do pracy [mówi zamyślony] i zacząłem pracę z panem Słowińskim. To był geodeta, nawet imiennik mój, bo też Leonard, także dwóch Leonardów tam było. Ponieważ ja miałem takie zdolności manualne i szczególnie w pisaniu, to dość szybko pojąłem, dość szybko opanowałem technikę naszej pracy, bo ona polegała na tym, że w zasadzie to był '52 rok, więc Boruta jako taka, jako zakład, nie posiadał pełnej dokumentacji w postaci [chwila zastanowienia] planów i geodezji, tak bym to określił, zakładu. Nie było wiadomo, na przykład, co jest pod ziemią, w tymże zakładzie, prawda? I jednocześnie nie było planów sytuacji istniejącej od momentu wyzwolenia, czyli od '45 roku do roku '52, w którym ja byłem, więc ja z tymże panem Słowińskim Leonardem. On już oczywiście przede mną rozpoczął sam tę pracę. Początkiem było założenie tzw. siatki triangulacyjnej, na podstawie której później można było zbudować, prawda. Zbudować no tak jakby mapę zakładów. Mapę zakładów, prawda, polegało to na tym, że robiło się tzw. sekcję na kartonach brystolu, prawda. Myśmy chodzili, były tzw. no... Punkty, punkty topograficzne i repery tak zwane, i myśmy, myśmy na podstawie tych reperów budowali. Budowali jakiś plan sytuacyjny danego obszaru i cały zakład został podzielony na sekcje, prawda, tych

sekcji już ja nie pamiętam, ile ich było w każdym bądź razie. I to było tak, punkty wysokościowe, prawda, co się na danym terenie znajdowało, wielkość jego oczywiście, to wszystko było, prawda, na tym opisywane, no i poziomy jak gdyby, prawda, więc no podstawowym narzędziem pracy, tzn. podstawowymi, to były dwa, to były niwelator i teodolit, prawda.

Więc praca nasza właśnie na tym polegała, że myśmy przychodzili do pracy, po śniadaniu wychodziliśmy w teren. Braliśmy i niwelator, i teodolit, taśmę, taśma miernicza oczywiście, szkicownik, prawda. Te paliki, igły takie, prawda. Wychodziliśmy i ja wbiegałem z łata, prawda, a on, prawda, nanosił to i później po pracy na jakimś tam określonym terenie przychodziliśmy do biura i z tego robiliśmy już tę podstawową taką po prostu planszę. Planszę, prawda, tegoż terenu, na którym myśmy byli z danymi, wypisane to było no oczywiście małymi i tutaj no moje zdolności, moje zdolności tutaj odgrywały pewną rolę, bo to trzeba było maleńkimi cyferkami, prawda, pismem technicznym pisać punkty wysokościowe, opisać, prawda, budynek, repery podać itd. Na tym polegała nasza praca i myśmy w zasadzie od '52 roku zaczęli, zaczęło się tworzyć, prawda, tworzyć, to takie geodezyjne dzieło całych zakładów.

No szczególnie również później potrzebne, to było w momencie, kiedy w zakładzie zaczęły powstawać nowe zakłady, tzn. nowe oddziały produkcyjne, zaczęto budować. No to wytyczaniem takich właśnie, nasza praca również polegała na tym, że jeśli przychodził projekt, prawda, budowy np. takiego PAS-u, prawda, o którym tutaj jest, albo WT8 [Wydział Barwników Kadziowych], czy później już innych jakichś oddziałów DMDF [nazwa wydziału, na którym produkowano Dimetylo związku oraz Difenylo związku], prawda, to myśmy szli, tak jak geodeci, prawda, no wytyczyliśmy budynek. Ustawiliśmy kołki, gdzie były. No i podane były później tam na łatach również wysokości [zamyślenie] i z tegoż właśnie, z tej naszej pracy powstał, powstał, prawda. Powstało to, no tak jak powiedziałem, dzieło całego zakładu Boruty. W odniesieniu do starych, tutaj starego terenu przedwojennego, prawda, to było dość łatwe.

Natomiast te tereny nowe, które Boruta zajmowała szczególnie w kierunku południowym i zachodnim, prawda, no to były tereny dziewicze i teraz powiem o takiej ciekawostce. Nie pamiętam, który to był rok, ale no tak jak powiedziałem, to mógł być to '53 lub '54, przyszło zlecenie. Przyszło zlecenie [zamyślenie] z ministerstwa chyba, że w Borucie mają powstać, ma powstać tzw. oczyszczalnia ścieków, to jest bardzo istotne, to były lata 50., więc oczywiście zaczęło się. Zaczęło się od lokalizacji i no wskazana była ta lokalizacja. Ta lokalizacja tychże, najpierw miały powstać tzw. osadniki. Osadniki, przyszła na to dokumentacja, jak do dziś pamiętam, to była. To było opracowanie pana profesora Badziaka z Politechniki Szczecińskiej, to było absolutnie *novum*, jak i technologia, prawda, tejsze oczyszczalnia, to nie była jeszcze w sensie stricte taka jak dzisiaj oczyszczalnia ścieków, prawda, to był absolutnie jakiś nowatorski pomysł tego profesora Badziaka i myśmy wytyczyli, to dość dużą powierzchnię zajmowało, te osadniki, na których głównie miał się osadzać szlam ze ścieków, prawda. Wszystkie ścieki,

które dotychczas szły do Bzury oczywiście, prawda, to były, miały być skierowane do tych osadników i tym pierwszym etapem takim oczyszczania tych ścieków miały być te osadniki. Ten szlam miał się w tych osadzać i później za pomocą no takiego lewaru przepompowany był z jednego zbiornika na drugi. Było później wysypisko utworzone i to było, sięgało aż do ulicy Miroszewskiej. Bzura i ulica Miroszewska, no i tutaj prawie tak aż do, w tej chwili, głównej drogi Boruty, no teraz ona się nazywa, przedtem to było Andrzeja Struga, prawda i teraz też tak chyba się nazywa. To był dość duży teren zajęty na te osadniki, to było, to było, myśmy ja z panem Słowińskim. Myśmy te osadniki wytyczyli i to było dość dużo nam zajęło czasu. Wytyczanie tego to była dość skomplikowana jak na owe czasy dokumentacja, ale on był jakby prekursorem. Prekursorem tej innowacyjności i pierwszy taki etap budowania, właśnie, osadników i oczyszczalni ścieków dla zakładu, to było to. Natomiast w dalszej perspektywie mojej pracy, to również naszym dziełem było, to żeśmy (nie lubię tego słowa), że wytyczyli wszystkie nowe oddziały, to były m.in. PAS¹, WT8, DMDF, prawda. No później to już inne oddziały jeszcze.

Może Pan rozwinąć skróty PAS, czyli?

PAS no to właśnie ten oddział, który produkował.

A on miał taką szerszą nazwę?

Nie, nie! Pisane dużymi literami P-A-S. PAS i myśmy jako biuro nie robili dokumentacji, chociaż mieliśmy nadzór autorski później na tym. Projekt tego oddziału opracowała... Już nie pamiętam. Warszawa w każdym bądź razie, to był projekt.

A WT8 co oznaczało?

To był duży oddział WT8, tam produkowano również półprodukty, bo czysty barwnik, w zasadzie, to ta końcowa faza, jak gdyby, otrzymywania tego czystego barwnika to się odbywała w starych oddziałach, jeszcze przedwojennych budynkach, no które pamiętały początki zakładu. [westchnięcie i chwila zastanowienia] Szczególnie jeden oddział, który był oddziałem rakotwórczym, Benzydyna, prawda, mieścił się w starej części zakładu. No skutki, że tak powiem, [niewyraźnienie] pracy na tych oddziałach były takie, że ludzie po prostu chorowali i zaczęły się pierwsze takie [chrząknięcie], kiedy powstało laboratorium zakładowe, którym kierowała, pamiętam, pani doktor Bomska, [działania] skupiły się na tym, żeby w jakiś sposób tę pracę dość prymitywną przy otrzymywaniu prawie że tego końcowego produktu, mmm... Ograniczyć do tego stopnia, żeby ci, szczególnie, ludzie, pracownicy fizyczni, którzy tam pracowali, żeby oni, no mieli jakieś minimum zagwarantowane środków zabezpieczających. A ich praca szczególnie

¹ PAS – to popularna nazwa wydziału WT-6b, który oprócz półproduktów dla przemysłu chemicznego wytwarzał również półprodukt do leków przeciw gruźlicy – kwas paraaminosalicylowy. Od tej substancji wydział ten nazywano PAS.

na Benzydynie, na Witaminach, to był też oddział, polegała na tym, że człowiek wchodził w gumowych butach do tak zwanej nuczcy. To jest urządzenie bardzo proste, bo to jest rodzaj takiego zbiornika prostokątnego z niewysokimi ściankami sięgającymi maksimum, gdzieś pół metra [od dna], do którego spływał... [zastanowienie] Ten prawie że barwnik i facet wchodził do tego, do tej nuczcy, miał ubijak, drewniany ubijak, taki jak do robót tych drogowych, prawda. [Ubijał] tę masę, bo ona [nuczca miała], filtracyjne płótno, prawda, przenikała przez to [ta masa] i ten barwnik, jak gdyby, zostawał, prawda. I on to [robotnik], żeby lepiej to odcisnąć, to raz że niektóre [barwniki] to były w prasach, tych hydraulicznych [odciskane], a tu w tych nuczach to było właśnie za pomocą tego ubijaka, on [robotnik] to ubijał. I szczególnie właśnie na Benzydynie. To oczywiście, jak się później, po jakimś czasie, okazało, głównie miało, no prawie że śmiertelne skutki odnosiło. Bo ci ludzie pracujący właśnie na tych oddziałach zaczęli chorować na raka pęcherza. Bo to cynk, głównym, tym... [zastanowienie] To był pyłek cynku, który był bardzo szkodliwy. Ci ludzie dostawali oczywiście mleko, pili mleko w zasadzie w nieograniczonych ilościach.

A w jakim celu to mleko podawano pracownikom tych oddziałów?

Mleko w butelkach to było pasteryzowane mleko, prawda, [zastanowienie] w ilościach, ile kto mógł, to wypił. Dostarczane było w butelkach na oddział, każdy mógł wypić tyle mleka, ile zechciał.

Zapytam raz jeszcze: w jakim celu pracownicy tych szkodliwych oddziałów musieli pić mleko?

To była, jak gdyby, odtrutka. To mleko było traktowane jako odtrutka. Wówczas, tak jak wspomniałem, już powstało później laboratorium i stacja doświadczalna, nawet hodowane były tam króliki. Tym zawiadywała ta pani doktor Bomska, niezwykle energiczna i oddana tym badaniom kobieta, bardzo ceniona zresztą. Jej mąż również był lekarzem. Ona szczególnie zabiegała o to... I to laboratorium powstało. Właśnie powstało w tym okresie, kiedy ja pracowałem jeszcze w dziale, tym technicznym, w biurze technicznym, w tej pracowni geodezyjnej. Była właśnie na zapleczu tego budynku, była stacja doświadczalna, hodowano tam króliki i na królikach były testy przeprowadzane. Szczególnie, głównie w odniesieniu do największego wroga, tak to określe, pyłu cynku, a ten pył cynku był niestety w tych technologiach, które wtedy, prawda, były w produkcji, był nieodzowny. On był takim produktem bazowym bez mała. No to tyle.

Ja przepracowałem w tej placówce geodezyjnej do roku '60... [chrząknięcie] '59 i w roku '59... [wahanie] Na przełomie '59 i '60 roku, ponieważ naraziłem się pierwszemu sekretarzowi organizacji partyjnej działu inwestycji – i tu wymienię jego nazwisko, nie żyje, więc mogę – panu Kaweckiemu, który pracował u nas w inwestycjach, prawda, ale on był pierwszym sekretarzem. Ja raz, że nie chciałem wstąpić do ZMS-u [Związek Młodzieży Socjalistycznej], prawda, i to mi zostało poczytane jako... Nie wiem... On to tak odebrał i za karę zwolniono mnie

i przeniesiono mnie do stolarni. Do takiego zakładu stolarnia, bo to był jeden z tych oddziałów, który produkował na potrzeby zakładów Boruta, kadzie drewniane, prasy filtracyjne, no to głównie, i opakowania, to znaczy beczki drewniane również. O i tam mnie przeniesiono. On [pierwszy sekretarz] dał mi do wyboru: albo mam się zwolnić, albo pójdę do stolarni. Zwolnić się nie mogłem, prawda, poszedłem do tej stolarni. No i tam przepracowałem parę miesięcy. No oczywiście to w biurze wypełniałem tam jakieś karty pracy, no ale w końcu skończyłem [liceum] Staszica dla pracujących i mój ojciec, mój ojciec, ponieważ znał bardzo dobrze inżyniera Tworosa, który był już wówczas kierownikiem biura projektów, tego oddziału projektowo-konstrukcyjnego... Mieszkaliśmy na Kuraku [osiedle mieszkaniowe należące do zakładów Boruty], on również mieszkał na Kuraku, tak jak my. Zapytał go [mój ojciec], czy do pracy by przyjął mnie, on odpowiedział [inżynier Tworos], że oczywiście i w roku '60, nie pamiętam miesiąca, rozpocząłem pracę w biurze projektów. Jednocześnie oczywiście, tenże nasz oddział, to oddział projektowo-konstrukcyjny, był jednym z oddziałów zakładów Boruty. Myśmy podlegali Borucie.

Po ukończeniu tego liceum Staszica zacząłem pracę w biurze, na stanowisku asystenta projektanta. Z teje komórki geodezyjnej [wcześniejsze zatrudnienie] miałem dobre doświadczenie. Dobrze rysowałem, kreśliłem, więc ta praca bardzo mi odpowiadała. Ale z upływem lat okazało się, że no później awansowałem po... Już nie pamiętam, po ilu latach, na stanowisko projektanta. Poszedłem, ponieważ zaczęto wymagać od nas uprawnień do projektowania i do nadzoru, więc poszedłem do takiej pomaturalnej trzyletniej, państwowej szkoły technicznej, którą skończyłem. Później zdobyłem uprawnienia budowlane i projektowe, i na tym stanowisku przepracowałem do roku '80. Miałem jeszcze tylko taki moment, że w '74 roku, to znaczy rozpoczęcie to było w '71, powróciwszy z urlopu wypoczynkowego, kiedy kierownik pracowni, nie mając dla mnie jakiegoś konkretnego zlecenia na jakiś projekt, powiedział: „Panie Lolku, przyszło tutaj zlecenie na nadzór autorski nad kadziowymi, nad Oddziałem Kadziowym II. Ja brałem udział nad projektowaniem tych instalacji technologicznych właśnie na tym Oddziale Kadziowym II”, mówi, ale to będzie nadzór autorski polegający na tym, że ja przychodziłem czy tam przyjeżdżałem do biura, podpisywałem listę i szedłem na budowę. Szedłem na budowę, tam zostało mi utworzone najpierw w magazynie surowców, a później na samym już oddziale, jak powstał budynek, biuro. Koordynowałem pracę wszystkich przedsiębiorstw, które brały udział w budowie tegoż oddziału. To trwało 3 lata, aż do momentu rozruchu, no bo każdy oddział produkcyjny, ten finał, to był tzw. rozruch technologiczny, prawda, i do tego momentu ja na tymże oddziale pracowałem. Pracowałem jako projektant, moja praca polegała na nadzorowaniu, na kontaktach z przedsiębiorcami, którzy brali udział, z brygadzystami. Ponieważ, jak się okazało, dlaczego myśmy, dlaczego Boruta dostała ten oddział, że tak powiem, do wybudowania dostała? Otóż po ten projekt przez nas zrobiony przez nasze biuro... Poszedł do ministerstwa, no KOPI go zatwierdziło, tzw. Komisja Oceny Projektów Inwestycyjnych zatwierdziła wszystko. Myśmy, to zrobili jako biuro w dość szybkim tempie, jak na tak duży oddział, to był bardzo duży oddział, troszkę technologicznie złożony. Dyrektor Lisiecki,

to kulisy tak trochę opowiadam, będąc w Warszawie zapewnił, że Boruta jako zakład bierze tenże oddział, u nas to powstanie i oddział projektowy zrobi szybko dokumentację i dlatego ten zakład powstał w Borucie. Kierownictwo i dyrekcja liczyły się z tym, bo takie były po prostu przecieki, że w czasie tego projektowania no powstały jakieś niedoróbki, jakieś po prostu błędy i dlatego właśnie przyszedł, przyszło to zlecenie na ten nadzór autorski i dlatego ja, prawda, byłem tam, bo wszystko, co wynikało z dokumentacji, a w trakcie realizacji tego projektu polegało na tym, że po prostu przychodził do mnie brygadzysta, szczególnie właśnie montażysta, głównie to chodziło o montażystę. Kiedy się zaczął już montaż aparatury, wykonywały ten montaż Pionki, to było takie przedsiębiorstwo z Pionek. Przychodził do mnie montażysta, no i mówił: „Panie inżynierze, panie Lolku, bo z niektórymi to poznałem się do tego stopnia, że po imieniu sobie mówiliśmy, tutaj jest coś dla niego niejasne, prawda, więc ja albo wyjaśniałem, albo robiłem jakieś poprawki. Ci brygadziści, to byli ludzie naprawdę biegli, że tak powiem, w tych montażach. Biegli nawet w dokumentacji, praca z nimi była łatwa i to pomagało im, bo wszelkie jakieś po prostu niejasności były usuwane na bieżąco. No ja byłem od godziny, no praktycznie od 9 do godziny 15, codziennie na budowie. No aż właśnie do momentu, kiedy się skończył montaż, skończył się rozruch. Ja prowadziłem, oczywiście wpisywałem to wszystko do dziennika budowy, bo każda poprawka musiała być wpisana do dziennika budowy, ja wpisywałem to jako projektant do dziennika budowy i na tej podstawie wykonawca, właśnie tenże brygadzysta, szedł ze swoim pracownikiem, robił tak jak zostało, jak przez mnie to zostało wpisane czy narysowane, bo nie tylko się ograniczało, bo musiałem również od razu w tym dzienniku rysować, jak to zrobić, jak połączyć prawda, co z czym. Mniej więcej na tym polegała ta moja praca. To był '74 rok, kiedy właśnie to była już końcowa faza, to był trzyletni okres. Tak się zdarzyło, że akurat w tym okresie, ale to już tak może, to już taka trochę prywata, bo złożyłem papiery na wyjazd zagraniczny i... Będąc świadomy, że nie dostanę paszportu, bo już od '71 roku jakiś tam po prostu szlaban ktoś mi postawił. W tym czasie właśnie byłem na tym nadzorze i zostałem wezwany któregoś dnia do placówki UB [Urzędu Bezpieczeństwa], która mieściła się w ambulatorium [śmiej], mieli pokój swój w ambulatorium, i tam się okazało, że doszło do nich oczywiście, że ja się staram o wyjazd turystyczny z rodziną na zachód, prawda, samochodem. W konsekwencji tej rozmowy, to zupełnie prywatnie mogę opowiedzieć, bo to już nie do książki. Dostałem w końcu ten paszport po iluś latach i wyjechaliśmy, Madzia [córka] miała 11 lat, jak wyjechaliśmy.

Po skończeniu tego nadzoru autorskiego, po zakończeniu budowy [wydziału] Kadziowych II wróciłem do biura na stałe, także zajmowaliśmy się innymi projektami, tak jak zlecenia przychodziły brałem udział, z tym że właśnie w tym okresie musiałem ponownie stanąć, że tak powiem, do egzaminów na uprawnienia budowlane, no szczególnie na stanowisku starszego projektanta. Każdy musiał posiadać uprawnienia budowlane. Pomógł mi właśnie ten nadzór autorski, bo trzeba było wykazać się i pracą na budowie, tak jak ja w charakterze projektanta, ale i nadzoru autorskiego, ten trzyletni okres. No i ta praca w Borucie w tej placówce geodezyjnej, w dziale inwestycji, także te uprawnienia budowlane i do

projektowania otrzymałem i na tym stanowisku przepracowałem w biurze projektów do roku '80. Już nie pamiętam, w siedemdziesiątym którymś tam, biuro projektów zostało włączone do Ośrodka Badawczo-Rozwojowego, przedtem to się nazywało Instytut, a później z tegoż Instytutu i biura powstał Ośrodek Badawczo-Rozwojowy. To był '75 rok, to już po mojej przygodzie z Kadziowymi. Projektowałem również, na przykład, to było pierwsze takie nasze zlecenie, które przyszło do naszego oddziału, do naszego biura, instalacje gazowe w blokach na osiedlu Kolejowa. To również ja projektowałem dwa bloki na tym osiedlu, kole-dzy pozostali, pozostałe. To było takie trochę dla nas innowacyjne projektowanie, bo nigdy do tej pory nie projektowaliśmy, ale ponieważ no tą moją specjalnością i kolegów moich najbliższych to było właśnie woda i kanalizacja, i wentylacja, i ogrzewanie centralne. No to taki projekt wszedł, kiedy zaczęła się, kiedy zaczął się ten *boom* na instalacje gazowe, to przyszło zlecenie z Boruty na osiedle Kolejowa, żeby zaprojektować instalacje gazowe i to m.in. projektowałem. Tak jak powiedziałem, przepracowałem w tym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym w biurze projektowym do roku '80. W roku '80 brat przebywający w Stanach Zjednoczonych przysłał zaproszenie, żebym po prostu przyjechał do Stanów i pomógł mu, bo kupił nowy dom.

Wtedy przerwał Pan pracę w Zakładach Przemysłu Barwników „Boruta”?

Tak, ponieważ miałem lecieć do Stanów na rok minimum, zwróciłem się do mojego dyrektora, wtedy dyrektorem był Marian Dałek. Poszedłem do niego i mówię: „Panie dyrektorze, proszę Pana o bezpłatny urlop trzymiesięczny, bo dostałem od brata zaproszenie, chcę lecieć do Stanów.” Bo trzymiesięczny urlop bezpłatny dyrektor mógł dać, ale mówię nie ukrywam, że jeśli polecę, to polecę na rok. Czy mógłby mi taki urlop bezpłatny udzielić. A on mówi: „Panie Lolku ja ten trzymiesięczny urlop mogę Panu dać, to, co ja mogę, to weźmie Pan ten swój niewykorzystany miesięczny urlop i te trzy miesiące, to będzie miał Pan cztery, no ale na resztę, jeśli do roku, to absolutnie nie”. To ja pytam, co w tej sytuacji? To niech Pan napisze do Zjednoczenia, więc ja napisałem do Zjednoczenia.

Do Zjednoczenia, czyli?

Do Warszawy, do Zjednoczenia Przemysłu Organicznego Chemicznego. Zjednoczenie mi odpisało dość szybko, że no niestety nie wyrażają zgody i takiego urlopu Zjednoczenie mi również nie da. No to ja poszedłem znów do inżyniera Dałka i mówię, że niestety, ale nie dadzą. Odpowiedział: „No co ja mogę”. Myśmy się znali z działu inwestycji, bo on tam również pracował, jak ja zacząłem pracę, to on pracował później trochę jako inspektor nadzoru po skończonych studiach, także znaliśmy się dość dobrze, on mówi: „No co ja ci mogę dać. Musisz się zwolnić, a ja tylko obiecuję, że jak wrócisz ze Stanów, że przyjmę cię z powrotem potem do pracy. A tak, to ja ci daję ten trzymiesięczny urlop i ten miesiąc, także cztery miesiące będziesz miał.”

W sierpniu 1980 roku poleciałem do Stanów, byłem rok. Dyrektor Dałek zobowiązał się tylko ustnie, nie dał mi tego na piśmie, że jak wrócę, to mnie z powrotem zatrudni.

Wróciłem w '81 roku, w tamtą stronę leciałem amerykańskimi liniami. Nasza ukochana mamusia tam była, była u brata, ale ponieważ leciała tymi liniami, to kolega brata, który również tam był, namówił mnie na to, żebym poleciał [liniami] Pan American. Tak się stało, poleciałem Pan Americanem z dwiema przesiadkami, najpierw do Frankfurtu nad Menem, później do Nowego Jorku, a później do Chicago. Byłem rok, po roku wróciłem, ale wróciłem już przez Kanadę, powróciłem Batorym. Wylatywałem tutaj, jak wsiadałem do dżambodzeta, to akurat miałem sąsiada Polaka, Amerykanina, ale Polaka, który kupił jakiś tam New York Times chyba czy jakąś gazetę i czytał w Gdańsku rozruchy i strajk. Ciekawe to było, ja leciałem dokładnie 20 sierpnia i później, po roku w Stanach, również wracałem 26 w sierpniu, z tymże wiadomo, co tu w Polsce było w '81 roku. Nie mogłem z Chicago wyjechać, żona namówiła mnie na podróż Batorym. Miałem troszkę do przewiezienia stamtąd. [opis podróży statkiem]

Po powrocie ze Stanów, pojechałem do biura i do dyrektora, okazuje się, że Dałek już nie jest dyrektorem. Zastąpił go też mój i ojca mojego bardzo dobry znajomy, mgr inż. Germaziak, który Dałka zwolnił z tego stanowiska, no bo on był dość mocno partyjny. Przez kilka lat był, zanim przyszedł do nas do ośrodka, to on był przewodniczącym związków zawodowych w Borucie. Jego zwolnili i na to miejsce do nas przyszedł właśnie mgr inż. Germaziak, też z Boruty oczywiście. Jak do niego poszedłem, a on do mnie mówi... On był taki dusza człowiek, też Marian notabene, mówi: „No co ja ci poradzę, ja muszę, teraz dostałem prikaz, żeby zwalniać projektantów, biuro nie ma zleceń, więc musimy się powoli... Słuchaj, jak tylko będzie taka możliwość, to ja cię przyjmę.” Powiedziałem jemu o umowie, jaką zawarłem z Dałkiem, więc on mówi, jak będzie tylko taka możliwość, to cię przyjmę do pracy, no ale niestety tej możliwości już nie było, nasze biuro się kończyło i już do pracy w biurze projektów nie trafiłem, się skończyła moja przygoda.

Czuł Pan przez cały okres pracy – i w Borucie, i w Biurze Projektowym – czuł Pan, że Pana praca jest ważna?

Tak. Tak, tak, oczywiście. Począwszy od roku tego '52 i w momencie, kiedy zacząłem właśnie pracę w dziale inwestycji, to ta praca mi dawała wielką satysfakcję wręcz, bo raz, że byłem chwalony i bardzo zadowolony był mój, no mogę powiedzieć taki szef, chociaż tworzyliśmy we dwójkę tą komórkę geodezyjną w dziale inwestycji, ale on był też bardzo zadowolony z tego. Później, jak wszedłem do biura, byłem również. Nasze biuro tworzyło po prostu taką, można by powiedzieć rodzinę, szczególnie w okresie, kiedy kierownikiem biura był mgr inż. Roman Tworos. Jemu też zawdzięczam bardzo dużo, to był bardzo szlachetny człowiek, cieszący się wielkim szacunkiem i był dla nas wielkim autorytetem, to był człowiek pracy. On przychodził do biura i w momencie, kiedy zasiadł za

biurkiem, to do godziny 15 stukał na maszynie, bo on przede wszystkim stukał na maszynie, on pisał technologie, bo był chemikiem. Był uniwersyteckim kolegą Radlińskiego, on był ministrem przemysłu chemicznego, Radliński. Później w konsekwencji wciągnął go do Warszawy i inżynier Tworos odszedł od nas. Mam nawet takie zdjęcia z pożegnania, to nasze biuro, to była taka wielka rodzina. Myśmy, atmosfera panowała znakomita. On miał zresztą w zwyczaju, że o godzinie 15, skoro pracowaliśmy od 7, to o 15, jeśli pracowaliśmy do 16, to on o godzinie 15 wstawał od biurka i szedł po całym biurze, zaglądał do każdej pracowni, do każdego pokoju, do każdego projektanta, podchodził do deski i miał taki zwyczaj, że tak poruszał okularami przy nosie, pytał, co dzisiaj stworzyłeś, czy co pan stworzył, pytał każdego z projektantów. Ja przez dłuższy okres czasu pracowałem w pokoju, gdzie były nas cztery osoby. Była koleżanka Grześkowiak, Sikorska z domu, ona była kreślarką i było nas troje projektantów. Był taki Stefcio Kowalski, który był instalatorem, projektował instalacje i Franek Filipowicz, on projektował pomiarówkę, ja projektowałem też te instalacje technologiczne. To on stawał do każdego i co dzisiaj się stworzyło, co dziś było na desce, jaki postęp pracy, wracał do biura. Atmosfera była rzeczywiście wspaniała, mieszkał również na Kuraku, tak jak ja do roku '60, bo od '50 do '60, do momentu, kiedy się ożeniłem, to mieszkalem na Kuraku, on również mieszkał na Kuraku, traktował mnie troszkę, jakby tu określić, inaczej niż innych, a to z tego względu, że on do pracy dojeżdżał motorowerem. Ten jego rower... Kupił silniczek, który był zamontowany na przodzie roweru i napędzał przednie koło. To nie było cudo techniki i od czasu do czasu oczywiście się psuło. On znał moją smykałkę do motoryzacji, ja już wtedy miałem samochód, syrenę. Zawsze przychodził, że coś tam [się stało]. To jam mu oczywiście naprawiałem, ale to było na zasadzie... On mnie nie wyróżniał absolutnie, broń Boże.

Myśmy jako biuro projektów działali na takiej zasadzie, że były tak zwane premie okresowe, kwartalne, no i to była zawsze kwestia uznaniowa szefa pracowni. Zawsze z reguły były dwie pracownie i w tych pracowniach byli, pomiarowcy byli, mechanicy byli, instalatorzy, technolodzy itd., no i [niewyraźnie] projektanci. I to szef danej pracowni określał, jaka wysokość tej premii, prawda. Natomiast szef biura, kierownik w tej osobie właśnie inżynier Tworos, w momencie, kiedy były [premie], on nigdy nie ingerował, że ja mu tam naprawiałem, oczywiście nieodpłatnie, a działa się przeważnie w godzinach pracy, więc siłą rzeczy nie mógł coś takiego zrobić, żeby mnie w ten sposób jakiś tam nagrodzić czy do szefa pracowni powiedzieć, żeby mnie z tego tytułu jakąś większą premię dał. Rozstaliśmy się z nim z płaczem, dosłownie z płaczem. Byłem do tego stopnia jego takim zaufanym, no lubił mnie, ja jego to... Jak większość, bo my żeśmy go uwielbiali, bo to był z krwi i kości człowiek szlachetny i miał w sobie coś, co go wyróżniało, było widać to. Na jakiejś naradzie w Borucie w świetlicy przyjechali z Bydgoszczy. To była jakaś narada, nie wiem nad czym, to jak inżynier Tworos szedł to, ponieważ nie był jakimś tam postawnym mężczyzną, to jak szedł, to było to widać, że to idzie szef, prawda. Miał w sobie coś w swojej postaci, w swojej posturze, prawda. Znakomity człowiek. Bardzo szlachetny, bardzo taki... z płaczem żeśmy się rozstawali z nim. Dostał ode mnie taką książkę z dedykacją, zresztą ja od niego

też. I poszedł właśnie do ministerstwa, bo ten kolega minister Radliński ściągnął go do Warszawy. No biuro siłą rzeczy, prawda, powoli, powoli ulegało likwidacji, ale my do tej pory, w prawdzie spotykamy się tylko praktycznie na pogrzebach, jest nas coraz mniej. W ubiegłym roku zrobiliśmy takie spotkanie, no było nas 17 osób, nie wszystkie jeszcze osoby były, które powinny być, ale 17 osób nas było. No spotkaliśmy się po latach. [westchnięcie] Ponieważ ja troszkę gromadziłem różne ciekawostki z naszego biura, no to ukwieciłem to nasze spotkanie, to było w Emilii u jednej z koleżanek. U jednej z koleżanek, która ma dużą działkę, dom i też w domu została, ale u nas pracowała i jej mąż też u nas pracował w biurze, ale już nie żyje, prawda. No to przeczytałem na przykład wierszyk, który powstał w '51 roku, bo biuro projektów swoją działalność rozpoczęło, rozpoczęło w Technikum Chemicznym na trzecim piętrze w roku 1951, '51 [zamyślenie] I powstał wierszyk, którego właśnie jestem właścicielem, napisali dwaj koledzy, dwaj koledzy. Jeden z nich, to był też najlepszym moim kolegą z biura, warszawiak, warszawiak, prawda [zamyślenie]. Odczytałem również wierszyki, które były okolicznościowo pisane na różne okazje przez następnego kolegę pomiarowca, nie, elektryka, takie, inżyniera Polakowskiego. On się rozszedł, jego żona jest lekarzem, na Szczecińskiej przyjmuje. Irek Polakowski, wyjątkowy wierszokleta, on na każdą okazję, na każdą okazję układał, układał wiersze. Każda postać, każda postać w naszym biurze, taka coś znacząca, prawda, również znalazła miejsce w jego twórczości artystycznej, świetnie... Stworzył, stworzył dosłownie formatu A4 trzy albumy takie swojej twórczości. Swojej twórczości poetyckiej, prawda, także no były, były osoby i osobliwości w tymże biurze. To był piękny okres... I my do tej pory się spotykamy, no mogę tylko powiedzieć jeszcze, że wśród tych naszych jest jedna matuzaleмка [długowieczna], koleżanka, z którą również mam wspomnienia i im powiedziałem, bo jednym jestem w tej grupie prawie najstarszym, ja mam 84 lata, skończyłem teraz. To tylko jeszcze jedna koleżanka jest rok ode mnie starsza, ale ona nie przepracowała tyle lat, co ja, prawda, w biurze, no jest starsza, no i jeszcze jeden kolega też chyba w moim wieku lub starszy, Tosiak [lub Antosiak, powiedziane niewyraźnie], który mieszka tutaj na osiedlu i... [zamyślenie] Coś jeszcze chciałem powiedzieć. A wracając do tej, do tej, jest wśród tych, chociaż ona już nie uczestniczy, ale jest chyba najstarszą zgierzanką w tej chwili, była maszynistką u nas. [zamyślenie] Była u nas maszynistką, chyba ma 104 lata, 103 chyba na pewno, a jeśli nie, to 104 lata. Kobieta niesamowita, niesamowita. Jej siostrzeniec, który u nas pracował, Bachman, jak zapytaliśmy, bo on też do Sokoła [Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”] należał, prawda, jego rodzice też należeli, jej mąż też do Sokoła należał. To pytam: jak tam ciotka? A ciotka no w porządku, opala się, ona w wieku 100 lat, normalnie się opalała. Zawsze, zawsze była bardzo opalona. No i oczywiście trzyma ją to, że codziennie, prawda, jakiś koniaczek, kieliszczyk zgodnie z tym, co królowa angielska, prawda, tamta popija se burbona. Pytamy właśnie tego Bachmana Bogdana, jak tam ciotka? Ano byliśmy u ciotki na imieniny, jak byliśmy u niej, jak poszedłem, mówi, oczywiście z butelką, prawda i po jakimś czasie jak poszliśmy, za parę dni, czy za tydzień, dwa, już nie pamiętam, jak to było, to w każdym bądź razie jakieś spotkanie, ale ciotka już nie miała co postawić, bo zawsze ich częstowała, no bo ciotka codziennie i to ją trzyma, dożyła 103 albo w tej chwili 104 lata. Na stulecie,

była uroczystość, był u niej ten prezydent miasta, było to w telewizji pokazywane osiedlowej tam. To jest w tej chwili najstarsza, najstarsza nasza uczestniczka tej rodziny, no [zamyślenie] biura projektów. No w tej chwili wykrusza się to towarzystwo i w ubiegłym roku, w ubiegłym roku 16 sierpnia ta jedna z koleżanek właśnie zorganizowała takie spotkanie w Emilii, tam, gdzie mieszka. Spotkaliśmy się, no było bardzo sympatycznie, bardzo przyjemnie, no i druga koleżanka w tym roku ona, no ale pandemia teraz, także nie mogła nic urządzić i tak to z naszą tą rodziną projektancką wygląda historia.


A jakie były plusy pracy w Zakładach Boruty i potem Biurze Projektowym?

W Borucie były takie plusy, że po prostu my, szczególnie ja właśnie z tym kolegą, który był moim szefem, byliśmy absolutnie niezależni. Byliśmy niezależnymi pracownikami. [zamyślenie] Pomimo, że do partii nie należał, a ja nie chciałem się no, co później okupiłem, że mnie później przeniesiono do ZMS-u. Praca w tym dziale inwestycji była też no, bardzo, bardzo byliśmy zżyci. Bardzo byliśmy zżyci, bo nawet jeden z tych inspektorów nadzoru w dziale inwestycji, taki mgr inż. Węglewski, później wykładał u nas w Staszicu dla nas, był moim wykładowcą już w klasie tej maturalnej, prawda. Także atmosfera była. Był magister Milczarek, był posłem przecież na Sejm, pracował również Szmidt, jego synowie to też coś znaczyli, prawda. Karol jeszcze żyje, ten najstarszy też żyje gdzieś i jest dość znaną osobą w środowisku swoim, w Grudziądzu chyba mieszka. Także ta praca dawała, dawała i satysfakcję, i przyjemność. Natomiast, jeśli chodzi o biuro, to był okres mojej pracy, z którego byłem bardzo zadowolony i bardzo mile wspominam. Korzystaliśmy, korzystaliśmy, jeśli chodzi o jakieś korzyści takie wymierne no to tyle, że wczasy i ponieważ należeliśmy jeszcze wtedy, jako oddział projektowo-konstrukcyjny do Boruty, no to również i wczasy boruciane obejmowały nasze biuro, także co roku gdzieś tam na wczasy wyjeżdżałem. Skutek był taki ostatnio, że wskutek tychże wczasów mam teraz zięcia, prawda. Ponieważ Madzia [córka] w Ełku poznała swojego męża jako dziecko, bo myśmy tam pojechali, prawda. Jeszcze wtedy była Szyba, bo przyszła personalna moja, Wilamowska, i mówi: Panie Lolku, no mam wczasy, ale w Szybie.” Szyba? Pierwsze słyszę. No jak to? No i później było trochę żartów, no niedaleko będziesz miał w Szybie, prawda. Do tej Szyby myśmy pojechali, poznaliśmy tych, bo to były kwatery prywatne, Gąsiorowskich i moja córka w efekcie, ma teraz na nazwisko Gąsiorowska i tam właśnie poznała i dzięki temu zięć zakotwiczył w Zgierzu. Także wczasy no w Muszynie oczywiście, prawda. Ale to wracając jeszcze do okresu, okresu szkoły powszechnej, [zamyślenie] mój ojciec był od przed wojny, mój ojciec był artystą, był muzykiem, chodził do konserwatorium, ale konserwatorium nie skończył, przerwała wojna, nawet jeden taki moment pamiętam, no bo to jako dzieciak trzypółletni, prawda. Ojciec mnie brał rano, rowerem na ramię, miałem poduszkę, poduszka była. Ja na tej poduszce, ojciec mnie brał rano do Boruty, w świetlicy mógł korzystać z fortepianu, tam jeździł i ćwiczył, a ja siedziałem na fortepianie [śmiech] jako brzdąc, prawda, i ojciec założył chór w Borucie, był dyrygentem tego chóru Boruty. Bardzo, bardzo był zaangażowany, wysłano go nawet na ten kurs, tych towarzysztw śpiewaczych, ale po prostu nie bardzo byli

zadowoleni, bo z tego ze śpiewu był bardzo dobry, a z nauki o Polsce i świecie współczesnym otrzymał ocenę niedostateczną także. Myśmy z siostrą wyjeżdżali na kolonie boruciane, także z tą Borutą ojciec mój był związany od '32, chyba, roku, jak rozpoczął pracę, no występował, no przecież grał w piłkę. Jest, jest po prostu w historii klubu Boruta, w sekcji piłkarskiej. Pierwszy mecz, który się odbył w '33 roku, mój ojciec strzelił pierwszą bramkę w historii klubu Boruta, to był mecz z Przybyłowianką w Zgierzu, od tego się datuje, prawda. Tutaj na dwudziestopięciolecie klubu Boruta [pokazuje publikacje KS Boruta], tutaj jest ojciec, jest cały rozdział poświęcony, był później kierownikiem sekcji lekkoatletycznej, bo później przede wszystkim uprawiał gimnastykę, prawda. Także z tą Borutą był związany do końca, no nieszczęście się stało, bo '67 roku ojciec zmarł. [westchnięcie] Myśmy pojechali do Maćka na komunię, do Karwowej. Syreną wtedy, prawda. Ja, żona, Madzia, mamusia i ojciec. I wracając, ojciec dostał zawału, chyba w Poznaniu i w '67 roku w Poznaniu zmarł. [rozmówca przerywa wywiad]



Raut z okazji otwarcia sztucznego lodowiska przy ul. Wschodniej w Zgierzu. Leonard Jabłoński projektował instalację chłodniczą tafli. Na fotografii stoją od lewej: Bernard Miklaszewski, Leonard Jabłoński, Jan Sikorski, Józef Rolczyński, Marian Dałek i Waclaw Kochański.

 KLUB SPORTOWY „BORUTA” ZGIERZ CZŁONEK FEDERACJI SPORTOWEJ „CHEMIK” Odnajdujący Medalion 100-lecia Sportu Polskiego. Rok założenia 1933 Sekretariat: ul 17-go Stycznia 9	
SEKCJE: HOKIEJ NA LODOWIE LEKKI ALETYKI LUCZNICZA PIŁKARSTWO PIŁKI NOŻNEJ PASO-KOZYMOJ PIŁKI SIATKOWEJ ZAPASNICZA	TELEFONY: Zgierzki St. Telefonicznej Nr. 55-28-26 Lokalni St. Telefonicznej Nr. 562-65 Adres korespondencyjny: „BORUTA”-ZGIERZ Kto N. B. P. - Olsztyn Nr 922-0-341 Zgierz, drze
Zaproszenie	
L. dz.	
SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY OŚRODKA SPORTU I WYPOCZYNEKU „BORUTA” w Zgierzach ma zaszczyt zaprosić Leonarda Jabłońskiego Obywatela	
Na UROCZYSTE OTWARCIE SZTUCZNEGO LODOWISKA które odbędzie się w Zgierzach, w Ośrodku Sportu i Wypoczynku „BORUTA” ul. Wschodnia /Stadion/ w dniu 17 stycznia '73r. godz. 17,00	
MPT ZG w Zgierzach 1305-78 4700 szt.	

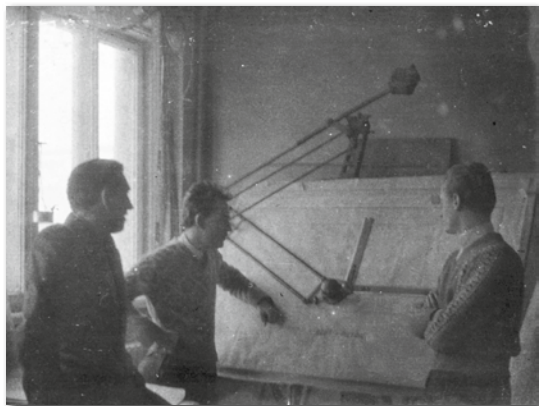
Zaproszenie na otwarcie sztucznego lodowiska przy ul. Wschodniej w Zgierzach, wybudowanego przez ZPB „Boruta”.



Fotografie z pożegnania szefa biura projektów, inż. Tworosa, 1962 rok.



Jedynе zdjęcie Leonarda Jabłońskiego w miejscu pracy. Przy desce kreślarskiej w biurze Oddziału Projektowo-Konstrukcyjnego stoją od lewej: Lech Jędrzejczak, Leonard Jabłoński i Andrzej Janiszewski.





Leonard Jabłoński strzela na bramkę podczas meczu reprezentacji Oddziału Projektowo-Konstrukcyjnego z Technikum Chemicznym w 1962 roku.



Reprezentacja Oddziału Projektowo-Konstrukcyjnego wbiega na boisko podczas meczu z Technikum Chemicznym w 1962 roku. W tle widać budynek internatu „Chemika”.



Reprezentacja Oddziału Projektowo-Konstrukcyjnego po meczu z reprezentacją Technikum Chemicznego.

Mariusz Klimkiewicz, ur. 1967 r.

ZPB „Boruta”, barwnikarz

Lata pracy: 1993-1999

Rozmawiał Bartek Górski, ur. 1987 r.

Proszę się przedstawić.

Mariusz Klimkiewicz. W Borucie pracowałem od 1993 roku do likwidacji, do 1999, gdzieś do końca kwietnia. Początkowo, tuż po studiach, pracowałem w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym, wtedy już się nazywał Instytut Barwników i Półproduktów. Po trzech miesiącach akurat przeszedłem po prostu już bardziej do zakładu, do którego zresztą byłem przeszkolony jako barwnikarz po politechnice, przeszedłem na wydział produkcyjny w Zakładach Przemysłu Barwników „Boruta”.

Dlaczego Boruta? Mieliśmy wiele zakładów o podobnej branży. Czemu akurat wybrał Pan Borutę?

Po pierwsze, już na studiach, jak wybrałem specjalizację barwniki, tam wszyscy pracownicy naukowci nastawiali po prostu na Borutę. Poza tym jestem mieszkańcem Łodzi, więc bliskość tutaj w pewnym sensie Zgierza i ta branża chemiczna. Już barwniki weszły mi, można powiedzieć, niemal w krew. [śmiejch]

Czy starając się o pracę w Borucie trzeba było spełnić jakieś warunki? Czy łatwo było dostać pracę w zakładzie?

Jak inni, to nie wiem. To znaczy tak, ja tak jak zresztą zaznaczałem jestem magistrem inżynierem chemii i ze specjalnością chemia i technologia barwników i półproduktów. Od początku, jak przyszedłem do Instytutu Barwników, to od trzeciego roku wszyscy mówili „Pójdiesz do Boruty”, także ja nie miałem problemów. Jeśli chodzi o pracę na produkcji, biorąc pod uwagę ludzi, którzy pracowali, byli przyjmowani, ale poddawani pewnej weryfikacji. W zależności, czy się nadawał tylko do łopaty, czy trochę myślał i po jakimś czasie, kiedy się zapoznał z tymi technologiami, procesami, zostawał pomocnikiem brygadzysty, czyli zarobowym czy pompierzem. Zresztą to samo było jeśli chodzi o mistrzów. Tu był warunek, przynajmniej średnie wykształcenie – technikum – i najlepiej to albo chemik jeden łódzki lub tu zgierski, bądź technikum gospodarki wodnej. Ale warunek był średnie wykształcenie. To był, powiedzmy, patent na mistrza. Najpierw brygadzystę, potem mistrza. Sam na produkcji kilku ludzi wypromowałem, bo zauważyłem, że są dobrzy, myślą i po pewnym czasie się sprawdzili. Bo to była weryfikacja w pracy, sprawdzenie się.

Czyli awanse były możliwe?

Tak! Oczywiście, że tak. Ja sam, jak zostałem na zmianie, to za każdym pomiarzem chodziłem po prostu krok w krok, każdy zawór, każdą śrubkę, każdy wąż, żeby mnie nic nie zaskoczyło. A później to już było tak nawet, że dajmy na to, jak przychodziłem na 12 w nocy, gdzie byłem wcześniej, bo tramwaj z Łodzi, więc byłem około 23:30 na wydziale, w międzyczasie już robiłem pierwsze próby, szedłem się przebierać. Pompierz jak przychodził, to mu mówiłem, co jest zrobione, co ma dalej robić. Przebierałem się, szybka kawa i nieraz to było tak, że barwnik o godzinie 2 był gotowy. Prasy świstały, jak to się mówi. Czyli już byliśmy po pracy, można było sobie pójść na ławeczkę zdrzemnąć, choć wiadomo, że dyspozytor potrafił skontrolować i walnąć z grubej rury. Tak więc weryfikacja to było wykształcenie. Dla pracowników fizycznych to było tak, że przychodził do pracy i sprawdził się albo nie i sam uciekł. Natomiast już na tą kadrę techniczną, brygadzystów czy mistrzów to raczej średnie wykształcenie, najlepiej kierunkowe.

Na jakich stanowiskach Pan pracował?

W Borucie zaraz po przejściu trafiłem na Wydział [Barwników] Azowych II, to się wtedy WT-7 również [nazywało] jako Wydział Technologiczny [numer] 7. Najpierw byłem na stanowisku mistrza. Przez, akurat, wypadek losowy, jaki się zdarzył to również na stanowisku mistrza, ale byłem mistrzem zmianowym przez około półtora roku. Później starszym mistrzem, technologiem i kiedy w 1996 roku nastąpiła reorganizacja zakładu trafiłem do nowo wtedy utworzonego Wydziału Bezpieczeństwa Technicznego, który się składał z Zakładowej Służby Ratowniczej, Ratownictwa Chemicznego i Służby BHP, i wtedy objąłem stanowisko dyspozytora ds. ratownictwa chemicznego.

Na czym polegały wykonywane przez Pana obowiązki?

Na wydziale produkcyjnym najpierw było zapoznanie się z produkcją, a był to wydział, który w tamtych czasach robił praktycznie największą tonażowo produkcję na całym zakładzie. U nas barwnika już takiego, powiedzmy, gotowego to wychodziło, tak z jednej szarży – gotowego, czyli rozcieńczonego – około 100-120 nawet ton, takiego do sprzedaży. I najpierw tak w pierwszej fazie zapoznawałem się z produkcją, później nadmistrz, nasz starszy mistrz skierował mnie na halę produkcyjną jako do produkcji barwników. Później trafiłem na zmianę, żeby zapoznać się z procesami, które idą na innych zmianach, a mieliśmy sześciogodzinny tryb pracy. I akurat przypadek losowy, jaki się zdarzył, jeden z mistrzów zmianowych, zresztą przy mnie, praktycznie, można powiedzieć, dostał krwiaka po prostu. Mówiąc kolokwialnie, wypadł z obiegu i wskoczyłem na półtora roku na mistrza zmianowego. Na zmianach się wykańczało codzienne procesy, czyli wysalanie, pompowanie, przygotowanie do suszenia. Po półtora roku wróciłem na halę produkcyjną i dalej na zasadzie wolnego strzelca, czyli brałem brygadę któregoś z mistrzów czy brygadzystów, który szedł na

urlop czy na jakieś zwolnienie do tak zwanych zarobków, jak myśmy to nazywali, czyli do normalnej, dziennej produkcji.

Tak wyglądała praca na wydziale produkcyjnym. A w Wydziale Bezpieczeństwa Technicznego?

Kierownikiem tam moim był wtedy były kierownik Wydziału [Barwników] Azowych I, niesamowity człowiek! Po pierwszym jakimś tam zdarzeniu drobnym, które było, gdzie moi strażacy zwrócili uwagę, że nie może być dwóch dowodzących [śmiech], więc po krótkiej jakiejś takiej, nazwijmy to, przepychance słownej podzieliliśmy się obowiązkami. On, jako kierownik, zajmował się Służbą BHP i, powiedzmy, ogólnym działaniem wydziału, ja miałem wtedy pod sobą Służbę Ratowniczą, czyli Straż Pożarną, Ratownictwo Chemiczne i warsztat naprawy gaśnic. I tak to mniej więcej funkcjonowało. Wiadomo, jak któryś z nas był na urlopie czy zwolnieniu, no to się przejmowało jego obowiązki i wszystko się robiło.

Ratownictwo Chemiczne – do jakich najczęściej przypadków byliście wzywani?

W czasach, kiedy objąłem to stanowisko to już mniej było zdarzeń takich, które stwarzały zagrożenie dla, powiedzmy, środowiska. Tym bardziej, że zostali już przeszkoleni kolejjarze, czyli ta nasza boruciana służba kolejowa i zwracali na to uwagę, bo kiedyś wcześniej bardzo dużo wyjazdów było do niedomkniętych, gazujących cystern z oleum, czyli z przetężonym kwasem siarkowym. Kilka takich przypadków, owszem, mieliśmy, że musieliśmy zmieniać uszczelki, ewentualnie przepompowywać do innych zbiorników-cystern. Później praktycznie od 1997-1998 roku, jak się zaczęła rozbiórka zakładu, to mieliśmy coraz więcej wezwań do pomocy przy ekipach demontujących, wyciągających złom. A to jakiś zbiornik się rozszczelnił i trzeba go było przepompować, a to coś się zapaliło w trakcie tych robót rozbiórkowych bądź zaczęło gazować i trzeba było jakiś zbiornik przepompować, raczej tego typu. Typowych takich wypadków, nazwijmy to, losowych było już coraz mniej z racji tego, że szkoliliśmy też ludzi.

Jak wyglądał zwykły dzień pracy w Borucie? Od czego się zaczynał i jakim tokiem to szło?

Na produkcji. Tak jak mówiłem, na produkcji. Ja jak pracowałem, powiedzmy, jak byłem mistrzem, nazwijmy to, na hali, czyli już nie na zmianach, tylko już na hali. Mówiłem, mieliśmy wtedy sześciogodzinny tryb pracy z racji warunków szkodliwych i stałych kontaktów z benzydyną¹, bo kiedyś, w dawnych czasach, to u nas też się benzydyna lała plus inne tego typu aminy, które obecnie są uważane za bardzo szkodliwe. Zmiana trwała od 6 do 12. O 6 wszyscy przebrani byliśmy na tzw. teleranku, czyli zebraniu wszystkich brygadzystów z nadmistrzem, który

¹ Benzydyna – organiczny związek chemiczny znajdujący zastosowanie m.in. przy otrzymywaniu barwników azowych; jest toksyczny i groźny dla środowiska, wiąże się go z występowaniem raka pęcherza moczowego i trzustki.

rozplanowywał pracę, przydzielał konkretny barwnik, konkretną linię technologiczną do brygady i do brygadzysty bądź mistrza. Potem każdy rozchodził się do swoich zajęć i później to już wszystko było w zależności, jaki był proces technologiczny. W tym czasie, jak myśmy byli na tej nasiadówce, to już były rozdane zadania. W każdej brygadzie był przynajmniej jeden, nazwijmy to, doświadczony robotnik, który był nazywany u nas zarobowym. I on był, powiedzmy, drugi po mistrzu człowiek i on wiedział, ile ma czego przyszykować, jaką partię, ile naszykować lodu, ile konkretnych surowców, i który z mistrzem, „można powiedzieć, że przy kadzi był krok w krok. I wtedy rozdawaliśmy tym zarobowym co robimy dzisiaj, jaką partię z jakiej ilości. Oni to przyszykowali. Mieliśmy wtedy chwilę czasu na swoje sprawy, żeby się łyka kawy napić, bo to też w pewnym sensie tradycja była. Najpierw się kawę robiło na teleranku, przestygła, to potem się łyka kawy napiło i na halę pilnować. Wszystko zależy od procesu technologicznego, jak to się działo. Nie można powiedzieć, że coś było w takim czasie. Przerwa była wyznaczona. Przerwy na śniadanie, na papierosa na cokolwiek innego wyznaczał ciąg technologiczny. Właściwie do 11:30 trzeba było się ze wszystkim wyrobić.

Dziś postrzegamy Borutę przez pryzmat toksyczności, skażonego terenu, odpadów. Jak patrzono na zakład w czasach Pana pracy?

W czasach mojej pracy po prostu, jak to się mówi, robota była robotą. Mieliśmy zadania do wykonania, które musieliśmy zrobić. Mieliśmy szarżę, których setki tysiące ton mieliśmy do wytworzenia i to trzeba było zrobić. Problem był z surowcami niekiedy. Bo nieraz, że tak powiem, żartobliwe uwagi były już później. Jak byłem technologiem, to dzwoniłem do zaopatrzenia do kierownika. Pytam się o jakiś surowiec. No jest, jest, jest już, jest na statku! A ja na to: „W którym porcie? We Władystoku?”. Bo akurat był sprowadzany z Indii [śmiech]. I się okazywało, że surowiec był, tylko przychodził za tydzień.

Ale mieliście świadomość tego, w jakich toksycznych warunkach pracujecie?

Generalnie tak, ale każdy w jakimś sensie nie zwracał na to uwagi, nie myślał o tym, bo tak jak mówiłem, praca to była praca. To trzeba było wykonać. Fakt, że już wtedy nie było benzydyny, choć jak byłem w ratownictwie, to się okazało, że ten związek jeszcze gdzieś tam, powiedzmy, na samym Wydziale Benzydyny tkwił, pomimo że moi czy moich poprzedników chłopcy z ratownictwa zrywali tynki, farby, wszystko zlewali kwasem solnym po to, żeby zneutralizować, bo chlorowodorek benzydyny już nie jest rakotwórczy. No niestety, w 1996 roku jak miało dojść do jakichś tam rozbiórek i nasze laboratorium toksykologiczne w Borucie weszło tam do środka [do Wydziału Benzydyny], to się okazało, że przekroczenia nadal są i to takie stukrotne.

A jak wyglądała w tamtych czasach ochrona środowiska?

Z ochroną środowiska to już się spotkałem na praktykach, bo z Borutą to pierwsze związki miałem na praktykach, na pierwszym roku gdzie trafiłem do Boruty.

Dlatego później to był świadomy wybór. I wtedy trafiłem do laboratorium toksykologicznego i na zmianę kursowałem w strefę ochronną, gdzie były zbierane próbki z opadów, powietrza i tak dalej. Żeśmy badali pod względem, czy są gdzieś jakieś przekroczenia czy nie, no i raportowaliśmy to dalej. Ale w tej strefie ochronnej praktycznie nie było przekroczeń. Natomiast, jeszcze to był rok gdzieś 1988, to jak poszedłem wtedy na oczyszczalnię, akurat żeśmy tam pojechali to kolorowo było! Kolorowo i spienione! Później już raz, że produkcja się zmniejszyła, a dwa, że po uruchomieniu naszej borucianej oczyszczalni to woda płynęła coraz czystsza.

Czy ktoś z Pana rodziny również pracował w Borucie?

Nie, natomiast wielu z moich kolegów w przypadkach, kiedy się spotykaliśmy gdzieś tam w jakichś gronach studenckich, postudenckich czy to dalszej rodzinie, to się okazywało, że jakiś wujek czy kolega lub znajomy w Borucie pracował.

W obecnych czasach wspominając Borutę często mówi się o niej „miasto w mieście”? Co Pan przez to rozumie?

Przede wszystkim wielkość. Wielkość i wielkość zatrudnienia. Sam tak wiele razy Borutę nazywam, ponieważ obszar zakładu jest dużym kawałkiem Zgierza. I tu rzeczywiście sam układ uliczek, nazwy które zresztą były. Teraz już są pozmienniane te wszystkie nazwy, bo już się stały ulicami miejskimi, ale wtedy były ulicami wewnętrznymi. Ja zresztą... Wielkość zatrudnienia... Jak byłem pierwszy raz na praktykach, to pracowało około 3 tysięcy ludzi. Autobusy jeździły co kilka godzin i przywoziły ludzi z Łodzi i Ozorkowa. Zresztą, jak już pracowałem w Borucie, czyli w tym 1993 roku, to wtedy jeszcze pracowało ponad 2 tysiące osób. Autobusy... No tak, powiedzmy, jeden był, który dowoził do Instytutu pracowników i sam z niego nieraz korzystałem. I jeden, który dowoził po prostu gdzieś tam. Jeden z Łodzi, jeden z Ozorkowa, to w godzinach rannych i potem odwozili. Później tego zaprzestano ze względu na koszty, ale ludzie, którzy pracowali wtedy ze mną na produkcji i nie tylko, bo w ratownictwie, to część było zgierzakami, dużo było osób z Łodzi, ale również gdzieś tam spod Parzęczewa, z Ozorkowa, z wszystkich okolicznych miejscowości, wiosek.

Wróćmy do tematu wypadków do jakich w Borucie dochodziło. Jakie najbardziej spektakularne Pan pamięta?

Jeden przypadek, który mi utkwiał bardzo w pamięci to w momencie, kiedy była już rozbiórka zakładu. Po wszystkich tych akcjach z zapaleniami różnych tam okładzin gumowych na wentylatorach, ekipom złomiarskim daliśmy część naszego zbędnego, zapasowego wyposażenia, czyli odcinki węży strażackich z prądownicami, żebyśmy nie musieli co godzinę, dwie lub pięć wyjeżdżać. I jak im się tam gdzieś zapaliła guma, to sobie sami gasili, no ale wtedy akurat... Już nie pamiętam, jaki to był dzień. Wpisałem to w naszym dzienniku ratowniczym. Dostaliśmy chyba około godziny 13-14 wezwanie od dyspozytora, bo był dys-

pozytor ogólnozakładowy, który nas kierował do akcji i ewentualnie wzywał również straż pożarną ze Zgierza z rejonu, z powiatu wtedy. Ale dostaliśmy wezwanie, że właśnie na Naftoelanach [na Wydziale Naftoelanów] coś gazuje. To było takie umowne gazowanie. A przypadek był, że kilka dni wcześniej robiliśmy tam rozeznanie, czy można tam podchodzić i pamiętałem, że był tam zbiornik z tlenochlorkiem fosforu. To jest taka substancja, która nawet już na powietrzu ciągnie wilgoć i rozkłada się gwałtownie z wydzieleniem sporej ilości chlorowodoru, który jest gazem żrącym... No, kwas solny to jest chlorowodór rozpuszczony w wodzie. I pojechaliśmy tam. Czuć od razu chlorowodór, część swoich ludzi już cofnąłem, powiedziałem, żeby pobrali sprzęt. Rozmawiam z tą ekipą [od rozbiórek]: „Panie! No zaczęliśmy, no zbiornik jakiś w ziemi. Wycinamy ten zbiornik, zaczęło się dymić! Jak zaczęło się dymić, to my wodą polalim! Jak polalim wodą, panie, co się wtedy zaczęło!!!” [śmiech]. I ja już od razu wiedziałem, co tam było. To była przetłoczka taka z tlenochlorkiem fosforu, zresztą od razu już smrodek chlorowodoru, a i tlenochlorek też ma taki swój specyficzny, gryzący zapach. Więc w tym momencie jeszcze traf taki, powiedzmy, pech, że nie ma ani szefa produkcji, ani dyrektora ds. technicznych. Nie było ich, byli gdzieś tam na wyjazdach. Cóż robić? Decyzja jedna – wyciągamy zbiornik. Bierzemy dźwig z gospodarczego, wyciągamy zbiornik, podjeżdżamy pod misę kwasoodporną, gdzie stały zbiorniki, akurat na mój stary wydział, czyli na Azowe II. Tam wiedziałem, że jest taka możliwość i po trochu będziemy wylewać, zasypywać wapnem, żeby to zneutralizować. Aptekarsko, jak to się mówi. Ściągnęliśmy ten dźwig, my już w aparatach do oddychania, kombinezonów nie zakładaliśmy, bo akurat mieliśmy ubrania kwasoodporne i rękawice. Przyjechał dźwig, wyciągnęliśmy tą przetłoczkę, no faktycznie taki pięciusetlitrowy zbiorniczek. Wózek widłowy potrzebny. Jedyny wózek widłowy, jaki był wtedy dostępny, bo już to było popołudnie i chyba nawet nie wiem, czy nie piątek, to był na magazynach, których kierownikiem był wtedy Andrzej Mamiński, znany zresztą. Jak przyjechał Andrzej, mówi: „Pożyczę wam ten wózek, świeżo jest po remoncie, ale wam pożyczę, tobie, Mariusz, pożyczę.” Przyjechał wózek, piękny, odmalowany, nasmarowany, no cudnie! A cały czas ten zbiornik dymił, gazował. No żeśmy wzięli, jak dźwigiem wyciągnął, podjechaliśmy wózkiem pod łapy, no i akurat z jednym z moich strażaków żeśmy podjechali, zabezpieczając przynajmniej ręcznie, i powolutku, powolutku zbiornik pod tą misę. No dyrektor został powiadomiony, co robimy, bo nie było wyjścia innego. A pogoda była jeszcze taka dżdżysta wtedy, co dodatkowo stwarzało zagrożenie. W międzyczasie jeden z moich ludzi pojechał na Wydział H-kwasu po wapno hydratyzowane, właśnie żeby to zneutralizować. Wrócił ze sporą ilością worków. Ta część ekipy, która nie uczestniczyła w akcji, podstawiła wóz bojowy strażacki w zabezpieczenie, żeby móc postawić kurtynę wodną czy cokolwiek. No i podjechaliśmy pod misę, ręcznie przechyliliśmy zbiornik i tak z 50 litrów, może więcej, się wylało, oczywiście od razu gazując. Wiatr to wszystko niósł w kierunku H-kwasu i elektrociepłowni. No i w tym momencie, jak już wapno było, jeden z moich ludzi, nie wiem, czy nie dosłyszał przez to bulgotanie przez maskę, czy przyzwyczajony tak jak kiedyś z kwasami robiło się, że worek na pół i łup do kwasu i było zneutralizowane. Nie dosłyszał, że to po prostu brać na łopatę i rozsiewać delikatnie, żeby zneutralizować. A on

przyzwyczajony, worek łopata na pół i łup do cieczy. No i w tym momencie jak gruchnęło! Chłopcy z tyłu, którzy byli na zabezpieczeniu, to mówili, że płomień walnął na 4 metry w górę. Wywiązał się wodór, który jeszcze pod wpływem temperatury się zapalił, a wręcz wybuchł. Chmura poszła na cały zakład. Żeśmy wtedy odstąpili. W międzyczasie właśnie dyrektor Żurek zadzwonił. Po przedstawieniu sytuacji dał pozwolenie na wpięcie się w absorbcję alkaliczną właśnie na tym Wydziale [Barwników] Azowych II, gdzie żeśmy byli. Ja ten wydział znałem od podszewki, wiedziałem gdzie, co, jak, więc dalej żeśmy tym wózkiem podjechali pod absorbcję alkaliczną i zgodnie z jedną z procedur do zbiornika było wlewane, nazwijmy tak w cudzysłowie, po szklance wody. Bo to taka metoda jest na rozkład. Pod absorbcję alkaliczną, żeby te gazy żrące neutralizowało. I tak pod tą absorbcją ten wózek stał tydzień. Tydzień się to rozkładało. Ta pogoda, która była dżdżysta, w pewnym sensie nas uratowała, bo na drugi dzień to sam pobiegłem do laboratorium i zresztą moi chłopcy, myśmy dawali nasz wóz do pomiarów w tej strefie. Sam pobiegłem dowiedzieć się, czy było skażenie. Nie było jednak przekroczeń, deszcz wszystko zdusił. Natomiast po tygodniu, jak wózek oddawałem Andrzejowi Mamińskiemu, to mnie chciał zabić. Farba płatami odchodziła, wszystko to, co było przesmarowane, było zielone od kwasu. [śmiech] Wózek z powrotem nadawał się do remontu. Długo mi to wypominał i chyba do tej pory pamięta.

Jak układały się stosunki międzyludzkie? Czy istniała swego rodzaju rywalizacja w pracy?

To znaczy, tak na produkcji właściwie przynajmniej u nas, na tym Wydziale WT-7, była stworzona w pewnym sensie hierarchia. Nie mówiąc już o tym, że, wiadomo, był kierownik, zastępca kierownika, technolog, były laborantki, referenci. Jeśli chodzi o produkcję, to był nadmistrz, który kierował całym pracami. Dostawał wykaz, ile mamy zrobić w miesiącu barwnika i on to sobie rozplanowywał i przydzielał, tak jak mówiłem wcześniej, do konkretnej brygady i do człowieka. On za to odpowiadał. Byli starsi mistrzowie, brygadziści, którzy prowadzili tą pracę, ale również wśród pracowników był pewien... Chociaż wszyscy byli wtedy jako robotnicy, ale był pewien podział. Tą górą, nazwijmy, to byli ci zarabiacze, o których mówiłem wcześniej, i pompiarze. Pompiarze to pracownicy, którzy byli przeważnie na zmianach. Na zmianach było nas tylko dwóch, bo był mistrz zmianowy i pompiarz, i oni wykańczali całą produkcję. Pompiarz musiał znać wszystko, każdą śrubkę, każdy zawór, każdy element gdzie i jak można to zrobić, żeby na rano suszarkowi mieli swoją pracę do wykonania. I była reszta robotników. Kiedyś to się objawiało w tym jeszcze... No, nie pamiętam, w którym roku nastąpiła zmiana, ale jak zaczynałem pracę, myśmy mieli taki system premiowania, który nazywaliśmy kilówką. To wynikało właśnie z ilości wyprodukowanych kilogramów, a właściwie ton barwnika. Wiadomo również, że od wartości, bo na przykład na Wydziale WT-4, czyli Barwników Zasadowych, to tam wydajność była, jak żeśmy się śmiali, w czapce albo wiaderku, ale były to barwniki o wiele droższe. U nas to szło z jednej partii, to było około 1–1,2 tony barwnika efowego, czyli surowego [bez domieszek typu soda, sól, antyzbrylacz], no i to było

tej mniejszej wartości, chociaż popyt był, na nasze akurat wyroby, bardzo duży. A druga rzecz jest taka: myśmy na naszym wydziale mieli na Borucie największe aparaty. Mieliśmy trzydziestometrowe kadzie. No to taka, że sobie można było ładnie się kąpać. I mieliśmy ten system premiowania kilówki i nadmistrz dzielił tą kilówkę i w zależności od funkcji, jaką kto wykonywał, założył na stare pieniądze to jeszcze średnia wychodziła milion złotych, a różnego rodzaju „podpadziochy”, który albo się spóźniał, albo ktoś przyszedł trafiony [gest wskazujący na stan upojenia alkoholowego], to jemu się zabierało a dostawał ten z pracowników, który wykonywał swoją robotę tą bardziej odpowiedzialną, czyli pompiarz lub zarabiacz. I tak to wyglądało. Później już niestety to się skończyło. Jeszcze tak co do tego systemu premiowania, to były takie sytuacje szczególnie w sezonie jesiennym, wiosennym, kiedy jakieś choroby czy urlopy, kiedy brakowało nam pracowników, więc pożyczaliśmy z innych wydziałów. Głównie z Wydziału Barwników Zasadowych [WT-4]. Inni ludzie przychodzili do nas i najpierw klnęli! Klnęli w żywy kamień! Gdzie oni przyszli? Do jakich kamieniołomów? Co tu jest? Takie zapierdzielanie! Po kilku dniach, jak się okazało, że jak robotnik, bo, tak jak mówiłem wcześniej, wynikało to z ciągu technologicznego, jeśli jest dane, że coś się ma w tym garze kręcić powiedzmy godzinę czy dwie, to ludzie nie będą tam stali, więc sobie siedzieli w palarni, tylko od czasu do czasu mistrz z zarabiaczem chodzili i kontrolowali, czy wszystko jest okej. Więc za jakiś czas, jak się okazało, że u nas nie ma czegoś takiego, że przychodzi mistrz, patrzy, siedzi pracownik i pali. Przechodzi drugi raz i pali. „Ej, chodź no tu... Pójdziesz tam i zrobisz to.” A u nas nie, tego nie było. Jest czas operacyjny, siedź sobie pal, gadaj, rób, co chcesz. Masz być w gotowości na ten moment, w którym będziesz potrzebny. A jak już doszło do sytuacji podziału premii tej kilówki, oni zamiast tego, jak na innych wydziałach dostawali, jak się wszyscy śmiali, „stypendium”, czyli na stare pieniądze tych 160-180 tysięcy, tylko u nas dostali 900 tysięcy lub milion. „Noooo, to tu u was można robić!” Taka była sytuacja. I kilku ludzi wręcz na dniach do nas przeszło. Tak się rwali, że do nas przeszli z innych wydziałów.

W jaki sposób Boruta zabezpieczała i dbała o swego pracownika ?

[zastanowienie] To znaczy generalnie tak: na miejscu pracy wszyscy mieliśmy ubrania robocze. To był przydział robiony w porozumieniu ze Służbą BHP. Wszyscy praktycznie mieli ubrania kwasoodporne, nie zwykłe takie ubranka robocze, które po jednym dniu by były całe w strzępach, tylko typowo kwasoodporne. Był wszelkiego rodzaju sprzęt ochrony osobistej, czyli rękawice odpowiednie do pracy, buty robocze. Sam też ustalałem normy razem z naszymi behapowcami w Wydziale Bezpieczeństwa Technicznego. To wszystko miało swoją ustaloną normę, że, powiedzmy, ubranie robocze co rok robotnik dostawał nowe. Buty, dla przykładu, co półtora roku, ale jeśli coś uległo zniszczeniu, to po prostu ktoś ze służby technicznej wydziału pisał protokół zniszczenia i robotnik dostawał nowe. Magazynierka zawsze miała pełny magazyn wszelkiego rodzaju rzeczy, kaski nie kaski, to, co było potrzebne. Później to wszystko się skończyło ze względu na koszty. Tak jak mówiłem, były te dowozy pracowników, mało jak ja jeszcze byłem na praktykach, bo jak zacząłem pracę w Borucie, to dowóz był

praktycznie tylko do bramy [wjazdowej do zakładu]. Dawniej autobusy jeździły po całym zakładzie. Tak więc nie tylko dowoziły do pracy, ale rozwoziły tam aż po H-kwas aż po [Barwniki] Helaktynowe na sam koniec [wydziały Boruty, mieszczące się w południowej części zakładu, blisko lasu Okręglik]. Poza tym sieć, która kiedyś istniała, później to zaczęło wymierać ze względu na koszty wszystkie tam restrukturyzacyjne i tego typu, a chodzi o sieć ośrodków borucianych, tzw. wczasowych. Jeden, zresztą sam tam pojechałem, był w Grotnikach, tam niedaleko stawów, całkiem fajnie tam, sympatyczne miejsce, było wyposażone bardzo dobrze. W Grotnikach, w Muszynie, nie wiem, gdzie tam nad morzem też był jakiś ośrodek, w Duninowie, co zresztą wiadomo, bo później tam był nasz jachtklub i sam tam byłem, wypożyczając domek od Andrzeja Mamińskiego i pływałem z ludźmi na żaglóweczkach. Także było tych ośrodków kilka plus co jakiś czas były dla pracowników organizowane a to wycieczki na grzyby, a czasem tam jakieś turystyczne. Przeważnie na grzyby w sezonie grzybowym. Do tego dochodziło to, co wynikało z przepisów prawa, czyli te dodatki za szkodliwość, wiadomo – marne, bo marne – bo takie były przepisy, ale zawsze to było parę złotych dla ludzi w kieszeni. Plus do tego jakieś środki czystości, coś do prania, bo wiadomo, czasem trzeba było coś na miejscu wyprać.

Jak kształtowały się zarobki boruciarzy i czy były to pieniądze pozwalające na godne życie?

Powiem tak, porównując kiedyś moje zarobki jako mistrza z emeryturą policyjną oficera, bo takie mam akurat porównanie i takie znam, to byliśmy mniej więcej na podobnym poziomie. Zarobki w Borucie w tych czasach, kiedy ja pracowałem, były przyzwoite, nazwijmy to w ten sposób. Zresztą, pamiętam z lat 80., kiedy ja kończyłem technikum chemiczne, to jednym z naszych zakładów patronackich była Polfa Łódź. I tam jak byłem na miesiącu praktyk takich typowych, żeśmy też byli na produkcji, to tam było wówczas sporo ludzi, którzy uciekli z Boruty bo w łódzkiej Polfie były lepsze zarobki. To była taka migracja, bo najpierw uciekli z Boruty do Polfy, a później się okazywało, że jednak w Borucie są lepsze zarobki i niektórzy powrócili lub pracowali tu i tu ,ale jednak pracowali w Polfie i okazywało się to mało opłacalne, bo Boruta lepiej płaci. Nawet takie porównanie: zaraz po studiach, jak poszedłem do Instytutu Barwników i Produktów Organicznych i jak przeszedłem do Boruty, to miałem od razu większą pensję.

W ówczesnym czasie mówiono, że to Boruta utrzymywała Zgierz. Co Pan o tym sądzi?

Znaczy tak... Wielu mieszkańców Zgierza i okolic pracowało w Borucie bądź każdy z rodziny pracował w Borucie i pozwalało to na jakieś utrzymanie się. A druga jeszcze historia taka, to znaczy nie wiem, jak to wyglądało, powiedzmy, finansowo, ale, powiedzmy, chyba i do tej pory jest, nie wiem na ile, elektrociepłownia, która wówczas była elektrociepłownią borucianą, chyba pół Zgierza zasilala w ciepło i prąd. Z jednej strony to zatrudnienie dla mieszkańców Zgierza i okolic, a z drugiej to ten czynnik energetyczny.

Stanowił Pan mały tryb wielkiej maszyny. Czy był Pan dumny z pracy w Borucie?

Do tej pory jestem. Do tej pory jestem dumny, że pracowałem na takim wydziale, na jakim pracowałem i na tych Azowych II, to mi dało wiele. Zresztą, tak jak tu dyrektor do spraw produkcyjnych, Stanisław Otrębski, jak się przyjmowałem do niego i poszedłem na rozmowę, to powiedział: „Wiesz pan co? Pan jesteś po studiach po barwnikarskim [kierunku], pan masz taką wiedzę, tylko że ta wiedza jest tak! [wskazuje w prawo] A teraz, jak pan pójdiesz na wydział, to będziesz miał pan taką wiedzę, tylko że tak [wskazuje w lewą stronę]”. I w pewnym sensie to w ten sposób było. Później, już jak trafiłem do Wydziału Bezpieczeństwa Technicznego, to się bardziej rozszerzyło, bo mając na uwadze cały zakład, że miałem pod sobą jako ochronę całego zakładu, to ja musiałem wiedzieć wszędzie, co, gdzie się dzieje, znać ludzi, tych, powiedzmy, ważniejszych, znać zakład, znać te procesy podstawowe, jakie tam są robione, żeby móc pomóc ludziom, sobie, a przede wszystkim sobie i nikomu nie zrobić krzywdy. To tym, czym się szczycę to to, że przy mnie nikomu nic się nie stało. Przy takiej partyzantce, jaką żeśmy nieraz robili pompami beczkowymi, przetłaczając zbiorniki z kwasem.

Nie było to bezpieczne?

Ale nie było innej możliwości.

Jakie organizacje, koła, kluby działały przy Borucie?

[zastanowienie] W dawnych czasach było tego o wiele więcej, bo nawet jak już zacząłem pracować w ratownictwie, to przez pewien czas, dokąd nie przeszedł na emeryturę, to jako referent do spraw przeciwpożarowych pracował ze mną człowiek, który poprzednio prowadził radiowęzeł. I rzeczywiście, jak byłem na praktykach w '83 i w '88 roku, to ten radiowęzeł działał. Podawane były jakieś tam komunikaty, jakaś muzyczka. Na straźnicy [siedziba Zakładowej Straży Pożarnej, obok której swoje studio miało radio zakładowe] znalazłem zbiór starych płyt winylowych. Poza tym jakieś stowarzyszenia były... Właściwie to tym się za dużo nie zajmowałem. Miałem swoje pracę, swoje obowiązki i dlatego to gdzieś tam krążyło. Było stowarzyszenie, już nie pamiętam, jak to się nazywało, ale było to jakieś stowarzyszenie techników chemików. Do tego część ludzi należała, ale raczej z pionu technologicznego, czyli bardziej z wieżowca z tego CLBI [Centralne Laboratorium Badawczo-Interwencyjne]. Myśmy, na produkcji czy w ratownictwie, mieli swoją pracę do wykonania i tyle.

Z jakimi innymi zakładami współpracowała Boruta?

[głębokie zastanowienie] Właściwie poza ścisłą, do pewnego momentu, współpracą chodzi bardziej o konkurencję, to był właśnie Instytut Barwników i Półproduktów Organicznych. Jako Ośrodek Badawczo-Rozwojowy, który powstał przy Borucie, ale to już w tych dawniejszych czasach. W dawnych czasach OBR

powstał, tak mi się wydaje, jako IBIPO [Instytut Barwników i Półproduktów Organicznych] i był instytucją pomocową dla Boruty, by tam robić różnego rodzaju wdrożenia, jakieś nowe barwniki i tu była współpraca. Natomiast z innymi zakładami właściwie to było na zasadzie relacji klient-wytwórca, czyli sprzedawaliśmy to tam, gdzie był nasz barwnik potrzebny. Zakłady „Wola” w Zduńskiej Woli, jakieś zakłady włókiennicze. W dawniejszych czasach, co znam z historii opowiadanej przez mojego starszego mistrza, a wszyscy się dziwili, że on ze mną rozmawia. My mieliśmy wspólne tematy, wspólne zainteresowania. Myśmy sobie rozmawiali, wszyscy się dziwili, ponieważ ten człowiek młodych inżynierów tłamsił. Po prostu uważał ich za gamoni. A ze mną swobodnie rozmawiał i wszyscy się zastanawiali, jak to się dzieje. Mieliśmy do siebie duże уваżanie. Był to człowiek, który z Boruty wyjeżdżał na delegacje do Turcji, do Egiptu, na Filipiny, Robił tam wdrożenia naszych barwników borucianych. A jako takiej współpracy nie było, bo w zasadzie Boruta była jedynym zakładem, który produkował barwniki na tkaniny i na skóry. W swoim czasie były jeszcze zakłady w Woli Krzysztoporskiej, które robiły pigmenty, czyli zupełnie inna branża. Tak samo bodajże „Oliwia” w Gdańsku – chyba tak się to nazywało. Sam jak kiedyś u kolegi dorabiałem przy sitodruku, to stamtąd żeśmy kupowali farby. Tak więc raczej byliśmy taką dużą kropką na terytorium kraju, choć, jak się okazało, w pewnym momencie wiele firm nas nie znało. Kupowali od pośredników, a nie wiedzieli, że istnieje Boruta, która w kraju robi barwniki na skórę, które zresztą sam robiłem.

W tym roku mija 40. rocznica porozumień sierpniowych. Pan jeszcze wtedy w Borucie nie pracował, ale jak dawni pracownicy wspominali ten czas?

Nie wiem. Jakoś na ten temat nigdy nie rozmawialiśmy. Czasem były rozmowy, jak się pracowało w tych dawnych latach, co wtedy było. Tu na ten temat nie rozmawialiśmy.

Dochodzimy do roku 1994, w którym z wielką pompą świętowano stulecie powstania Boruty. Jak Pan wspomina to wydarzenie?

Wtedy pracowałem jeszcze na produkcji, chyba byłem jeszcze starszym mistrzem. Kadra kierownicza, wszyscy z tej wierchuszki zakładowej, byli zaproszeni na bal z wielką pompą, chyba w pałacu Poznańskiego w Łodzi. Na zakładzie nie pamiętam, żeby cokolwiek się działo. Każdy normalnie pracował. Dostaliśmy, praktycznie każdy dostał, nie wiem, czy robotnicy również, książki wydane na jubileusz [monografia Boruty „100 lat koloru”]. Może część dostała jakieś nagrody. Nie pamiętam, żeby była jakaś feta. Może była jakaś drobna premia, ale niestety uciekło mi to z pamięci.

Czy możemy powiedzieć, że następne lata po 1994 roku były równią pochyłą dla zakładu?

Do 1996 roku jeszcze wszystko szło. W 1996 roku zaczęła się restrukturyzacja zakładu i wtedy zaczęło to wszystko iść niemal ku upadkowi. Takie mam odczu-

cie. Sytuacja była taka, że pracowałem jeszcze na Wydziale WT-7, poszedłem na urlop. Okazało się, że nasz wydział nie tyle jest likwidowany, ale łączony z Wydziałem Barwników Kadziowych II, którzy mieli swoją kadrę mistrzów, a ja byłem wtedy technologiem, a mój były kierownik trafił wtedy do tego zespołu dywersyjnego. Razem z Basią Promirską, która była zastępcą kierownika, żeśmy zarządzili wydziałem. Tak więc tak to było. Poszedłem sobie spokojnie na urlop i się okazało, że nie ma dla mnie miejsca. Potem jak wróciłem, poszedłem do szefa produkcji. On spokojnie: „Panie, znajdzie się”. Zadzwoił do mnie Tomek Ochelski, czy chcę wskoczyć na Ratownictwo Chemiczne. Było to wyzwanie, coś nowego, ale później weszło w krew. Zacząłem zajmować się toksykologią i innymi rzeczami. Od 1996 roku to już zaczęło się robić coraz mniej. Po kolei wydziały były zamykane, tylko wyciągany złom, budynki wyburzane.

Wydawało się że Boruta, która przetrwała dwie wojny, kryzysy, podnosząc się za każdym razem z gruzów jak Feniks z popiołów, będzie trwała wiecznie. Aż przyszedł dzień 1 stycznia 1999 roku, w którym ogłoszono likwidację Boruty. Jak Pana osobiście ta sytuacja dotknęła?

Już wcześniej były tego symptomy. Jak Boruta została wciągnięta w te fundusze jakieś tam inwestycyjne, to już zaczęły się robić przesłanki, że to długo nie potrwa. Poza tym, jak byłem w Ratownictwie Chemicznym, zaczęto powoli nas pozbawiać sprzętu. Mieliśmy przestarzałe, bo przestarzałe, ale funkcjonujące i zostały te sprzęty gdzieś oddawane dla OSP, oczywiście za pośrednictwem komendanta rejonowego straży pożarnej. Także już właściwie ostatnie miesiące to nawet już nie miałem żadnego wozu bojowego. Zostałem z małym volkswagenikiem, który zresztą był do dyspozycji dyrektorów, jak był potrzebny. Tylko na zasadzie tam jakieś motopompy czy coś podobnego, ale wozów bojowych już nie miałem. Kto miał jakieś prawa do emerytury wcześniejszej, to został na nią wysłany. Pod koniec, w grudniu 1998 roku zapadła decyzja o likwidacji naszego wydziału. Behapowcy mieli zostać na samodzielnych stanowiskach, sekcji ratowniczej miało już nie być. Nasz samochód oddany był do wydziału gospodarczego do dyspozycji dyrekcji. Tłumaczenie było takie, że jest blisko straż pożarna rejonowa i nie ma wielu awarii. Dyrektorowi z kierownikiem w oczy żeśmy powiedzieli, że chyba jak nie ma awarii, to dobrze, bo to oznacza, że jest dobra prewencja i tak robimy, żeby nie było wypadków. Ale niestety, nie było tłumaczenia. Więc od stycznia 1999 roku z dwoma pracownikami zostałem przy likwidatorze. Dostaliśmy nowego kierownika z wydziału, który został zlikwidowany. Bujnowicz został moim nowym kierownikiem. Mieliśmy do siebie szacunek. On polegał na mnie, wiedział, że robię, co swoje. Zostaliśmy z dwoma pracownikami, ze sprzętem. Kierowcy, którzy byli w Ratownictwie Chemicznym zostali na tej, nazwijmy to, nowej Borucie, a ja z dwoma strażakami przy likwidatorze. I tak do końca kwietnia, choć już wtedy zacząłem rozglądać się za nową pracą i znalazłem miejsce w urzędzie wojewódzkim w dziale zarządzania kryzysowego, który się utworzył ze starego wydziału obrony cywilnej.

Jakie Pana zdaniem były przyczyny likwidacji Boruty?

Przyczyny likwidacji? Oficjalne i nieoficjalne. O nieoficjalnych nie będę mówił, bo w sumie nie mogę w pewnym sensie. To były na zasadzie pogłosek czy kwestii gdzieś tam wypowiedzianej, ale pozwoli pan, że nie będę o tym mówił. Oficjalnie to chyba koniunktura w kraju. Przemysł lekki został wtedy nie tyle co zlikwidowany, ale zniszczony. Praktycznie całe wtedy województwo łódzkie padło. Padł cały przemysł lekki, a naszym głównym odbiorcą był właśnie przemysł lekki. I produkcja coraz mniejsza, coraz mniejsza... I to jest oficjalna wersja. O nieoficjalnych to nie mogę mówić.

Co dziś czuje Pan, patrząc na tereny, które zostały po zakładzie?

Żal [wyróżnione wzruszenie]... Żal, że coś takiego dużego zostało po prostu zniszczone. I właściwie tyle. No sentyment też, bo rzadko teraz tu bywam. Teraz jak idę, to wielu miejsc nie poznaję, bo tu było to, tam było to, a tu... Wiele się zmieniało.

Gdybyśmy cofnęli czas i miałby Pan jeszcze raz podjąć decyzję o pracy w Borucie, czy byłaby ona taka jak kiedyś?

Jeśliby to wszystko szło, to chyba tak. Tak jak mówiłem, dumny jestem z tego, że tu pracowałem.

Jadwiga Szumacher
(z d. Kibitlewska), ur. 1947 r.
ZPB „Boruta”, laborantka
Lata pracy: 1966-1986

Rozmawiał Bartek Górski, ur. 1987 r.

Na początek proszę się przedstawić.

Jadwiga Szumacher, panięskie moje nazwisko Kibitlewska. Tak mnie będą pamiętać koleżanki i koledzy, kto tam będzie wiedział. Pracę w Borucie zaczynałam w 1966 roku na Wydziale Barwników Kadziowych II. Później stamtąd, mniej więcej rok czasu, bo warunki były międzyludzkie bardzo złe. Kierowniczką, jako stażystkami, nami pomiatała i postarałam się o przeniesienie. Zaczęłam później pracować na Wydziale Gamma Kwasu. Tam było zupełnie inaczej, fajna praca. Tak powolutku lata płynęły. Staż pracy trwał 2 lata i to było najgorsze, bo wszyscy gdzieś tam naokoło, jak jakieś regulacje płacowe były, stażysta nie był w stanie. Staż trzeba było zakończyć egzaminem u dyrektora technicznego – pan Zajac był nim wtedy. A jeszcze w międzyczasie miesięczny taki był staż BHP, który także trzeba było zaliczyć egzaminem. Tak więc mieliśmy takie trochę utrudnienie, ale pozdawaliśmy. Ze mną razem zaczynało jedenaście osób z mojego rocznika. Jak ja kończyłam szkołę, były trzy klasy, a każda klasa iluś tam miała absolwentów i każdy się starał zatrudnić w Borucie.

Zapytam o tę nazwę, którą Pani wymieniła. To była nazwa wydziału – Gamma Kwas? Co ta nazwa oznacza?

Ja w tej chwili to już nie pamiętam dokładnie, ale był to półprodukt, który się produkowało. Jeszcze jeden był tam produkt robiony, ale naprawdę w tej chwili jest to po tylu latach... [śmiej] Człowiek nie pamięta.

Dlaczego wybrała Pani Borutę? Mieliśmy przecież inne zakłady chemiczne w rejonie, jak choćby Iódzka Anilana.

Dlatego, że jeszcze w szkole podstawowej bardzo lubiłam chemię. Moi rodzice pracowali we Fresco. To były włókiennicze zakłady. Tato chciał, żebym poszła tam do przemysłu włókienniczego, bo Boruta to taki niebezpieczny zakład, bo chemia. A ja się uparłam i poszłam właśnie tam. Poszłam raz, że do szkoły, a później już zgodnie z tokiem. No i na miejscu było. Chociaż takie dostanie się do Boruty... Ta nasza jedenastka się dostała i później już było zablokowane. Akurat trafiliśmy, bo otwierał się nowo wybudowany Wydział Barwników Kadziowych II, ten oddział, no i dlatego to tak poszło.

Na jakich stanowiskach Pani pracowała?

Ja byłam jako laborant cały czas. Później pracowałam na nowym H-kwasie [wydział Boruty], to czasami tam w biurze musiałam być. Znałam tą pracę, więc jak dostałam jakieś tam polecenie, żeby pomóc, to szłam i pomagałam.

Na czym polegały wykonywane przez Panią obowiązki?

Wykonywanie analiz międzyoperacyjnych produktów gotowych. Czasem tak było, że jak pracowałam już na nowym H-kwasie, do pomocy szłam na kwas siarkowy [Wytwórnia Kwasu Siarkowego]. Także niestety człowiek był taki, jak by powiedzieć, do wszystkiego, że jak dostało się polecenie, to trzeba było pójść i pracę wykonać.

Czyli nie była Pani ciągle na swoim wydziale?

Tak. Byłam wypożyczana.

Jak wyglądał zwykły dzień pracy w Borucie ?

Zaczynało się od tego, że jak człowiek poszedł na oddział, trzeba było się przebrać w ubrania robocze. Później przynosili pracownicy analizy, wykonywało się te analizy, wpisywało się do książki. Jak był produkt gotowy, trzeba było iść i pobrać go. Przyjść, zanalizować, powpisywać. Te wszystkie analizy, które w gotowym produkcie były do zrobienia, też się robiło, więc takie były prace. Później na zakończenie znów przebieranie w swoje ciuchy i do domu.

Dzisiaj postrzegamy Borutę przez pryzmat toksyczności, skażonego terenu, odpadów. Jak patrzono na zakład w czasach Pani pracy?

Bo ja wiem? Myśmy chyba nie zdawali sobie sprawy z tego, jaka toksyczność jest, ale myślę, że każde takie zagazowania były, czy jakieś niebezpieczne związki, były wypuszczane kominami, to raczej to było bezpieczne. Były robione analizy, bo laboratorium pobierało próbki. Myśmy sobie naprawdę nie zdawali sprawy, że czasami tam było jakieś śmierdzenie. [śmiech] No to się to przechodziło normalnie.

W obecnych czasach, wspominając Borutę, często mówi się o niej „miasto w mieście”. Co Pani przez to rozumie?

No, ponad pięć tysięcy pracowników, więc jak szło się na zmianę, to dużo osób było, ale tak jak na godzinę 8 wszyscy szli, to zupełnie, no jakby... Bardzo dużo osób. I o 16, jak wychodzili, tak samo, tak więc Boruta tętniła życiem. Później, jak pracowałam tak już przed moim odejściem z Boruty, to jak szłam na przykład na 22, to takie pojedyncze osoby się spotykało. To, co było na początku było piękne. Wszyscy się znaliśmy, lubiliśmy się, z serdecznością taką się podchodzi-

ło. A później już to oddziały były zamykane na niedzielę. Więc jak ja pracowałam w czterobrygadówce, to czasami aż się bałam iść bo sama szłam. [śmiech]

A w jakim systemie zmianowym Pani pracowała?

To był system czterobrygadowy. Bo w ogóle tak od początku to pracowałam na jednej zmianie, no a później to takie różne koleje, a to na zastępstwa szłam... Jak już kończyłam pracę w Borucie, to byłam na innym wydziale i musiałam czterobrygadówkę podjąć.

Czy ktoś z Pani rodziny również pracował w Borucie?

Mój mąż pracował, męża brat, jeden i drugi. Dalsza rodzina też, tak więc trochę osób było. Takie trochę podtrzymanie tradycji. Z mojej strony nikt w Borucie nie pracował, ale z męża strony było dużo osób.

Czy Pani zdaniem praca w Borucie należała do ciężkich?

No tak! Myśmy mieli dodatki zdrowotne takie do pensji. To była śmieszna suma, bo to złotówka była w przypadku laborantów, ale takie dodatki były. Oddziały miały więcej, bo to wiadomo.

Czyli dodatki były przyznawane w zależności od wydziału, na którym się pracowało?

Od stanowiska. Na przykład laboratorium, takie badawcze, czy kolorystyczne, czy analityczne, to one nie miały, dlatego że tam nie uważali narażenia. Oddziały miały inaczej, dlatego tak było.

A na jakim wydziale można było najwięcej zarobić?

Chyba Benzydyna [wydział Boruty] najwięcej pracownikom dawała. Na Benzynie to nie wiem, czy ktoś pracował z dziewczyn. Tam pracownicy mieli większe stawki, mniej godzin pracowali, bo tylko sześć.

Jaka praca lub na jakim wydziale należała do najgorszych?

Trudno powiedzieć, bo na przykład mój mąż pracował w wydziale SOWI, czyli Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego. Był spawaczem, no to do tej pory ma chorobę zawodową. Niestety płuca wysiadają. Takie stanowiska to już BHP, oni rozdzielali, że jak ktoś miał gorsze stanowiska, to wnioskowali, aby stawka była większa z dodatkiem.

Czy można było zmienić pracę na wydziale, gdzie toksyczność była wysoka?

Była taka możliwość. Nie było tak, że człowiek był przywiązany, że musi tam pra-

cować i nigdzie więcej. Tak jak ja na Barwnikach Kadziowych II zaczynałam, tam te stosunki międzyludzkie... Akurat kierowniczka była okropna, więc ja przeniosłam się. Później Gamma Kwas połączyli ze starym H-kwasem i Beta-naftolem. To też było takie złączenie, bo jeden kierownik obejmował trzy wydziały. Później powstał nowy H-kwas, więc ja już, korzystając z tego, kierownikowi powiedziałam, że przejdę na nowy oddział, ale tylko dzienna zmiana. Nie chciałam pracować na zmiany, no i tak było.

Do jakich wypadków dochodziło w zakładzie? Jakie z nich Pani pamięta?

Tak jak ja pracowałam, to przy mnie nie było. Przed moim zatrudnieniem to wtedy na PAS-ie [wydział WT-6B produkujący półprodukty] tam były te wypadki. Ale to były wcześniejsze. Moi rodzice tak mi bronili tej Boruty [śmiech] i nie chcieli żebym tam poszła. A później w czasie to takie zdarzenie żeśmy przeżyli na nowym H-kwasie. Wtedy nitroza była przetaczana z cysterny do zbiornika. I niestety, była tam jakaś wykładzina w zbiorniku nie taka jak trzeba. Wtedy to się narobiło. Jak po spaleniu! Wszystkie kable na oddziale to tak wyglądały, jakby były spalone. To była reakcja i poszły takie dymy. One były aż takie ciemnobrązowe. Spowodowało to, że ta otulina wszędzie została zjedzona. My zostaliśmy ewakuowani wtedy. Przeżyło się. Była wtedy sprawa prokuratorska. Inna historia to, kiedy pracowałam już na nowym H-kwasie, był potworny wypadek w laboratorium. Koleżanka Wanda W. pracowała na zmianie popołudniowej od 14 do 22. Na koniec zmiany zajęła się sprzątaniami. Chcąc wytrzeć blat pod dygestorium, musiała wystawić stojące tam słoiki. W jednym z nich znajdowała się nitroza [mieszanina kwasów], resztką jaka została po poprzedniej awarii. Na dłoniach miała rękawice gumowe i niechcący kciukami podbiła korek słoika. Zawartość wylała na siebie na nogi. Zaczęła wzywać pomocy, bardzo krzyczała. Tej udzieliła jej kucharka, pani z drugiego punktu wydawania posiłków, polewając ją wodą z węża w kuchence, oraz kierownik zmiany, który wezwał pogotowie. Przy polewaniu razem z wodą leciały kawałki ubrania, a kucharka wystraszyła się, że to są kawałki skóry. Odwieźli ją do szpitala. Rany bardzo ciężko się goiły. Dopiero po interwencji kierownictwa wydziału i dyrekcji zakładu szpital wdrożył lepsze metody leczenia. Wanda miała duże blizny na nogach po przeszczepie skóry, jaki wykonano jej w Polanicy-Zdroju. Do pełnej sprawności zdrowotnej już niestety nie wróciła.

Wspominała Pani wydział WT-6b tzw. PAS. Do jakich wypadków tam dochodziło?

Tam taki duży wypadek był, gdzie to chyba w nocy było. Tam poszła chyba jakaś nowa produkcja i brygadzysta zlecał pracownikom, aby wchodzić do piwnicy. Oni tam padali! Wydzielał się siarkowodor i oni tam wszyscy zginęli. Później było, że jakiś dekiel z aparatu uderzył w pracownika. Przy mnie to już tam się raczej nic nie wydarzało. Jak były jakieś alarmy, to zazwyczaj sytuacja była opanowywana. Po mnie był na PAS-ie taki wypadek, że taki pan Nowak przygotowywał aparat do prac spawalniczych. Nie wiem, czy tam był źle wyczyszczony ten apa-

rat, poszła iskra i on się tam spalił. To znaczy, nie spalił się, ale był tak dotkliwie poparzony, że zmarł. Ale to już było, jak odeszłam z pracy.

Jak wyglądały stosunki międzyludzkie? Czy rywalizowaliście ze sobą w pracy?

Powiem, że chyba nie. Do dzisiaj z wszystkimi osobami, co człowiek pracował, to jesteśmy w dobrych układach, mile ze sobą rozmawiamy. Ja nie miałam powodów, żeby mieć jakieś pretensje, urazy. Nic z tych rzeczy. Było bardzo fajnie.

W jaki sposób zakład zabezpieczał i dbał o swojego pracownika?

Dostawaliśmy ubrania, buty, takie rzeczy. Przychodziło się, człowiek się przebierał i to wszystko się dostawało. Mieliśmy ręczniki, bo jak żeśmy się myli czy pracownicy się kąpali, też trzeba było się powycierać. Socjal był taki dobry. Nie pamiętam, co żeśmy jeszcze dostawali. [zamyślenie] Jakieś kremy chyba były, no, i te dodatki zdrowotne. Pracownicy ci z Benzyny mieli nawet obiady na stolówce. Jeszcze było mleko i były posiłki regeneracyjne.

Czy te posiłki były rozwożone po każdym wydziale?

To były takie punkty. Akurat na nowym H-kwasie był punkt i tam było na miejscu, no to z wszystkich bliskich oddziałów przychodzili. Godziny były wyznaczone i pracownicy przychodzili na posiłek.

Czy Boruta dbała także o rodziny swoich pracowników?

Oczywiście. Były wczasy takie profilaktyczne, trwające 21 dni. Dzieci jeździły na kolonie, na zimowiska. Kiedyś było przedszkole boruciane, była szkoła przy Borucie. Tam uczniowie później staż mieli i praktyki w zakładzie. My w technikum po skończeniu trzeciej i czwartej klasy mieliśmy takie staże miesięczne na terenie Boruty. Tak więc była taka współpraca ze szkołą też.

Czy starając się o pracę w Borucie, trzeba było spełnić jakieś warunki? Czy łatwo było dostać pracę w zakładzie?

Ja muszę powiedzieć że tak... Bo skończyłam szkołę. Dyplomy dostaliśmy na początku czerwca i, nie czekając wakacji, poszłam do kadry, złożyłam podanie i zostałam przyjęta. Tylko od razu miałam powiedziane, że będzie praca na zmiany. Bardzo się cieszyłam, ale później to już było gorzej w rzeczywistości [śmiech], ale się tak cieszyłam jak nie wiem. Mnie nie było trudno się dostać do Boruty. Może ci, co później chcieli podjąć pracę, to mogli mieć już trudności. Dużo osób zostało w tym czerwcu przyjętych.

A jakie warunki trzeba było spełnić?

Trzeba było przede wszystkim [mieć] szkołę skończoną, jeżeli chodzi o laborato-

rium. A tak pracownicy to nie wiem, jak to tam wyglądało zatrudnienie.

Jak w latach Pani pracy Boruta radziła sobie z ochroną środowiska?

Ścieki zakładowe szły przez oczyszczalnię. A jak odpady? No były te zwałowiska odpadów. I one są do tej pory. Gdzieś tam to wszystko jest na tych hałdach. Bo tak to nie wiem, jak utylizacja przebiegała.

Jakie organizacje, koła, kluby działały przy Borucie?

[śmiech] Nie wiem, naprawdę. Jedno jest pewne, że jak zaczynaliśmy pracę, czy się chciało, czy nie, to do tego TOPL-a [Terenowe Oddziały Przeciwlotnicze] musieliśmy należeć. To był taki wojskowy oddział i ja też tam byłam. Żeśmy mieli zawody, a ja akurat byłam w drużynie łączności. Obsługiwałam centralę, bo jak były zawody to ja na centrali byłam i żeby dobrze wypadać, to ja z panami ćwiczyłam. Jakoś się dawało radę. Zawsze tam Boruta dobre miejsca miała, albo pierwsze, albo drugie. To były takie zawody między zakładami chemicznymi. Myśmy jeździli do różnych zakładów i tam właśnie te zawody były organizowane. I to nie było mowy żeby się wykręcić. [śmiech]

A jak wyglądały obchody świąt państwowych?

No oczywiście 1 Maja trzeba było brać udział w pochodzie i chyba tylko to. Był również Dzień Chemika hucznie obchodzony. Tyle. Ja tam się za mocno nie wychylałam.

Czy na przykład w związku z Dniem Chemika dostawaliście jakieś nagrody czy odznaczenia?

Były takie nagrody. Jak eksport był zrobiony, to dostawaliśmy tzw. eksportówki. Ale na Dzień Chemika nie było tak, że wszyscy. Dokładnie nie pamiętam, czy poszczególne osoby, czy poszczególne oddziały... Nie kojarzę już tego w tej chwili.

Jak wyglądały sprawy finansowe? Czy w Borucie zarabiano się dobre pieniądze?

Bo ja wiem? Były grupy i one co jakiś czas, jeśli kierownik uważał, że trzeba podnieść stawkę, to było to podnoszone. Jednak żeby to była jakaś rewelacja? Tak na początku to coś to dawało. Jak zaczynaliśmy pracę, to Boruta dawała większe stawki niż w OBR [Ośrodek Badaniowo- Rozwojowy]. Dlatego wszyscy szli do Boruty, bo tam to było mniej. Pracowali może mniej godzin, ale ten instytut był gorzej płatny. Zakład dawał te stawki, bo wiadomo, jak były godziny popołudniowe i nocne, to te pieniądze były trochę większe.

Od czego zależał sposób przyznawania premii?

Myślę, zbierał się kierownik zmian, kierowniczka laboratorium i oceniali pracę

danej osoby i decydowali, czy może mieć podwyższoną pensję czy nie. Tak to wyglądało. Trzeba było się z tym pogodzić.

A awanse? Czy łatwo było w Borucie zdobyć lepsze stanowisko?

My, jako technicy, to nie mieliśmy takiej szansy. Ktoś, kto był po studiach, to mógł zostać, powiedzmy, kierownikiem laboratorium. Mężczyźni zdobywali wyższe stanowiska jak kierownik, zastępca kierownika, technolog, a tak w zakładach tych produkcyjnych żadnej takiej szansy, jak jest choćby teraz, to nigdy nie było.

W ówczesnym czasie mówiono, że to Boruta utrzymywała Zgierz. Co Pani o tym sądzi?

Przynajmniej to, że tyle ludzi było zatrudnionych. Bezrobocia wtedy nie było. Nawet osoby, które były już zwalniane z zakładów karnych, to dostawali pracę w Borucie. Boruta miała dużo pracowników i tętniło tam życie.

Była Pani małym trybem wielkiej maszyny zakładowej. Czy była Pani dumna z pracy w zakładzie?

Powiem, że mogłam być dumna, bo przede wszystkim miałam pracę. Czasem to różnie bywało. Człowiek był więcej czy mniej zadowolony, ale był. Później tak było, że jak przed sobą nie miałam żadnej szansy i musiałam odejść, poszłam do pracy do Łodzi do instytutu. Tutaj w Zgierzu, co miałam pensję na czterobrygadowym systemie, jak to mówią świątek piątek, to już tam dostałam o wiele więcej na wstępie. Tam była praca bardziej naukowa, badawcza. Tam pracowałam już do emerytury.

Jak wyglądała integracja pracowników?

Nie wiem, jak to było. [śmiech] Takiej wielkiej integracji nie było. Jeśli można nazwać integracją, to jak był autokar, organizowane były wycieczki, jechało się na grzyby, to mogło to być właśnie to. [śmiech] Ja mało korzystałam z takich wyjazdów.

Czy pracownik znajdujący się w trudnej sytuacji życiowej mógł liczyć na pomoc zakładu?

Była taka pomoc. Ja powiem akurat o sobie, jaką dostałam pomoc. Sama założyłam sobie książeczkę mieszkaniową, byłam z córką sama po rozwodzie. Moi rodzice chorowali, miałam młodszą siostrę, takie mieszkanie razem. Staralam się o jakieś zastępcze mieszkanie. Złożyłam podanie o pożyczkę i dostałam taką bezzwrotną, dopłatę do mieszkania. Tutaj naprawdę byłam Borucie wdzięczna. Specjalna komisja podjęła decyzję o przyznaniu lokalu w bloku na ul. Kolejowej, gdzie akurat bloki były oddawane do użytku i tam dostałam taki pokój dla siebie.

Czyli Boruta posiadała również własne osiedla mieszkaniowe?

Tak, oczywiście! Już jak tam miałam to mieszkanie, lepsze warunki, a niestety moje dziecko chorowało. Z czasem dostałam przydział w spółdzielczym bloku.

Czy łatwo było otrzymać takie zakładowe mieszkanie?

Trochę to trwało. Osób chcących uzyskać mieszkanie było dużo.

Boruta uruchamiała wiele podobnych do siebie zakładów na świecie. Czy Pani jeździła w takie delegacje?

Nie. Do takich rzeczy jeździli inżynierowie. W zależności, jaki oddział był gdzieś otwierany, to jeździła do niego wyspecjalizowana ekipa. Tu do Boruty też przyjeżdżali na specjalne szkolenia, żeby tą praktykę nabyć i jak wracali do siebie, to byli w pełni przeszkoleni. Ale to już w tym wyższym szczeblu się odbywało.

Gdzie Boruta otwierała nowe linie produkcyjne?

Z tego, co pamiętam, to męża brat był w Jugosławii. Na pewno był jeszcze Egipt i trochę później Indonezja. Może jeszcze coś było, ale w tej chwili sobie nie przypominam.

W tym roku mija 40 lat od strajków sierpniowych. Jak zapamiętała Pani ten czas w Borucie?

Boruta została zakładem zmilitaryzowanym. Były strajki, ale produkcja szła. Ja wtedy pracowałam na nowym Wydziale H-kwasu i tam żeśmy wszystko robili, bo to były różne przydziały socjalne, więc dużo się pomagało. Ten czas był taki piękny, wszyscy się jednoczyli. Ja nie należałam do Solidarności, więc nie wiem, jak tam wewnątrz było, ale, na ile można było, to im pomagaliśmy. Te rzeczy się pamięta, to, co się działo wtedy w kraju.

A 13 grudnia 1981 roku? Jak stan wojenny wpłynął na pracę zakładu?

[zastanowienie] Jak ja sobie to przypomnę? Raczej normalnie się szło do pracy. Były przepustki, jak ktoś na noc szedł do pracy, to musiał ją posiadać. Normalnie się pracę zaczynało, tylko te zmiany jak były, to każdy był zobowiązany do trzymania przepustki, żeby patrol żaden nie zaczepił, a nawet jak zaczepił, to było wylegitymowanie. Nie mam złego odczucia tego czasu. Produkcja też myślę, że nie odczuła tego, bo półprodukt szedł w Borucie. To raczej mogłaby powiedzieć osoba, która bezpośrednio pracowała na produkcji. Ale Boruta miała dobre układy, tak więc nie odczuło się, że coś tam było zablokowane, że nie było pensji, absolutnie nie. Przynajmniej ja nie pamiętam takich drastycznych sytuacji.

Czy do Boruty jak i do innych zgierskich zakładów przyjeżdżały delegacje rządowe?

O tak! Oczywiście! [śmiej] Przyjechał pan Jaruzelski. On przyjechał po obiedzie, ja akurat byłam w pracy i, nie powiem, co to się działo! Załoga szykowała się od samego rana na przyjazd, ale nikt się nie pojawiał, to wszyscy sobie poszli do domu, a on jak przyjechał w końcu, to była godzina 17. Jak jechali przez portiernię, to na zakład poszedł sygnał, że są. Delegacja przyjechała na Wydział Barwników Helaktynowych. My na H-kwasie byliśmy naprzeciwko. Więc jak oni jechali, to cała załoga przez okno patrzyła. Już na miejscu zaczęła się rozmowa z tymi paniami, które przy barwnikach, przy takim mieszalniku, więc oni byli w różnych kolorach, no i te panie się myły podchlorynem, żeby się domyć. Jak to wszystko usłyszeli, to co tam się działo! [śmiej] To było niesamowite! Mój kierownik zmiany wtedy to naprawdę też miał obłęd w oczach, bo nie wiedzieliśmy, czy przyjdą do nas, czy nie. Nas na szczęście ominęli, tylko te barwniki [helaktynowe] były „zaatakowane”. Pamiętam, że to było takie superwydarzenie. Wtedy, przed przyjazdem tych delegacji, to było malowanie: ściany, cegły na czerwono, trawa, jak to mówią, na zielono. Ja dokładnie pamiętam malowanie tych cegieł.

A to w jakim celu?

No przyjeżdżał rząd, to żeby nie było brudnych ścian, to trzeba było odświeżyć. Tak to zapamiętałam. W późniejszych latach, to nie wiem, czy jakieś wizyty były, ale nie kojarzę. Najbardziej mi w pamięć zapadła wizyta Jaruzelskiego.

Czy praca i obowiązki odbijały się na życiu rodzinnym?

Odbijały się, bo jak praca była zmianowa, to wiadomo, że człowiek wypadał z rytmu. Najgorsze były noce. Po nocy nie było tak, żeby człowiek się wyspał i przynajmniej ja miałam zawsze problemy. Drugie co, że się nie było z rodziną. Teraz jest takie przekładanie, że rodzina najważniejsza, a wtedy nie, wtedy praca była. Trzeba było iść i, niestety, czy po południu, czy na noc. Ja miałam dobrze, bo córka się dobrze uczyła, więc nie musiałam uczestniczyć tak mocno w jej kształceniu, ale jak ktoś miał z dzieckiem problem, to nie była to komfortowa sytuacja.

Rok 1994 i obchody stulecia Boruty. Jak Pani to wydarzenie zapadło w pamięć?

Nie pamiętam, bo już wtedy w Borucie nie pracowałam i nie brałam w tym udziału, a na afisze się nie pchałam. Nigdy nie należałam do partii, ani do innych podobnych. W związkach zawodowych to każdy był. Żadnych odznaczeń też nie dostawałam.

A czy myśli Pani, że było to spowodowane właśnie nienależeniem do partii?

Oczywiście! Mam koleżankę, która przysła długo po mnie. Ona pracowała później dłużej niż ja, ale ponieważ ona mi się chwali odznaczeniami, a ja mówię, że

nigdy takiego czegoś nie dostałam. Należenie do partii było ważne, bardzo ważne. Kierownicy oddziałów, technicy też musieli należeć.

Czy była wywierana presja na pracowników, aby jednak do partii się zapisali?

To znaczy, no takie były propozycje, bo ja takową również dostałam, że ja jeszcze nie należę, a ja mówię, że nie należę i należeć nie będę. Nie dałam się namówić na żadne tam przystąpienie. Mój kierownik na H-kwasie nie należał do partii, to zawsze chyba najgorsze miał uposażenie i później go jednak zgięli, że jednak się zapisał.

Czy sądzi Pani, że lata po 1994 roku były dla zakładu równią pochyłą?

Nie wiem, szczerze, jak to wyglądało, bo ja już byłam tak na schyłku odejścia. Odeszłam z H-kwasu, pracowałam na Beta-naftolu i tam przeżyłam horror dlatego, że uzgadniałam z kierownikiem, że będę na jedną zmianę ewentualnie na ta takim tzw. skoczku. Poszłam do kierowniczkę, a ona mnie wsadziła na czterobrygadówkę i bardzo to przeżyłam. Dlatego podjęłam decyzję, że odchodzę z Boruty. Zaczęłam się rozglądać za nową pracą. Jeszcze na koniec z Beta-naftolu odesłali mnie na Wydział Barwników Helaktynowych, bo po prostu trzeba było jednego pracownika tam oddać. Za dużo było u nas osób. Wtedy to już druga połowa lat 80. i pierwsze zwolnienia grupowe się zaczynały. Ostatni miesiąc spędziłam właśnie na tamtym wydziale. Samą moją końcówkę w zakładzie to bardzo źle wspominam. Później chciałam dostać porozumienie zakładów – to Instytut Barwników i Półproduktów Organicznych o to wystąpił – bo szkoda było mojego stażu w zakładzie. Byłam u dyrektora, bo napisałam podanie a odpowiedzi nie było. Zapisałam się na wizytę i dyrektor powiedział, że szkoda, że się nie zgłosiłam wcześniej, bo na pewno by mi zaproponowali jakieś inne stanowisko w zakładzie. Ja powiedziałam, że mam już załatwioną pracę w Instytucie Medycyny Pracy i już tutaj w Borucie nie zostanę. Dyrektor na to: „No dziwię się, że pani sobie dojazdy funduje”. Odpowiedziałam, że będzie to dla mnie o wiele lepsza praca, bo tu już więcej nie osiągnę. Dlatego z takim niesmakiem to było dla mnie na sam koniec. Ale jak zakład później funkcjonował, to nie wiem. Zaczęły się z pewnością jakieś zwolnienia, jakieś ograniczenia. Każdy z oddziałów był powoli wygaszany na sobotę i niedzielę, a kiedyś pracowały pełną parą. Jak ja kończyłam przygodę z Borutą, to te oddziały, które miały system czterobrygadówki, to wszędzie były światła zapalone, a tak to ciemnica była na zakładzie, bo wszystko wyłączone było. Także na pewno spowolnienie produkcji nastąpiło. Takie dogorywanie do samego końca.

Czy w późniejszych latach żałowała Pani swojego odejścia z Boruty?

Nie żałowałam, bo miałam dobrą i ciekawą pracę. Przeprowadzałam badania i w terenie, i w różnych zakładach. Robiłam badania na temat związków kancerogennych i to było bardzo ciekawe. Pracowałam na specjalnych aparatach do

badania. Pracę w Instytucie Medycyny Pracy na ul. Teresy w Łodzi wspominam bardzo miło.

Borutę postawiono w stan likwidacji w 1999 roku. Jak Pani pamięta ten czas?

Ja już wtedy nie pracowałam w zakładzie, ale naprawdę szkoda tego, co się stało, bo bardzo dużo ludzi w Borucie było zatrudnionych. Po likwidacji zakładu zaczęło się w Zgierzu duże bezrobocie. W tej chwili to widać, że Zgierz nie ma produkcji, nie ma gdzie zatrudnić ludzi. Mamy tak jak widać. Wszyscy szukają, jadą do Łodzi i tam znajdują zatrudnienie, a tutaj u nas w mieście jest nędznie zupełnie. Moje odczucia w związku z likwidacją Boruty były małe. Pracowałam już wtedy w Instytucie i tyle, co ze słyszenia koleżanek, że co jedna to traciła pracę, że to wszystko upadało. Szkoda... Bardzo szkoda. W tej chwili jest ten teren taki wielki i autobusy po nim jeżdżą, śmieci zwożą! A przedtem to było oddziałów, dużo, ludzi pełno pracowało, także jednym słowem szkoda, ale wszystkie inne zakłady z tamtych czasów też poupadały.

Jakie Pani zdaniem były przyczyny upadku Boruty?

Nie wiem, czy to zależało od dyrekcji, czy od ministerstwa. Według mnie bardziej od ministerstwa. Ono miało w tym swój duży udział, bo tak od razu żeby to wszystko padło. Bardzo szkoda, że nie ma zakładu, tylko jakieś tam drobne prywatne firmy. Jak byłam na terenie Boruty i taką wycieczkę sobie zrobiłam to był szok. Tam, gdzie pracowałam – Gamma Kwas – nie istnieje, Hydrosulfit nie istnieje. Stary H-kwas był dawno rozebrany, ale reszta... Beta-naftol... Nie ma tych budynków. Nawet olbrzymi budynek Barwników Kadziowych II jest z ziemią zrównany.

Co czuje Pani dziś, patrząc na tereny pozostałe po dawnej Borucie?

Wielkie rozgoryczenie! Teren jest nie do poznania. Jak byłam na terenie w okolicach wieży ciśnień, to zupełnie nie umiałam tam się odnaleźć. Nawet budynek mieszkalny tam się znajduje. On tak stoi na tyłach Gamma Kwasu, gdzieś w głębi jakoś go tam umieścili. To dziwię się, że tam ludzie mieszkają, jak tam było tyle chemii. Chyba sobie nie zdają sprawy, na jakiej bombie ekologicznej siedzą. Przecież nawet jak był ten duży pożar odpadów i przeczytałam w Internecie, że takie panie chciały sobie jechać, zobaczyć, jak to wygląda i pytały, gdzie to jest i jak dojechać, to odpisałam jednej z nich, czy zdaje sobie z tego sprawę, jakie tam jest niebezpieczeństwo! Odpowiedziała, że nie, ona musi jechać zobaczyć. Także ludzie nie mają żadnej świadomości na temat pozostającej na tym terenie chemii.

Czy sądzi Pani, że zagadka Boruty nie została jeszcze do końca odkryta?

No pewnie! Tam dużo jeszcze niespodzianek jest. Cała likwidacja Boruty to też jeden wielki znak zapytania. Ja politycznie się mało angażowałam, to może mało

wiem, ale ci, co wiedzą, to wiedzą. Ci, co do końca pracowali, to też wiedzą, jak wyglądała ta cała utylizacja. To wszystko siedzi w ziemi.

Czy po odejściu z zakładu miała Pani jeszcze jakieś kontakty z Borutą?

Kiedyś z Instytutu Medycyny Pracy jakieś badania żeśmy przeprowadzali, ale to tylko w przychodni zakładowej. Byliśmy u lekarza i były próbki pobierane przez przychodnię i żeśmy badania robili. Boruta miała w produkcji dużo kancerogennych rzeczy i myśmy to w krwi badali. Ale na sam teren zakładu to już nie wchodziłam. Trzeba było, poza tym, mieć przepustkę, a my nie mieliśmy tej możliwości, bo trzeba było powiedzieć, po co się idzie.

Jak z perspektywy tych dwudziestu lat od zniknięcia Boruty wspomina Pani dawne czasy?

Moje dawne lata w zakładzie to wspominam tak, że fajnie było i wśród ludzi, bo po latach, jak się spotykaliśmy i do tej pory się spotykamy, to wspomnienia są z reguły pozytywne. Szkoda, że tego już dziś nie ma, bo inaczej by życie ludzi wyglądało. Mieliby pracę na miejscu. Przecież do Boruty nawet ludzie z Parzęczewa byli przywożeni autokarami. Z Łodzi pięć autokarów jeździło. Było bardzo dużo ludzi. Ale cóż... Teraz tylko żeby nie było tego smrodu, żeby było zabezpieczenie tego środowiska naturalnego, lecz niestety nic się z tym nie robi. A sama Boruta się już nie odrodzi. Nie ma tej siły jak dawniej. To ktoś musiałby być konkretny, żeby to pociągnąć, może jakieś barwniki produkować czy półprodukty. Przecież taka Wytwórnia Kwasu Siarkowego, ona kiedyś przede wszystkim utrzymywała Borutę i kierownik WKS-u chodził zawsze dumny i powtarzał, że jego wydział trzyma cały zakład. I tej wytwórni, też już jej nie ma na horyzoncie niestety. Wszystko się porozpadało.

Czy gdybyśmy cofnęli czas i miałyby Pani jeszcze raz podjąć decyzję o pracy w Borucie, byłaby ona pozytywna czy negatywna?

Tutaj już musiałabym się zastanowić. Tak jak wspominałam wcześniej, moja końcówka pracy to było rozgoryczenie. Zawiodłam się, że nie było dotrzymane słowo, a tak się nie postępuje. Dlatego też milej sobie wspominam pracę w Instytucie w Łodzi, w którym zresztą obecnie już, niestety, się źle dzieje. Czy to idzie takim pasmem, żeby poutrać? Żeby nie było na naukę pieniędzy? Jak zaczynałam technikum chemiczne, to nasz profesor Mieczysław Mikołajczyk, nieżyjący już, to nam mówił, że zielone światło macie przed sobą, że chemia będzie tym zielonym światłem. On bardzo pozytywnie był nastawiony i my też. No i jakie to światło? Zgaszone jest.

Dziękuję za rozmowę.

TOWARZYSTWO AKCYJNE
ZGIERZSKIEJ FABRYKI MASZYN

JULIUSZA HOEFMA



ZUIETPL „ZUT”

Zakład Urządzeń i Elementów Technicznych Przemysłu Lekkiego (ZUiETPL) „ZUT”

ZUiETPL „ZUT” miały ponad stuletnią tradycję, były to bowiem dawne zakłady J. Hoffmana, choć ich profil produkcyjny, a także lokalizacja ulegały zmianom w drugiej połowie XX w. Po II wojnie światowej najdłużej utrzymywała się nazwa: Fabryka Części do Maszyn Włókienniczych i Odlewnia Metali „Bzura”, a następnie od 1972 r. Zakłady Urządzeń Transportowych w Zgierzu, a od 1980 r. Zakład Urządzeń i Elementów Technicznych Przemysłu Lekkiego.

Wraz ze zmianą nazwy, zakład zmienił – przynajmniej częściowo – profil produkcji. Od roku 1980 ZUT wytwarzał urządzenia i środki transportu wewnętrznego, a zwłaszcza różnego rodzaju przenośniki (ok. 5 km rocznie), palety ładunkowe (2,5 tys.), gary przędzalnicze (35 tys.), wózki specjalistyczne (5,5 tys.) oraz części zamienne do maszyn włókienniczych. Łączna wartość produkcji w cenach z 1988 r. wynosiła ok. 2,5 mld zł, z czego ok. 200 mln to produkcja eksportowa.

Zakład zaopatrywał wszystkie rodzaje przemysłu lekkiego w całej Polsce, a zwłaszcza w regionie łódzkim, Bielsku-Białej, Białymstoku i na Dolnym Śląsku. Eksportował produkty do Czechosłowacji (40%), dawnego ZSRR (30%), NRD (20%), oraz Bułgarii, Jugosławii, Mongolii i Szwajcarii.

ZUT zatrudniał u schyłku PRL-u 713 pracowników, w tym 592 mężczyzn. Na stanowiskach robotniczych pracowało 555 osób, 37 zatrudnionych miało wykształcenie wyższe.

Zakłady zorganizowane były w cztery wydziały produkcyjne. Wydział Produkcji Urządzeń Transportowych mieścił się w głównym obiekcie, gdzie znajdowała się dyrekcja, przy ul. Szczawińskiej 54/58. Wydział Produkcji Części mieścił się przy ul. gen. J. H. Dąbrowskiego 15/17, Wydział Odlewni Żeliwa tamże pod nr 20 i wreszcie Wydział Odlewni Metali Kolorowych przy ul. Łąkowej 2.

ZUT jako firma państwowa przetrwała trudny okres lat 90. XX, jednak nie bez strat. Część jej oddziałów zamknięto, tak jak te mieszczące się przy ulicy gen. J. H. Dąbrowskiego, inne trafiły w prywatne ręce. Przełomowym okresem dla firmy okazał się rok 2000. Wtedy to w ramach prywatyzacji bezpośredniej, zgierskie przedsiębiorstwo (nadal zarządzane centralnie) zostało zakupione przez prężnie rozwijającą się warszawską spółkę Wandalex. Jest to jeden z niewielu zakładów w naszym mieście, który działa do chwili obecnej. Firma ta, dziś pod nazwą WDX Warehouse Development eXperts, zajmuje się dostawą kompletnych systemów magazynowych – regałów, wózków widłowych czy oprogramowania, dla takich kontrahentów jak IKEA, Samsung, Amica, Whirlpool, Renault czy Philips.

Jolanta Bliźniewska, ur. 1957 r.
Zakład Urządzeń i Elementów Technicznych
Przemysłu Lekkiego (ZUiETPL) „ZUT”
Lata pracy: 1976-do dzisiaj

Rozmawiał Paweł Kobyliński, ur. 1971 r.

Dzień dobry, Pani Jolanto.

Dzień dobry.

Chciałbym się dowiedzieć, jak to się wszystko zaczęło, że Pani pracuje już tak długo, bo ponad dwadzieścia lat w tym samym zakładzie.

Zacząło się to w '76 roku. Dokładnie 1 kwietnia 1976 r., poszłam do pracy na prima aprilis i zostałam do chwili obecnej. Zaczynałam w dziale płac. Dział liczył wtedy 12 osób. Wszystkie osoby były młode, chętne do pracy. Praca nie była tak skomputeryzowana jak jest w tej chwili. Były sumatory, maszyny liczące. Okna pootwierane, jak były okna pootwierane w lato, to na parkingu było słycać huk maszyn biurowych – czego w tej chwili już na pewno nie ma. Zakład w '75 roku w chwili rozruchu liczył ponad 3 tysiące pracowników. Praca na produkcji odbywała się na trzy zmiany. Praca w biurówcu – biurowiec liczył ponad pięćset pracowników. Ludzie byli bardzo zżyci ze sobą i prywatnie, i służbowo – chętni do pomocy. I tak się żyło z dnia na dzień. Później zakład zmienił nazwę. To był wtedy Transportech. Zakład zmienił nazwę na ZUT. W sumie zatrudnienie zostało takie samo. Reorganizacje odbywały się tak jak się odbywały. Zawsze działły były łączone, pracownicy byli przyjmowani nowi. Ci, którzy chcieli, odchodzili na emerytury. Załoga była zżyta. Życie towarzyskie kwitło. Organizowane były często-gęsto wieczorki, spotkania okolicznościowe z okazji Dnia Kobiet, z okazji Dnia Odlewnika. Zakład główny był na ulicy Szczawińskiej – nowy, przeniesiony z ulicy Dąbrowskiego. Na ulicy Szczawińskiej nr 54, gdzie jest do tej pory. Natomiast odlewnia metali – szara – była na Dąbrowskiego i metali kolorowych na Łąkowej. Dawna terenówka połączona też z ZUT-em... Często organizowane były wyjazdy na grzyby. Zakład posiadał dwa ośrodki wczasowe. Jeden ośrodek w Skrzynkach, wykorzystywany też weekendowo, drugi ośrodek w Łebie. Bardzo chętnie ludzie korzystali z tej formy wypoczynku. Autobus zakładowy dowoził, autobus zakładowy zabierał i przywoził na miejsce do Zgierza. Dzieci miały organizowane przez zakład kolonie, obozy, zagraniczne również. Także, jeśli chodzi o sprawy socjalne, były naprawdę na wysokim poziomie... O! Drobnostka może [śmiech], ale nawet zakład zaopatrywał ludzi w ziemniaki i w cebulę – w latach kryzysu. Ryby na święta obowiązkowo! Także raczej zało-

ga... O załogę kierownictwo dbało... Tak jak mówię, nawiązywały się znajomości, nawiązywały się przyjaźnie. Bardzo dużo było związków małżeńskich wśród załogi. I do tej pory jeszcze niektórzy pracują. Załoga była przede wszystkim męska. Najwięcej kobiet było w biurze, więc to wszystko się mieszało. [uśmiech] Pracę wspominam jako... Dobrze ją wspominam! Fajne osoby pracowały. Nie było problemów nigdy z dyrekcją. Nie było problemów z kierownictwem. Wszystko było na stopie koleżeńskej. Nie było: zwierzchnik, podwładny. Organizowane były też różne imprezy, obowiązkowo imieniny, których teraz nie ma, bo raczej pracodawca nie zezwala. I tak upłynął czas do roku 2000.

No zawirowania różne były w latach 80., w okresie stanu wojennego. Wtedy zaczęły się różne podejrzenia, że jeden donosi, drugi nie donosi. Jeden chce się przypodobać zwierzchnikowi, inny nie chce. Członkowie Solidarności, wiadomo, byli prześladowani. Zawsze byli na niższych stawkach. Zawsze byli podejrzani. Na ogół mieli stróżów, którzy pilnowali, co robią, gdzie chodzą. Fakt autentyczny – z mojego działu – to był dział płac, gdzie była oddelegowana działaczka Solidarności. To było do tego stopnia, że kierowniczka chodziła nawet do toalety za nią. Czy ona przypadkiem nie przemycy ulotek, nie kontaktuje się z kimś. Koleżanka tego nie wytrzymała zwolniła się tam, chyba po dwóch latach. Zmieniła pracę, zaczęła pracę w Łodzi. No i się skończyło... Zakład przetrwał wszystkie zawirowania, przetrwał kryzysy do 2000 roku. W 2000 roku został sprzedany. Zakład państwowy poszedł w prywatne ręce. Kupili go właściciele z Warszawy i do tej pory istnieje i funkcjonuje pod firmą WDX.

Wspominała Pani, że zakład został sprzedany w 2000 roku. Czy ta sprzedaż wynikała z tego, że zakład miał poważne problemy? Czy po prostu znalazł się inwestor, który chciał go kupić?

Zakład miał problemy finansowe. Jeszcze w roku 2000 i wcześniej brakowało zamówień. Stan pracowniczy był taki, jaki był. Był to rozrośnięty zakład: osobowo, budynkowo. Podatki i koszty utrzymania były bardzo wysokie. Zamówień nie było na tyle, aby pokryły utrzymanie zakładu. Zresztą wtedy był ogólny trend pozbywania się majątku państwowego. Znaleźli się inwestorzy, którzy chcieli to kupić, kupili, zredukowali zatrudnienie z tysiąca pięciuset osób do trzystu. I w takiej formie do tej pory funkcjonuje.

A skąd nazwa Wandalex?

JB: Pierwotna nazwa Wandalex to jest od rodziców właścicieli, Wanda i Alex. Założyli firmę handlową, którą później przekazali braciom Bąkowskim. Sławomir Bąkowski i Dariusz Bąkowski. Z połączenia Wandy i Alexa wyszedł Wandalex. W tej chwili Wandalex już nie jest Wandalexem [śmiech], to jest WDX. Ponieważ Wandalex kojarzył się różnie. [śmiech]

Wspomniała Pani, że najpierw zakład nazywał się Bzura, później ZUT. Cemu te nazwy się zmieniały? Czy zmieniał się profil działalności?

Nie. Profil produkcji był cały czas jednakowy. Bzura to z czasów wojny i powojnia. Później zmieniono to na Transportech, później zmieniono na ZUT. Bardzo krótko, w okresie, kiedy zakład zgierski podlegał pod Zjednoczenie Łódzkie, był to UNIPROT. Nazwa ZUT utrzymała się do 2000 roku. Do momentu zmiany właściciela – dopóki nie przeszedł w prywatne ręce.

Czy profil produkcji na przełomie tych wszystkich lat się zmieniał?

Zmieniał się wraz z rozwojem rynku. Wiadomo, co było w latach 80., co jest w roku 2000 czy w roku 2020. W tej chwili jest zmechanizowana produkcja, są zupełnie inne maszyny. Wszystko jest zmechanizowane, zautomatyzowane, ale główny profil produkcji, czyli przenośniki, są utrzymane cały czas.

Wspominała Pani, że w okresie początkowym było bardzo głośno w biurówcu, ze względu na sumatory i maszyny liczące. Czy między nimi była jakaś różnica?

Sumatory tylko liczyły, tylko sumowały. Natomiast maszyny liczące to może powiem jako ciekawostkę. Była taka maszyna, supermaszyna. Kierowniczką pracowała na tej maszynie. Jak wybiła działanie – zadanie dała tej maszynie – czyli, na przykład, podzieliła kwoty przez jakieś kwoty, zdążyła wyjść, zejść do sklepu, zrobić zakupy, wrócić, a maszyna jeszcze działała. I to jest fakt! No takie były kręciołki. No niestety nie przeżyłam liczydeł. W zakładzie od '76 roku już liczydła nie były używane, aczkolwiek jeszcze w szafach były. Tak to były sumatory i czterodziałaniówki. Czterodziałaniówka była cichutka, ona sumowała, dodawała, odejmowała, mnożyła, dzieliła. Wszystkie wykonywała podstawowe działania. Natomiast sumator z taśmą, na której się wybijało, on tylko sumował, sumował, sumował, a słychać go było bardzo daleko.

No i później oczywiście komputery?

Komputeryzacja nastąpiła gdzieś tak w latach 1994-1995, pojawiły się pierwsze komputery. Na początku wszystko było szczątkowe. Programy były pisane konkretnie pod potrzeby firmy, ale to nie było to, co jest w tej chwili. Korzystałam z komputera, gdzie były programy kadrowe oraz płacowe. Na pewno było to udogodnienie: liczył, sumował, drukował, także to wszystko odpadło. Ale to nie było to, co jest teraz. W tej chwili praca bez komputera to już nie jest praca. Nic niestety się nie robi. Z połączeniem się z urzędem skarbowym, ZUS-em, GUS-em i programem płacowym.

Jak to się stało, że Pani trafiła do Bzury?

Trafiłam do Bzury, po prostu było wolne miejsce w płacach. Przeszłam rozmowę kwalifikacyjną, bo takie wtedy też były. No i zaczęłam pracować.

Ale to były życiorysy?

Podania o przyjęcie do pracy, które wyglądało wtedy zupełnie inaczej niż obecne CV. Oczywiście życiorys trzeba było złożyć i czekać na odpowiedź szefa. Czy będzie to miejsce? Czy kandydat zostanie przyjęty, czy nie zostanie? Na odpowiedź czekało się różnie. Albo dwa dni, albo dwa miesiące, w zależności od potrzeb.

Jak się komunikowaliście z nowymi pracownikami? Wiadomo, że był problem z telefonami. Nie każdy miał w domu. Dostawał list, telegram? Czy wyglądało to jeszcze inaczej?

Nie. Ludzie sami przychodzili. Umawialiśmy się na kontakt, na przykład za dwa dni. Jak będzie podjęta decyzja, proszę się skontaktować za dwa dni, za trzy, za tydzień i wtedy będzie konkretna odpowiedź. Nie pisaliśmy, nigdy nie odpisywaliśmy na podania. Zresztą była szkoła przyzakładowa przy Bzurze. I każdego roku we wrześniu był nowy nabór. I zasilaly szeregi pracowników, najczęściej, wyszkoleni w szkole przyzakładowej uczniowie, którzy znali pracę, którzy praktyki odbywali już na terenie zakładu.

Czy szkoła była na terenie zakładu? Czy znajdowała się w innym miejscu?

Szkoła to była przy Borucie na Sokołowskiej. A praktyki odbywały się u nas w zakładzie. Było pięciu instruktorów do praktycznej nauki zawodu. Były zawsze cztery klasy, przeciętnie po 30 osób. I rocznikami kolejno uzupełniały szeregi pracowników. I były zarówno dziewczyny, jak i mężczyźni. Bardzo dużo było dziewczyn: lakierników, ślusarzy, tokarzy, co się w tej chwili raczej nie zdarza. I te dziewczyny pracowały na produkcji bardzo długo. Aż w końcu zaczęły się problemy, że trzeba przygotować, jak już się wykruszyły. Zostało ich chyba z pięć. Że trzeba osobną szatnię, osobną umywalnię. I praktycznie zostały zmuszone do odejścia. Ze względów socjalnych.

A kiedy to było?

To był 2000 rok. Przed przejściem przez nowego pracodawcę. Zakład państwowy jakoś sobie radził. Prywatny nie chciał inwestować w takie sprawy.

Jakie wydarzenia najbardziej wryły się w pamięć. Czy było coś takiego, co się do tej pory wspomina?

W sumie to nie. Nie było nic takiego, co by się bardzo utrwaliło w pamięci, bo było bardzo złe. Nic nie było takiego wyróżniającego się. Wtedy człowiek był przyzwyczajony do codziennej pracy, do wykonywania codziennych obowiązków, spokojnie. Pożar to był wcześniej, bo był w '56 roku w Bzurze, co było wydarzeniem chyba na całe województwo, nie tylko na Zgierz. Później już tylko pozostał lęk przed butlami u tych starszych pracowników, ale na szczęście nic się nie działo.

Co było powodem tego pożaru?

Chyba rozszczelnienie butli. Butle gazowe zapaliły się i zaczęły wybuchać. Sporo ludzi zginęło wtedy. Ale później u kierowniczkę moją, świętej pamięci. Barbara Pisara miała uraz do butli gazowych. Nawet w domu nie miała, bo się bała.

A najzabawniejsze zdarzenie, które utkwіło w pamięci?

No żarty z okazji prima aprilis. To jest normalne, to były przez cały czas. Święty Mikołaj, za którego przychodził przebrany pracownik. Pracownik przebierał się za świętego mikołaja i przychodził 6 grudnia, każdego roku z workiem cukierków. Straszyl pracowników, że jak będą niegrzeczni, to różga dostaną... Nie było takich wydarzeń, które tak bardzo by utkwily w pamięci.

Proszę mi opowiedzieć, jak wyglądał typowy dzień pracy. Czy on na przestrzeni lat się zmieniał? Czy był taki sam?

Zmieniał się. Wiadomo, zmieniał się nawał pracy, przynajmniej w dziale, w którym ja pracowałam, a to były płace. Nawał pracy był między pierwszym a dziesiątym. Dziesiątego dnia miesiąca pracownicy dostawali – trzy czwarte załogi – otrzymywali wynagrodzenia. Te wynagrodzenia trzeba było policzyć. I to wszystko policzyć ręcznie. Napisać przez kalkę, przygotować paski, przygotować pieniądze i rozdać ludziom. Praca w ogóle wyglądała inaczej. Pracy papierkowej było bardzo dużo. Były karty robocze, o których w tej chwili już nikt nie wie, gdzie były narzucone czasy na poszczególne operacje, które pracownicy wykonywali. Więc to wszystko trzeba było przeliczyć, wyliczyć. Szczególnie praca akordowa, kiedy z czasu zadanego wyliczało się wynagrodzenie. Przeliczyć, wyliczyć, zsumować, przenieść to na listę płac, zarejestrować każdą jedną kartę roboczą, listę płac podsumować, przygotować pasek – cięty nożyczkami przez trzy: oryginał, kopia i pasek dla pracownika. Paseczek był cięty nożyczkami, kopertowany z pieniędzmi. Pieniądże wypłacane były do ręki, gotówka. Każdy pieniądz był zakopertowany. Pracownik otrzymywał kopertę, podpisywał odbiór kwoty. Więc praca od pierwszego do dziesiątego to bardzo często trwała po dwanaście, po czternaście godzin dziennie. '76 rok, rozruchy w Radomiu¹. Wtedy praktycznie dział płac nie wyszedł do domu, ponieważ weszły w życie rekompensaty, które trzeba było każdemu pracownikowi naliczyć. Rekompensata była uzależniona od dochodu na członka rodziny, więc automatycznie trzy ostatnie miesiące należało przeliczyć. Wyliczyć na członka rodziny i przyznać rekompensatę.

Przydział kartek żywnościowych, też to należało do płac, bo miał wgląd do dokumentów płacowych. Wiedział, jaki jest stan rodziny, wiedział, jaki jest dochód

¹ Rozruchy w Radomiu - tzw. wydarzenia radomskie - strajki i zamieszki, w których wzięło udział ok. 20 tys. ludzi, w tym pracownicy 33 zakładów pracy z terenu Radomia, w czerwcu 1976 roku. Była to największa akcja protestacyjna w ramach Czerwca 1976, wywołana wystąpieniem premiera P. Jaroszewicza, który poinformował o drastycznych podwyżkach cen żywności.

rodziny. Przygotowanie zapotrzebowania na te kartki, wkładki, wkładki do kartek. Nie wiem, czy pamięta Pan, że coś takiego było, czy nie, gdzie był rejestrowany każdy miesiąc, ilość pobranych kartek żywnościowych. To wszystko się skupiało w płacach. Rok '76, praktycznie nie wychodziło się z zakładu przez tydzień. No i później każdego miesiąca od pierwszego do dziesiątego, kiedy nawał pracy był naprawdę potężny. Trzeba było to wszystko obrobić, przeliczyć, przygotować wynagrodzenie.

Wspominała pani, że pracownicy dostawali pensje w gotówce. Czy te pieniądze były przywożone pancernymi wozami, w workach? Czy jeszcze jakoś inaczej?

No tak, faktycznie była obstawa, byli konwojenci. Jechała kasjerka plus dwóch dodatkowych pracowników nawet z płac. Jechało dwóch konwojentów do banku z walizką. Pieniądze były wcześniej zamawiane, przygotowane w walizce, przyjeżdżały do zakładu. W zakładzie były ponownie przeliczane, nie wiadomo po co. Ale były przeliczane, rozdzielane. Osoby, które wypłacały pieniądze, nazywano płatnikami. Każdy płatnik miał określoną liczbę osób do wypłacenia. Dostawał specyfikacje ich wynagrodzeń i pieniądze zgodne z tą specyfikacją. Kopertował i rozdawał ludziom. Fakt śmieszny może? Był zatrudniony na oddziale na Dąbrowskiego pracownik, który był upośledzony. Pracował, bo pracował. No i tak dwie osoby z tymi pieniędzmi, te płatniczki, jadą, żeby zawieźć pracownikom pensje. A on mówi: „A ja się zaczaję w kącie, głowy im poukręcę, pieniądze zabiorę. A i tak mi nic nie zrobią, bo ja jestem głupi.”

Tak powiedział?

Tak, tak powiedział. To jest fakt. Ale nic takiego się nie stało. Na nikogo nie napadł. Chociaż zawsze z pieniędzmi płatnicy szli z konwojentem. To jakieś zabezpieczenie było. Konwojent był z bronią.

Czy pieniądze były pobierane w Zgierzu?

W Zgierzu, w banku. W Zgierzu na Długiej, pod żubrem [bank Pekao S.A.]. Z banku, w którym zakład miał konto. Z tego banku były pieniądze pobierane. Także te pieniądze były zawsze łasym kąskiem. Dla tego musiała być obstawa, samochód specjalny, walizka w skrzynce metalowej, przykręconej do podłogi, zamkniętej na kłódkę. To są lata 70., '78, lata 80.

A kluczyk [śmiech] był na łańcuchu? Doczepiony do ręki?

U konwojenta, ale tego to już nie wiem gdzie. Środki bezpieczeństwa były zachowane.

Czy były jakiegokolwiek próby przejęcia tych pieniędzy?

Nie, nie. Poza tym jednym incydentem, że ten pan miał ochotę napaść, to nie było żadnego incydentu takiego, że na samochód ktoś napadł, czy na konwojentów, czy na kasjerkę. Wtedy był tylko obrót gotówkowy. Kasjerka codziennie jeździła do banku i przywoziła jakąś tam kwotę pieniędzy. Wiadomo, że najwięcej pieniędzy w dni wypłat było przywożonych. No ale nie było takich incydentów. Przynajmniej nie w Zgierzu i nie w tym zakładzie.

Jeśli chodzi o godziny pracy, to były poranne, popołudniowe? Rozmawialiśmy już o tym, że czternaście godzin...

Od pierwszego do dziesiątego każdego dnia miesiąca. Pracowałam zawsze na jedną zmianę. To była 7:30-15:30. Praca na produkcji. Ponieważ był to na tamte czasy duży zakład, praca odbywała się na trzy zmiany: 6-14, 14-22, 22-6. Żeby zdążyć z produkcją, praca tak się musiała odbywać.

Czy były nadgodziny? Czy te godziny dodatkowe przepracowane się odbierało?

Odbierało się. Godziny nadliczbowe odbierało się. Nie było żadnych nadgodzin na produkcji. Nie było możliwości, żeby były nadgodziny, ponieważ trzy zmiany ząbęziały się. Nie było możliwości.

A w księgowości?

W księgowości też do odbioru. Z reguły pracownicy biurowi mają godziny do odbioru. Za te godziny nikt nie chce płacić. I tak jest do chwili obecnej. [śmiej]

Jakby miała Pani możliwość cofnięcia się w czasie, to wolałaby Pani wrócić do tych czasów, kiedy pracowało się na maszynach liczących i symulatorach? Czy raczej woli Pani pracę na komputerach i wysyłanie przelewów?

Wolę pracować teraz, na pewno. Praca jest łatwiejsza i przyjemniejsza. Natomiast jeżeli chodzi o stosunki międzyludzkie, to bym wróciła do tych lat 70., 80. i 90. Było zupełnie inaczej niż jest w tej chwili. Ludzie nie patrzyli na siebie wilkiem, jeden drugiemu pomagał. Tak jak już wcześniej mówiłam, dużo małżeństw zakładowych było. Było dużo przyjaźni. Ludzie utrzymywali kontakty po godzinach pracy, spotykali się. Na wszelkiego rodzaju wycieczki, grzybobrania, wczasy jeździli we własnej grupie towarzyskiej. Natomiast teraz, co się obserwuje, to jest każdy sobie. Kończy się osiem godzin pracy, każdy idzie do domu i żyje własnym życiem. Nie spotykają się. Jeżeli spotykają się, to z ludźmi spoza zakładu. A takich stosunków towarzyskich, niestety, ale już teraz się nie utrzymuje, tak jak to było kiedyś.

Jeśli chodzi o wczasy, wycieczki i grzybobrania, to każdy pracownik mógł skorzystać? Nie było selekcji?

Nie. Na grzybobrania były zapisy, bo wiadomo, że autobusy mają ograniczoną liczbę miejsc. Wiec były prowadzone zapisy. Nie była to jedna wycieczka w ciągu roku, tylko kilka w ciągu sezonu. Natomiast na wczasy, mimo że zakład był dość duży, też była ograniczona liczba, czy w Łebie, czy na Skrzynkach, więc przydział był co dwa lata. Kto chciał, zapisywał się. Dzieci na kolonie i obozy jeździły co roku, jeżeli tylko rodzice chcieli. Odpłatność jak na tamte czasy, też była dogodna, bo była przez listę płac potrącona płatność, na trzy raty rozłożona.

Czy pensje w Bzurze i w Zucie były na tym samym poziomie, co w całym Zgierzu?

Mniej więcej tak, bo one były regulowane ogólnie, przez ministerstwo. Nie było tak, że jeden dyrektor dawał bardzo dużo, drugi bardzo mało. Płace były mniej więcej zrównoważone. Na stanowisku mogła być bardzo niewielka różnica, paru groszy dosłownie, na zbliżonych stanowiskach między różnymi zakładami. Ale wynagrodzenie dyrektora też było uzależnione od średniej płacy w zakładzie. Więc dyrektorowi też zależało, żeby ta płaca była jak najwyższa, bo wtedy jego wynagrodzenie też było wyższe. Ale w tej chwili obserwuję to samo w Zgierzu – płace są mniej więcej wyrównane, porównując zakłady, które jeszcze istnieją. Nie ma wielkich kokosów, że w tym zakładzie to zarabia nie wiadomo ile, w drugim to ma marne grosze. Płace są wyrównane.

Jaki wpływ praca w tym zakładzie miała na Pani życie?

Miałam pewną stabilizację.

I nadal ona jest w tych niepewnych czasach?

I nadal ona jest. Na pewno miałam stabilizację. Nigdy nie byłam w sytuacji zagrożenia, że może zostanę zwolniona. Pod tym względem miałam komfort psychiczny. Miałam małe dziecko, które urodziło się w '79 roku, czyli w czasie mojego zatrudnienia w Transporcie. Nie było problemu... Teoretycznie. Wiadomo, że jeżeli matka chodzi na zwolnienia zbyt często, to różnie się to kończy. W każdym bądź razie nigdy tego nie nadużywałam. Ale jeżeli to było konieczne, korzystałam ze zwolnienia lekarskiego na opiekę. I tak jak mówię, ten zakład gwarantował mi stabilizację: życiową, finansową. Naprawdę nie mogę narzekać. Nie było źle.

Pojawiło się dziecko. Czy zakład posiadał swój żłobek? Czy jakoś ułatwiał w takich sytuacjach pracownikom życie?

Nie. W tych czasach już nie było żłobków. Przynajmniej Transportech nie miał ani żłobka, ani przedszkola. Nic takiego nie funkcjonowało już wtedy. Aczkol-

wiek, jeśli ktoś miał duże problemy i zwrócił się do związków zawodowych czy do rady zakładowej z prośbą o pomoc w załatwieniu miejsca w przedszkolu czy miejsca w żłobku, zawsze taka pomoc została udzielona pracownikowi.

A Pani dziecko było w przedszkolu?

Moje dziecko nie chodziło ani do żłobka, ani do przedszkola. Wychowało się przy rodzicach przy pomocy babci, dziadków i kogo się tylko dało. [śmiech]

Jeszcze chciałbym wrócić do strajków. Wspominała Pani o '76 roku. A co się działo w latach 80., kiedy powstawała Solidarność?

Była Solidarność. W '76 roku wyskoczył Ursus i Radom. U nas w Zgierzu było względnie spokojnie. Zostały wprowadzone kartki żywnościowe i rekompensaty, i w związku z powyższym było tej pracy znacznie więcej. Natomiast jeżeli chodzi o lata 80., kiedy się zawiązała Solidarność, w zakładzie funkcjonowały dwa związki zawodowe: Solidarność i związki branżowe. Z Solidarnością było różnie. Wiadomo, że ci ludzie nie mieli łatwego życia. Z tego względu, że byli prześladowani przez kierownictwo. Były organizowane strajki. Generalnego strajku, takiego że zakład stał nawet dzień, nie było. Były to strajki ostrzegawcze, godzinne i dwugodzinne, i najczęściej podłożem była sytuacja finansowa. Każdy żądał podwyżek. Kończyło się to różnie. Zawsze dla uspokojenia sytuacji jakies tam podwyżki zostały przyznane pracownikom. Generalnie strajków takich, że zakład stoi, nie było.

Proszę mi powiedzieć, czy ten okres, chyba najtrudniejszy dla kadrowca, czyli ten rok 2000, kiedy była duża redukcja pracowników, czy was to bezpośrednio dotykało? Czy to dyrektor zwalniał pracowników? Jak to się odbywało?

W momencie, kiedy zakład został wykupiony przez nowego właściciela, wszyscy pracownicy, którzy chcieli odejść, to została z nimi rozwiązana umowa z przyczyn ekonomiczno-organizacyjnych. Zostały wypłacone odprawy. I praktycznie kto chciał odejść, to odszedł. Nikt nie był zmuszany do tego. Sporo ludzi wtedy skorzystało, kto mógł, odszedł na emeryturę. Były wtedy zasiłki przedemerytalne, świadczenia przedemerytalne. Kto chciał i mógł, skorzystał z tego. Kto chciał zmienić pracę, bo akurat miał taką okazję i mógł gdzie indziej ją znaleźć, też odszedł. Zakład jako taki przeszedł to suchą stopą. Nie było generalnych cięć: dziesięć czy dwadzieścia czy pięćdziesiąt osób do odstrzału. Nie kończyło się to płaczem, było spokojnie. Natomiast większy problem po roku 2000 był z pozyskaniem pracownika. Nie było spawaczy generalnie w Zgierzu i okolicach. Przyjmowaliśmy ludzi bez kwalifikacji, bez uprawnień. Wysyłaliśmy na kursy, ponosiliśmy koszty, żeby mieć swojego spawacza. Natomiast ludzie nie szanują pracy i nie szanowali pracy. Są nieodpowiedzialni. Przyjdą na dzień, dwa, trzy, pięć, zależy. Jeżeli coś zaświta, znajdzie się towarzystwo, idzie i nie zdaje sobie sprawy z tego, że następnego dnia trzeba iść do pracy. Porównując lata, powiedzmy, 80.

i rok 2020, to jeżeli chodzi o młodzież, to poszanowania pracy nie ma.

Tak jak w innych zakładach się słyszało, że kupi nowy właściciel, sprzeda, wynajmie na magazyny, ludzie pójdą na bruk – tego ZUT naprawdę nie odczuł. Przeszło to łagodnie. Kto chciał, to odszedł, zmienił pracę. Kto chciał, to został. No tak jak ja i pracuję do tej pory, następne dwadzieścia lat.

Zakład dbał nawet o palaczy pracujących w zakładzie. Sprowadzane były odpady papierosów – długie na dwadzieścia parę centymetrów, które pracownicy sobie cieli. A kupowali te papierosy na wagę.

A jakieś inne rzeczy z zaopatrzenia też były dostarczane przez zakład?

Też były. Artykuły spożywcze też były. Było masło, były sery, były nawet paczki z zagranicy – obecny ciucholand. Były przygotowywane paczki dla pracowników. Też kto chciał, to korzystał z tego. W dobie kryzysu sery żółte były sprowadzane. I też lista tworzona: zapisy na kury, zapisy na jajka, zapisy na ziemniaki. Także jeżeli chodzi o sprawy socjalne, to było na wysokim poziomie na miarę możliwości lat 80.

Ale tam był jakiś sklep zakładowy? Czy to po prostu dział kadr się tym zajmował?

Tym się zajmował dział socjalny, bo była taka komórka. [śmiech] Ryby, ziemniaki, cebula, kury – żywe! A na terenie zakładu był sklepik, w którym pracownicy mogli się zaopatrzyć w takie podstawowe artykuły: coś na śniadanie, coś przyrządzone przez kuchnię zakładową – bo taka też funkcjonowała – były obiady dla pracowników w całkiem przyzwoitych cenach i całkiem przyzwoite. Pracownicy korzystali z tego nagminnie.

Czy kuchnia pracowała całą dobę? Na trzy zmiany?

Nie. Kuchnia pracowała tylko do godziny 16. Obiady były wydawane między 13 a 15.

Czyli ten, co pracował na pierwszą zmianę, miał najwięcej szczęścia?

Tak, i jeszcze miał możliwość kupienia obiadów dla członków rodzin i wynoszenia tych obiadów. Także opieka socjalna... Naprawdę! Także opieka lekarska była! Był gabinet stomatologiczny, gabinet lekarski. Można było zrobić badania. Podstawowa opieka lekarska była zapewniona. Natomiast jeśli chodziło o specjalistyczne badania, to tak jak teraz dostawał pracownik skierowanie i wykonywał te badania w innych przychodniach.

Czy na badania pracownik wychodził w czasie pracy, czy po pracy?

W czasie pracy mógł z tego korzystać. W gabinecie stomatologicznym na fotelu siedział w ubraniu roboczym i też miał naprawiane zębki. [śmiech]

Czy były jakieś obowiązkowe kontrole uzębienia, jak w szkołach? Czy to już była zupełna dowolność?

Nie było kontroli, tylko jeżeli kogoś bardzo bolało, to szedł sam, bez przymusu. I kto dbał o uzębienie, to też korzystał z usług stomatologa.

Czy zwolnienia lekarskie były honorowane tylko z zakładu pracy? Czy także od innych lekarzy?

Od innych lekarzy też. Tak jak do tej pory. Od innych lekarzy też.

Dziękuję za rozmowę.

Jan Jaborski, ur. 1964 r.

Odlewnia Metali Kolorowych „Bzura”, „ZUT”

Lata pracy: 1982 r.

Rozmawiał Mateusz Słowiński, ur. 2001 r.

W poprzednim wywiadzie rozmawiałem z Panem o pracy w Szpitalu Wojewódzkim w Zgierzu. Dzisiaj porozmawiamy o Pana pracy w zakładach ZUT, czyli w Odlewni Metali Kolorowych „Bzura”. Proszę mi na początku powiedzieć, w którym roku zaczął Pan pracę?

Jesień 82 roku. Generalnie jako młody człowiek nie chciało mi się wtedy pracować, ale niestety był przymus pracy. Ja uczyłem się pierwsze trzy lata w Technikum Mechanicznym w Łodzi na ulicy Pojezierskiej. Zrezygnowałem. Myślę, że jestem bardziej humanistą niż technikiem. Nie mam technicznego umysłu. I chciałem iść do liceum wieczorowego dla pracujących. Tam był wymóg, a to były czasy komuny, był wymóg, że musi być chętny do uczenia się w tym liceum zatrudniony w zakładzie pracy. Jakimkolwiek zakładzie pracy, ale zatrudniony. Więc na chybił trafił, jak gdyby, przyjąłem ofertę, której nikt nie chciał wziąć z innych ludzi w Urzędzie Pracy w Odlewni Metali Kolorowych, która była traktowana jako praca bardzo uciążliwa i niszcząca zdrowie. Bo te opary w momencie odlewu [wpływały szkodliwie na zdrowie], ogólnie warunki pracy no były średnie, no może nie średnie tylko były wtedy ciężkie, chyba, ale jako człowiek młody nie zwracałem na to uwagi. Ze względu na to, że było blisko do pracy i bardzo dobre pieniądze dawali. Ja pamiętam zarabiałem więcej od matki. Nie pamiętam kwoty, ale zarabiałem więcej od matki, która pracowała już dwadzieścia parę lat. Więc to była taka już poważna kwota dla młodego człowieka. Bardzo mi ta praca na początku spodobała się. Uczyłem się tam na formierza tak zwanego, czyli człowieka, który robi formy pod dany odlew. Tak jakby dziecko bawiło się w jakiejś plastelinie i robiło se jakieś formy. Super zabawa. Fajna sprawa i bardzo kreatywna. Nawet byłem dobry w tym mi się wydaje. Może za dobry, bo później majstrowi podpadłem, bo robiłem za szybko swoją normę i potem miałem za dużo wolnego czasu i przez to zresztą pokłóciłem się z majstrem.

Odlewnia była otwarta i każdy odlew to są opary. Opary chemiczne różnego typu, które szły na zakład. Do tej pory jest to szkodliwa praca. Ta firma zresztą funkcjonuje, tylko na pewno w innych, surowszych, jakby, normach technologicznych, ale wtedy za komuny to była wolna amerykanka. Weźmy na przykład Borutę. Tam była tragedia w ogóle chemiczna. Odlewnia Metali Kolorowych to różnego typu metale leje się do danych form i idą opary. Nie było takiego sprzętu wentylacyjnego jak w tej chwili, ani takich norm BHP jak teraz. To była naprawdę niszcząca zdrowie praca.

A czy były jakieś przypadki zachorowania? Wypadki?

Nie, nie. Za krótko pracowałem, żebym o tym wiedział.

A ile Pan pracował?

Bardzo krótko, około dwóch miesięcy.

Jakie były warunki pracy w zakładzie?

Nie narzekałem. Jak na warunki tych czasów to wiadomo, jakaś własna szafka na przebranie się w ciuchy robocze. Jak mówiłem, uczyłem się na tak zwanego formierza, czyli robiłem formy. Fajna zabawa to była dla mnie i nieźle się tam czułem. Wszystko by było okej, gdyby nie konflikt z majstrem. Od początku, jak gdyby, nie lubił mnie. Niestety.

Wspominał Pan o tym, że dobrze zarabiał w porównaniu do matki. Dlaczego tak było?

Dlatego, że prawdopodobnie płacili więcej, bo to była bardzo szkodliwa praca dla zdrowia. Nawet taki szczeniak jak ja, który przyszedł zielony, miał pensję większą niż moja matka po dwudziestu latach w jakimś tam zakładzie pracy. Płacili więcej, bo wiadomo, że było to bardzo szkodliwe. Dlatego tam zresztą ludzie pracowali, bo tam ci starsi zawodowo to na te warunki komunistyczne zarabiali bardzo ładne pieniądze.

Dobrze. To proszę mi powiedzieć, jak wyglądał Pana typowy dzień pracy? O której Pan przychodził? Jakie zmiany były?

Wydaje mi się, że na 7, ale naprawdę nie jestem pewien. To jest tyle lat temu. I praca z tego, co pamiętam, chyba na dwie zmiany w zależności od zamówień. Bo to czasami było chyba różnie, ale naprawdę za krótko pracowałem. To był epizod w moim życiu. Intelakualnie rozwojowy może. Bo to następna praca z jakimiś innymi ludźmi, z innym środowiskiem, ale za krótko pracowałem, żebym to pamiętał. Kupę lat temu, to nie pamiętam takich dokładnych rzeczy.

To proszę mi powiedzieć, jakie były największe zalety tej pracy? Były jakieś?

Tak. Tak naprawdę, ten formierz, jest jakby... pracą taką kreatywną. Oczywiście masz formę, którą masz odlać, człowieku, i koniec. Czyli wiemy, o co chodzi, ale żeby zrobić to dobrze, to trzeba być w miarę cierpliwym, dokładnym. Ta forma musi być naprawdę dobrze zrobiona, żeby ten odlew dobrze się udał. Z tego, co pamiętam, była tam fajna ekipa w gruncie rzeczy. Ja tych ludzi bardzo polubiłem. Jedyne problem miałem z moim majstrem, ponieważ moja norma, którą wykonywałem do godziny 10, była taka jaka była, czyli ja zrobiłem swoją normę. A ucząc się wtedy w liceum, szedłem gdzieś sobie na zaplecze i czytałem książki.

No i zaczął się konflikt, że nic nie robię. No przepraszam, jak zrobiłem swoje, to co mam robić dalej? No i od słowa do słowa tak się pokłóciliśmy i odszedłem. Porzuciłem pracę. Aczkolwiek, jakby nie było tego konfliktu to posiedziałbym tam nawet dłużej, bo podobało mi się i blisko domu. Ulica Łąkowa, a ja mieszkałem na Kolejowej, więc do pracy miałem naprawdę dziesięć minut spacerkiem. I to było właśnie jedną wielką zaletą też.

Czyli mówi Pan, że zakład znajdował się na ulicy Łąkowej?

Tak, tak, koło straży. Do tej pory jest ten zakład. Jest tam prywatna firma w tej chwili, która ma ten zakład.

A czy oprócz szkodliwych warunków tej pracy były jeszcze jakieś minusy?

Ja nie mogę narzekać. Jak mówię, zbyt krótko pracowałem. Więc za nim się wdrożyłem, poznałem kilku panów fajnych, chłopaków, ale tak naprawdę nie narzekałem. Młody organizm lepiej wszystko znosi, a szczególnie na początku nowej pracy. Więc człowiek nie patrzył jeszcze na pewne rzeczy i nie ogarniał tematu. A szkodliwość była na pewno, wiadomo, patrząc z perspektywy czasu, ale w tamtym okresie nie patrzyłem na to w ten sposób, że jest to bardzo szkodliwe.

Dobrze. Mówił Pan, że miał dobre relacje ze współpracownikami. Czy utrzymuje Pan jakieś kontakty z nimi?

Nie, niestety. Ja odszedłem z pracy, skończyłem liceum, poszedłem na studia. Drogi tak się rozeszły, że nie miałem z nikim kontaktu. Kompletnie. Kompletnie to inne środowiska.

A jak wtedy wyglądały te relacje?

No kumpelskie. Chłopaki tam jakieś piwo wzięli, gdy zrobiliśmy wszystko swoje. Czasami norma była zrobiona szybciej lub jakieś zamówienie poszło szybciej, to i piwo wypili. I takie rzeczy.

Nie, było okej. Ja nie narzekam. Naprawdę miałem dobre kontakty z ludźmi. Bardzo fajni ludzie.

Czyli mówi Pan, że zakład nie wpłynął na Pana życie? Po prostu był to epizod?

Nie. Epizod, epizod i jeszcze raz epizod. Aczkolwiek rozszerzyłem swoje horyzonty, bo jednak człowiek coś innego poznał. Szczególnie na takiego humanistę jak ja. To było doświadczenie bardzo przydatne zawodowo. Życiowo, nie zawodowo. Życiowo.

A pamięta Pan jakieś, w tym krótkim okresie pracy, jakieś wydarzenia? Może jakieś święto było wtedy? Pikniki?

No. Tak jak powiedziałem wcześniej, to był epizod w moim życiu. Młodym człowiekiem byłem, bardzo młodym. Musiałem pracować, bo była taka ustawa. Niestety, przez konflikt z majstrem szybko skończyłem tą pracę.

A niech mi Pan powie, czy zakład posiadał inne działy oprócz formierza?

Tak, tak. Były tam jakieś inne, ale w tej chwili nie kojarzę. Oczywiście byli ci, którzy odlewali to wszystko. Można powiedzieć taka mała huta skompresowana. Ten metal dany, czy brąz, czy mosiądz, musiał być już w piecu rozpalony, żeby można było odlewać. Więc tam byli fachowcy dużej klasy przez duże F. Fachowcy naprawdę.

A może Pan bardziej opisać ten proces odlewania metalu, który Pan wykonywał?

Nie, ja robiłem tylko formy. Forma... Nie pamiętam, jaki to już był materiał. Nie piasek, tylko to był jakiś taki materiał lepki, bardzo fajny, że jak odcisnęło się cokolwiek to został odcisk. Ale co to było, to już w tej chwili nie pamiętam. Mówię, to jest kilkadziesiąt lat temu, a nie mam umysłu technicznego i dalej nie miałem styczności z tą branżą. W każdym bądź razie wiem, że na te formy, które ja robiłem i przyłączałem, nikt nie narzekał. Były jakościowo dobre. Więc byłem bardzo zadowolony.

Czy podczas pracy w zakładzie mówiło się o partii lub życiu politycznym?

Nie pamiętam totalnie. Nie pamiętam. Oczywiście ja miałem swoje środowisko młodych, zbuntowanych i myślących. Zresztą założyliśmy jakąś tam organizację sobie. Na początku gdzieś tam malowaliśmy sobie jakieś tam napisy na murach. Oczywiście gdzieś tam w szatni, na przerwach jakieś bluzgi latały na temat systemu, ale jakiejś formy zorganizowanej nie widziałem tam. Zresztą wtedy wszyscy chyba byli bardzo zastraszeni. Szczególnie ojcowie rodzin, gdzie zdawali sobie sprawę z ryzyka, że ten system może ich zniszczyć albo coś z rodziną. Naprawdę nie kojarzę już. Ja kojarzę swoje środowisko, wtedy młodych, w tym czasie, co robiliśmy. Ale na zakładzie pracy nie spotkałem się ani z żadną jakąś gazetką nielegalną, ani z jakimś takim działaniem. Może było. Byłem młody, mogli mi nie ufać, więc ja ich rozumiem też.

A czy w budynku, w którym Pan pracował pamięta Pan lub kojarzy jeszcze rozkład pomieszczeń? Jak to wyglądało?

Bardzo słabo. Jakąś portiernię. Mniej więcej wskazałbym, gdzie były szatnie i główna hala, gdzie pracowałem. Bo szatnie były po prawej stronie, później przychodziło się na lewą stronę na halę, ale już niestety nie jest to. To jest długi okres czas. Mniej więcej tak, ale nigdy na 100 procent nie powiedziałbym, że jestem pewien.

Czyli tak jak Pan mówi, praca zakończyła się wraz z kłótnią z kierownikiem?

Tak. Generalnie porzuciłem pracę. Bo była awantura, bo ja zrobiłem swoją normę do godziny 10. Wtedy bardzo dużo czytałem. Bardzo. Był taki okres, że czytaliśmy po sto lub kilkaset książek rocznie z moim przyjacielem. I zakamuflowywałem się gdzieś wtedy z tyłu. A ładna pogoda, pamiętam, była. Słońce, pamiętam. I czytałem sobie książkę. I na to wpadł mój majster i na mnie zaczął o to krzyczeć. Z jednej strony teoretycznie miał rację. A z drugiej strony też miałem rację, bo sorry, zrobiłem swoją normę, to co ja miałem tam stać jak ten... Więc poszedłem pożytecznie spędzić czas, czyli poczytać sobie troszeczkę i na przykład przygotować się do szkoły lub poczytać jakąś książkę fajną. Miał rację. Pokłóciliśmy się bardzo. Od początku nie lubił mnie. Pokłóciliśmy się i powiedziałem, że „W takim razie to ja dziękuję”. Jeżeli nie rozumie tego, że ja zrobiłem swoją pracę, swoją normę, a inni nie robią swojej normy, a już swoje opieprzali, chodzili gdzieś albo pili piwo po kątach. Nie obrażam swojej załogi, bo załoga była super. Były tam jakieś wyjątki tylko. A ten akurat przyczepił się do mnie. Widocznie nie lubił takich pseudointelektualców, jak to mówię. I się pokłóciliśmy i powiedziałem „To ja dziękuję”. Ubrałem się i wyszedłem z zakładu. Było porzucenie pracy, artykuł 51, czyli zwolnienie dyscyplinarne. Aczkolwiek byłem zaskoczony do końca, że pieniądze dostałem. Pomimo dyscyplinarki myślałem, że jakieś będą złośliwe działania, ale nie. Dostałem te pieniądze, które miałem dostać, więc byłem zadowolony. I byłem zadowolony, bo już miałem papier do szkoły. Na samym początku roku się składało papier, czy jest się zatrudnionym. Więc już spokojnie mogłem się uczyć dalej bez szukania następnej pracy.

A odczuwa Pan jakieś emocje, gdy znajduje się w pobliżu tego zakładu w dzisiejszych czasach?

Tak, tak, tak. Do tej pory pamiętam tą kłótnię. Czuję, że ja miałem tu rację, bo naprawdę zaangażowałem się i lubiłem tą pracę. I ten gostek, przepraszam – ten pan – ewidentnie nie lubił mnie i chciał mnie uwalić! Więc mnie uwalił! A ja tam jadę samochodem, przechodzę, to zawsze mam skojarzenia z tą awanturą, skojarzenia z tym odejściem moim takim na chama, że tak powiem. Poleciało tam nawet kilka zdań brutalnych. Nawet. Aczkolwiek właśnie uważam, że niesprawiedliwie. Bo naprawdę byłem dobrym pracownikiem i chciałem być dobrym pracownikiem. I ktoś, kto doczepia się do pewnych rzeczy, a nie widzi ewidentnych przekrętów innych. No to sorry.

Do tej pory pamiętam jak jadę Łąkową i kojarzę sobie tego pana. Zresztą tego pana widziałem kilka razy życiu na mieście, ale nie chciało mi się do niego podchodzić, bo po co?

To ja dziękuję Panu bardzo za rozmowę.

Dziękuję również.

Stanisław Kuzański, ur. 1945 r.

(przy nagraniu obecna jest żona pana Stanisława, pani Jadwiga)

Zakład Urządzeń i Elementów Technicznych

Przemysłu Lekkiego (ZUiETPL) „ZUT”

Lata pracy: 1965-druga połowa lat 90. XX w.

(rozmówca nie pamięta dokładnej daty)

Rozmawiała Karolina Karolewska, ur. 1996 r.

Karolina Karolewska: Proszę się raz jeszcze przedstawić [wynik wcześniejszego wyłączenia dyktafonu] i powiedzieć, ile pan ma lat.

Stanisław Kuzański: Kuzański Stanisław, lat babcia powiedziała już...

Jadwiga Kuzańska: 76.

SK: 76.

KK: Chciałabym, żeby Pan mi opowiedział o swojej pracy w Zucie.

SK: Tak.

KK: Jak Pan tam trafił? Co się tam działo aż do momentu zakończenia przez Pana pracy?

SK: Ja przyszedłem do pracy po wojsku, kończyłem służbę wojskową w Koszalinie...

JK: Miał dwajścia dwa lata chyba, tak dwadzieścia dwa lata.

SK: Dwadzieścia dwa lata i koło domu się tam trochę pokręciłem z rodzicami...

JK: Ale takich pierdół nie opowiadaj [w głosie kobiety słyhać nerwy].

KK: Ale to jest ważne.

SK: Pracowałem w domu, czyli nie siedziałem, bo cię nie posadzili. Po wojsku nudziło mi się i poszedłem do pracy.

KK: Yhym.

SK: Pracował już tam mój przyszły szwagier...

JK: Jasiu Matusiak.

SK: I do niego poszedłem, Jasiu Matusiak, przyszedłem tam, załatwił mi pracę, poszedłem w maju... Przy końcu maja jakoś było, poszedłem do pracy.

JK: I pracował 27 lat w odlewni, bo później miał wypadek, uderzyło go drzewo, trzejga, wiesz, miał mózg potłuczony, leżał w szpitalu. No nie wolno mu było pracować w odlewni później, proszę ciebie, no to wszystko się unormowało, to on dostał udaru. Udar dostał, był w drugim szpitalu, wojewódzkim. I po tym szpitalu jeszcze na pół etatu pracowałeś, nie?

SK: Tak.

JK: Też w odlewni, pracował jeszcze na pół etatu. Ja ci powiem, że nie pamiętam, ile to było lat, Karolina, i ten, no ale później pani doktor mu nie pozwoliła już, bo to jakieś tam były nieodpowiednie do tego organizmu..

KK: Jasne.

JK: Bo no wiesz...

SK: Związki chemiczne.

JK: Jakies takie niezdrowotne było, no i co... No i teraz jest na rencie, od 50 lat był na rencie, no potem jeszcze na pół etatu pracował, ale ile pracował, nie pamiętam ile, bo to wiesz, to dawno było.

KK: To jak wyglądał Pana dzień pracy?

SK: Pracowałem przeważnie na zmiany...

JK: Od 8 do... Było tak, że robił od 8 do 4, a później to nawet jeździł na piuntom. Na 5, tata, jeździłeś?

SK: Tak, do 13.

JK: Do 14, chyba nie?

SK: Nie, do 14.

JK: No, to tam do którejś, to był taki jakiś czas, że tak pracował. No i przeszedł, później był tym... [zamyślenie]

SK: No, kim byłem, babciu? Ano widzisz... [śmiech]

JK: No...

SK: Brygadzißtą.

JK: Brygadzißtą został, ale też nie wiadomo, ile to było lat.

KK: A co Pan robił jako brygadzißta?

SK: Byłem brygadzißtą, z początku na przyuczeniu, przeważnie pracującym, bo to więcej pieniędzy było, jak pracowałem...

JK: No i zrobił sobie kursy na wózki wiglówce, jak to się tam nazywa...

SK: Na wózki widłowe, na suwnice, u tego jak to, jeździłem z nią z ziemi...

KK: Koparka?

SK: Nie, to suwnica, takie rączki miała i prowadziło się do ziemi.

JK: Z tego, co ja wiem, to, co ci powiedział...

SK: Pracowałem trochę i na piecu, rozumiesz, jak tam kogoś nie było, to już z tymi samymi pracownikami..

JK: Tyle, że wiesz, to była gorączka, jak cholera.

KK: A powiedział Pan, że na piecu, czyli dokładnie co Pan robił, co to znaczy?

SK: No jak nie było...

JK: Odlewali, te...

SK: Patrz, praca do pieca, to było tak: uprzątnięcie w środku po odlewie, wybicie, wyklejenie tego gliną szamotową, później, żeby obeschło wszystko, trzeba było to, wysuszyć go i zabetonować ten piaskiem, ten spód, gliną tam obkleić, żeby gdzieś nie było przelotu jakiegoś.

JK: No i żeby na drugi dzień było...

SK: No i na drugi dzień, trzeba było odpalić ten piec, na tym i to było uruchomienie pieca, czasem to tylko wystarczyło, że podpalony był drzewem, czasem palone, to było tą... Ropą. Podpalane na ropę i dmuchawa ropę dawała, i zapaliło się ot tak. Piec sechł i godzina, jede... Dwunasta, przed dwunastą tak gdzieś, po dwunastej, piec był za...

JK: Wygaszany.

SK: Nie, zabezpieczony był, babciu.

JK: No może.

SK: No i...

JK: Ale, nie jąkaj się, tylko mów!

SK: Ty myślisz, że tak, nie jąkaj się... Zabezpieczony był do odlewu, załadowany i gdzieś około godziny, niecałą godzinę tam, ale to zależy. Po godzinie, topiło się żeliwo już, godzina tam, parę minut, zależy jaki był tam ten dzień nawet. Ale tak samo, jak powietrze było dobre, to lepiej się paliło w piecu, mimo że... [mężczyzna krzyczy na kobietę i klnie]

KK: **Czy możemy przejść już do pytania? I proszę kontynuować o pracy na piecu. [zwrócenie mi uwagi, że nagrywam]**

SK: Mamo, i co, piec był do odlewu, godzina 13, przed, parę minut po, pięć czy dziesięć po 12, tam po 1 odlew wytego, no odlew następował. Pierwszy spust, to był taki, że grube żeliwo się łało z kadzi, wały tam takie, gorsze żeliwo. Później, co tego lepsze i na gorąco się łało, łapano było w kadzie ręczne. Później, to, co było do kadzi, co na suwnicy wisiała, no to też się roznosiło kadziami ręcznymi, to cztery tam te kadzie chodziły, po dwóch do jednej kadzi i było nalewane, odlewy. A odlewy niektóre mniejsze, niektóre większe były, w niektóre wchodziło nawet 50-60 kilo, to była duża kadź, musiała taka większa iść i to było rozlewane do tego. A dokąd odlew się nie skończył, do końca rozlewało się z kadziami, reszta jak się została, bo raczej się liczyło ile kadzi potrzeba, jak się zostało tam parę kadzi za dużo, no to tam wykopało się w piasku ze trzy, cztery dołki i to co nadwyżkę, to się wylewało w te dołki, to zostawało na drugi dzień i się znowu szło, na następny odlew, co z tych dołków, to taki był.

KK: **A poza piecem, to jeszcze były jakieś inne obowiązki?**

SK: Tak, bo przecież, jak robiłem na piecu, to pracowałem najpierw na szlifierkach takich dwuosobowych, co się szlifowało. Później na szlifierkach ręcznych i czyściło się ręcznie, także szlifierką się obrabiało, czyściło duże odlewy ręcznie i to wszystko.

KK: **Rozumiem. Jakie były ogólnie zalety tej pracy?**

SK: Ciężkie, inaczej powiedzieć zasrane [śmiejch] i co robota ciężka.

JK: W odlewni to miały ciężko. Człowieku, ty wiesz, jakie one miały ubrania upocone, jak tego, no szkoda, że taty nie ma, przecież one oba, w tej odlewni, jak

był odlew, to przecież odlewały, te różne, co tam były potrzebne do maszyn, do tego, co były potrzebne te urządzenia, nie.

KK: A właśnie, skoro wspominamy o stroju, to jak ten strój roboczy wyglądał?

JK: Był to taki wełniany garnitur, żeby pot się wchłaniał. Białe to takie było, czy takie, o taki kolor był, Karolina, jak to [zwrócenie uwagi na kolor koszulki mężczyzny, fotografia z dnia wywiadu], tylko że, to było wełniane.

SK: Wełniane było.

KK: Rozumiem.

SK: Rozpinało się...

JK: I koszule flanelowe mieli, proszę ja ciebie, w takich strojach chodzili, ale to naprawdę. Mieli najgorzej, to jak było tak gorąco, nie? Tam było na piecu ze 70 stopni, oni się tak umęczyli, że, ale tak było, no taka praca była, niestety trzeba było pracować. Chciałaś mieć robotę i pieniądze, to trzeba iść robić.

KK: [śmiech] To zalet, z tego, co słyszę, to było nie za wiele. To jakie były wady, poza tym, że było ciężko?

SK: [śmiech] Ciężko, nie, nie było tak ciężko. Było, ale nie było takiej...

JK: Ale, ci powiem, że zadowolony przychodził z tej roboty też, atmosfera była miła, bo ci pracownicy, byli tacy, oni się tam zgadzali, także nie było źle. Jak on przychodził, to się nigdy tak nie użalał, żeby...

SK: No, co miałem narzekać, jak...

JK: Kierownika, my tego, mieli dobrego, był najpierw ten, jak to, jak on się nazywał, kurna...

SK: Babciu, nazwiska jego nie pamiętam, tego starszego, a później, to był młody chłopak. Przyszedł po szkole, zwolnił się i taksówkę prowadził. [przypomnienie o kolejnym rozmówcy – Panu Piotrze] A, a, a! [próba przebicia się przez wypowiedź kobiety] Jeszcze brygadzysta był z tego, z Przybyłowa.

KK: Tak?

SK: Tak, ja tam objąłem po nim stanowisko.

JK: Jak on się nazywał?

SK: Świętczak.

JK: Świętczak czy Świętek? Świętczak chyba.

SK: Świętczak.

JK: Świętczak, a ten drugi, co tam przyjeżdżał do nas, to jak się nazywał?

SK: To Lewandowski.

JK: Lewandowski to był super facet, także on z tymi pracownikami dobrze tam, nie można powiedzieć. Ja tam chodziłam, też do tej odlewni i oni tacy byli, wiesz.

KK: To widzę, że jest dobrze [śmiech]. A jak praca wpłynęła ogólnie na życie rodzinne? Coś się działo?

SK: Nie, no co...

JK: Ja bym ci powiedziała, jakbyś nie nagrywała [śmiech], a tak, to nie, nie będę mówić.

SK: Zakończenie było po pracy najprędzej.

JK: Po pracy, z Jasiem wysiadali w Białej, rozumiesz, o co chodzi?

KK: Oczywiście, rozumiem [śmiech]. A były jakieś instytucje związane z zakładem pracy – przedszkola, osiedla pracownicze?

SK: Nie, to był zakład, zakład był, cztery oddziały miał, a odlewnia, to była też na uboczu tutaj. Z tamtych, no to zatrudniano, jakieś dzieci, do przedszkola czy gdzieś, no to, kto tam był. U mnie babcia wychowywała, tych dwóch bandzwołów [o synach].

KK: A jakie to były oddziały?

SK: To był tak: oddział A, to był na Dąbrowskiego, tu na brzegu zaraz, to był jeden, po jednej stronie uliczki, jak dostawał, taka uliczka szła, taka krótka uliczka. A i C.

JK: I na Rudunkach.

SK: Tak, babciu, i drugi był nasz oddział B [w tle słyhać narzekanie na kwas nalewki], to była odlewnia. Tam była i stolarnia, i odlewnia, i była jeszcze odlewnia staliwa, ale ja tam nie robiłem, tylko tam staliwo szło, bo staliwo to inny przetop, to było ładowane do piecy, takie kamienne te, żeliwne balony, zasypywane tym, taką masą z tego, [hałas] kamienną i wyżarzało się, to do pieca szło. Wyżarzane

było gdzieś trzy, cztery dni i to trzeba było rozładowywać, to już tam nie robiłem, tylko tyle, co widziałem i do, do wytapiania, wytego, to wszystko było wyżarzane, wyczyszczone...

JK: Już się powtarzasz..

SK: I szło do... Mamo... Z powrotem do tego, staliwo szło, do...

KK: Dołka?

SK: Tak, ale jak wyżarzone, to było hartowane, bo to żeliwo było białe później. To było hartowane żeliwo, tak zwane ciągliwe. To takie, że to młotkiem było można później klepać, a później to hartowane było twarde, to była już inna odlewnia. Bo jeszcze tam, była odlewnia, która należała do nas, to była na Łąkowej. To też, to była prywatna, prywaciarzom tam zabrali z tego, z tej Łąkowej. Jakiś czas, to było pod nami, a później to tam była córka właściciela. Ona to zabrała, odebrała, ale długo ta odlewnia nie była tam, bo skapitulowali, bo to po tym, jak nastał ten... Solidarność, to wszystko tak zabierali, te zakłady, co mieli swoje kiedyś. Tam, to też nie miałem, bo tam znowu, ten Heniu pracował na... Na Szczawińskiej. Nie Szczawińska, to było na Łąkowej.

KK: Rozumiem. Skoro wspomniał Pan o Solidarności, to jak wspomina Pan okres przemian politycznych, strajków?

SK: A co tam, u nas to było tak: jutro przychodzimy do pracy, jak najwięcej żeby was przyszło. Zobaczymy, jak będzie grzecznie, to nie będziemy pracować, a jak niegrzecznie, to niech sobie same robią i to tak było.

KK: Aha, czyli taka wolna amerykanka. A ma Pan jeszcze jakieś wspomnienia, przyjemne bądź nieprzyjemne? Na przykład, jakieś wypadki były?

SK: Były wypadki, przecież tam...

JK: Jak w każdym zakładzie.

SK: Jak w każdym zakładzie, tam poparzony człowiek był.

JK: Ile razy to żelazo mu do butów wpadło, kurna, w nocy nie mógł spać, bo wiesz i spirytusem sobie polewał, a to się wiesz, bolało go jak cholera.

SK: No...

JK: Prawda, to to pamiętam, bo to raz się poparzył tam.

SK: A to czasem, to wiesz, jakiś tam kawałek ci upadł na paznokieć, niby buty były zabezpieczone, czubki były metalowe, ale to i tak nic nie dawało.

KK: Temperatura.

SK: Temperatura, dokładnie.

KK: No to chyba ode mnie to będzie tyle, dziękuję.

Jacek Opawski, ur. 1965 r.
Zakład Urządzeń i Elementów Technicznych
Przemysłu Lekkiego (ZUiETPL) „ZUT”
Lata pracy: 1981-do chwili obecnej

Rozmawiał Mateusz Słowiński, ur. 2001 r.

Jak się Pan nazywa?

Jacek Opawski.

Ile ma Pan lat?

55.

W jakich zakładach Pan pracował?

Właściwie cały czas pracuję w jednym zakładzie, zmieniają się nazwy. Teraz to jest WDX, ale gdy zacząłem pracować to był Zakład Urządzeń Przemysłu Lekkiego w Zgierzu. Po czym później się zmieniła nazwa na Zakład Urządzeń Elementów Technicznych „ZUT”, później się zmieniła nazwa, gdy zostaliśmy zakupieni przez firmę Wandalex, później powstała spółka z o.o. Aporter, później był Wandalex SA i później się przekształciła nazwa w WDX. Ale to jest cały czas ta sama firma na ul. Szczawińskiej 54/58.

Ile Pan tam dokładnie pracuje?

Minęło mi 39 lat pracy w jednej firmie. Właściwie od początku, od czasu, gdy poszedłem do szkoły, to uczyłem się na ulicy Długiej w tzw. ekonomiku. I tam chodziłem do klasy wielozawodowej ze względu na profil, w jakim się kształciłem na modelarza w drewnie. Nie było szkoły w tym zawodzie i chodziłem do klasy wielozawodowej, gdzie uczyłem się przedmiotów ogólnych, zawodowych, na specjalne kursy wyjeżdżałem. Natomiast w późniejszym czasie, gdy troszkę lat upłynęło, to robiłem wykształcenie średnie w Centrum Kształcenia Ustawicznego w Łodzi i tam skończyłem szkołę średnią ogólnokształcącą. Miałem pomysł, żeby iść dalej na studia, ale niestety sytuacja rodzinna nie pozwoliła mi – studia już płatne, bo jako dorosły człowiek, mając trzydzieści kilka lat, musiałbym już płacić i dlatego nie poszedłem.

Czyli sytuacja rodzinna zmusiła Pana do zaczenia pracy w tym zakładzie?

Do zaczenia pracy w tym zakładzie nie. W tym zakładzie ja zacząłem pracować po prostu, żeby uczyć się praktycznej nauki zawodu, bo jako modelarz w drewnie pracowałem w tym zakładzie. Zresztą zakład miał na ul. Dąbrowskiego swoje oddziały, po czym też odlewnia była żeliwa, też naszego zakładu na Dąbrowskiego. Jeszcze zakład miał jeden oddział, który był na ulicy Łąkowej i tam była odlewnia metali kolorowych. Po czym, przy przekształceniach, stary zakład został zlikwidowany i odsprzedany, no to stary oddział był tam, gdzie teraz jest sprzedaż samochodów ciężarowych na Dąbrowskiego. To tam był nasz stary oddział. Odlewnia żeliwa została zamknięta ze względów ekonomicznych przez zakład i kupił ją prywatny przedsiębiorca, natomiast odlewnia metali kolorowych została odebrana przez spadkobierców po właścicielu przedwojennym. Cały ten zakład, co był na Dąbrowskiego, to był kiedyś Hoffmana. I on był właścicielem, dlatego cała ta odlewnia została odebrana przez spadkobierców. Kto jest teraz właścicielem, nie wiem. Ta odlewnia metali kolorowych funkcjonuje jak najbardziej, tak samo jak i odlewnia żeliwa funkcjonuje, z tym, że przeniosła się z Dąbrowskiego na obrzeża Zgierza.

Mówi pan, że 39 lat pracuje. W którym dokładnie roku Pan zaczął pracę?

W 1981.

Jak Pan się znalazł w tej pracy?

Akurat jeżeli chodzi o znalezienie tej pracy, to tak właściwie trochę przypadkiem, bo miałem plany kształcić się na technika elektronika, no troszkę mnie to pasjonowało. Natomiast u nas w naszym województwie był problem z dostaniem się do szkoły. Tamte czasy były specyficzne, kto miał lepsze układy, ten szybciej się dostawał. I pojechałem z kolegą, wybraliśmy się za Warszawę, bo tam też była szkoła elektroniczna z internatem, można było się tam kształcić. Natomiast po całonocnej podróży dotarliśmy do szkoły, dowiedzieliśmy się, że niestety nie, bo jest rejonizacja i tylko z województwa warszawskiego mogą tam kształcić się. A ponieważ tutaj na stolarni pracował mój wuj, zaproponował mi, że mogę się kształcić na modelarza, żeby zobaczyć czy mi to odpowiada. Obróbka drewna, robienie modeli odlewniczych, akurat to mi przypasowało no i tak się zaczęła moja praca. Po czym, gdy likwidowano odlewnię, to wtedy też pomału likwidowano modelarnię, więc miałem taki wybór – z zakładu albo odejść, albo się przekwalifikować. I wtedy się przekwalifikowałem na ślusarza, zacząłem tak pracować i do tej pory pracuję jako ślusarz, natomiast, jak gdyby, awansuję ze stanowiska na stanowisko, więc teraz zarządzam grupą ludzi, spawaczy w firmie. Był też taki okres, gdy jeździłem na montaż zewnątrz naszych wyrobów po Polsce i za granicę przez kilka lat. Ale gdy mi zaproponowano stanowisko dowodzenia ludźmi na miejscu w firmie macierzystej, przyjąłem to, ponieważ z wiekiem zdrowie coraz gorsze, więc wolałem być tu na miejscu i pracować bez jeżdżenia, bo jest to uciążliwe. Tym bardziej, że jeździłem jako kierowca zawodowy, więc sa-

memu albo z ekipą ludzi, z którymi jechałem na ten montaż zewnętrzny. No tak to się toczyło – moje losy w tej firmie, dość długo tam zabawiłem, w tych czasach to rzadko spotykane, że ktoś prawie 40 lat pracuje w jednej firmie. Może jak się uda, to dopracuję do emerytury.

Mówi Pan, że praca polegała na obróbce drewna. Mógłby Pan opowiedzieć, jak to wyglądało, cały proces?

Wiadomo, że jeśli chodzi o model odlewniczy, to zaczyna się od tego, że otrzymuje się rysunek techniczny danego elementu, który chce się wykonać. Choćby na przykładzie żeberka od grzejnika, które jest odlewane z żeliwa. Chcąc wykonać takie żeberko, odlać, to musi być wykonany model z drewna, najczęściej są to modele, które nie są wieczne, ale można z nich wykonać dużą ilość odlewów. Na początku musi to być drewno wysuszone, wysezonowane, mieliśmy suszarnię w firmie, która była zautomatyzowana, że się wprowadzało wózek z drewna do tej suszarni, to po pewnym okresie czasu drewno było i wysuszone, i wysezonowane. Kleiło się z mniejszych elementów większe, przy czym jeżeli trzeba było, używało się pewnych maszyn – mogły to być heblarki, piły taśmowe do wycinania kształtów nieprostych, czyli linii krzywych, używało się tokarek do drewna, jeżeli jakieś okrągłe elementy, przy czym trzeba było to potem posklejać i na koniec taki element szedł do lakierni, gdzie lakiernik to zabezpieczał lakierem. Zarazem to było też związane z tym, żeby nie wnikała wilgoć, a lakier powodował, że łatwiej było usunąć element z masy formiarskiej. Bo później taki model, gdy szedł na odlewnię, to był w skrzynce formiarskiej zasypywany specjalną masą formiarską, przy czym później ten model był usuwany i gdy złożyło się dwie części takiej skrzynki, to pozostawała pusta przestrzeń. I w tą pustą przestrzeń przez odpowiednie wlewy, gdzie tam formiarz dokładał był wlewany metal, z którego miał być odlany odlew. Ja oczywiście musiałem, chcąc wykonać taki element, zrobić odpowiednie pochYLENIA formiarskie, żeby można było dany element usunąć z tej masy formiarskiej. Trzeba było dodać w miejscach, w których miała być obróbka, na grubości, żeby można było metal obrabiać, one były zaznaczone na rysunku, gdzie i ile ma być dodane. No i jeszcze trzeba było doliczyć skurcz metalu. Metal ma różną kurczliwość, czyli gdy stygnie, on zmniejsza swoją objętość i to o ile zmniejsza, ponieważ było przy niektórych elementach bardzo ważne, bo jeżeli były tam jakieś dźwignie czy nawet jakieś korpusy, no to czasami ta kurczliwość, to mogło być nawet dwa centymetry, bo to było do 2,5% nawet kurczliwość metali. Wiadomo, że przy dużych elementach więcej się skurczył i trzeba było to dobrze podliczać. Na tym mniej więcej polegała produkcja tych modeli odlewniczych.

Czy oprócz modeli odlewniczych Pana firma lub Pana dział produkował coś innego?

Jeżeli chodzi o modelarnię, to nie, robiła tylko modele odlewnicze. Na stolarni... W tamtych czasach były wykonywane pewne wózki do przędzalni, do ręcznego przewożenia i do tych wózków były wykonywane elementy z płyty czy, którymi

były wykładane wózki – i to było robione na stolarni. Natomiast później było to domontowane do metalowych konstrukcji wózka, no bo w dawniejszych czasach nasz zakład to robił. Robił jeszcze gary przędzalnicze, czyli pojemniki, w które przędza się odkładała z maszyn, to też było u nas w firmie robione. Później już zaczęliśmy produkować przenośniki, na początku proste, ten dział się rozwijał, odchodziliśmy od produkcji w firmie wózków wszelakich, a coraz większy asortyment mieliśmy przenośników. I później już nie było tylko przenośników do przemysłu lekkiego, ale wszelkiego oprócz przemysłu kopalnianego, no to do różnych zakładów, działów przemysłu robiliśmy przenośniki, najróżniejsze. Asortyment mieliśmy bardzo szeroki, teraz został on przez nowy zarząd zmniejszony, może bardziej na wyroby coraz bardziej jakościowo, coraz lepiej zautomatyzowane produkujemy, dawniej to były bardzo proste konstrukcje, teraz coraz więcej elektroniki jest w tych konstrukcjach, całkowicie się to zmieniło przez te 40 lat.

Jak wyglądał Pana typowy dzień pracy w tamtym okresie?

Ja akurat pracowałem, pomijając już te lata, gdy jako niepełnoletni musiałem pracować mniejszą ilość godzin, ale już przy pełnej ilości godzin pracowałem zawsze na jedną zmianę i była to taka zmiana nietypowa, bo była od 6 do 14, chociaż inne działy mechaniczne pracowały na dwie zmiany. Była zmiana od 5 do 13, później od 13 do 21. Natomiast my pracowaliśmy cały czas od 6 do 14. Dzień jak co dzień, rano przyjście, tak, o godzinie 6, na stanowisku pracy. Po rozłożeniu narzędzi, przygotowaniu się do pracy, rozpoczynało się, no zależnie od tego, co trzeba było robić, to mogła być wstępna obróbka drewna, przygotowanie do sklejanego większych elementów, mogło być toczenie, mogło być cięcie – zależy, jaka była potrzeba, żeby skonstruować cały model.

Jakie były największe zalety pracy w okresie PRL-u?

Wydaje mi się, że w miarę taki komfort psychiczny w pracy. Nie było takich obciążeń psychicznych jak teraz, że człowiek boi się mocno tej przyszłości. Nie wiadomo, co będzie za pół roku, za rok, czy firma dana będzie istniała, czy będzie praca. Ta praca, z tego, co wiem, była trochę sztucznie utrzymywana, bo były te centralne zarządzania, teraz każda firma sama się troszczy o plan produkcyjny, to wtedy ten plan był narzucany z góry. Ale ten komfort psychiczny był duży. Na pewno dość mocno były przestrzegane wszelkie zasady BHP, przeciwpożarowe, teraz różnie z tym bywa. No niby powinno być przestrzegane, ale na niektóre rzeczy przemyka się oko ze względu na ilość rzeczy do wykonania. Ale znowu kiedyś była bardziej obciążająca fizycznie praca, nie było może tyle urządzeń wspomagających tę pracę fizyczną, dużo trzeba było robić samemu, czasami trzeba było dźwigać duże ciężary, zresztą mam po tym pamiętkę, bo mam dość zniszczony kręgosłup. Teraz jest więcej maszyn, które wspomagają, wózków, jest zakład lepiej wyposażony w takie środki transportu wewnętrznego, kiedyś było tego na pewno mniej.

Czyli z największych wad było to, że nie było wspomagających pracę maszyn?

Tak, może maszyny takie proste, ale chodzi o środki transportu, żeby przetransportować materiał z jednego punktu w drugi, nie było tyle tych środków transportu co teraz. Maszyny też się zmieniły, bo teraz jest nowszy park maszynowy. Pamiętam czasy, gdy było kilka maszyn typowo automatycznych, które właściwie pracownik stał i tylko wymieniał w maszynie materiał, który miał być obrabiany. Natomiast maszyna sama obrabiała. My mieliśmy akurat taką produkcję, że potrzeba było maszyn, bo jeżeli była produkcja seryjna, były elementy seryjnie wykonywane, to wtedy te maszyny miały rację bytu. Akurat modelarnia to taki jest dział, w którym właściwie obróbka ręczna, ręczna i jeszcze raz ręczna. Maszyny są używane, ale są używane tylko tam, gdzie musi być, właściwie maszyna to jest do takiej zgrubnej obróbki, a później ręcznie i tak to trzeba dopiłować, doczyścić, żeby było gładkie, odpowiednie promienie porobić, więc to jest taki dział pół na pół mechaniczny i ręczny. I tej ręcznej obróbki nie da się wykluczyć. Może teraz przy tych najnowszych maszynach, gdzie są gdzieś indziej modelarnie, to jednak są maszyny, które całkowicie to obrabiają, wszelkie frezarki mogą to teraz wykonywać. W tamtych czasach na pewno nie mogły tego wykonywać, wszelkie rzeczy robiło się ręcznie.

A były jeszcze inne wady w zakładzie, które Pan pamięta?

Raczej nie, raczej takich innych wad nie było w zakładzie, ja sobie nie przypominam. Z tamtych czasów bardzo fajną rzeczą była stołówka pracownicza, która później została zlikwidowana. Fakt, że było wielu pracowników, którzy przyjeżdżali, był autobus, który dowoził ludzi z Ozorkowa i wsi między Zgierzem a Ozorkowem, też zabierał ludzi po trasie. To było dobre. Teraz w zakładzie stołówka nie istnieje. Jest jadalnia, ale to są tylko posiłki, śniadania, a kiedyś były na ciepło wydawane posiłki. Nawet na miejscu były gotowane, nie tak jak teraz przywożone z zewnątrz. Była kuchnia, była stołówka. Można było sobie zjeść ten ciepły posiłek, nawet ze względu na ludzi, którzy są samotni. Ale w tamtych czasach nie było tyle na mieście restauracji, że można było zjeść, nie było tego aż tyle w Zgierzu. Z tego, co pamiętam, że dwie restauracje były, kawiarnia jedna czy dwie, w tamtych latach. Także tego było niewiele.

A dlaczego zlikwidowano tę stołówkę?

Podobno ze względów ekonomicznych. Nie opłacało się zakładowi. Pewnie i musiałby mocno inwestować w remonty, bo po wielu latach no to sanepid, coraz większe wymogi – z tego, co wiem, to ze względów ekonomicznych. Nawet kiedyś u nas były organizowane takie bale, mieliśmy dość prężnie działający klub HDK w firmie, w którym ja też byłem honorowym dawcą krwi. Organizował bale raz do roku, zawsze odbywały się na stołówce. Ale później coraz to bardziej zaczęło upadać i stołówka została zlikwidowana, i nie było gdzie zorganizować bali, tak to zawsze były na stołówce. Jednak zmiany w Polsce przez 40 lat były tak duże, że w wielu zakładach takie rzeczy poupadały.

Pamięta Pan może jakiś bal, jakiś zapadł w pamięci?

Każdy bal zapadał w pamięci, bo to przeważnie były w czasie karnawału organizowane bale HDK, więc tuż w niedługim czasie po sylwestrze. Zawsze była jakaś orkiestra zatrudniana, nie przy magnetofonie. Byli honorowi dawcy z najbliższymi rodzinami, niektórzy zapraszali dość duże te rodziny. Uważam, że to były bardzo fajne bale, które były na całą noc, zawsze do rana. Rankiem wracało się autobusem, ale żeby któryś tak szczególnie mi zapadł... Nawet te, które sam organizowałem, byłem przez krótki czas przewodniczącym, wszystkie były takie same jak wszystkie. Jeżeli chodzi o HDK, to w pamięci mi bardziej zapadła wycieczka, ale to nie byłem z zakładu, tylko z miejskiego klubu HDK. Może nadanie krzyża, srebrnego... Zasłużony dla zdrowia narodu. Ale ten krzyż też miałem wręczany w Łodzi, w urzędzie miasta, nie tu w Zgierzu. Przez 40 lat w moim życiu dość sporo się wydarzyło, związane z pracą i nie tylko. Honorowe krwiodawstwo to też tak związane z pracą, bo jako osiemnastolatek po raz pierwszy oddałem krew. A w swoim życiu oddałem 45 litrów krwi. Już teraz nie oddaję, bo zdrowie mi nie pozwala.

Wspominał Pan, że praca w zakładzie wpłynęła na Pana życie. Jak dokładnie?

Dzięki temu, że pracowałem i uczyłem się w Zgierzu to poznałem dziewczynę, która obecnie jest moją żoną. Akurat poznaliśmy się, bo ona jeździła tym samym autobusem do pracy, co ja. Co prawda do innego zakładu, ale jeździła tym samym autobusem, czasami się widzieliśmy. A później nasze życie się splotło i razem postanowiliśmy, gdy zaręczyliśmy się, zanim poszedłem do wojska, a ślub wzięliśmy, gdy wróciłem z wojska. Jak moja praca miała wpływ na życie... Chociażby wyjazdy moje po delegacji, właściwie można powiedzieć, nie ma regionu w Polsce, w którym nie byłem, pracując. Bo zjeździłem całą Polskę od gór po morza, od zachodu do wschodu, w paru miejscach byłem za granicą i to też związane z pracą wyjazdy służbowe. Przeważnie starałem się te miejsca w wolnym czasie pozwiedzać. Już pomijam takie efekty uboczne pracy, jak zdrowie, które może gdybym pracował w biurze, może też bym miał problemy inne, może te same. Natomiast wpływ na mój kręgosłup to praca miała duży, bo nawet jeżeli chodzi o wyjazdy na te montaż zewnątrz, no to jednak tam trzeba było używać siły rąk, ponieważ czasami warunki nie pozwalały, żeby użyć jakiejś maszyny, żeby coś przestawić, postawić, trzeba było to wykonywać ręcznie w kilka osób, to wiązało się z wysiłkiem fizycznym.

Niech mi Pan powie, czy w zakładzie oprócz działów modelarskich, mechanicznych, były też inne?

Na pewno były takie działy jak spawalnia, był dział przygotowania produkcji, kralajnia, tam wszystkie elementy stalowe były cięte na pilach, gilotynach. Był taki dział u nas – prototypownia, czyli tam po prostu jeżeli coś nowego zostało zaprojektowane, to pierwsze urządzenie było wykonywane na tym dziale, tzw. prototyp i stąd nazwa działu. Jeżeli były jakieś niedociągnięcia, usterki projekto-

we, to one od razu zostały tam wychwytywane, naprawiane i dopiero, gdy wyrób był gotowy i spełniał warunki takie jak założył projektant, to wtedy dopiero ten wyrób wchodził do masowej produkcji. Teraz tego działu się nie używa, nie ma go w zakładzie, ale teraz dużo rzeczy można sprawdzić na komputerze, czy będzie działało. Są te programy, które pozwalają na takie rzeczy, więc takiego działu już nie ma.

A jak wyglądała struktura zatrudnienia w zakładzie?

Tak samo jak teraz. Byli pracownicy podstawowi, nad nimi byli brygadziści, na kilku brygadzystów był mistrz, później kilku mistrzów podlegało jednemu kierownikowi, oni dyrektorowi produkcji, był dyrektor czy kierownik zaopatrzenia, no i najwyżej był dyrektor firmy, który odpowiadał za całe przedsiębiorstwo. Teraz w sumie to się wiele nie zmieniło, jest bardzo podobna struktura zatrudnienia. Może niektóre osoby się inaczej nazywają, ale, jak gdyby, struktura się nie zmieniła, jest bardzo podobna.

Jakie miał Pan relacje z szefostwem w tamtym czasie?

Ogólnie większych problemów z szefostwem nie miałem, relacje były dość dobre. Wiadomo były konflikty, jakieś drobne i były dość szybko rozwiązywane, raczej nie było złych relacji. Bywały okresy trochę lepsze, trochę gorsze, bo jednak to szefostwo się zmieniało przez tyle lat. Teraz sam jestem przełożonym, podlegam dyrektorowi ds. produkcji i też jest dobrze. Wiadomo, że są chwile lepsze i gorsze, ale ogólnie nie jest źle.

A relacje ze współpracownikami? Jakie były wtedy?

W porządku, my jeżeli chodzi o modelarnię, to byliśmy grupą dwunastu osób, to był taki najlepszy okres, gdy było najwięcej pracowników i wszyscy byliśmy ze sobą życzliwi, nie było problemów, czy w sferze prywatnej, czy zawodowej wspomagaliśmy siebie. Natomiast uważam, że teraz też nie jest źle. Człowiek jest tylko człowiekiem, bywają ludzie z różnymi charakterami, jeżeli nie ma kogoś całkowicie negatywnie nastawionego do innych to tak to z każdym da się żyć, ja sam nie jestem człowiekiem konfliktowym. Staram się je rozwiązywać dość szybko, żeby nie rosły, a malały, bo wtedy jest lepsze takie życie, współzycie w grupie.

Czy z tamtego okresu dużo Pana znajomych jeszcze pracuje w tej firmie?

Z tamtego okresu? Obecnie w firmie to, jeżeli chodzi o modelarnię, nie pracuje nikt, większość poumierzała, byli akurat starsi pracownicy. Niektórzy młodszy albo też umarli, albo żyją, ale nie ma z nimi kontaktu, bo nie mieszkają w Zgierzu, wyprowadzili się. Natomiast ci z innych działów, to jest kilku pracowników, ale obecnie z tamtego okresu może by się naliczyło dwudziestu. Nie ma tego za wiele, naprawdę, to już z biura biorąc pod uwagę.

To i tak dość dużo się utrzymało przez 40 lat.

Faktycznie, chociaż niektórzy pracownicy są tak stali jak ja, że mają po 40, 45 lat pracy, niektórzy nawet więcej. Są tacy pracownicy, którzy pracują, odkąd ja pamiętam i zostały im rok, dwa lata do emerytury. Ale ci najstarsi to jeszcze pracowali, zanim tam powstał zakład, to pracowali na Dąbrowskiego. Bo zakład powstał w '74 chyba czy '75 roku, na Szczawińskiej ten oddział, a wcześniej to był cały główny zakład był na Dąbrowskiego. Ale ja z tamtych czasów to absolutnie... Ponieważ ja od '81 pracuję, poszedłem na nowy oddział.

Wspominał Pan, że były autobusy pracownicze.

One przede wszystkim woziły ludzi z Ozorkowa, ale po drodze zabierały ze Słowika, z Emilii, Proboszczewic. Jeździł autobus i to było tak zrobione, że w jednym tygodniu on był na godzinę 5 rano, przywoził ludzi, w następnym tygodniu ta zmiana pracowała po południu, więc przywoził ludzi na 13, ale też przywoził ludzi do biura autobus na godzinę 7. Ten sam autobus, bo jeżeli tych ludzi odwiózł, to później na 7 jechał znowu zabrać ludzi, przywoził do firmy. Mieliliśmy w tamtym okresie swoje ośrodki wczasowe, teraz nie mamy. W Łebie w dość ciekawym miejscu blisko morza, dość blisko do parku narodowego z tego ośrodka. I mieliśmy swój ośrodek w Skrzynkach też, nad jeziorem. W Łebie dzierżawiliśmy grunty od miasta i upomniało się o nie, bo tam jak teraz w Łebie jest wybudowana Malina, to tam mieliśmy i się miasto upomniało, a w Skrzynkach to nie wiem, czemu został zlikwidowany, czy ze względów ekonomicznych, czy ktoś się też upomniał o grunty.

A korzystał Pan z tych ośrodków kiedyś?

Na wczasach w Łebie byłem, w Skrzynkach nie byłem. I byłem dwa razy, jak mieliśmy swój ośrodek i pracowałem w modelarni, to były takie wyjazdy na przygotowanie ośrodka do sezonu. Przed sezonem wczasowym trzeba było jechać posprawdzać, czy nic w domkach się nie podziało, nie popróchniało, powymieniać elementy, bo to były domki drewniane, przygotować, bo to była pościel, autokar cały, jechało dziesięć osób, elektrycy, mechanicy, żeby to poprzeglądać, przygotować do sezonu, to też dwa razy na takich wyjazdach byłem. Raz byłem w Łebie na wczasach, z żoną po ślubie, młody człowiek był.

Czy ktoś z Pana rodziny, np. żona, też pracował w takich zakładach?

Żona pracowała w Zgierzu, tak, w zakładzie odzieżowym na 1 Maja, garniturki szyła. Ale to krócej, nie pamiętam, do 2000 roku, gdy zaczęli likwidować. To więcej żona by mogła powiedzieć. I to też pracowała tak, że chodziła do szkoły przyzakładowej i miała praktyki w zakładzie w Zecie, a uczyła się w tej przyborucianej szkole na Sokołowskiej.

A Pana rodzice albo dziadkowie?

Nie, nie. Mój tata to pracował w kopalni w Łęczycy, a mama w kilku zakładach odzieżowych w Ozorkowie. No ja z Ozorkowa w ogóle pochodzę, do Zgierza to się przeprowadziłem dopiero po tym, jak poznałem się z żoną, właściwie po ślubie zamieszkałem w Zgierzu.

Wcześniej użył Pan terminu „centralne zarządzanie”. Czy może Pan wyjaśnić, na czym to polegało?

To polegało na takich rzeczach, że mieliśmy wykonać przykładowo 1000 wózków dla zakładów odzieżowych. No i te 1000 wózków my wykonywaliśmy, przy czym 200 mogło iść do Zety, kolejne 500 mogło iść do zakładu w Łodzi, a my dostawaliśmy zlecenia na te wózki. Tak samo mieliśmy narzucone z jakiejś centrali, że do zakładu przyjdzie dziesięć tokarek, chyba węgierskich, i nie mieliśmy na to wpływu. Mieliśmy je dostać, czy były nam potrzebne czy nie, były do zakładu dostarczone, tutaj ustawione i później na nich produkcja była wykonywana. Nie były to super jakościowo tokarki, dość szybko uległy zużyciu, bo tokarki o wiele starsze, ale takie o wiele solidniejsze to były później po tych, gdy te już ześlomowali. Na tym polegało to centralne zarządzanie, zakład nie planował co będzie produkował, ile będzie produkował, było to narzucane przez centralę. Jeżeli my byliśmy dla przemysłu lekkiego to tak było, że z których zakładów mówili „My potrzebujemy to, my to”, to „To zrobią w tym zakładzie” i dajemy im to zlecenie takiej ilości produktu.

Firma współpracowała z innymi zakładami? Jakie to były zakłady?

Jeżeli chodziło o konsorcjum przemysłu lekkiego, to współpracowaliśmy różnie. Sam byłem na takim wyjeździe na początku lat 80., gdzie zostałem odesłany do Bielska-Białej, gdzie zakład miał 125-lecie, pojechałem tam jako stolarz, zjechało się czterech stolarzy z różnych miejsc w Polsce, stamtąd dostaliśmy jedną osobę zarządzającą i przygotowaliśmy im podesty wystawowe. Tamta firma, jak gdyby, pokrywała koszty naszego pobytu, wyżywienia i żeśmy tam siedzieli półtora miesiąca i nasze jedyne zadanie to wyprodukować te podesty, też mieli tam stolarnię, więc na tej stolarni tam żeśmy pracowali, w hotelu spali. Ale wiele rzeczy, jeśli chodzi o współpracę, to polegało na tym, że na przykład żeśmy jakieś tam rzeczy, których nie mogliśmy u siebie wykonać, to musieliśmy zamawiać. Do tej pory wiadomo, że zakład nie produkuje wszystkiego, więc teraz to się najczęściej kupuje w hurtowniach. Kiedyś może się bardziej zamawiało w zakładach, całymi skrzyniami, były takie rzeczy, które pamiętam z dawnych lat, były w magazynie, później było złomowane, bo coś było przywiezione z jakiejś firmy i to leżało, nie było użyte, później trzeba było to złomować. Czy to była dobra współpraca, czy zła – trudno powiedzieć, ale tak samo dużo żeśmy produkowali do przędzalni i to już mieliśmy konkretnie zakłady, do których produkowaliśmy, na przykład gary przędzalnicze, na których była przędza zwijana, składowana i wiadomo było, że to była stała produkcja, gdzie będą od nas zabierać. Poza tym jakieś elementy do

maszyn, to też była współpraca międzyzakładowa. One już u nas to zamawiały, później to wszystko zaczęło, jak gdyby, zanikać, rozmywać się i teraz jest dosłownie, są jakieś zakłady, które na stałe coś u nas zamawiają, przenośniki, transport wewnątrzzakładowy. Czy to można nazwać współpracą? Pewnie też, bo jeżeli to jest długofalowe, kilka razy zamawiają kolejne linie, to też można nazwać współpracą. Jeżeli wyrób by nie odpowiadał, to by zamówili w innej firmie, jest ich trochę w Polsce, za granicą. Teraz liczy się konkurencyjność bardziej niż sentyment jednej firmy do drugiej.

Czy jakieś inne sfery życia, którymi opiekowała się firma? Żłobki, przedszkola?

Nie posiadała firma ani żłobka, ani przedszkola. Był w pewnym okresie, na Dubois przy szpitalu, od strony 1 Maja przed szpitalem po lewej stronie, to ten blok jak ten był stawiany, to nasza firma miała wkład jakiś w stawianiu tego bloku, bo mieliśmy dwa czy trzy mieszkania w całym bloku dla pracowników. Natomiast czy jeszcze na osiedlu w którymś bloku, to nie kojarzę, możliwe, że wcześniej. Ja też chciałem się starać, bo byłem po ślubie, o te mieszkania, które były dostępne w tym bloku, ale niestety były rodziny, które mieszkały w gorszych warunkach, więcej dzieci, no i była komisja zakładowa do tego ustalona, która brała pod uwagę tych, którzy chcą dostać te mieszkania, jakie mają warunki, dopiero oni według planu rozdzielili mieszkania osobom.

Czy zakład posiadał kluby zainteresowań?

Były, na pewno był taki klub sportowy, czyli międzyzakładowe turnieje gry w piłkę, w badmintona, był jeszcze klub strzelecki, ale tylko wiatrówki sportowe, nie była żadna broń palna. Był klub HDK. Liga Kobiet. Tak więcej to nie pamiętam.

A jak wyglądała opieka zdrowotna w zakładzie?

Nie była najgorsza, mieliśmy na miejscu na stałe codziennie lekarza, pielęgniarkę i mieliśmy dawniej chyba też codziennie stomatologa. Były te trzy gabinety i można było sobie bezpłatnie i bez zapisywania się... To pracowało dużo osób we wszystkich działach, pracowało koło półtora tysiąca osób, nie była to mała firma. Ta opieka zdrowotna była i dość długo, przez wiele lat jeszcze można było w zakładzie iść, później lekarza mieliśmy rzadziej. Nawet do niedawna mieliśmy doktorową, raz w tygodniu przychodziła. Z pięć lat temu to się skończyło. Ale dość długo mieliśmy. Już nie było pielęgniarki w zakładzie, ale doktorowa była dostępna.

Czy zakład organizował święta, pochody pierwszomajowe?

Pochody to były w tamtych czasach obowiązek. Wszystkie zakłady musiały wysłać swoich przedstawicieli. Były organizowane bale. Na pewno teraz w ostatnich latach mamy organizowane pikniki, raz do roku piknik firmowy. W tym roku nie

było – wiadomo, jaka jest sytuacja [pandemia SARS-CoV-2], ale co roku są organizowane. Nawet dość atrakcyjne, turniej piłki nożnej taki zakładowy, są inne gry, atrakcje dla dzieci, firma cateringowa, który posiłek na tych piknikach wydaje. Czasami są zespoły, które grają – zależy, co szefostwo zorganizuje.

Czy na te obchody jak się szło, to dlatego, że się chciało czy firma zmuszała?

Trudno powiedzieć, pewnie szli ludzie niektórzy na to chętnie. Ja pamiętam pochody pierwszomajowe jako dziecko takie do 12. roku życia, może 14., to jakąż frajdę dla mnie sprawiało, że z rodzicami szedłem. W rękę trzymałem jakąś chorągiewkę. Natomiast później to raczej już, gdy człowiek wydorósł i rozumiał całą sytuację polityczną, to może raczej nie sprawiało mu to przyjemności. Ja szedłem, bo musiałem, ale jakbym nie musiał, to bym nie poszedł. I to przede wszystkim było podłoże polityczne, człowiek im starszy, tym bardziej rozumiał całą sytuację, do czego jesteśmy zmuszani, co nam jest odbierane. Zresztą później już jak zacząłem pracować, dojeżdżać do Zgierza, to w ogóle rogatkę na Proboszczewicach, którą trzeba było przekraczać, były samochody zatrzymywane, tramwaje, wiele problemów było, człowiek w ciągłym strachu, chodziły patrole policji, wojska po mieście. Także takie czasy nieciekawe.

Czy w zakładzie rozmawiano o polityce?

W zakładzie zawsze się rozmawiało o polityce. Zawsze są tacy, którzy rozmawiają lub unikają polityki. Pamiętam, jak zacząłem pracować, że bardzo chciano mnie zapisać do młodzieżowej organizacji politycznej, ale zawsze jakoś tak próbowałem się wymigać, tłumaczyłem się, że muszę się zapoznać, bo ja dopiero zacząłem pracować, dopiero co wkroczyłem w wiek dorosły i jak mogę nie znając, nie wiedząc nic, a do tej pory nie zajmowałem się polityką, jak mogę przystąpić do jakiejś organizacji. I tak przez jakiś czas udawało mi się to zwlekać, po czym zapisałem się później już po wyjściu z wojska do związków zawodowych Solidarność i tak do tej pory do żadnej partii politycznej nie należę, za to do związków zawodowych jestem zapisany. Ale to bardziej może nie ze względów politycznych, tylko ze względów poczucia bezpieczeństwa, stabilności, opieki, bo jednak te związki zawodowe bardziej dbają o to, żeby pracodawca nie mógł sobie robić, co chce w firmie. Zresztą było parę takich sytuacji, w których związki pracowników pomogły w zakładzie. Nawet jeśli chodzi o jakieś podwyżki, to też bardzo często są ze względu na to, że związki zawodowe naciskają na to, by podnieść pensje pracownikom. Przynajmniej u nas te związki działają nie najgorzej.

Jakie to były sytuacje, może Pan pamięta, kiedy związki zawodowe wspomogły pracowników?

Znaczy tak... No na pewno takie sytuacje indywidualne, gdzie na przykład pracownik czasami bezpodstawnie, miał być zwolniony, tak? Związki zawodowe przeprowadzały wtedy rozmowę z przełożonym, starały się powstrzymać... Pa-

miałam sprzed paru lat sytuację, gdy jeden z pracowników uległ, no może niegroźnemu wypadkowi, ale miał dość mocno uszkodzony staw kolanowy i jego choroba się przedłużała, chciano go zwolnić. Związki zawodowe wystąpiły do prezesa o to, żeby nie zwalniać pracownika, żeby go zatrzymać, dotąd dopóki albo nie dostanie renty, albo nie wróci z powrotem do zakładu i nie wyleczy tego kolana, i nie wróci do zakładu. Wiadomo, że teraz zakład od kilku lat, od kilkunastu już nawet, zakład może zwolnić po sześciu miesiącach pracownika bez podawania przyczyny pomimo, że mu się przedłuża zwolnienie i on dalej będzie na zwolnieniu i na zwolnieniu ma prawo być, natomiast zakład może go zwolnić bez podania przyczyny tylko dlatego, że... Nawet chyba musi wyrazić zgodę na dalsze chorowanie pracownika... No już nie wiem, jak to jest dokładnie prawnie, ale no bywało... Poza tym takie działania – no są rozmowy na temat podwyżek, ewentualnie na temat jakichś socjalnych spraw z szefostwem. Dawniej to może była taka indywidualna ochrona pracowników i przede wszystkim tak, no rozmowy dawniej o podwyżkach. Teraz trochę to te podwyżki dzieją się bardziej tak z automatu, ale to wiadomo, jak to prezesi oni zawsze wolą mieć trochę więcej pieniędzy w kieszeni niż mniej, więc nie są chętni do rozdawania pieniędzy w formie podwyżek dla pracowników. No jednak te związki zawodowe, gdy troszkę tam przycisną – nawet nie w formie protestów, tylko rozmów z pracodawcą – to zawsze prędzej to wywalczą niż zwykły pracownik. No zwykły pracownik indywidualnie to może dla siebie wywalczyć jakąś podwyżkę, ale tu chodzi o gro, o całą załogę chodzi i tam się przydają związki zawodowe przy takich sprawach.

A jak wyglądała Pana działalność w tych związkach zawodowych?

No tak ogólnie to... Raz próbowałem na przewodniczącego, zgłosiłem się, no ale nie miałem tylu... Było kilku kandydatów, no nie miałem tylu głosów, żeby zostać przewodniczącym, no i jestem członkiem związków, już teraz odeszła mi chęć na bycie przewodniczącym czy czymkolwiek, ale zawsze chętnie udzielam się, jeżeli chodzi o jakieś rozmowy, porady czy coś, że zauważę, że się źle dzieje, to podejść, porozmawiać z przewodniczącym związków – nie ma problemu z tym u mnie. No a była kiedyś sytuacja, że chciał mi mój przełożony bardzo dać naganę. Natomiast no ja nie widziałem podstaw i udałem się do przewodniczącego, wytłumaczyłem mu, o co chodzi, no jak gdyby w moim imieniu poszedł porozmawiać z przełożonym, no i po tej rozmowie przełożony uznał, że nie było podstaw mi udzielić nagany no i tej nagany nie dostałem. No to też takie indywidualne działanie związków no to też bywa.

To teraz może nawiążmy do okresu stanu wojennego – jak to wyglądało?

To znaczy tak... Ja akurat, jeżeli chodzi o to, to ja, gdy przyszedłem do zakładu, to strajków już nie było. Były w zakładzie strajki ale to przed '81, przed wrześniem. Bo ja od września '81 roku zacząłem pracować. Strajków nie było. Za mnie natomiast no bywały takie przerwy, jak gdyby, ale to sytuacje techniczne i potem w stanie wojennym, ponieważ no jeżeli jakieś elektrownie strajkowały itd., były

małe dostawy energii i zdarzało się tak, że nagle wyłączano w całej firmie energię elektryczną, mieliśmy dwie godziny postoj, które nie były, jak gdyby, przez nas spowodowane, tylko było to z zewnątrz powodowane. No już nie pamiętam, jak to się nazywało... Stopnie zasilania... I tam zależnie od tego stopnia były wyłączane jakieś zakłady i mogły być ulice, domy indywidualne odłączane od energii elektrycznej, to te rzeczy pamiętam. Na pewno w zakładzie jakichś takich depresji nie mogę sobie przypomnieć, jeśli chodzi o ten okres stanu wojennego. No ja już po strajkach przyszedłem. Natomiast w Zgierzu to tak pamiętam porozstawiane patrole chodzące, porozstawiane w jakichś miejscach, w które zimową porą można się było ogrzać, bo były problemy z komunikacją, tak nieczasowo jeździła. Pamiętam czasami powybijane szyby. Tak jak mówię, na Proboszczewicach była roгатka umiejscowiona, gdzie zatrzymywano samochody, zatrzymywano tramwaje, gdzie były sprawdzane, kontrolowane, ale tych największych represji... Te początki stanu wojennego to akurat jeszcze mnie ominęły, to było za czasów szkoły podstawowej.

A czy obchodzono może 11 listopada?

To znaczy tak... Jako w całym zakładzie 11 listopada nie bardzo, żeby obchodzono. Na pewno później, na jakimś związku, to były jakieś delegacje gdzieś odsyłane tak, natomiast, żeby jakoś specjalnie był obchodzony, nie kojarzę.

A jak wyglądały święta Bożego Narodzenia, sylwester?

Nie, nie, nie. To znaczy tak w dawniejszych czasach to jeżeli chodzi o Boże Narodzenie, to że dwie-trzy godziny pracy, uścisk dyrektora, życzenia, tudzież innych przełożonych i na tym się kończyło. Przez ostatnich kilka lat mamy taką wigilię zakładową – może nawet kilkanaście – wcześniej to były takie wigilie na słodko, teraz to prezes organizuje, że przyjeżdża catering, różne potrawy, ale nie mamy tego organizowanego na zewnątrz zakładu. Kto chce z pracowników, oczywiście może na tą wigilię przyjść, nikt nie jest zmuszany, kto nie chce, nie przychodzi. Są napoje jakieś tam, gorące napoje, zimne, do tego jakiś posiłek jest na gorąco, na zimno. Oczywiście są od dyrektora, od prezesa zawsze, pomimo że prezesa mamy na stałe w Warszawie, więc prezes z Warszawy lub dyrektor składa życzenia całej załodze, po czym jest posiłek, kto ile chce jest sobie na tej wigilii, po czym wszyscy się rozchodzą. Jest to organizowane tak, że po tej wigilii idą do domu, czy to już jest koniec pracy, czy jeszcze komuś zostało, to już po tej wigilii idzie do domu.

A czy zapadły Panu w pamięć jakieś szczególne wydarzenia? Może jakieś zabawne sytuacje?

No wie pan co... [zastanowienie] Zapadło mi kilka wypadków w pamięci, które były w naszej firmie...

Może też Pan o nich opowie...

Wie pan co... No było parę takich wypadków, na przykład na starym oddziale, ten wypadek akurat nie zdarzył się przy mnie, tutaj akurat na Dąbrowskiego, ale był kiedyś wypadek przy no nie wiem, czy jeszcze chłopak żyje, ale... Miał płacną rentę przez firmę, przez wiele lat... Jakieś elementy naftą czy benzyną, jakimś środkiem łatwopalnym... Przy czym zapalili papierosa czy się wygłupiać i jeden chłopak zaczął płonąć, a miał ubranie z jakiegoś sztucznego, elastycznego materiału – to ubranie się całe przykleiło do ciała i wiem, że on był wywieziony, chyba do Gliwic, i już nie wrócił do firmy, już dożywotnią dostał rentę i zakład płacił mu tam dożywotnią rentę. To taki wypadek dość poważny, który miał miejsce w naszym zakładzie. Było kilka wypadków, może drobniejszych, może nie drobniejszych. Pamiętam, jak właśnie na modelarni jeden z kolegów, który miał dwa miesiące do emerytury pracował na frezarce, no i niestety listwa pękła i uciął sobie wszystkie cztery palce od ręki. No taki przypadek przykry, zwłaszcza że miał tuż do emerytury. Pamiętam, jak kolega na heblarce, nawet nie zauważył, sobie kawałek palca zheblował. Dopiero, jak inni zaczęli krzyżeć do niego, że krew mu skądś leci, to zaczął oglądać się i mówi: „O, palca sobie zheblowałem”, no ale to kawałek czubka palca. No dziwne to, nawet nie poczuł, że sobie zheblował. Parę wypadków było na prasach takich mimośrodowych, były wypadki, no ale to przeważnie przez błąd ludzki, rzadko kiedy, żeby zawiniła maszyna. Przeważnie błąd ludzki, no i nie oszukujemy się – przeważnie ludzie tam kombinują, że coś tam samo zadziało, że tego, że tamtego, no ale najczęściej to jest błąd ludzki. Pracował u nas kiedyś kolega, który kiedyś mu się na gilotynie... Też sobie uciął palce, ponieważ gdzieś mu się tam blacha zawadziła. Pracowali z kolegami we dwóch, no i włożył paluchy, kurde... Ponieważ to nie był całkowity docisk na gilotynie, tylko był punktowy docisk, więc między dociski włożył palce chciał tę blachę poderwać, żeby ją wyjąć. no w tym czasie kolega nacisnął. Niestety gilotyna, jak już ruszy, to się nie zatrzyma. No też mu ucięło, kurde niestety, wszystkie cztery palce, które wpakował tam. No bywały, bywały wypadki... Zresztą przez 40 lat w takiej firmie nie jest trudno o wypadek, raczej one nie powinny się zdarzać, no ale głupota ludzka nie zna granic. Nawet ostatnio też pracownik na zgrzewarce do siatki – gdzie siatka jest z pojedynczych drutów zgrzewana – mył rozpuszczalnikiem do siatki elektrody, no palił papierosa, na szczęście... Doszło do poparzenia, no bo miał ubranie, miał zmoczone tym rozpuszczalnikiem, doszło do poparzenia, ale no niegroźnego, po jakimś tam krótkim leczeniu powrócił do pracy... Natomiast od tej pory wprowadzono w firmie, poza palarniami, jak kiedyś można było palić na terenie całego zakładu – no bez mała, poza miejscami, gdzie jest zakaz palenia, ale to były tylko wyznaczone miejsca z zakazem palenia – to teraz jest zakaz palenia na całym zakładzie i tylko w wyznaczonych miejscach, tzw. palarniach, wolno palić papierosy.

Dobrze, to teraz nawiążmy do okresu przemian. Jak wyglądał rok '89 w Pana firmie? Były jakieś strajki, protesty?

To znaczy tak, w sumie u mnie w firmie jakichś większych strajków, protestów nie było dlatego, że... To był też i okres przemian w naszej firmie. Zamykano

oddziały, to ja mówiłem, odlewnie zamykano. Część ludzi, jak gdyby, automatycznie była do zwolnienia, natomiast zawsze ludzie dostawali wybór taki: albo mogli odejść z firmy, albo mogli się przebranżowić. Bywały z tego powodu jakieś małe napięcia, ale nie było jakichś ogólnych strajków. Produkcja była cały czas, mieliśmy jakieś tam okresy zastoju, ale nawet jeżeli był zastój, to ludzie dostawali uposażenie. Jak było trochę mniej produkcji, no to albo prace zastępcze. No nikt nie patrzył na to, że ktoś nie robi, no bo nie było co robić. Ale to były takie okresy, u nas się zdarzały takie okresy na początku roku ze względu na specyfikę firmy, gdyż nasz zakład pracuje na zamówienie. Czyli jakaś inna firma u nas zamawia wykonanie danego urządzenia pod jakiś tam swój projekt i na początku roku jest zawsze z tym najtrudniej, bo firmy muszą pozamykać budżety... Rozpatrzeć się, ile pieniążków mają na ten nowy rok, żeby zrobić zamówienia i najczęściej początki roku to u nas są takie specyficznie problematyczne. W połowie roku przeważnie, gdy jest okres letni, to u nas znowuż jest pracy w bród i ten okres przemian przeszedł jakoś tak spokojnie. Może nie było jakichś szałowych zarobków. Wspominam to, że te zarobki takie były, mimo że w zakładzie nie najgorzej się zarabiano. Kiedyś nasz zakład był taki przodujący w Zgierzu, jeśli chodzi o zarobki, później zaczęło to troszkę siadać. Było to problematyczne dla ludzi, natomiast ze względu, że były te związki, które kładły duży nacisk, żeby pracownicy jednak nie mieli tych pieniędzy aż tak mało, żeby mieli za co żyć, żeby spokojnie na życie im wystarczyło, zawsze cisnęły dyrekcję o to, żeby jakieś tam podwyżki były, no to nie było tak źle. Jakichś tam większych strajków nie było – zawsze, nawet jeśli było coś planowane, że pewnie będzie strajk, no to jednak rozmowy między związkami a dyrekcją doprowadzały do tego, że strajków nie było.

Wspominał Pan, że dobrze się zarabiano. Ile to było na tamten okres?

Na tamten okres? No to było tak, powiedzmy, sobie koło... Po kilka tysięcy złotych i to były takie zarobki w granicach 4 tysięcy w latach 80. To były duże zarobki. Natomiast nie wiem, czy to można przyrównać do tych zarobków, bo to całkiem inne ceny, ale ponieważ ja pamiętam, jak moja mama pracowała w przemyśle odzieżowym i zarabiała 1700, a mój tata w kopalni zarabiał ok. 4 tysięcy też. No później, jak u nas były cztery, to on tam miał sześć – co prawda też nie pracował w kopalni węgla, tylko w kopalni rudy, więc te zarobki też były inne niż na węglu, ale nie były złe zarobki. Chyba byliśmy drugim zakładem w Zgierzu pod względem zarobków, także tylko chyba w Borucie od nas więcej zarabiali.

A wie Pan dlaczego tak było?

Trudno powiedzieć... Nie wiem. Czy faktycznie, jeśli chodzi o ilość sprzedaży naszych rzeczy, nie wiem, naprawdę nie wiem, dlaczego były tak wysokie zarobki, ale zarobki były dobre... Czy no po prostu, chcąc utrzymać załogę... Ale w tamtych czasach u nas było tak, że u nas potrafiło miesięcznie stu ludzi się zwolnić, stu ludzi przyjść nowych, często byli ludzie przyjmowani, zresztą chyba zakład miał nakaz przyjmowania ludzi, którzy byli z więzienia wypuszczani, wychodzili tak po odbyciu swojej kary. To chyba takie nakazy były, że musieli tam

przyjąć jakichś tam więźniów. No z tego powodu też były czasy takie kiepskie, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo, no może nie bezpieczeństwo, bo, jak gdyby, bezpośrednio ludziom nie zagrażali, ale trzeba było uważać na swoje narzędzia, żeby ktoś nie ukradł, no bo jak przychodzili ci z więzienia, to często narzędzia ginęły, ukradł, sprzedał, co tam przyszedł porobił dwa tygodnie, pokradł, posprzedawał, za dwa tygodnie nie wrócił do pracy, za jakiś czas wyłądował z powrotem w więzieniu. No także można powiedzieć, że czasy były takie wesołe pod tym względem [rozbawienie w głosie]. Można było coś położyć, obrócić się i już tych rzeczy nie było. Także... No ale czemu były takie zarobki dobre, nie wiem, może z chęci utrzymania załogi, no jednak ta produkcja była i była jakoś sporawa produkcja i ilość oddziałów, a produkcja nie była lekka w porównaniu do przemysłu lekkiego – to nie była lekka produkcja, tak? Nie żadna związana z odzieżą, tylko związana z przemysłem metalowym.

Jak Pan miał przerwy od pracy, to jak Pan spędzał ten czas? Co się wtedy robiło?

Różnie, czasami poszło się na piwo z kolegami, czasami się poszło na spotkanie z dziewczyną, jak to w życiu tak, czasami coś trzeba było w domu zrobić. Spotkania no to raczej w takim towarzystwie... Prywatki były, ewentualnie na jakąś dyskotekę się szło, bo nie było klubów, tak jak teraz, że jest tych klubów pełno. Można sobie do klubu iść, posiedzieć kulturalnie, w bród jest restauracji, w bród kawiarni. Kiedyś to mało restauracji i jeszcze często można było dostać po pysku w restauracji od jakiegoś pijaka, no teraz jest bardziej kulturalnie, to jest na pewno. Dostępność wszystkiego podług tego, co kiedyś, to nie ma co porównywać, teraz jest gdzie iść, posiedzieć sobie kulturalnie, posłuchać muzyki, pobawić się, potańczyć. Jest tego wszędzie pełno, tylko kwestia, czy się chce tak, a kiedyś chciało się, a nie było. Pamiętam, gdy pierwszą pizzerię w Zgierzu otworzyli, na Długiej. Nawet nie było za wielu chętnych na tą pizzę, przychodzili ludzie, ale żeby tłumy były – nie. Pamiętam taką kawiarnię przy Kilińskiego, placu, to ona się Mariolka chyba nazywała. No można było wejść na kawę, ciastko, ale jakichś tłumów nie było. Czasami pod wieczór... No trochę tam przychodziło, ale bardziej przychodzili, że chłopak z dziewczyną, nie było takich spotkań towarzyskich jak teraz, co przychodzą do kawiarni czy tam gdzieś schodzi się grupka znajomych i sobie siedzą, raczej tak nie było. Po zwykłych knajpach albo ktoś przychodził na obiad, albo piwo sobie popić, przychodzili znajomi, często gęsto przedobrzali z tym piwem, tak. No i później były różne sytuacje, na ogół było mniej takich możliwości towarzyskich niż teraz, ale każdy sobie jakoś organizował to. Często się siedziało w domu, słuchało muzyki, człowiek starał się złapać jakąś lepszą muzykę, coś z zagranicy, coś posłuchać, no u nas dostęp... Ja w tamtym czasie często gęsto próbowałem kupować jakieś płyty z nowościami, gdzie też nie było łatwo, bo żeby kupić płytę trzeba było jechać do Łodzi i czasami stało się dwie godziny w kolejce, żeby kupić płytę, bo jak się coś pokazało lepszego, to kolejki były takie, gdzie dwie godziny albo pół dnia trzeba było stać w kolejce, żeby kupić płytę. No takie były czasy.

A czy w pracy się piło alkohol?

Powiem tak: byli, są i będą tacy, którzy potajemnie wypijają. Na pewno dawniej bardziej przymykano oko na picie, no chyba, że już ktoś pił ponad miarę. No ale, że od kogoś pachniało alkoholem, jak nie był pijany, nikt na to nie zwracał uwagi. Były wyjścia, na przykład na czyjeś imieniny – teraz okej, ma ktoś imieniny, w porządku, po pracy, a kiedyś było tak: jak ktoś miał imieniny, to na przykład szło pół brygady na te imieniny. Szedł ten, co miał imieniny do przełożonego: „Słuchaj to o godzinie 10 idę z chłopakami, tak? Bo mam dzisiaj imieniny”, przełożony zwalniał, wychodzili i sobie urządzali imprezę. No teraz tego nie ma. A kiedyś to było, teraz to w ogóle raczej nie ma takich imprez imieninowych. Kiedyś każdy imieniny urządzał, przeważnie to były imprezy zakrapiane alkoholem, ale były. Teraz imieniny, no wiadomo, że jak są jakieś imieniny, ktoś przyniesie jakieś słodczyce czy ciasto, kawą poczęstuje, ale to wszystko. Przyjdą ci co znają cię, co wiedzą, przyjdą złożą życzenia, a no na pewno nie ma takiego... Ja wiem czy to była? Mnie się wydaje, że to była pewnego rodzaju więź między ludźmi. Ludzie byli ze sobą, byli bliżej dawniej niż teraz. Teraz są bardziej, są ludzie... Wyobcowani między sobą niż kiedyś. Kiedyś byli bardziej życzliwi, bardziej byli chętni jedno drugiemu pomóc, a teraz bardziej człowiek człowiekowi jest wilkiem w tych czasach.

Zgodzę się z Panem... A w którym roku firma Wandalex zakupiła zakłady?

[westchnięcie] I tu będzie problem... To było gdzieś w 2000? [...] No tak myślałem, w 2000 roku ma pieczętę Wandalex SA, więc wtedy pewnie zakupili.

Jakie zmiany wprowadzili?

Przede wszystkim, może na produkcji to niewielkie zmiany były na początku. Natomiast na pewno duże zmiany były w biurze. Sporo, ponieważ mieliśmy bardzo rozbudowane biuro, sporo osób było no może nie zwolnionych, ale dostało propozycje przebranżowienia się albo odejścia z firmy. No nie pamiętam żadnych takich nachalnych zwolnień, no chyba że ktoś z czymś podpadł, zwalniali kogoś z paragrafu, ale tak to to raczej, takie zwolnienia były, że albo przebranżowienie, albo odchodzi z firmy. I po zakupie przez Wandalex biuro najbardziej ucierpiało. Sporo osób odeszło, natomiast na pewno... Czy to było zaraz, czy może z rok później... Wandalex współpracował z taką francuską firmą Feralco i powstało Feralco Wandalex i Wandalex, i część ludzi zaczęła pracować w tej firmie Feralco Wandalex, a druga część Wandalex. Wandalex zajmował się typowo transportem wewnętrznym, takim przenośnikowym, a Feralco zajęło się produkcją... Ponieważ ta firma francuska produkowała, to Feralco zajęło się produkcją regałów wysokiego składowania i my do tej pory produkujemy regały wysokiego składowania. Co prawda Wandalex już teraz wykupił, jak gdyby, całkowicie te udziały Feralco i sam produkuje te regały wysokiego składowania, ale przez sporo lat, bo to tak kilkanaście, bo z piętnaście to spokojnie tak było, jak wspólnie z Francuzami produkowali te regały wysokiego składowania i nawet produkcja szła też do Francji. Jak współpracowali, to część produkcji szła do Francji, część przychodziła do nas.

No to tak, jeżeli chodzi o produkcję, to nie było na pewno na początek. Jak nas zakupił ten Wandalex, to sobie wymyślił, że my coś żeśmy im spłacali, nie wiem, jak to było opisane prawnie, bo Wandalex był przez chwilę, później powstawało ZUT Wandalex, później powstał Aporter, była nazwa i żeśmy im płacili za wynajem hali chyba jako Aporter, za wynajem hali, za prąd zużywany itd. No nie wiem, czy sobie poniesione straty tym wyrównywali, czy co, nie chce tu wyrokować... Ale na pewno żeśmy im jakieś pieniądze płacili za to użytkowanie. Natomiast czym były spowodowane... Na początku chcieli odejść od produkcji podnośników, później to nie... Zaczęła przynosić małe zyski, więc znowu wrócili do produkcji przenośników, ale zmniejszali asortyment. Produkcja, jak gdyby sama z siebie, też się zmniejszała, część ludzi odchodziło, bo nie odpowiadało im to, co się dzieje. No biuro najbardziej ucierpiało. Tym bardziej, że oni część biura, jak gdyby automatycznie, zlikwidowali ze względu na to, że mieli swoje biuro w Warszawie. I do tej pory jest biuro w Warszawie i jest biuro w Zgierzu. Prezes jest w Warszawie, w Warszawie ma swoje biuro. Jedyne co, to z czasem, bo... Firma Wandalex, gdy nas kupiła, to zajmowało się tylko i wyłącznie handlem wózków widłowych i przy tym zostało tylko, że jak oni przedtem mieli handel wózków widłowych, montaż ich i magazyny w Warszawie, to to teraz wszystko jest w Zgierzu.

To teraz niech mi Pan powie, czy wołałby Pan wrócić do tej pracy, jak w PRL-u, czy tak jak jest teraz jest lepiej?

Nie ma na to prostej odpowiedzi. Wszystkiego są plusy i minusy, tak? Jeśli chodzi o to, o, powiedzmy sobie, współzycie załogi, wołałbym tamte czasy. Jeżeli chodzi o dostępność i możliwości, te czasy są lepsze, także nie ma tutaj odpowiedzi. I były dobre rzeczy w tamtych czasach, ale są dobre rzeczy i w tych czasach. I w zakładzie, i w życiu takim osobistym to jednak wszędzie są plusy i minusy, tak? Gdyby wybrać najlepsze rzeczy z tamtych czasów i tych, byłoby idealnie, ale tak nie można. Ja zawsze się staram postępować w miarę dobrze, ale na ile mi się to udaje, to nie wiem. Chociaż są ludzie, którzy naprawdę nie wiem, cóż próbują osiągnąć krzykiem, jakimiś dziwnymi zachowaniami, co jest dla mnie niezrozumiałe i chyba nigdy nie było zrozumiałe. Mi się wydaje, że chyba no jednak w sumie ktoś widzi dobre strony mojego postępowania, skoro właściwie awansowałem od jakiegoś zwykłego ucznia do osoby zarządzającej grupą ludzi, także... No ale chyba ogólnie do tamtych czasów to nie bardzo... Tylko ze względu, na to, że ludzie byli dla siebie tacy normalniejsi... To chyba bym do tamtego jeszcze chciał wrócić. Teraz to mi się wydaje, że niektórzy ludzie... Po prostu chyba przerosła ich sytuacja, oni myślą że teraz są panami i wszyscy naokoło to muszą, kurde, być dla nich, nie wiem... Więc no. Coś jeszcze? To już, kurka, dwie godziny...

Czy jeszcze sobie Pan coś przypomniał?

Nie, raczej żeśmy sobie dość obszernie porozmawiali, także wydaje mi się, że żeśmy wyczerpali temat.

Dobrze, to z mojej strony to wszystko, dziękuję bardzo.

Pan Piotr

[nazwisko do wiadomości redakcji], ur. 1954 r.
Zakład Urządzeń i Elementów Technicznych
Przemysłu Lekkiego (ZUiETPL) „ZUT”
Lata pracy: 1972-1994

Rozmawiała Karolina Karolewska, ur. 1996 r.

Na początku proszę mi powiedzieć, w jakim zakładzie Pan pracował.

Pan Piotr: Proszę pani, to był ZUT – Zakład Urządzeń Transportowych, wcześniej to była Bzura [w tle słychać stawianie herbaty i pytanie kobiety, czy chce ciasteczka]. Ja pracowałem tam od '72 roku. I wie pani, to od '72 roku.

KK: Jak się Pan tam dostał? Jak Pan zaczął pracę?

PP: No po szkole, przed wojskiem zamierzałem pracować i poszedłem do pracy. [śmiech]

KK: Rozumiem, a proszę mi powiedzieć, co Pan tam robił.

PP: Pracowałem na stanowisku formierza ręcznego, robiliśmy formy do odlewów różnego rodzaju, no części do maszyn. Przede wszystkim to były maszyny włókiennicze i budowlane.

KK: Mógłby Pan powiedzieć, jakie to były części?

PP: No różne, wie pani, koła takie pasowe. Wszystkie części... Koło zębate do... Korpusy do silników, wszystkie odlewy.

KK: Jak wyglądał Pana dzień pracy? Od czego się zaczynało?

PP: Wie pani, to trudno powiedzieć... Trzeba było zrobić przynajmniej dwadzieścia form i te formy się powtarzało, robiło się to około piętnastu, dwudziestu minut jedna forma, na przykład jakieś koła pasowe czy, czy koła zębate, czy jakieś inne odlewy.

KK: Rozumiem, a jakie były zalety pracy w tym zakładzie?

PP: Co było?

KK: Zalety.

PP: No zalet to nie było za dużo, to była ciężka praca, ciężka praca, brudna praca. W tamtych czasach w miarę dobre zarobki były, w porównaniu do innych zakładów, ale właściwie to ja tam nie widziałem zalet.

KK: To jakie były wady?

PP: No brudna, ciężka praca, no i niebezpieczna. Najbardziej niebezpieczny to był odlew, metal jest, był w temperaturze, w ogóle żeliwo topi się w granicach 1600 stopni, a lejne jest od 1200 do 1400, to się zalewało do otworów. No i tutaj bezpośredni kontakt, tymi takimi pojemnikami, się we dwóch nalewali te formy.

KK: A czy ta trudna i niebezpieczna praca wpłynęła jakoś na Pana życie?

PP: No myślę, że bardziej człowiek odważny jest, bo to była rzeczywiście niebezpieczna praca. Odlewy były niebezpieczne, dużo wypadków było, poparzeń.

KK: A czy był taki wypadek, który jakoś utkwiał Panu w pamięci?

PP: Raczej nie, był w zakładzie na oddziale A, to wybuchły butle, to były w '68, to tam było parę śmiertelnych wypadków, ale to musiałyby pani dotrzeć dokładnie, na pewno w internecie to będzie uwzględnione. To było na Dąbrowskiego 19, to był Bzury oddział A.

KK: Mówił Pan o oddziale A, czyli było tych oddziałów więcej, tak?

PP: Było, było na Dąbrowskiego, później z Dąbrowskiego wybudowali zakład na Szczawińskiej, to przenieśli całą produkcję i montaż na Szczawińską, a odlewnia została na Dąbrowskiego. Ta odlewnia, wie pani, w zakładzie państwowym to była do '94 roku. W '94 roku przejął to Stróżewski, to był zakład prywatny.

KK: A po przejęciu przez Stróżewskiego były jakieś zmiany?

PP: Znaczący, wie pani, on tutaj produkcję robił, a wybudował nowy zakład, też na Rudunkach, na Sienkiewicza, Sienkiewicza 20. No i ten zakład jego istniał do tamtego roku, w tamtym roku został zamknięty.

KK: A jakie Pan ma jeszcze wspomnienia? Może z tym zakładem, w którym pan pracował?

PP: Trudno powiedzieć, kolegów dużo, sympatyczni ludzie pracowali. Więź taka była, bo tak jak pani wie, ja mam kontakty, długo już nie pracujemy razem, a kontakt mamy czy taki osobisty, czy telefoniczny, czy coś, no spotykamy się po prostu, czy na telefon, czy tak... Bo teraz w tych zakładach, wie pani, jak teraz istnieje, to ludzie odchodzą i przestają się znać, inna kultura teraz już jest, a przed-

tem jakie te więzi, takie koleżeńskie, przyjacielskie były. Można było liczyć na kolegę, a dzisiaj to jest przeszłość.

KK: A w okresie przemian, w '89 roku, coś się tam działo takiego? Jak zakład na to reagował?

PP: Chodzi pani o te...

KK: Strajki, Solidarność.

PP: No to raczej wszyscy byli za Solidarnością, po czasie no to ludzie zawiedzeni byli tym wszystkim, co ta reformacja robiła. Ale chyba wtedy, myślę że sto procent, strajki jak były, to wszyscy byli zaangażowani bardzo.

KK: A pamięta Pan może, jak to wyglądało?

PP: Myślę, że to bardzo podobnie jak wszędzie. Wie pani, czy, czy na Wybrzeżu, no, proklamowali strajk. Tylko tu można było, dyrekcja bardziej była, sprzyjała temu, że oni wiedzieli, że się kończy ten system i raczej żadnych takich represji nie było, bo jak, jak na Śląsku czy na Wybrzeżu bardziej tak rozumieli i myślę, że z ludźmi byli tak razem.

KK: Nawet bardzo ważne...

PP: Bo wie pani, to nie był duży zakład, ZUT wtedy, w tamtych czasach to było ludzi około dwóch tysięcy osób i dyrektorzy, raczej każdy znał dyrektora. Czy jednego, czy naczelnego, wszystkich zastępcy, technicznych, chemicznych, to my żeśmy ich znali. Oni często przychodzili na oddział i raczej nie było takiego dystansu między dyrektorem a ludźmi, że znaliśmy się po prostu.

KK: A jak Pan myśli, dlaczego było właśnie tak, że dyrekcja z pracownikami żyła dobrze?

PP: Bo było, znaczy nie były to molochy, to było po prostu dwa tysiące ludzi w zakładzie, to myślę, to sprzyjało chyba, temu żeby ci ludzie znali dyrektora. No i oczywiście, że to byli tacy ludzie w porządku po prostu. Bo pamiętam, pamiętam dzisiaj każdego z dyrektorów, który był.

KK: To ilu było dyrektorów, których Pan pamięta?

PP: Naczelnych, nie wiem, czy ten pan żyje. Zapomniałem nazwiska jego, on był kiedyś zastępcą dyrektora we Fresco. Biesiad... Bielecki, Biesiadzki. To też musiały pani dokładnie w internecie, lata, zweryfikować to.

KK: U mnie jedna ciocia pracowała we Fresco, może będzie wiedziała.

PP: Nazwiskami to raczej trudno mi powiedzieć, jak oni się nazywali. Nie, to trzeba by po prostu w internecie zweryfikować to.

KK: Jasne. A jak Pana strój roboczy wyglądał?

PP: Taki, no typowy, taki, wie pani, no ogrodniczki, bluza, buty takie ciężkie odlewnicze z kapkami, bo żeby, jak forma odlewnicza upadłaby na nogi, żeby te ochrony były na nogach, nie?

KK: Wspominał też Pan o oparzeniach, których było dość dużo. Jakich części ciała najczęściej dotyczyły?

PP: Co, co?

KK: Oparzenia, na jakie części ciała najczęściej padało?

PP: No ręce, nogi. O ja tu mam [pokazuje oparzenie na dłoniach] pamiątkę, po poparzeniach tutaj, widzi pani, tu o, tutaj.

KK: Jezus Maria.

PP: Widać to?

KK: Widać. Znaczy już jest wiadomo, że z biegiem czasu łagodniejsze, ale...

PP: No tak, ale to było już parę lat temu, sporo lat temu.

KK: A jak się Pana praca zakończyła w Zucie?

PP: Wie pani, to się zakończyła przejęciem, jak przejął, właściwie załoga cała odlewni przeszła do Stróżewskiego. To było, wie pani, z dnia na dzień. ZUT istniał, odlewnia przy Zucie, no bo Zut był jeszcze jakiś czas, dopiero później to przejął Wandalex na Szczawińskiej, a odlewnię to Stróżewski przejął w '94 roku, dokładnie, powiem pani, 1 czerwca. 1 czerwca.

KK: Prezent na Dzień Dziecka. [śmiech]

PP: Tak?

KK: No 1 czerwca w końcu, Dzień Dziecka, przejęcie zakładu...

PP: No tak i właściwie, to z dnia na dzień żeśmy przeszli, były tam, zgadzali się na przerwanie czasu wypowiedzenia, żeby... Bo nikt chyba właściwie nie przechodził na jakieś świadczenia bezrobotnych czy coś, bo od razu były przejęcia do... Stróżewski to od razu przejął. Zakład, produkcję całą i ludzi. Ja u niego pracowałem dwadzieścia lat do dziewięćdziesiątego czwartego roku.

KK: A czy właśnie po tym, czyli po tym przejściu, skończył Pan pracę?

PP: Znaczący tak, w '94 roku przeszedłem na emeryturę, ale ja pracowałem jeszcze tak na pół etatu.

KK: I zajmował się Pan cały czas tym samym, czyli przy formach?

PP: Pracowałem też przed Stróżewskim, pracowałem w odlewni metali kolorowych, to było już prywatne, państwa Sowińskich, ale tam to był taki epizod trzech lat, około trzech lat tam pracowałem. [ton głosu wyrażał niechęć do tego okresu]

KK: To chyba będzie ode mnie tyle. Bardzo dziękuję za rozmowę

[po kilku minutach luźnej rozmowy o życiu, mężczyźnie coś się przypomniało]

PP: Od pewnego momentu to zarobki spadły bardzo, bardzo. Zatrudniali i to wszyscy właściwie w zakładach, właściciele firm na minimalne i wie pani, jak na emeryturę ja szedłem to z ZUT-u miałem siedem lat, bo to dwadzieścia najlepszych lat do emerytury się wybiera, to nie mogłem wybrać więcej z ZUT-u, znaczy odlewni, jak siedemnaście, bo tam w międzyczasie pracowałem na kolorówce, to musi być cały rok do ZUS-u, żeby obliczyć emeryturę i do dwudziestu lat musieli mi wziąć od Stróżewskiego. Z dwudziestu lat najlepsze trzy lata, żeby było dwadzieścia. Od niego zarobki tak dużo obniżyły, tutaj miałem w granicach 170% średniej krajowej, to pani mówi, co zalety były tego, że ja zarabiałem 170% średniej krajowej w tamtych czasach. A u Stróżewskiego zarabiałem 30% średniej krajowej.

KK: Jezu, jaka różnica!

PP: To jest ta transformacja, wie pani.

KK: Pozorna.

PP: To jest właśnie transformacja, którą zwykli ludzie, mieli no po prostu z tym kłopot, duże straty finansowe.

KK: Czy poza tymi dużymi stratami finansowymi, jeszcze były jakieś konsekwencje tego przejścia?

PP: No wie pani, więcej trzeba pracować, no i szacunku dla pracownika to, wie pani, takie teoretyczne było takie, udawane. Pracownik był tyle wart, ja tak to odbieram, ile zrobił. A w tamtych czasach, jak to było państwowe, no to liczył się człowiek, liczył się człowiek. I wtedy wakacje były, przecież mieliśmy ośrodki wczasowe. Już jak u Stróżewskiego nic, nic.

KK: Właśnie. Skoro mowa o ośrodkach wczasowych i wakacjach, to jak to tam wszystko wyglądało?

PP: No ZUT miał dwa ośrodki, właściwie trzy chyba. Jeden w Łebie, drugi w Ustroniu Morskim i jeszcze gdzieś w górach, ale ja nie wiem, gdzie w górach, bo ja nie korzystałem. Ja korzystałem z Łeby i Ustronia Morskiego.

KK: Tak.

PP: To były nasze własne ośrodki. Wczasy, wczasy to były symboliczne pieniądze. Nie jestem w stanie powiedzieć, jakie to były pieniądze, to były takie pieniądze, że nikt nie płacił gotówką, tylko później z pensji odjęli, tam dwa czy trzy miesiące, za te wakacje i to naprawdę było symboliczne pieniądze. Kolonie letnie dla dzieci.

KK: I kolonie były w tych samych ośrodkach organizowane?

PP: Nie, nie, to były takie, oni kupowali. ZUT miał chyba tylko w Grotnikach, tylko w Grotnikach ośrodek dla dzieci kolonijnych.

KK: Nad Lindą chyba.

PP: Proszę?

KK: Nad Lindą?

PP: Nie wiem, bo moja córka raz tam była tylko.

KK: I te wczasy, które były w tej Łebie, Ustroniu, to były wczasy dla rodzin?

PP: Dla rodzin, tak. I to naprawdę były symboliczne pieniądze, a od przejścia już po tej transformacji, to było w '94, no to jeszcze ta transformacja była w '98, '99. Prawda?

KK: Yhym.

PP: To zaczęły zakłady, w latach 90., to i bezrobocie zaczęło się też robić, zakłady prywatne powstawały.

KK: Czyli można powiedzieć, że prywatyzacja zamknęła wszystko.

PP: No dokładnie tak. Pozamykała przyjaźnie przede wszystkim, bo może wtedy było gorzej, bo tamten system nie był dobry, to nie był dobry system, ale ludzie jakoś umieli się zorganizować i nikt nie bardzo przeszkadzał temu. A dzisiaj to czy to kwestia tych czasów, że każdy goni za pieniędzmi, że taki wyścig szczurów jest.

KK: Może, ja już mówię ze swojej perspektywy... [rozmówca wspomina o stuleciu Cezaka w zeszłym roku i porównuje organizację oraz szacunek między ludźmi w czasach minionych i obecnych; twierdzi, że kontakty zawarte w czasach jego młodości są trwalsze niż dzisiejsze]

NIE JESTEMY, BY DROTYM
LUDZI ŚWIATA, ALE PO TO
BY GO TWORZYĆ I PRZETACZAĆ
PRZEZ CIASY IAK SGALE TŁOYA
CHOCY I PO RAZY TRZAC
OSACZALI NAS TRUDNISKA
MY IADNYMI WŁASZKIM HŁAC
W CIROU, MASZYN I HOSLIN

Dr. O. Górnicki

Dr. Jadwiga
Jasina

ZA PRZEPRACOWANIE 25 LAT

DIADA ZABŁADNWA

DIADA ZABŁADNWA
DIADA ZABŁADNWA
DIADA ZABŁADNWA

DIURENCA

DIURENCA
DIURENCA
DIURENCA

DIURENCA 28. IV. 1977r.

Fresco

PRZODUJĄCA
BRYGADA
PRACY SOCJALISTYCZNEJ



Właściciel godnie odpowiedzialny



ZZPW „Fresco”

Zgierskie Zakłady Przemysłu Wełnianego im. J. Dąbrowskiego nr 30 „Fresco”

Po zakończeniu II wojny światowej nowe władze zastały zgierski przemysł w rozsypce. Charakteryzował się on słabym wyposażeniem maszynowym i niewielkimi możliwościami produkcyjnymi. Stan ten spowodował, iż przez cały 1945 r. przeprowadzano w zgierskim przemyśle akcję komasacyjną parku maszynowego w celu wzmocnienia mających największe szanse produkcji jednostek gospodarczych. W wyniku kontynuowanej komasacji oraz upaństwowienia, przemysł lekki Zgierza 1 stycznia 1947 r. zorganizowany był w dziewięć państwowych fabryk przemysłu wełnianego oraz jedną państwową fabrykę przemysłu konfekcyjnego.

Kolejna reorganizacja przemysłu lekkiego, zwłaszcza wełnianego, nastąpiła w 1949 r., kiedy to z dziewięciu fabryk państwowych utworzono dwa duże zakłady przemysłu wełnianego noszące początkowo numery 30 i 31. Z czasem przemianowano je na Zgierskie Zakłady Przemysłu Wełnianego im. J. Dąbrowskiego (ZZPW nr 30), oraz Zgierskie Zakłady Przemysłu Wełnianego im. J. Pietrusińskiego (ZZPW nr 31).

ZZPW im. J. Dąbrowskiego „Fresco” zajmowały siedem obiektów na terenie Nowego Miasta, jej dyrekcja mieściła się przy ul. ks. J. Popiełuszki 8 w dawnych biurach zakładów A. G. Borsta, które powstały w tej części miasta w II poł. XIX w. Zakład A przy ul. ks. J. Popiełuszki 6/8, Zakład B – ul. 3 Maja 6/8, to przed II wojną światową również były budynki zakładów rodziny Borstów, która zajmowała się produkcją materiałów wełnianych na dużą skalę. Kolejne części Fresco mieściły się już trochę dalej od głównej siedziby. Zakład C znajdował się przy ulicy gen. J. H. Dąbrowskiego pod numerem 19 i N. Barlickiego 3, a Zakład E przy ul. 1 Maja 3 i gen. J. H. Dąbrowskiego 6/8. Zakłady zorganizowane były w sześć oddziałów produkcyjnych: przędzalnię, tkalnię, cerownię, wykończalnię, farbiarnię surowca i włóknin. Roczna produkcja w 1988 r. wynosiła 3398 km tkanin wełnianych i wełnopodobnych, 342 km włókniny i 210 km przędzy.

Fresco zaopatrywało się w surowce (włókna wiskozowe, jedwabne i wełniane, w przędzę zesankową, bawełnianą i jedwabną), głównie w Łodzi, Zawierciu, Częstochowie, Bełchatowie, Moszczenicy. W niewielkim stopniu korzystało również, z surowców importowanych (Czechosłowacja, ZSRR, Włochy). Gotowe produkty sprzedawane były przez Fresco na obszarze całego kraju, a w 10-11% wysyłane do odbiorców zagranicznych, głównie do Szwecji i ówczesnego ZSRR.

W 1988 r. pracowały w ZPW „Fresco” 1243 osoby, w tym 727 kobiet. Największą liczbę wśród zatrudnionych stanowili robotnicy – 917 osób; pozostali to pracownicy techniczni (103), ekonomiczni (106) i personel pomocniczy (68 osób). Kadra kierownicza i ścisła administracja liczyła 49 osób.

Fundusz socjalny ZM „Fresco” wynosił w 1988 r. ponad 51 mln ówczesnych złotych i był przeznaczony na organizację wypoczynku dla dzieci, dopłatę do wczasów oraz na działalność turystyczno-kulturalną. Zakład miał udziały w ośrodkach wypoczynkowych w Łazach, Skrzynkach, Ustce i Wysowej. Do 1988 r. prowadził własne przedszkole, żłobek przyzakładowy, ambulatorium i przychodnię lekarską.

Podobnie jak pozostałe zgierskie zakłady przemysłu lekkiego, także ZPW „Fresco” odczuły mocno kryzys przełomu lat 80. i 90. XX wieku. Sytuacji zakładów nie polepszał przestarzały park maszynowy czy pojawiające się na rynkach tanie, jednak gorsze jakościowo produkty z Indii czy Chin. Zakłady ogłosiły upadłość w połowie lat 90. XX w. i na zawsze zniknęły z krajobrazu Zgierza.

Jadwiga Jasina, ur. 1933 r.

ZZPW „Fresco”, wagowa, skręcarka

Lata pracy: 1952-1983

Rozmawiał Paweł Kobyliński, ur. 1971 r.

W jaki sposób trafiła Pani do pracy w zakładzie?

Chodziłam do szkoły do siódmej klasy to w Zgierzu, potem właśnie chodziłam do handlowki [obecnie Zgierski Zespół Szkół Ponadpodstawowych im. Jana Pawła II], ale nie ukończyłam tej szkoły, bo wie Pani, ja mieszkałam też na wsi, to było daleko. Tam ani nie było światła, nic jeszcze i rano wyszłam, w nocy przyszłam. Zrezygnowałam z tej szkoły, skończyłam 18 lat i zaczęłam szukać pracy. I znalazłam tam, w tym Fresco. Kiedyś to nie było Fresco, tylko zakłady wełniane. Później skomasowali nas z Ozorkowem i to się zrobiło Fresco.

Jak wyglądał Pani dzień pracy? Jakie czynności wykonywała Pani po kolei?

To były zmiany. Najpierw przyuczyłam się tego zawodu, bo tam jedna Pani z Kuraka mnie przyuczała. Nawet już teraz nie wiem, jak ona się nazywała. No i się nauczyłam. Dostałam maszynę swoją i... pracowałam. Potem znów coraz nowsze maszyny były.

Uczyła się Pani pracy na maszynie? Pamięta Pani, jakie to były maszyny?

Jakie to były... Skręcało się z dwóch takich szpulek, na jedną się skręcało, bo były cieńsze i robiliśmy grubsze [nici]. Ja nie wiem... Bo później te nowsze to były Woltmany, to zapamiętałam. To znów się robiło takie duże kłębki, ze trzy kilo.

W jakich godzinach Pani pracowała?

Ja pracowałam od 5 do 13 i potem znów była zmiana od 13 do 21, i od 21 do 5 rano. Trzy zmiany.

Czy pracę wykonywała Pani w specjalnym ubraniu roboczym?

Taaaak. No właśnie! No to się przebierało. Fartuchy były takie grube kiedyś. Później to już każdy sobie szył, bo to, to takie drelichowe te, te... Były takie, no i buty żeśmy dostawali też, czepek, no i się przebierało w to i przystępowało się do pracy. Najpierw trzeba było tę maszynę nasmarować, żeby tam dobrze się kręciła [uśmiech], no i potem się pracowało te osiem godzin.

Praca była jednostajna, czy następowały jakieś zmiany?

Taka jednostajna, jak jedna tam partia się skończyła tej przędzy, no to znów się zakładało drugie i szło, i zmiany co rusz to były [przędzy].

Przerwy w pracy? Na przykład śniadaniowa?

Była. Przerwa śniadaniowa, była. Na każdej zmianie, to było 15 minut, na śniadanie, czy tam na kolację. Także... Była, no i kawa kiedyś była, woda sodowa, [...] mięta była do picia. [...] No zbożowa była [kawa].

Mieli Państwo osobne pomieszczenie socjalne, żeby móc wyjść na przerwę?

Mieliśmy taki pokój na przerwę śniadaniową. Wszyscy razem siadali, cała rodzina i... I żeśmy spożywali tam śniadanie.

Cała rodzina? Czyli cała Pani rodzina pracowała w zakładzie?

Nie, nie, nie! Taka rodzina... Zakładowa!

Czy był czas w pracy, aby porozmawiać ze współpracownikami? Czy nawiązała Pani jakieś przyjaźnie w zakładzie?

No... Były no... Bardzo dobrze się pracowało. Kiedyś to zupełnie inni ludzie byli: niezadrośni, nie to takie, taka jak rodzina! Teraz to nie wiem, jak by to było.

Co Pani najlepiej wspomina z zakładu pracy? Jak się tam Pani czuła? Co wywołuje najlepsze wspomnienie?

No, człowiek młody był, no to wszystko było dobre. Potem w '56 roku to wyszłam za mąż, później jeden syn się urodził, później drugi. [...] No i tak życie płynęło. [uśmiech]

Skąd Pani dojeżdżała do pracy?

Ja jeździłam tutaj ze Swędowa, ale ile musiałam iść! Z pięć kilometrów do domu. Ja mieszkałam... [we wsi] Florianów. [...]

Jak Pani godziła życie prywatne i zawodowe?

No, ciężko było. Jak dzieci były małe, no to żeśmy na zmianę pracowali [z mężem]. Jedno wychodziło, to te parę minut musiały zostać, zresztą ja miałam bardzo bliźutko, bo mieszkałam na Świerczewskiego [obecnie 3 Maja], no i tam miałam zaraz zakład, no to jak wyszłam za pięć, to akurat zdążyłam, bo jak później się tam przyszło, czy coś, to zaraz przepustkę zabierali. Trzeba było iść się tłumaczyć, dlaczego się spóźniłam. Tak to było.

Posiadali Państwo specjalne przepustki, które trzeba było okazać przy wejściu do zakładu?

Taaak, trzeba było okazać prawie codziennie... Pokazywać. No, zależy jeszcze jaki tam stał, ten portier. Niektóry to nie zwracał uwagi, bo przecież znał tyle ludzi, co przechodziło, a niektóry to trzeba było specjalnie.

Czy jakieś listy obecności się podpisywało wtedy?

Nie, nie, nie. Tam się na portierni nie podpisywało. No jak tam maszyna stała, to już wiadomo było, że jedna nie przyszła czy dwie.

Pamięta Pani może jakichś brygadzystów? Szełów? Jakie były między Państwem relacje? Czy dobrze się z nimi współpracowało?

Dobrze! Dobrze się pracowało, dopóki z Ozorkowem nas nie skomasowali, a potem już nie takie, już nie to było.

Pamięta Pani w którym roku nastąpiło to połączenie z Ozorkowem?

No właśnie, że nie.

Czy zakład dawał możliwość rozwoju? Awansu na wyższe stanowisko?

Też było, ale nie było takich, żeby przejść, jak tam do biura czy gdzieś to mniej się zarobiło, a tu każdy grosz był potrzebny, nie? [...] Kiedyś trza było się dorobić samemu. Nic nikt nie dał.

Pracownicy fizyczni zarabiali więcej niż biurowi?

Więcej, więcej, więcej. Z początku to ja byłam wagową, ale nie chciałam, bo grosze były, to co to tam było za stanowisko?

Na czym polegała praca wagowej?

No ważyła to, co tam pracownica zrobiła i potem się zliczało, majster robił taki protokół. [...] To były takie szpulki, cewki, tak jak się mówi, i to w koszyk, to obciągało się. Maszynę się zatrzymało, to się obciągnęło i znów się puszczało. No i... Tam był taki koszyk, to się 25 kg, to trza było na wagę wstawić, czy wagowa sama, czy z tą pracownicą.

Czyli musiała się Pani bardzo nadźwigać przy ustawianiu tych koszy na wadze?

No nie, no bo to przeważnie się do koszyków takich ściągało z tej maszyny. Ta pracownica razem z tą wagową, razem wstawiała, także nie było takiego dźwiga-

nia, nie było. Nie było tak baaardzo ciężko. [...] Trzeba było robić, żeby zarobić...
Wie Pani, akord jak to był...

Gdy pracowała Pani już jako skręcarka, co było produktem Pani pracy?

My robiliśmy nici i to szło na tkalnię, i takie osnowy – to robili specjalnie, to już ludzie byli – no i to potem na tkalnię szło. Tkacze dopiero ten materiał robili. Wielkie bele były.

Czy w pracy dochodziło do jakichś wypadków?

Nie, nie było wypadków.

Jakie były warunki pracy? Czy zawsze było odpowiednio widno, ciepło?

Ciepło było, tylko z początku były te takie żarówki, te lampy – jedna żarówka, a potem te neonówki były porobione – oświetlone dobrze, ale z początku, jak żeśmy pracowały, ale to wszystko z biegiem czasu, to wszystko zlikwidowali. Te ciemne oświetlenie, bo jak ona miała jeszcze taki abażur, to tylko pod spodem było widać, a później to już było dobrze oświetlone. [...] Coraz to ulepszali. Lepiej i lepiej było.

Pracowała Pani na stojąco, siedząco, czy musiała Pani dużo chodzić?

Aaaa! Chodzić! Ile kilometrów... Oj! Ile ja kilometrów zrobiłam, bo ta maszyna taka długa była 15 metrów, no to trzeba było... Te nitki się zrywały, trza było chodzić, wiązać i tak dalej! Tu już pełno, trza było ten obciąg zrobić i znów puszczać, te szpulki nakładać i starać się te szpulki poukładać. [...] No naprawdę, jak na akord to ta praca była dosyć trudna. Ciężka. Myśmy to skręcały z dwóch w jedną nić.

Te nici były różnej grubości? Różnego gatunku?

Różna przędza była, i cienka, i gruba, i z takimi farfoclami.

Czy zakład organizował jakieś święta?

1 Maja... No były, różne takie tam... Pikniki.

Chodziła Pani na takie pikniki? Lubiła je Pani?

Chodziłam... Z dziećmi chodziliśmy, z mężem chodziliśmy.

Zakład miał swój teren na którym organizował te pikniki czy odbywały się one na terenie miasta?

Nieeee... Na terenie miasta. Zakładu to nie. Gdzieś nad stawem czy gdzieś na Malince [Ośrodek Sportowo-Wypoczynkowy „Malinka”]. [...] Na grzyby jeździliśmy, jak jesień była... Ale nie było takich autokarów jak teraz. Tylko takie te, auta ciężarowe.

Czy były organizowane jakieś zabawy świąteczne? Sylwester?

Zabawy to były! Sylwester! Oczywiście! Zawsze się chodziło! Jak myśmy pracowały na trzy zmiany, to kiedyś sylwestra nie było! Trzeba było pracować jak wypadł ten dzień, prawda? To my też sobie tego, i bigos brały, i też żeśmy sobie zrobiły... Nie to, że jakaś pijatyka była. Wódki nie było, ale taka sobie kolacja była, jak to na przerwie. [...] Też żeśmy sobie zrobiły takie przyjęcie [uśmiech]. Jedna to przyniosła, druga tamto...

Jak wyglądał Dzień Kobiet?

Na Dzień Kobiet to dostawałyśmy zawsze prezenty. W Dzień Kobiet to i zabawa była i uroczystość. Jak to mówią: po jednym goździku, po rajstopie. [...]

Czy były organizowane jakieś wycieczki z zakładu?

Były, były... No takie wycieczki krajoznawcze. Też jeździłam.

W góry? Nad morze? Pamięta Pani jakieś miejscowości?

I w góry, i nad morze, no wszędzie tak po Polsce jeździliśmy. Takie jedno- i dwudniowe wycieczki, na więcej to nie można było sobie pozwolić.

Czy zakład organizował lub dofinansowywał wyjazdy na wczasy?

Wczasy? To ja byłam... Nie. Nie byłam. [...] Nie, a to w Spale byłam, jedyny raz, ale to nie ode mnie tylko od męża z zakładu.

Kolonie dla dzieci?

Dzieci jeździły! I to dobrze było, bo raz ode mnie, raz od męża, także dwa miesiące to sobie były, a to nad morzem, a to w górach.

Dzieci otrzymywały paczki świąteczne z Fresco?

Aaaa taaaak! Były! Na Świętego Mikołaja, no na Boże Narodzenie, zawsze.

Co było w takiej paczce?

Oj, przeważnie słodycze, no tak... Przeważnie jakieś kredki czy jakieś zabawki jeszcze do tego. Paczki to [dostawał] ten, kto brał rodzinne. Mąż brał rodzinne

to z jego... Mąż pracował u Waltera, to on odbierał te paczki, zawsze. Bo on rodzinne pobierał.

Co roku dzieci dostawały i do przedszkola chodziły z mojego zakładu, na Waryńskiego [obecnie ul. Popiełuszki] to było. Tam obydwaj chodzili. [...] Jak już dzieci urosły to mąż na jedną zmianę pracował, a ja na trzy – do końca mojej kadencji. [śmiech]

Brała Pani udział w czynach społecznych albo związkach zawodowych?

Później, jak już ta Solidarność się zaczęła, te strajki się zaczęły... To dopiero. No to jak ta Solidarność była, ale nie ta dzisiejsza! Tamta! Jak się zaczęło, ten strajk, to ja byłam kolporterem, byłam. Roznosiłam te ulotki, te gazetki różne. [...] Później, jak te strajki były to mieliśmy przepustki, już trzeba było jak policja czy ktoś tam zaczepił, okazać się, co się robi na tej ulicy. Później to wszystko doszło do normy i... Już się skończyło.

Co związki zawodowe i strajki wniosły do Państwa życia lub pracy? Co się zmieniło?

Nic się nie zmieniło! Jak było, tak jest i do tej pory tak jest!

Wracając do wsparcia ze strony zakładu, czy Fresco dysponowało mieszkańcami pracowniczymi, dofinansowywało zakup mieszkań?

Było! Było to też, ale my dostaliśmy mieszkanie z pracy od mojego męża. Także ja nie dostałam. Mieliśmy jedno mieszkanie, przyszła komisja i, za dwa tygodnie chyba, dostaliśmy mieszkanie. Sąsiadka też starała się, bo wie Pani, jak to na górze [na poddaszu], te dziury, te stare domy, a ja sobie zawsze zrobiłam porządek, gdzie tam się dziura zrobiła. To jakąś makatkę, to tamto [nakleiałam]. Pamiętam, jak komisja wtedy przyszła, ja przyszedłam z nocy, ja zawsze miałam czysto i tak jakoś sobie posprzątałam i potem przyszli, i te dwoje dzieci malutkich. No mali byli! [...] O jak zobaczyli! O to takim ludziom trzeba dać i te dzieci takie czyste [stwierdzenie komisji], i w tym domu tak ładnie [śmiech] i do tej pory tam mieszkam.

Fresco miało kluby sportowe?

Były, były! Bo to i piłka! Było, było! Tylko ja nie chodziłam, raczej to mąż tam więcej do Waltera z dziećmi. [...] Były rajdy rowerowe, a to i ping-ponga. Raczej to tam mąż, tam chłopaków [synów] ciągnął do siebie. U nas też tam były kluby sportowe: i piłka, i lodowisko czy hokej, nie można powiedzieć. Kto chciał, to chodził.

Myślała Pani o tym, żeby zmienić pracę? Na przykład przenieść się do Waltera czy do innego zakładu?

Nie. Jakoś tak nie... Jak zaczęłam, tak mnie coś nie ciągnęło. Dobrze mi było, no.

Była Pani dumna ze swojego zakładu?

No każdy był dumny z zakładu [uśmiech]. Taka rodzina kiedyś była w zakładzie. [...] Teraz to nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak to by było.

Gdy Pani synowie dorastali, myślała Pani o tym, że mogliby zacząć pracę we Fresco? Chciałaby Pani, żeby dzieci tam pracowały?

O, ja się zawsze modliłam, żeby zawsze się uczyli, żeby nigdy tak ciężko nie pracowali jak ja. [śmiech]

W jaki sposób praca wpłynęła na Pani zdrowie, życie?

No teraz kolana mnie bolą, z laską chodzę. [...] Też te noce, to wszystko, to wpłynęło na zdrowie. No i jeszcze przepracowałam na akord. Byłam, no... Takie duże zdjęcie miałam zrobione, jak na maszynie pracuję, i to zdjęcie wisiało chyba z pół roku. Od [ulicy] Piątkowskiej ten przystanek tam na Dołku tam jest, tam na tym szczyście to moje wielkie zdjęcie tam wisiało. Taaak, przodownica pracy i ja miałam to zrobione w gazecie, i teraz tak wszystkie te moje odznaczenia i te gazetki – ja miałam od pierwszego numeru, do końca, do ostatniego i to wszystko mój wnuk zabrał, i synowie też pobrali... [uśmiech]



Legitymacja związkowa Jadwigi Jasiny z ZZPW „Fresco”.



ZGIERSKIE ZAKŁADY PRZEMYSŁU WĘLNIANEGO im. JANA PIETRUSIŃSKIEGO

Zgierz, ul. Stankiewicza 1
Stacja Kolejowa Zgierz
tel. Zgierz 162 431-5
tel. Łódź 590...



Zeltor
oferują modne tkaniny ubranlowe-elanowe, damskie, kostiumowe,
z udziałem anilany i tortenu.

ZZPW „Zeltor”

Zgierskie Zakłady Przemysłu Wełnianego im. J. Pietrusińskiego nr 31 „Zeltor”

Zeltor powstał – podobnie jak Fresco – po kolejnej reorganizacji zgierskiego przemysłu lekkiego, która nastąpiła w 1949 r., kiedy to z dziewięciu fabryk państwowych utworzono dwa duże zakłady przemysłu wełnianego noszące początkowo numery 30 i 31 – Zgierskie Zakłady Przemysłu Wełnianego im. J. Pietrusińskiego (ZPW nr 31). Później pojawia się nazwa Zeltor, która powstaje z połączenia słów: zgierska, elana i torlen.

ZZPW im. J. Pietrusińskiego „Zeltor” miały znacznie korzystniejsze warunki działalności, niż niedofinansowane Fresco. Dla tych zakładów w latach 1958-1964 wybudowano nowy obiekt na Rudunkach. Koszt budowy kompleksu wynosił, według cen w okresie budowy, 350 mln zł. Mieścił się on przy ul. H. Sienkiewicza 10 i dysponował czterema oddziałami produkcyjnymi: przędzalnią, tkalnią, wykończalnią i farbiarnią. Skomasowanie wszystkich oddziałów obok siebie znacząco ułatwiała funkcjonowanie zakładu, tym bardziej, że w kompleksie fabrycznym znajdowało się również przedszkole – placówka ułatwiająca funkcjonowanie pracownikom.

Zeltor produkował tkaniny wełniane i wełnopodobne (sztuczne) (4088 km w 1988 r.) oraz przędzę wełnianą (900 t). Podstawowe surowce do produkcji sprowadzano z Łodzi i Torunia. Część surowców, zwłaszcza wełnę wysokiej jakości, zakład kupował w Australii i Nowej Zelandii, za pośrednictwem Textilimpexu, państwowego przedsiębiorstwa, zajmującego się importem z krajów kapitalistycznych. Gotowe produkty sprzedawane były w całym kraju za pośrednictwem państwowych przedsiębiorstw handlowych odbiorcom detalicznym i przedsiębiorstwom, zajmującym się np. wytwarzaniem mebli tapicerowanych. Około 20% produkcji eksportowano do Jugosławii, Syrii, Iraku, Jordanii, Włoch, Kuwejt i Finlandii.

W 1988 r. ZPW „Zeltor” zatrudniały 1188 osób, w tym 735 kobiet. Wśród zatrudnionych 45 osób miało wykształcenie wyższe, a 267 średnie, pozostałe osoby miały zasadnicze wykształcenie zawodowe. W strukturze zawodowej przeważająca część załogi była robotnikami zatrudnionymi bezpośrednio przy produkcji, 184 osoby były pracownikami technicznymi i ekonomicznymi, a 31 pracownikami administracyjnymi.

Zeltor prowadził własną stołówkę na 60 miejsc (1988 r.), sklep, kiosk Ruchu, oraz hotel robotniczy dla 14 osób. Fundusz socjalny zakładu (w 1988 r. wynosił prawie 35 mln zł) był przeznaczony głównie na utrzymywanie ośrodków wypoczynkowych w Brzezinach k. Kalisza oraz w Słowiankach w dawnym woj. koszalińskim.

Zakłady w pełni funkcjonowały do końca lat 90. XX wieku. Zamknięcie rynków wschodnich po rozpadzie Związku Radzieckiego i niepewna sytuacja gospodarcza w Polsce doby transformacji ustrojowej sprawiły, że firmie trudno było sprostać rosnącej wolnorynkowej konkurencji.

Pani Maria

[nazwisko do wiadomości redakcji] ur. 1949 r.
ZZPW „Zeltor”, tkaczka
Lata pracy: 1967-1996

Rozmawiała Karolina Karolewska, ur. 1996 r.

Proszę mi powiedzieć, jak Pani trafiła do zakładu.

Były urzędy pracy, z urzędu pracy oczywiście, dostałam się do hufca oczywiście i do nauki na krosna.

I co było dalej?

No i przesłam przez trzymiesięczny kurs oczywiście, no i podjęłam pracę, i przesłam do Zeltoru już właśnie jako tkaczka, no oczywiście na krosna [dygresja o wcześniejszym miejscu pracy].

Jak wyglądał Pani dzień pracy w Zeltorze?

Pracowałam na trzy zmiany, trzymianowa praca, no to było od 5 do 13, od 13 do 21 i nocna zmiana od 21 do 5 rano. To znaczy się po tygodniu, no tydzień czasu pracowało, tydzień tak, tydzień tak, no oczywiście, że tak. No z kolei byłam na mieszkaniu, bo no, ja przybyłam do Zgierza, nie jestem zgierzanką, oczywiście. Przybyłam do Zgierza, więc byłam na mieszkaniu.

A to mieszkanie było przyzakładowe czy...?

Nie, nie, wynajmowałam mieszkanie prywatnie.

Jak wyglądał Pani dzień pracy?

Po ośmiu godzinach pracy, bywało różnie.

[śmiech] A co się działo w zakładzie?

Pracowało się, praca była na akord, więc ja, nie było czasu, żebym ja mogła sobie pozwolić na coś, praca była na akord, więc no musiałam pracować, oczywiście no. Było jedno krosno, później dwa, później trzy, no różnie to było oczywiście. A po pracy, no to tak jak mówię, było różnie, wracałam tam, gdzie mieszkałam.

Raczej nie gotowałam, stołowałam się w barze albo na suchym, no i spanie, i kolejny dzień albo no zmiany, różnie to bywały, no.

A właśnie na tych krosnach to jakie tkaniny? Co było robione?

No różne były i był eksport, i były grube, no jak to się nazywało, ja już teraz zapomniałam, jak one się nazywały. Obiciówki były też, były płótna żaglowe, no różne były, ja już wszystkiego nie pamiętam.

Zrozumiałe.

No oczywiście, że tak, no to ja na tych krosnach pracowałam dwanaście lat. Likwidowali oddział i przenieśli mnie na nowy oddział do Zeltoru, no tu był oddział w mieście, co robiłam na tkalni, a przenieśli no... I tam byłam, pracowałam na przygotowawczym.

To znaczy?

Już nie przeszłam na tkalnię, tylko na oddział przygotowawczy i to była snowalnia, byłam pomocą snowacza. Tak się to nazywało – pomoc snowacza.

Jakie były Pani zadania jako pomoc snowacza?

No takie: ramę musiałam zapełnić, związać. To, co zdjęłam z ramy, jak była zmiana partii, artykułu, no to ja później musiałam to wykrzyżować, bo to odchodziły, no tkaczki później musiały, zabierały, żeby pracować jako wątek, no bo tutaj szła osnowa. No i to, co tutaj zeszło, to ja musiałam wykrzyżować, bo to były małe już później, z dużych krojcy – tak żeśmy mówili, krojce – były małe, więc później trzeba było wykrzyżować to, i oczywiście zabierały tkaczki, i robiły wątek oczywiście. No i sprzątanie wokół maszyny, no to wiadomo, że czystość to wszędzie, to był obowiązek, oczywiście, że tak.

Wspomniała Pani o krojcach. Co to jest?

To jest taka szpula i na tym jest nawinięty, to są nici duże, dużo tego jest.

A czy mieli Państwo jakieś inne swoje nazwy na jakieś tam części?

Ja już nie pamiętam, nie pamiętam już oczywiście, to było tyle czasu, musiałabym sobie, tam nie wiem co przypomnąć.

Rozumiem, oczywiście. A proszę mi powiedzieć, jakie były zalety pracy w zakładzie.

No jak mógł człowiek nie pracować, od tego się zaczyna. Musiałam z czegoś żyć, pobierałam pożyczki w zakładzie, bo wpłacałam na mieszkanie, bo byłam

na mieszkaniu, więc musiałam sobie wpłacić. Wpłaciłam sobie na bloki oczywiście, więc pożyczkę w zakładzie wzięłam, którą spłacałam. No wiadomo było, że dostawałam pensję, więc z tego żyłam, opłacałam mieszkanie i pożyczkę mi pobierali, na to, co brałam na bloki, no więc lekko nie było. A co jeszcze... Już nie pamiętam wszystkiego.

A jakieś wady, wypadki?

Nie [zaprzeczanie na temat wypadków]. Zdarzało się, że pogotowie przyjeżdżało na tkalnię i tak dalej, ale akurat u nas nie na przygotowawczym, to gdzie tam ktoś był chory czy jak, ale tak to jakichś wypadków to nie było.

Wspomniała Pani o dziale przygotowawczym. Były jakieś inne działy w zakładzie?

No pewnie, że tak.

A jakie?

No była przedzalnia, na przykład z przedzalni też przedza przychodziła na przygotowawczy, jako snowacze żeśmy robili albo krzyżarki robiły, no bo to im było też potrzebne, one zdwajały tą przedzę, która ona też była potrzebna na tkalnię, no bo to już były inne dziewczyny na innych maszynach oczywiście. Była wykończalnia, oczywiście, gdzie tam były, ja już tam normalnie nie wiem, jak się maszyny nazywały, bo tam były i prasownia, i farbiarnia, i dekatyzarnia¹. Tam już tych maszyn stamtąd już nie, tam się nie chodziło, myśmy nie chodziły tam. Nie wolno było się kręcić po zakładzie, chyba że nas tam wysyłali. O, no bo tak było.

Oczywiście, a poza właśnie tymi pożyczkami, o których Pani wspomniała, i mieszkaniu w blokach, o które się Pani starała, praca jakoś wpłynęła na pani życie?

Nie wiem, życie przeleciało przez palce.

Rozumiem, a czy dostawali Państwo jakieś wczasy, ośrodki wczasowe, było coś takiego?

Były.

¹ Dekatyzarnia – potoczna nazwa oddziału, w którym dekatyzowano tkaniny. Dekatyzacja – proces polegający na poddawaniu tkani działaniu gorącej (ok. 60 °C) wody, pary wodnej i zimnej wody, mające doprowadzić do wykurczenia się włókien w kontrolowanych warunkach i stabilizacji ich wymiarów. Proces ten zapobiegał kurczeniu się tkanin w trakcie ich użytkowania.

Wyjeżdżała Pani?

Nie, ja nie korzystałam. Ja byłam osobą samotną, więc zawsze były najpierw rodziny z dziećmi. Zawsze zostawałam gdzieś w tyle ze wszystkim, nawet jak były paczki, przychodziły z zagranicy, czy tam jakieś, to też zawsze dostawały rodziny z dziećmi, nigdy nie osoby samotne.

Rozumiem, a okres przemian w zakładzie, czy już okres Solidarności, jak Pani wspomina?

No były strajki.

I jak one wyglądały?

No my najmniej żeśmy, myśmy wykonywały, to, co komitet nam zdecydował, więc no wiadomo. Ja tydzień czasu strajkowałam.

I co Pani wtedy robiła?

Nie wychodziło się z zakładu. Wychodziły tylko, po dwóch zmianach wychodziły matki z dziećmi, bo mężowie też pracowali w tych zakładach, więc one dwie zmiany strajkowały, jedną szły do domu, do dzieci, ale to tylko one oczywiście. Mężowie też, jak tam na innych oddziałach, a my żeśmy nie wychodzili. No, zaopatrzenie przynoszono.

A stosunki z szefostwem jakie były w zakładzie?

No różne [w głosie słychać ironię].

Chce pani to rozwinąć?

Nie.

Dobrze, rozumiem.

Najgorsze były na tkalni, tu już na przygotowawczym były lepsze.

Ma Pani jeszcze jakieś wspomnienia, związane na przykład z końcem pracy?

Nie, zwolniono mnie, bo mówili, że ci, co zostaną, będą mieli lepiej. [śmiech]

I dziękuję za rozmowę.

[po kilku minutach rozmowy nie związanej z pracą]

Ale i byłam obrażona na niego, jak mnie zwolnili, oczywiście także no...

A ma Pani kontakty do tej pory jakieś z byłymi pracownikami?

Tak, bardzo, no z Kazią, z Ewą, no ta Teresa, co zmarła. To wszystko są ludzie, no oczywiście Janek Kaczmarek, no ten z brodą, no to są wszystko ludzie z zakładu, to przecież ja nie miałam, to co babcia, no to już co innego, bo to była nie z zakładu osoba, ale te osoby, to wszystko z zakładu no, ja do dziś z nimi... Pewnie Tereska zmarła, ale no Mirka na przykład zmarła, no taka, ale no poodchodziły, ale tak to ja do dziś utrzymuję kontakty. Nie, nie, nie, to nie było tak źle z pracownikami, to się żyło w zgodzie oczywiście.

Czyli nie było jakichś tam sporów.

Nie, nie, chciałbym powiedzieć jak było. [śmiech] Nie, nie, nie, ludzie pracowali, każdy pracował, bo chciał mieć pieniądze. Oni mieli rodziny, ja nie miałam, ale no przecież też musiałam żyć z czegoś. Także nie, ja do dziś utrzymuję kontakty, no i z moim przełożonym też się spotykam, no na pogrzebach, czy gdzieś, przecież ja rozmawiam z nim. Nie rozmawiam z kierownikiem, mijam go z daleka.

Jakie były zadania mistrza w zakładzie?

No my, jak na zmianie było przynajmniej trzydzieści, czterdzieści czy tam pięćdziesiąt osób, różnie bywało, ale sześćdziesiąt też, ale za dobrych czasów, zanim tam ludzi pozwalniali, on decydował. Raz, że naprawiał maszyny, to był jego obowiązek oczywiście, jak maszyna się psuła, więc on to robił. A z kolei on musiał nas wszystkich pogodzić, którą gdzie postawić na jakąś maszynę, no czy zmiana partii. Chodziło o nici, to my tak nazywaliśmy – partia. Tak jak tkalnia, też była partiami, ileś krosien było to była partia, jak było dwadzieścia krosien to była partia, no jak zmiana partii, no to nici oczywiście. No on miał dużo czynności, no kłóciły się ludzie też oczywiście, bo ten dostał lepszy, nie rwały się nici. Ktoś dostał lepszą partię, lepsza cena była, to też było, no były problemy, no takie no oczywiście, no szło się wtedy do mistrza z pretensją, że dlaczego ja nie dostałam tamtej partii chociaż połowę, no bo wiadomo, że nie można było, tamta też musiała dostać, ale się mówiło: „A nie mogłam chociaż połowę dostać?”. No ja akurat nie, bo snowacz snową się zajmował, a ja wykonywałam to, co mnie snowacz zlecił oczywiście, także mistrz miał dużo, dużo na głowie. Musiał to wszystko, no nie mógł... No miał też swoich oczywiście, ale raczej umiał pogodzić, no bo od tego był, to się szło do niego. Czy po urlop, czy po wolne, czy jakieś wyjście, różne były rzeczy, to mistrz był od tego. No bo kierownik był też, ale to już tam po coś się szło.

A ilu tych mistrzów było w całym zakładzie?

No w całym zakładzie to nie wiem, ale na przykład na zmianie był mistrz, bo kiedyś były jeszcze podmistrze, a później już skasowali, tylko był mistrz jeden. No a na innych oddziałach, więc ja... Chociaż na tkalni mieli chyba podmistrza, ale ja już tam nie wiem, mówię, my nie chodziliśmy tam, wiedzieliśmy, że chłopaki

są mistrzami, ale wszystkiego się przecież nie wiedziało, to już był inny oddział oczywiście. Niby tam były te drzwi otwarte, ale myśmy tam nie miały potrzeby chodzić, bo po co. Przecież z tymi dziewczynami też się rozmawia do dziś oczywiście... Jak miała z osiem krosien, no to gdzie ona miała czas rozmawiać ze mną albo ja z nią, to nie było takie proste.

Te maszyny to pewnie były bardzo duże?

No były, no i huk, huk, bardzo, bardzo.

Czy poza hukiem i hałasem były jakieś inne wady tej pracy?

O, jak przyszło z farbiarni nieraz, to trzeba było pokrzyżować, różne kolory się miało tęczy na głowie, no to zależy jaka farba była, zanim to wszystko przeszło. Maski się nosiło, no bo się kurzyło, także no różnie bywało.

Wspomniała pani o maskach. Jak wyglądał strój roboczy?

Fartuch, fartuchy żeśmy otrzymywali z zakładu. Fartuch, na tkalni jeszcze na początku były chusteczki, później już były czepki... Czepki, później już było można opaski nosić, no i buty dostawałyśmy zdrowotne oczywiście, więc no wiadomo, jak to, tak, także buty były z choleweczką, oczywiście, że tak. Kiedyś jeszcze się dostawało za pranie fartuchów, później już też nie. [rozmówczyni mówi, że nie pamięta już wielu rzeczy]

A właśnie, jak wyglądała kwestia urlopów? Bo chodziło się do mistrza z tego, co zrozumiałam i ile urlop trwał?

Planował, zawsze było planowanie w styczniu oczywiście. Później było niezgodne to wszystko. [śmiech] Nie było aż takiego problemu, chyba że był jakiś nawal pracy, no to bywało różnie, że tam jakiś artykuł musiał wyjść, ale to tam już poszczególne osoby tylko, a tak to nie było problemu. Niby wszyscy chcieli zawsze latem. Zawsze latem dostawały matki z dzieckiem, z dziećmi. No dostawało się też trochę czasem, czasem nie, a tak to nie było problemu. A to, co było planowane, czasem było niezgodne, ale tak to nie było problemu, oczywiście, że tak. No gdyby tam coś wypadło, no to też się tam dostawało dzień wolny, to znaczy z urlopu oczywiście, no bo wypadki losowe były w rodzinie, no to też do mistrza trzeba było iść.

A jak często zdarzało się w roku, że był nawal pracy?

Nie, nie, to raczej było rzadko, zależy, jak tam było zapotrzebowanie. Zakład miał zapotrzebowanie do sprzedaży, niektóry artykuł był chodliwy, no i wtedy wiadomo, że trzeba było przestawić wszystko oczywiście, no. Począwszy od zdwijarek, krzyżarek, snowaczy, tkalnia, wykończalnia. Cały szereg wszystkiego i to szło w pierwszej kolejności – to, co schodziło przedtem zostawało, znaczy no poszło w danym momencie to szło.

Jasne, rozumiem.

Także jaki towar był chodliwy, no oczywiście, że tak.

A jak wspomina Pani w zakładzie okres świąteczny?

Tak [śmiej], no okres świąteczny, no to później były już Wigilie wolne, ale za mojej pamięci, no bo ja wcześniej zaczęłam pracę, no to się odrabiało: Wielką Sobotę, Wigilię się odrabiało, no to wtedy po zmianach wszystkich, jak jeszcze były trzy zmiany, no to się przychodziło w soboty, jeszcze na noc, żeby odrobić no tą Wigilię czy Wielką Sobotę, no oczywiście. Później to już było, bo oni znieśli, już później było wolne, no to już nie pracowałam. Ja jeszcze pracowałam w soboty po południu, nie tylko że rano, bo później jeszcze się tylko rano robiło, ale ja jeszcze pracowałam w soboty po południu, a przyszłam do pracy, jak byłam przyjęta do pracy, ja w październiku przyszłam do pracy, a we wrześniu znieśli soboty nocne.

A którego roku?

Ja przyszłam do pracy w '67 roku, a w '67 lub '68 roku, właśnie chyba we wrześniu, znieśli te zmiany, już teraz nie pamiętam. Wiem, jak ja już nie robiłam w sobotę na noc, tylko po południu, z tym, że się robiło sześć godzin w soboty, nie robiło się osiem, a sześć godzin. Także sześć godzin rano i popołudniowa zmiana przychodziła i też sześć godzin, także ja jeszcze przychodziłam na popołudniową zmianę.

A jak praca na zmiany wpłynęła na Pani zdrowie?

Uuu, ciężko, po nocach nie spało się, dwa dni, a trzeba było na 5 do pracy iść, no ale się szło.

Daleko miała Pani z mieszkania do pracy?

Nie, nie, tam, gdzie mieszkanie, byłam na mieszkaniu, co był w mieście ten oddział, no to blisko, no tutaj stąd [osiedle 650-lecia] był kawałek, ale tutaj autobus jeździł na Rudunki, bo były zakładowe autobusy, przecież jeszcze nie było w mieście... Dwa autobusy, tylko trójka i dwójka jeździły jako państwowe zakłady, więc tutaj z osiedla nie było autobusów. Jeździły autobusy zakładowe, no płaciło się bilet miesięczny, a później skasowali, bo było coraz więcej miejskich autobusów i już można było sobie jeździć, też miesięczny się kupowało bilet oczywiście i się jeździło, no ale najpierw były zakładowe autobusy.

A bilet miesięczny na te zakładowe był pobierany z pensji?

No płaciło się, chyba do socjalnego się szło i kupowało się to tam.

Wróćmy do tego zdrowia po trzech zmianach. Mówiła Pani, że nie spała, jak pracowała na noc. Coś jeszcze?

No co, wchodziło się w tryb, no i z głowy, no i pracowało się [niezrozumiały fragment]. Do soboty się dopracowało, no to później była już popołudniowa zmiana, już organizm, już się trochę przyzwyczał, później noce, no i tak całe życie. No później skasowali noce, już nie pamiętam, w którym roku skasowali noce... '78, '79. Tak, jakoś chyba było, koło '80 roku skasowali, już nie pamiętam, na pewno wcześniej, tylko ja już nie pamiętam dokładnie. Skasowali trzy zmiany, więc były dwie zmiany, ale nie... Ja jeszcze na Rudunki jak poszłam, to były jeszcze trzy zmiany, no to znaczy się nie, że to musiało być później, po 80. roku już musiało być chyba, bo jeszcze na Rudunkach pracowałam na trzy zmiany. No na pewno, a na Rudunki poszłam chyba w '79 roku, no chyba tak było. Wszystkiego nie pamiętam, ale tak było po '80 roku. Tak, jeszcze na trzy zmiany pracowaliśmy na tkalni, nie na przygotowawczym oczywiście. [rozmówczyni nie może sobie dokładnie przypomnieć roku]. W każdym bądź razie były dwie zmiany, nie było nocek. No problemy mają wszystkie koleżanki oczywiście do tej pory, że zawsze coś tam w organizmie się dzieje ze spaniem, jak się spotyka to każda tam coś ma. Zresztą, niektóre nie mają, bo lubiły spać, to wszystko jedno.

Czyli musiała to być bardzo obciążająca praca.

No praca na akord, no to, co się nie wyrobiło, to nie zapłacono, niestety, nie było dniówki.

Jakby mogła Pani podsumować swoją pracę jednym, to co by Pani powiedziała?

Bardzo dobrze, że była praca i bardzo dobrze, że pracowałam.

Dobrze, to dziękuję bardzo.

Henryka i Jakub Rogalscy, oboje urodzeni w 1946 r.

ZZPW „Zeltor”

Lata pracy: 1964-1989 (Henryka) i 1964-1996 (Jakub)

Rozmawiała Zuza Antczak, ur. 1999 r. (siostrzenica pani Henryki)

Opowiedzcie mi, proszę, o waszej pracy w zakładzie Zeltor.

Henryka: My zaczęliśmy pracę, ja miałam 18 lat. Wtedy się chodziło do urzędu miasta, tak zwany pośredniak. Tam trzeba było się zarejestrować i stamtąd dostawało się przydział do jakiegoś zakładu. Oczywiście jak była ta praca, bo wtedy było ciężko.

A który to był rok?

H: 1964 rok. Jakub tak samo jak ja.

Jakub: Akurat dobrze żeśmy trafili, bo akurat nowy zakład był wybudowany.

H: Jak poszliśmy do pracy do... Było tylko pół sali, a drugie pół było puste i dopiero przywozili krosna i je ustawiali. Akurat na dobry czas trafiliśmy. No i tak zaczęliśmy.

I co było później? Na jakim oddziale pracowaliście?

H: Na tkalni. Nie wiedziałam, co to była za praca. Rodzice mnie uświadomili, powiedzieli, że robię głupotę.

Czemu głupotę?

H: Że nie chodziłam dalej do szkoły, tylko poszłam do pracy. Okazało się to prawdziwe. Jak weszłam na tą salę, był taki hałas, tak głośno. Gdybym nie z własnej woli to zrobiła, to bym się odwróciła na pięcie i uciekła stamtąd. Był to dla mnie szok.

J: No bo było prawie 300 maszyn na jednej sali.

H: No, ale to była wtedy połowa sali jeszcze.

Ale ogólnie było 300?

J: Niecałe, 286 dokładnie.

H: To był niesamowity hałas. Tak pracowałam dwa miesiące. Poszłam 17 października. W grudniu mieliśmy tak zwane egzaminy. Był tam jakiś kierownik i inni przedstawiciele. Krosno stało dla szkółki, bo tam mieli praktyki. Trzeba się było wykazać umiejętnością obsługi tego krosna, nawleczeniem nici. Ktoś tam wyrwał te nici i trzeba było jakiś splot narysować i wciągnąć te nici. I to był taki egzamin.

I zdałaś?

H: Tak, zdałam. I od 1 stycznia następnego roku zaczęłam pracę na swoim. Ty też podobnie, Jakub.

J: Tak, też na tkalni i też w tym samym roku.

I co się robiło na tej tkalni?

H: Tkało się tkaniny na tych krosnach. To były krosna „Saurer”. Takie półautomaty. Była na nich osnowa, na takim dużym wale. Ona była z tyłu. Ile było tych nici?

J: Zależy, jak sukienka to 3000.

H: Czyli towar na sukienkę, tak się powszechnie mówiło.

J: Ubraniówka to 4000, a już krepa – ten taki ekstra – to prawie 5000, 4800.

H: Na wałku takim dużym było właśnie tyle nici. On był zakładany z tyłu. Szły takie niciennice, one miały takie druciki założone i przez każdy taki jeden drucik jedna niteczka przechodziła. Taki drucik był z takim oczkiem. W każdej dziurce była nitka. Jak była cała harmonia tych niciennic, to było ciężko.

J: Czasem ręki brakowało, jak tam się jakaś nitka zerwała.

H: One się zmieniały, raz jedne były w górze, raz drugie. Musiał się tworzyć przesmyk, żeby czółenko przelatywało z drugiej strony. Z przodu było bidło i tam przelatowały te czółenka. Z jednej skrzynki do drugiej to czółenko przelatywało i tworzył się wtedy towar.

J: Przy awarii maszyny to czółenka potrafiły wyskakiwać.

H: Potrafiły się wbić w towar i wtedy zrywało nici dużo. To była robota dopiero.

A te osnovy kto robił?

H: Osnovy robili snowacze. To był osobny dział. To było przy tkalni. Tak zwany przygotowawczy. Były skręcarki, przewijarki. Skręcarki skręcały. Przewijarki nawijały. I były snowadła.

J: Bo później to ja pracowałem na snowadle. Ze względu na słuch, bo zacząłem tracić słuch. Tam było spokojniej, nie było takiego hałasu. Ten facet, co tu stoi, to jest mózg zakładu. Edek Biernacki. [Zob. fotografia na końcu wywiadu].

Dlaczego był mózgiem zakładu?

J: On wszystkie uruchamiał nowości. Nikt nie potrafił tak doszykować krosna jak on.

H: Fachowiec!

J: Nieraz jak było zamówienie na materiał i już miało ruszyć, ale nie było takiego człowieka, żeby uruchomić to krosno, żeby wszystko ustawić, zrobić wzornice, tylko on umiał. Nieraz po dwie zmiany zostawał.

H: Praca była trzymianowa.

Ile lat pracowaliście?

H: Ja trochę krócej. Piętnaście na krosnach. I zeszałem z krosien. Potem byłem brakarzem, a potem na koniec wybijałem wzornice.

J: I też wszystkie wzory przechodziły przez Henię.

H: Jak wymyślili sobie jakiś wzór, to trzeba było to narysować. I trzeba to było przełożyć na wzornice. To już była moja ostatnia praca w tym zakładzie. Łącznie pracowałam z 25 lat, a potem odeszałem.

J: Ja 32 lata. Ja odeszałem na przedemerytalny. Już zakład zamykali. I tam komu brakowało patrzyliśmy. I ci starsi odchodzili, a ci młodszy zostawali. Ważne, żeby dociągnąć jakoś do tego przedemerytalnego. Bo to już wtedy zaczęło się robić duże bezrobocie. Jak kogoś zwolnili, to już szedł na bezrobotny. A myśmy przechodzili na przedemerytalny.

H: Ale załoga była młoda, jak szliśmy do pracy. Mało było starych tkaczy stażem. Wszystko młode, po szkole, po szkółkach przyzakładowych. Jak się człowiek przyzwyczaił, to się szło i już. No i przede wszystkim zachęcały zarobki. Na tkalni się dobrze zarabiał, to było takie wiodące.

J: Pracowaliśmy na seulerach [potoczna nazwa krosna], to na trzech krosnach.

A jak sprowadzili nowe krosna, MAV-y, to obsługiwałem aż osiem. To były większe automaty. Ale żeby oblecieć wszystkie maszyny, to trzeba było...

H: Jak kogoś nie było, to majster prosił, żeby wziąć. Bo to był akord. Trzeba było się napracować. Uważać, żeby nie wpuszczać błędów. Bo taki materiał, który schodził z krosna szedł na brakarnię i tam brakarki przeglądały, czy nie ma błędów i dawały gatunki.

J: Jak był pierwszy gatunek, to była cena ekstra i się zarabiało dużo. A jak drugi, trzeci mniej. A jak były duże braki, to nie płacili wcale.

H: Nawet jak niezawiniony był błąd, to nie płacili.

J: Czasami to nie były błędy tkackie, tylko maszynowe. Ale nie płacili i dobra. Wyzysk. Jak nitkę źle wciągnęło i to była moja wina, to rozumiem.

H: Ale jak majster nie umiał zrobić... Ja akurat dobrze trafiłam. Jak poszłam na swoje to miałam dobrych zmianowych, facetów już stażem starych. Miałam dobre krosna i dużo zarabiałam. Zależało wszystko. Jak był jeszcze dobry majster, umiał zreperować to krosno szybko, no to i produkcja była. Jak była produkcja, to się zarobiło.

J: Każda naprawa maszyny wiązała się z tym, że przychodził majster. On się ubrudził, wytarł ręce w ścierkę jakąś, ale zawsze niedokładnie. Powstawały potem plamy. No ale za wszystko odpowiadał tkacz. Czy błąd zawiniony, czy nie, to się płaciło.

H: Do pracy chodziło się na pieszo, nie było autobusików. Pół godziny, w deszczu, w śniegu. Trzeba było dojść na Sienkiewicza.

A na którą chodziliście do pracy?

H: Na 5 rano do 13. Potem od 13 do 21 i od 21 do 5 rano. Produkcja szła non stop. Jeszcze wtedy soboty się pracowało. Od 5 do 11 pierwsza zmiana. Druga przychodziła na 11 do 17 i od 17 do 23. A niedziela w końcu wolna.

J: Ale w niedziele organizowali nadržbki. Lepiej płacili wtedy i też człowiek leciał, żeby zarobić.

H: Wszyscy byli młodzi, wszyscy dopiero się żenili, wychodzili za mąż jak dziewczyny. Wszyscy byli na dorobku. Pieniądze były potrzebne.

A wy się poznaliście w zakładzie pracy?

H: No drugi raz, bo pierwszy raz w pierwszej klasie szkoły podstawowej.

J: Znaczy się wtedy były sidła założone w pierwszej klasie. [uśmiech]

H: Jakoś tak my pracowaliśmy koło siebie. Potem żeśmy się zmówili, że chodziliśmy do jednej klasy.

To jesteście takim zakładowym małżeństwem. [uśmiech]

H: No tak. Bardzo dużo jest takich zakładowych małżeństw.

J: Wszystko zaczynało takie młodzi. Nasi rówieśnicy mniej więcej sami.

H: Jak ja poszłam, Jakub też, to trafiliśmy do tkacza. Uczył mnie tej pracy. Spłotów i takich innych rzeczy, to były takie szkolenia.

Ale jak zšliście do pracy, to nie umieliście tego robić?

H: A skąd. Na obrazku albo gdzieś tam przez szybę. Ten huk po prostu. Bo jak na Waryńskiego, teraz Popiełuszki – tam też krosna szły. To słysząc było ten huk. Ale to były stare krosna, to sobie tak pukały. A tutaj już miały swoją szybkość.

Czyli byli głośniejsze?

H: Tak, no i więcej ich było.

A mieliście jakieś zabezpieczenia?

H: Tak, potem już tak. Na początku nie. Potem była wata dźwiękochłonna i były później jeszcze słuchawki. Ale ja nie mogłam tego nosić, bo mnie to usypiało nocą. Głucho tak jakoś w uszach.

Przy takim huku to chyba ciężko było zasnąć.

H: Można! [śmiech] Oczywiście! Miałam koleżankę, która potrafiła zasnąć przy krośnie. Byś się zdziwiła. Jakbyś spała tylko ze dwie godziny, to i przy krośnie można było zasnąć.

J: Dzieci zaczęły chodzić do szkoły czy przedszkola. Z nocy się przyszło i człowiek nie położył się spać. Trzeba było zaprowadzić, potem przyprowadzić.

H: Ja miałam lepiej, bo jak przychodziłam, to mogłam się położyć spać, bo Jakub był w domu od rana. Bo pracowaliśmy na różne zmiany, żeby dzieci miały opiekę. Jakub jak przychodził, to musiał dwójkę dzieci wyszykować. Ciężko było, ale jak się nie było żonatym czy zamężną, to człowiek się mógł wyspać.

A duża była różnica w pensji z innymi?

H: To była szalona różnica. I cały czas ona się utrzymywała. Jak byłam brakarką, to miałam koleżankę, która z biura przyszła na brakarnię, żeby lepiej zarobić i dom urządzić. A na tkalni to już w ogóle. Bo brakarze też mniej zarabiali. My mieliśmy 900 zł zaliczki. Jak mój tata odszedł na emeryturę, to dostał 1400 zł. Zresztą, nawet jak pracował – a pracował w pierwszej kategorii, czyli ciężka – to on miał 500 zł zaliczki, a ja już dostałam 900.

I co to była za zaliczka?

H: Zaliczka na poczet wypłaty. Dostawało ją się na koniec miesiąca. 15 zawsze była wypłata. Ja pamiętam swoją drugą pensję, to zarobiłam 2900 zł. To był 1965 rok. Czyli 2900 plus 900 zł zaliczki. To wtedy było dużo. Ale trzeba było tej pracy pilnować. Trzeba było uważać, żeby nie narobić braków. I cały czas, osiem godzin na nogach. Nie było krzeselka.

J: Jak śniadanie czy coś, to się jadło przy maszynach.

H: Można było iść na przerwę, no ale pytanie, czy wtedy zarobiłaś.

J: Jak salowy zauważył, to by zwrócił uwagę.

H: No ale na śniadanie to 15 minut się ustawowo należało.

J: Ale nikt nie korzystał.

H: Tam kolega obok zawsze mógł spojrzeć, ale to też było ryzyko.

Czy były jakieś wypadki?

H: Jeden taki wypadek był, że czółenko wyleciało i uderzyło dziewczynę. Ona na rentę odeszła chyba. Uszkodziło ją trochę.

J: No i szok taki. Jednak to jest szybkość. Czółenko było takie dosyć duże, a maszyna szła tak szybko, że ich właściwie nie było widać.

H: Czółenko było drewniane, miało metalowe zakończenia. Po środku było miejsce na cewkę, na której były nici. Te cewki się zmieniało mniej więcej co dziesięć minut. Trzeba było uważać, żeby nie przegapić tego momentu, bo inaczej robił się w tkaninie brak.

J: Później przyszły MAV-y, francuskie. To one były rapierowe. Jeden rapier drugiemu podawał nitkę. My mówiliśmy, że dwie dzidy się spotykały. No, ale tu z kolei obsługiwałem osiem maszyn. To były całe krojce zakładane.

H: Na krojcu było dużo nici, nie jak na cewce.

J: To się zmieniało dwa razy na osiem godzin. Długo schodziło. Ale znowu się rwało.

H: Na tych trzech krosnach też trzeba było uważać, żeby cewka nie obleciała. Było co robić.

A czy oprócz wysokich zarobków były jeszcze jakieś inne plusy tej pracy?

H: Tak, były wczasy, z których ześmy korzystali. Była stołówka, która była dla nas takim trochę zbawieniem. Jak się budowaliśmy, to od razu można było iść na budowę i już się było po obiedzie. Bardzo smacznie tam gotowali.

J: Jak za mieszkaniami można było wpłacić, ale to trzeba było czekać piętnaście-dwadzieścia lat. Takie były perspektywy.

H: No, a my stawialiśmy dom przez dwa lata. To jest szalona różnica. Ale to też był trudny czas, gdyż nic nie można było kupić. My w '76 zamieszkaliśmy.

A w zakładzie to jak człowiek był młody i wszyscy byli młodzi, to łatwo się przyjaźnie zawiązywały. Poza tym trzeba było iść pieszo. Wszyscy szli – z Kuraka, z miasta. Po drodze można było sobie pogadać.

Czyli stołówka, wczasy, co jeszcze?

J: No wycieczki autokarami, na grzyby, krajoznawcze.

H: My nawet w Bułgarii byliśmy z zakładu. Kto chciał korzystać, to było. Ja zawsze się zgłaszałam do oddziału socjalnego, który się tym zajmował. Szłam i mówiłam, że chciałabym jechać. Kolonie też były – Słowianki [ośrodek w Słowiankach]. Bardzo dobre te kolonie. Tam mamy też jechały i pomagały w kuchni.

Jak działały takie wczasy? One były tańsze?

H: No na pewno tak. Było jakieś dofinansowanie z zakładu.

I to było organizowane przez zakład?

H: Tak, zakład pracy wszystko organizował.

Czyli trochę jak takie biuro podróży?

H: No tak, można tak powiedzieć. [uśmiech] Czasami się zakłady wymieniały miejscami kolonijnymi.

J: Zakłady miały też swoje ośrodki wczasowe, ale no nie chciało się jechać ciągle w to samo miejsce. Zakłady się więc wymieniały, żeby ludzie w różne miejsca jeździli.

A jakie były w takim razie minusy?

H: Z minusów to na pewno ta praca trzymianowa, ten hałas. To było uciążliwe.

J: Hałas!

H: No można się jeszcze wielu rzeczy doszukać!

To możemy się teraz doszukać. [uśmiech]

H: Jeszcze z plusów to na pewno życie towarzyskie. Sylwester był zawsze organizowany. Zabawy karnawałowe.

J: Tam oddziałami jeszcze. Tkalnia, wykańczalnia – każdy miał swoją datę. Ale jak było mniej ludzi, to można się było zapisać, bo nie wszyscy zawsze chcieli iść.

A była opieka zdrowotna?

H: No była, ale to wiesz, jak to zakładowy lekarz – musiał iść na rękę zakładowi. Jeden dzień nieprzepracowany tkacza to była ogromna kwota. Kiedyś taka tablica wisiała, jaka jest strata, jak tkacz nie przyjdzie do pracy. No to w porównaniu z tym, co myśmy dostawali, to każdy otworzył szeroko oczy, jaka to była różnica.

A przedszkole, żłobek?

H: Przedszkole później powstało przyzakładowe. Ci, co pracowali na jedną zmianę, to mieli wygodę.

J: Do dzisiaj jest tam na Rudunkach, jest to przedszkole!

H: Nam to nie pasowało. Nie było autobusu, nie było, jak dzieci dowieźć. To było daleko. Później już były te czerwone autobusy. Czyli miejskie. Później to chodziły autobusy. Tak zwana stonka.

J: Ale to zakładowe!

One woziły pracowników?

H: Ale tylko tych starszych. [uśmiech] Młodzieży nie zabierali. No i się szło. Co tam młodzieży było potrzeba. A potem, potem jak już byliśmy małżeństwem, to mogliśmy wykupić karnet. Ale to też było. Jak wykupiłeś od starówki, to nie można było wsiąść na Nowym Mieście. Taki bilet miesięczny to był. No i kontrol

też była, więc jak coś, to cię wysadził. Jeden był osiedle Starówka, a drugi Kurak i Nowe Miasto. Więc albo miałaś na jeden autobus bilet, albo na drugi. Bez biletu też się nie dało jechać.

J: Pan był taki bystrzak, że wszystkich znał. [uśmiech] Wiedział, kto na którą godzinę.

H: Ale no były i radości, i smutki. Pamiętam taką sytuację. Pracowała dziewczyna koło mnie, babcia ją wychowywała. Cieszyła się, potem wychodziła za mąż – wszyscy tym żyli i jej kibicowali. Jak jej dziecko było malutkie, to ona zmarła. To był smutek, każdy to jakoś tam przeżył, nawet bardzo. Ale no wspólnie się tam jakoś żyło. Wszyscy byli na początku młodzi, to i potem małżeństwa były, pary się w zakładzie tworzyły. Potem się dzieci rodziły. Wspólnie się przeżywało i radości, i smutki.

Jak się dzieci rodziły, to wszyscy czekali. Jeszcze nie było USG wtedy, więc nie było wiadomo, czy chłopiec, czy dziewczynka. Był taki czas, że sami chłopcy się rodzili. Ja pierwsza urodziłam dziewczynkę.

Jak byłaś w ciąży, to inną pracę miałaś?

H: Od 6 miesięcy szło się na lekką pracę.

J: A tak to musiała pracować na maszynie normalnie.

H: No na maszynie i dźwigać. Towar się robił, więc on musiał schodzić i on schodził na taką belkę, która się zawijała, no i taką belkę musiałam dźwigać. To było bardzo ciężkie.

J: To 50 albo i 80 metrów było. Zależy. Ja sam już miałem co wziąć.

H: Nie było tak jak teraz, że pierwszy miesiąc i idziesz na zwolnienie, i siedzisz w domu, masz płacone.

Ale do samego końca musiałaś pracować?

H: No do 6 miesięcy. A potem do 9. miesiąca była lekka praca. Nikt nie dawał zwolnień.

J: Macierzyńskiego było dziesięć czy dwanaście tygodni?

H: Dwanaście chyba. No i potem do pracy.

J: Do roku kobieta nie musiała na noc.

H: I jak karmiła, to godzinę wcześniej mogła kończyć pracę. Czyli siedem go-

dzin, nie osiem. Były też urlopy wychowawcze, ale nie miałaś wtedy płacone. To było jakbyś się zwolniła, a potem znowu cię przyjmowali. Ale to się wliczało do stażu pracy. Ja byłam pół roku na wychowawczym, oczywiście niepłatnym.

A jak wspominać zmiany ustrojowe? Solidarność? Jak to wpłynęło na was? Należeliście do partii?

H: Ano właśnie. Ja wcześniej odeszłam z tkalni. Z powodów zdrowotnych odeszłam. Ale Jakub dłużej. My do partii nie należeliśmy. Chociaż kolega bardzo, bardzo namawiał, ale no Jakub był uparty. Ja też nie chciałam. Ale to taki był ustrój dziwny. Jakub był dobrym pracownikiem, dostawał nagrody. Śmieje się, ale i talerze, i żelazko na parę pierwsze to mieliśmy z zakładu pracy, cukiernicę. To była praca socjalistyczna. Dużo tego Jakub dostał. W zakładzie można było brać nieoprocentowane pożyczki. To też był duży plus.

No i jak Jakub był przodownikiem pracy, no ale wiadomo, że się pracowało, żeby zarobić. Każdy był na dorobku. Starał się jak mógł.

J: Do tego wszystkiego to jeszcze ordery dawali! [uśmiech]

H: No i były jeszcze "emki", które umarziali. Brało się kredyt na coś, na jakieś określone rzeczy. Ale to nie w zakładzie, tylko w PKO – dla młodych małżeństw. No i zakład spłacał, takie umorzenie było. No i Jakub nie dostał tego umorzenia, bo nie należeliśmy do partii. Ci, co należeli, dostawali. Ale daliśmy radę, a do partii się nie zapisaliśmy.

Później do Solidarności tak. Ale to była taka konkurencja. Solidarność nie miała pieniędzy. A te drugie związki, to oni mieli pieniądze. I kupowali ludzi za rajstopy, pończochy, herbatę.

J: Taaa, wycieczki do teatru, do kina.

H: I część ludzi się przenosiła. Bo tam dają, a tu nie. Te związki, jeszcze przed Solidarnością to też było. Pożyczki się nie dostało, jak się nie było zapisanym.

J: Na wczasy też się nie pojechało, jak się nie należało.

H: Ja zaraz poszukam tych orderów Jakuba. Srebrna odznaka gdzieś jest. Złotej nie dostał, bo nie należał do partii, ale srebrną tak.

Po tylu latach jak wspominać tę pracę?

J: No, praca to był taki kierat. Ale no były zarobki, więc to człowieka jakoś podtrzymywało. Wszyscy tam byliśmy jednakowi.

A jak wspominasz?

J: No nie da się nic porównywać z dzisiejszymi czasami.

A po '89 roku co się zmieniło w życiu codziennym w tej pracy?

J: Niby nadeszła ta wolność, ale z jednej strony było dobrze, z drugiej źle. Brakło pracy. Trzeba było iść na ten przedemerytalny. W sklepach wszystkiego zaczęło brakować. Mętnik taki się zrobił wtedy. Jak się przechodziło na ten przedemerytalny to jeszcze człowiek był w miarę młody, chciało się pracować, ale już nie było gdzie.

A ile ogólnie osób pracowało w zakładzie?

J: Różnie, 2000, 2200. Później, jak zaczęli sprowadzać nowe maszyny, to ja obsługiwałem osiem maszyn, a nie trzy jak wcześniej, więc ileś tam ludzi musiało odejść.

A z twojej rodziny kto jeszcze pracował w tym zakładzie?

J: Brat, tata też. No i bratowa. Nas było tam dwa małżeństwa z jednej rodziny w jednym zakładzie. Pięć osób w jednym zakładzie. Od strony żony też jej siostra i szwagierka.

A kiedy ten zakład przestał w ogóle działać?

J: On tak powoli, po kawałku umierał. Była przędzalnia, tkalnia i wykańczalnia. To najdłużej się utrzymała wykańczalnia.

Gdzie szły te tkaniny, które robiliście?

J: Do Rosji przeważnie, do Związku Radzieckiego. A co oni z tym robili, to nie wiadomo. Najpierw to była sama ubraniówka, a potem to już obciowe na meble też szły. I ładne materiały były.

A jak przechodzicie, to z sentymentem patrzycie?

J: Mało tam jesteśmy.

H: No jak dla mnie to takie zniszczenie. Jednak dobre materiały się tam robiło. No bo my pracowaliśmy, żeby ten zakład się rozwijał. My nie mieliśmy 100% płacone. A potem Jakub dostał za 10 zł akcje do zakładu. Mnie się już nie należało. Z pensji nam nawet zabierali na wybudowanie ośrodka kolonijnego w Słowiankach. Ośrodek potem sprzedali.

J: Krosna to pewnie trochę sprzedali, a resztę na złom.

H: Tu mam paski z pensji, jaka różnica była pomiędzy Jakuba zarobkami na tkal-

ni a moimi, jak już byłam brakarką. 11 tysięcy różnicy. On 15 tysięcy zarabiał. To w 1984 roku. Moje dokumenty spalili. Całe archiwum spalili. Mieliśmy książeczki ubezpieczeniowe i tam trzeba było wpisywać, ile się zarobiło w danym roku, no ale nikt tego nie robił. Więc no nie tylko ja zostałam na lodzie. Potem mi emeryturę wyliczyli na podstawie średniej, w sądzie.

No i nie było żadnych dokumentów i ja bym nie miała ani jednego roku policzonego do emerytury, co na tkalni pracowałam. No i się sądziłam z pozytywnym skutkiem. I tak powinnam dostać więcej. Bo ja do momentu, jak nie zaszłam w ciążę, to pracowałam na tkalni, na akord. Powinni ogłosić, że będą niszczyć dokumenty pracowe. Jakub miał, bo koleżanka rachmistrzyni akurat je zobaczyła i zabrała. Powinni oddać nam, a nie zniszczyć. Mogli nas poinformować. Był przecież radiowęzeł, zebrania robili. Jeszcze to było tak, że zakład nie płacił indywidualnych składek zusowskich. Tylko oni grupowo płacili. I w ZUS-ie mówią, że nie mają indywidualnych. I musiałam koleżanki prosić, żeby mi świadczyły w sądzie jakie były zarobki, jak pracowaliśmy. Ale i tak mam mniej niż mogłabym mieć. Przykro trochę. Oni tak dużo ludzi oszukali. Jeszcze tak było, jak się płaciło składki związkowe, to na podstawie książeczki związkowej część moich zarobków została odtworzona. Ale to ZUS nie chciał przyjąć, dopiero sąd. I nie było indywidualnie, tylko średnią wyliczali, więc jestem poszkodowana. Jak odchodziłam z zakładu, to mi policzyli tylko dziesięć ostatnich lat. I to te dziesięć lat, kiedy najmniej zarabiałam. A te pozostałe, jak straciłam zdrowie na tkalni, to nie były policzone. Komu się chciało w to bawić i dociekać tego, to dostał jakieś wyrównanie. To było po prostu bulwersujące. Jak zaraz poszłam na swoje, to obok mnie pracowała pani, która była ode mnie starsza. Zaczynałam na dwóch krosnach, ona też. No i jej pomagałam. Na koniec miesiąca przynosili kartę zarobkową i ona, jak popatrzyła na moją kartę, to mnie nawet zachęcała, żebym jej puściła krosno. Nie było RODO, każdy widział każdego zarobki. I wiadomo było ile, w którym gatunku. Jak pracowałam na dwóch krosnach, to za jedno krosno płacili, na przykład, 1 zł, a jak już na trzecim zaczynałam, to za trzecie płacili, na przykład, 80 gr. No wyzysk.

No ja pamiętam, jak weszła taka nowość – torlen skręcany. I to bardzo schodziło z krosien. Same braki były. I protesty zrobiliśmy, bo nie z naszej winy mniej zarabialiśmy. I nas zawieźli do Łodzi i poszliśmy tam na brakarnię. I tam szalona różnica była. Jak u nas już za coś dawali na drugi czy trzeci gatunek, to tam szło w pierwszym. Taka różnica między Łodzią a nami. W Łodzi były większe zarobki, ale inaczej podchodzili.

J: U nas to nawet teksas był produkowany. Może nie najlepszy, ale był.

H: Jak się zmiany zmieniały, to był ruch na ulicy. W ogóle był ruch. Za naszych czasów Długa to był deptak. A teraz w niedzielę wyjdź na Długą – tam nie ma nikogo.

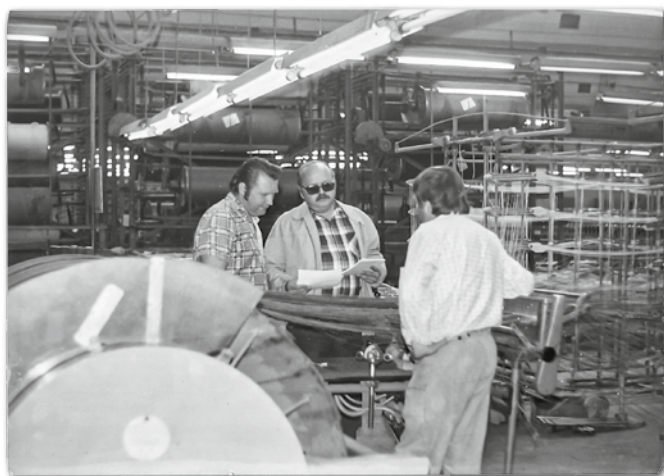
A jak się wam pracowało na nocze?

J: Koszmar!

H: Zanim mieliśmy dzieci, to było okej. A potem to już trudno.



*Ten facet, co tu stoi, to jest mózg zakładu.
Edek Biernacki - tak podczas wywiadu
opowiadał Jakub Rogalski, pokazując
swojego kolegę, stojącego na zdjęciu po
lewo w głębi, za rozmawiającymi ludźmi.
Pan Jakub również jest na tej fotografii,
stoi po lewej, tyłem do aparatu.*



*Jakub Rogalski
(pierwszy z lewej) ze
swoimi kolegami
na hali produkcyjnej
Z.Z.P.W. „Zeltor”.*



Legitymacja do odznaki Przdownik Pracy Socjalistycznej przyznanej Jakubowi Rogalskiemu w 1978 r



Legitymacja do srebrnej odznaki Brygady Pracy Socjalistycznej przyznanej Jakubowi Rogalskiemu w 1978 r.



Legitymacja do srebrnej odznaki „Brygady Pracy Socjalistycznej” przyznanej Jakubowi Rogalskiemu.

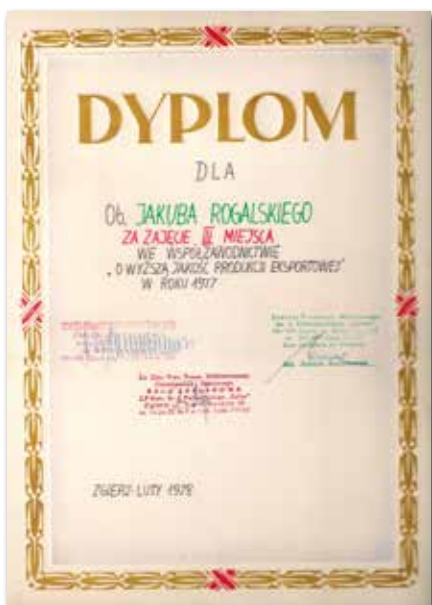
Tak zwane „paski” wyplat Henryki i Jakuba Rogalskich.



List dziękczynny dla Jakuba Rogalskiego za wzorową pracę od dyrekcji Z.Z.P.W. „Zeltor”, Komitetu Zakładowego PZPR i związków zawodowych.



Zaświadczenie uzyskania kwalifikacji zawodowych cerowaczki dla Henryki Chęcińskiej (po mężu Rogalskiej).



Dyplom dla Jakuba Rogalskiego za zajęcie III miejsca we współzawodnictwie „O wyższą jakość produkcji eksportowej”. Tego typu współzawodnictwo łączone było z socjalistycznym etosem pracy.



Dyplom dla Jakuba Rogalskiego za zajęcie III miejsca we współzawodnictwie „O wyższą jakość produkcji eksportowej”, na krosnach „MAV”.



Dokumenty przyznające Jakubowi Rogalskiemu odznaczenie DO-RO, czyli „Dobra Robota” – był to system zarządzania jakością. Takie odznaczenia miały stymulować pracowników do samokontroli w podnoszeniu jakości produkowanych wyrobów.

Mirosława Siemońska, ur. 1961 r.

ZZPW „Zeltor”

Lata pracy: 1976-2004

Rozmawiała Agata Drewnicz, ur. 1971 r.

Czy może Pani opowiedzieć swoją historię związaną z pracą w zgierskim zakładzie Zeltor?

Wszystko się zaczęło w Opocznie, jestem opocznianką i kiedy ja byłam w podstawówce, to w Opocznie zaczęli budować zakład włókienniczy. I nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale to mnie zainspirowało i pomyślałam, to jest chyba to, co bym chciała robić. I po podstawówce złożyłam papiery do szkoły zasadniczej, bo z chwilą otwarcia zakładu otworzyli szkołę zasadniczą przyzakładową. Ale tu się pojawił problem tego typu, że ja urodziłam się w listopadzie, a kiedyś były takie przepisy, że trzeba było mieć 15 lat skończone, żeby móc być na praktykach w tym zakładzie. A ja dopiero w listopadzie kończyłam ten wiek, a we wrześniu zaczynała się szkoła. Poszłam do kadrowej, a ona powiedziała: „Tego nie przeskoczymy, ale żebyś nie odzwyczaiała się od nauki, żebyś nie straciła roku, to idź do szkoły gastronomicznej”. Poszłam na rok do gastronomika, co przydało mi się w późniejszym życiu, a potem do szkoły włókienniczej. Nie wiem, czy zakłady miały jakąś podpisaną wewnętrzną umowę – ten w Opocznie i ten w Zgierzu – że iluś uczniów z naszej szkoły miało pojechać do Tomaszowa i do Zgierza. Po ukończeniu szkoły byliśmy kierowani do zakładów pracy. Padło, że do Zeltoru [Pietrusińskiego] 13 osób, do Fresco kilka osób i reszta do Tomaszowa. A że Tomaszów był za blisko Opoczna...

Za blisko?

Tak [śmiech]. Musiałabym dojeżdżać.

A Pani się chciała wyrwać z domu?

Tak. I zdecydowałam się na Zgierz. Mama mnie nie chciała na początku puścić, ale zasugerowałam, że w Zgierzu jest technikum włókiennicze i ja pójdę do szkoły.

Wzięła Pani mamę na ten argument ze szkołą.

W Opocznie nie dało się zrobić technika, w Tomaszowie też nie, pozostawał Zgierz. Miałam 17 lat, jak tutaj przyjechałam, dokładnie 2 lipca 1979 r. No i od razu nas tutaj zakwaterowali, to były takie zakładowe kwatery. Takie stancje porzucane po mieście. Załatwiało się to wszystko przez Nową Gdynię – tam było

takie biuro meldunkowe i dostawało się przydział do kwatery. Mieszkałyśmy różnie – ja mieszkałam z koleżanką, pierwszy pokój miałyśmy w bloku na Dubois. Ale były dziewczyny, które we cztery mieszkaly, jak dostały większy pokój. Nasz był malutki. Ale zaletą było to, że zakład nam opłacał te kwatery, myśmy nie płaciły. I to było przez jakiś czas, dokładnie nie pamiętam, może przez trzy lata... Aha, i gdy się zaczął rok szkolny, to poszłam też do tego technikum na Sokołowskiej. Rozpoczęłam naukę, była to szkoła dla dorosłych, przystosowana do nauki na trzy zmiany... Potem to zmienili, dopasowując do dwóch zmian. Ja, że nie miałam skończonych 18 lat, mogłam pracować na dwie zmiany, ale gdy byłam już pełnoletnia, pracowałam w systemie trzyzmianowym.

Pierwsza trwała od 5 do 13, druga 13-21 i trzecia 21-5. Zdarzało się, że schodziłam ze zmiany o 5 i na 8 do szkoły leciałam. Ale maturę zdałam! W 1982 roku. Dwuletnia podbudowa szkoły zasadniczej i trzy lata technikum. Studniówki nie było, bo to był stan wojenny. Ale słowa swojej mamie dotrzymałam, był warunek, że pojedę do Zgierza i zrobię maturę, i tak się stało.

Gdy przyjechałam tu do pracy, początkowo pracowałam na krosnach „Zauler”, były to czółenkowe krosna. Ciężka to była praca. W Opocznie żeśmy się uczyli na mechanicznych, bardziej zautomatyzowanych krosnach na tzw. MAV-ach. Pierwszy raz w życiu widziałam krosna „Zaulera”, ale trzeba było się nauczyć. Uczyłam się u pana Brynkiewicza, pan Brynkiewicz uczył mnie obsługi tych krosien, to było na pierwszej partii zaulerowskiej, mistrzem był pan Gibki, a podmistrzem Tadeusz Saganowski. Za długo tam nie pracowałam, z uwagi na to, że byłam starsza rocznikiem od tych koleżanek, z którymi przyjechałam... A w międzyczasie w zakładzie modernizacja nastąpiła. Te stare krosna zaczęły wymieniać na nowsze, tzw. STB. A że ja już osiągnęłam wiek pełnoletni, to mnie wzięli na te nowe. No i znowu musiałam się wszystkiego nauczyć, bo w Opocznie takich nie było.

Czy było lepiej? Łżej?

Zdecydowanie! Zdecydowanie łżej! Poszłam na pierwszą partię, tam nas były cztery tkaczki, miałyśmy po sześć krosien do obsługi. Majstrem był pan Włodzimierz Magdziarz. Tam pracowałam praktycznie do czasu, aż się pojawiła moja córka. Była zasada – jak cięża, to lekka praca.

Lekka praca, ale praca. Czy kobiety chodziły na zwolnienia?

Właściwie nie chodziło się w ciąży na zwolnienia. Teraz są zupełnie inne czasy. Przynosiło się zaświadczenie od lekarza, że jest się w ciąży i przechodziło się na tzw. lekką pracę. Ja na krosnach nie mogłam pracować w ciąży, bo było za ciężko, było dużo dźwigania. Dlatego robiłam tzw. zlecenia – jaki artykuł, w jakie krosno, stempłowało się, każda sztuka była opisana i trafiała do magazynu.

Wyłączając ten czas ciąży, to ile krosien Pani obsługiwała?

Normalnie sześć, ale czasem i dziesięć, jak koleżanki nie było, a trzeba było puszczać... Generalnie powiem, że praca tkaczki jest bardzo ciężka, ale ja to lubiłam, to mnie kręciło. Ja jestem raczej techniczna, w manualnych pracach – nie w pracy związanej z dziećmi, nie – ale takie techniczne rzeczy mi odpowiadały. Narobię się, narobię się, ale ja to lubię! Słuch się trochę straciło, wzrok się trochę straciło, bo to te niteczki cieniutkie, trzeba było wzrok wytężyć. Jak krosno idzie, pracuje, pracuje bidło, dobija te niteczki i nagle staje! Masz 3000 nitek i krosno ci stanęło, i teraz musisz wiedzieć co zrobić. Są takie różne sposoby – tu się porusza, tam się porusza – taka lamelka jak opadnie na piłę i poruszasz patykiem, to widzisz, co jest nie tak.

Każda nitka ma swoją lamelkę, że się nakłada ją na nitkę. Jak któraś nitka się zerwie, to opada lamelka i wyłącza się krosno. Wtedy trzeba ją związać, odpowiednio przeciągnąć i to wszystko jeszcze trzeba zrobić szybko, bo to była praca na akord. Krosno stało, więc nie produkowałam i ten licznik się nie kręcił. Trzeba było szybko uruchomić krosno, żeby pracowało na te moje pieniążki. Praca akordowa była na tkalni.

Czy miała Pani taką zmianę, która była najgorsza? Najtrudniejsza?

W poniedziałek iść od rana na 5 do pracy. To był koszmar. Człowiek był młody, w sobotę na zabawę się skoczyło, a wcześniej, na przykład, pracowałam cały tydzień na noc, więc w sobotę przebalować noc to nie był problem, to było fajnie, człowiek przyzwyczajony. Ale niedziela przychodziła i wieczorem nie można było zasnąć, a w poniedziałek należało o 4 wstać. I to był najgorszy moment. Pracowało się właśnie w takim systemie tygodniowym – tydzień od rana, tydzień po południu i tydzień nocki. W czasie, gdy jeszcze się pracowało w soboty, to wtedy się pracowało sześć godzin. Sześć godzin ranna zmiana, sześć popołudniowa, a w nocy z soboty na niedzielę już się nie pracowało. Niedziela była wolna.

Środki ochronne były powszechnie używane?

Tak. Mieliśmy taką wateł dźwiękochłonną do uszu albo słuchawki, które wygłuszają, takie jak robotnicy z młotami pneumatycznymi noszą. Było to przestrzegane. Była pani od BHP, która chodziła, sprawdzała. Były wydzielone palarnie na terenie zakładu, by nie zaproszyć ognia i nie spowodować pożaru. Tkaniny były łatwopalne. Nawet niektórzy dostawali upomnienia czy nagany, jeśli nie przestrzegali zasad bezpieczeństwa. Fartuszki też dostawaliśmy – na lato z krótkim, a zimą z długim rękawem. A, no i obuwie profilaktyczne. Teraz to już chyba tego nie ma. Bez palców, bez pięty, z płótna.

Przerwy były?

Były, ale to też się wiązało z tym, że trzeba było krosna zatrzymać, żeby zjeść. Kasa nie szła. Przeważnie kanapkę się jadło z doskoku. Była też przyzakładowa stołówka, wykupywałyśmy tam obiady, bo na stacji to nie było możliwości gotowania. Pokoik tylko miałyśmy, więc komuś tam po kuchni raczej nie chodziłyśmy. Wędlinę w lodówce pozwalały gospodynie trzymać, herbatę zagotować, to tak, ale obiadów nikt nie gotował. Kupowało się abonament na miesiąc na obiady w pracy i albo po pracy, albo przed można było zjeść. Na miejscu albo wziąć na wynos. Stołówkę to jedną z pierwszych potem zlikwidowali. I wtedy chodziło się do Baru Myśliwskiego. Kolegę miałam we Fresco i oni tam się stolarowali, mieli talony.

Czas płynął, Kinga się urodziła, wzięłam urlop wychowawczy i jeszcze zanim ten urlop się skończył, to dostałam propozycję nowego stanowiska. Ja powiedziałam, że tych zleceń, którymi się w ciąży zajmowałam, to nie chcę do końca życia pisać. I jeszcze na wychowawczym dostałam telefon, że robota się dobra szykuje. I zostałam planistką. Wyliczałam, ile zrobił dany majster tej produkcji, ile w jakim gatunku, brakarki przeglądały i gatunkowały. I gatunek – bezbłędnie – a następne II i III to były te gorsze, z brakami. To, co myśmy wyprodukowali na tkalni, to potem szło na brakarnię, sztukę, którą ja wymęczyłam zabierali na brakarnię, brakarki miały takie podświetlane maszyny i tam było wszystko widać, materiał na takich kółkach (taśmie) się przesuwiał, a pracownicy zaznaczali, gdzie jest błąd. Jak materiał był gatunkowany, to szedł na cerownię. Tam był przez cerowaczki naprawiany. Wszywały nitkę, wiązały... To dopiero była żmudna praca. Czasem to było dwadzieścia metrów tkaniny do naprawienia. Cerowaczek było bardzo dużo. W ogóle w całym zakładzie, jak ja zaczynałam pracę, to 3500 ludzi pracowało. Kombajn! Ostatnia garstka to było dziesięć osób. Z cerowni produkcja szła na wykończalnię. Całkiem inny budynek. Trzeba było materiał czasem zafarbować, tam było pranie tkaniny, drapanie na maszynach z wałkami, by uzyskać meszek.

Czy specjalizowaliście się w jakimś rodzaju tkanin?

Najwięcej robiło się tkanin wełnianych. Mieliśmy umowę na tkaniny wykorzystywane przez wojsko, policję. Nie każdy zakład mógł to robić. Zakłady miały jakieś swoje atesty, w czymś się specjalizowały. My mogliśmy robić takie tkaniny. Były to krepy i inne tkaniny wełniane, praktycznie nie do zdarcia. Jak dziadek portki uszył, to dwadzieścia lat mógł w nich chodzić, bo to były dobre materiały. A w ogóle to nie powiedziałam, że w zakładzie była też przędzalnia. I tam produkowano nici, które później trafiały na tkalnię. Także cały proces zaczynał się od takiej waty, runo taką miało postać i to przerabiali na przędzę, i to trafiało do tkalni, i dalej po kolei – na brakarnię, cerownię, wykończalnię i tam były tkaniny nawijane na belki-kartoniki.

Gdzie je sprzedawano?

I w kraju, i poza. Jak materiał szedł na eksport, to był z pieczętką, że idzie na eksport. To się przybijało. Kierowcy rozwozili materiały w różne zakątki kraju, głównie na garnitury, na płaszcze. Do zakładów, które szyły.

Był to duży zakład i miał potencjał, a tak się stało, jak się stało. Strajki się też przeżyło, ale to nie było długo. Ze dwa dni w zakładzie spaliśmy. W latach 80.

Ciężka praca, ale dobra... Jak ktoś lubi popracować, to była dobra praca. Zakład miał dużą, piękną salę konferencyjną, w biurowcu. Tam się odbywały zabawy. Każdy oddział miał którąś swoją sobotę i organizował imprezę. Chodziło się na zabawy, potańcówki i tak czas mijał.

Jakie były plusy pracy w zakładzie?

Było przedszkole przy Sienkiewicza, zakładowe przedszkole. Był zaraz przy zakładzie taki sklep, w którym można było za grosze kupić tkaniny. Potem jak już się zaczęły te strajki, nic nie było w sklepie, to zakłady między sobą organizowały takie wyprzedaje. U nas na kiermaszu można było kupić pościel. To było fajne!

A opieka medyczna działała?

Tak. Pręźnie. Każdy pracownik musiał robić badania okresowe. W ewidencji sprawdzano. Mieliśmy dwie panie doktor na terenie zakładu, pamiętam nazwiska: pani doktor Szadkowska i pani doktor Polakowska, do dziś jest moim lekarzem. Mieliśmy też na terenie zakładu gabinet stomatologiczny, zapisać się trzeba było. Skierowania były do specjalistów – jak na tkalni pracowałam, to obowiązkowe były badania u laryngologa. Trzeba było mieć zgodę od lekarza, żeby pracować. Kierowano też do specjalistów okulisty czy ginekologa. Wielkim plusem była ta opieka.

Czy mieliście zakładowy ośrodek wypoczynkowy lub kolonijny?

Tak, był ośrodek kolonijny w Swornegaciach, ale ja nigdy z niego nie korzystałam. Były też ośrodki wczasowe, takie dla dorosłych. Ale nie pamiętam, gdzie one się znajdowały. Koło Kalisza były, pamiętam, jakieś domki letniskowe. Tam też się jeździło.

A wycieczki były organizowane?

Były! Kochana! Wycieczki były, grzybobrania były! Co tylko jakaś propozycja, to już jedziemy. I się chciało! A panowie to jechali pośmiać się, pożartować, wypić... A potem było: „Gdzie moje grzyby? Kobieta mnie z domu wyrzuci!”. Trzeba było potem stawać, grzyby po drodze kupować. Niektórzy tak wychodzili na tych grzybkach...

Naprawdę było dużo pracy, ciężkiej pracy, ale potem był czas na odreagowanie. Tyle lat przepracowałam i nie żałuję. Nawet na macierzyńskim jak byłam, to pod zakład z wózkiem się chodziło, odwiedzić koleżanki, czasem je odprowadzałam na pociąg, córka w wózku spała.

Jak wyglądały relacje w pracy? Czy to były znajomości, które były trwałe?

Tych znajomych było wiele. Na zabawach się poznawaliśmy, bo to jeszcze zależy, kto organizował, to wkręcał kolejnych znajomych. Przy stoliku każdy ze swoim towarzystwem chciał być, żeby wszystkich znać, swobodnie się czuć. Jak już po wychowawczym poszłam do pracy w biurze, to już rzadziej byłam na produkcji... Tam zresztą nie bardzo dało się pogadać, bo każdy był zajęty pracą, żeby te liczniki się kręciły. Dużo było takich dziewczyn, kobiet właściwie, bo takim najmłodszym narybkiem to byłyśmy my, może z pięć-dziesięć osób młodszych jeszcze przyszło po nas. Ale już po nas nie było zbyt wielu nowych pracowników. Nie wiem do końca, na jakiej zasadzie odchodzili ludzie – czy umowy wygaszały? Jeszcze rok po nas przyjechały dziewczyny z Opoczna, może ich było z czterech-pięć, ale długo miejsca nie zagrzały. Zresztą z mojego rocznika, jak już mówiłam, przyjechało trzynaście dziewczyn. Do dziś w Zgierzu zostały trzy.

A Pani została tutaj, bo ktoś się pojawił...

No... Tak. Ale ja już wtedy mieszkałam w Zgierzu dziesięć lat. Przyjechałam w 1979 r., mieszkałam po tych stancjach... A propos stancji – na początku nam zakład je opłacał, przez trzy lata, a potem już przestał i trzeba było sobie samemu zarobić, żeby wynająć mieszkanie czy pokój. Potem już też stołówki nie było, trzeba było sobie jedzenie inaczej organizować. Zaczęła się proza życia.

Czy łatwiej było młodym ludziom wystartować? Urządzić się? Było wsparcie zakładu?

Wsparcia zakładu, jako takiego, nie było. Każdy należał do kasy zapomogowo-pożyczkowej i brało się pożyczki. Pamiętam, pierwszą pożyczkę wzięłam, żeby sobie kurtkę skórzaną kupić. Bo mi się zachciało skórzanej kurtki i, pamiętam, w sklepie przy Długiej ją kupiłam. Tak mi się podobała, szara skórzana, że napisałam wniosek o pożyczkę... A następną kurtkę kupiłam za odszkodowanie za złamaną rękę... Ale tak serio, to nigdy nie byłam rozrzutna. Od dziecka potrafiłam biegać butelki w skupie sprzedawać, pół Opoczna mogłam przeszukać. Na naszej ulicy był skup, złotówkę kosztowała butelka. Mając trzynaście lat, to pojechałam do cioci w Gorce, koło Wałbrzycha, rano wstawałam i na truskawkach zarabiałam. Zawsze jakoś sobie radziłam.

Czy pensje rosły? Czy ten Pani awans jakoś wpływał na wysokość pensji?

Nie umiem tego określić. Była ta denominacja. Człowiek się jakoś nad tym nie zastanawiał. Ważne było, że wystarczało na życie. Nigdzie nie musiałam chodzić,

pożyczać, w banku nigdy pieniędzy nie pożyczałam.

Ludzie żyli na podobnym poziomie.

Tak, różnice były niewielkie. Nie tak jak teraz. Była tzw. klasa średnia. A teraz są bardzo biedni i bardzo bogaci. A ludzie pracujący w takim zakładzie jak nasz, tworzyli właśnie taką klasę średnią. Nawet w takiej tkalni nie zarabialiśmy źle. Trzeba było się napracować, ale i się zarobiło. Później warunki się zmieniły, skończyły się przywileje za pracę w szkodliwych warunkach. Jak już u prywaciarza pracowałam, to już tych różnych dodatków za szkodliwe warunki nie było.

Zdarzało się, że ktoś tracił pracę? Że nie dawał rady? Popelniał błędy?

To były naczynia połączone. Błąd jednej osoby rzutował na ogół. Nas były cztery tkaczki, mistrz i podmistrz na zmianie, na jednym kawałku. To jaką produkcję mistrz zrobił – czy to było w pierwszym gatunku, czy w drugim – to potem rzutowało na wysokość wynagrodzenia. Była premia albo nie. To była mobilizacja, żeby robić porządek.

Mistrz odpowiadał za jakość tego produktu?

Tak. Czasem to nie była wina po stronie osoby, tylko sprzęt nawalał. Wtedy mistrz czy podmistrz reagowali – trzeba było krosno naprawić. Zdarzały się uszkodzenia mechaniczne, zdarzały się duże awarie, że przychodziła do naprawy krosna cała brygada z warsztatów mechanicznych. I reperowali. Logistyka była fajna i powiem, że teraz to tak się odkłada na potem, wtedy był problem, to od razu się działało. Mistrzowi zależało na gatunku, na tym, by zrobić jak najwięcej, bo za to były premie. Zyskiwały na tym też inne osoby. Nie było w pracy zawiści, zazdrości. Nie było takiej rywalizacji jak dziś. Koleżanka szła na papierosa, to jej puściłam robotę, jak stanęło krosno. Dobrze się pracowało. Ja dobrze wspominam te czasy. Teraz są inne zasady i stosunki międzyludzkie tak samo. Teraz więcej pieniędzy rządzi światem, nie ma takich przyjaźni. Dziś by ktoś powiedział: „Poszła, to co ja jej będę, widocznie jej nie zależy...”. Wtedy nie, było tak rodzinnie bardziej. Nie tylko w zakładach to było widać. Stosunki sąsiedzkie też były inne.

W biurze już nie pracowałam w systemie zmianowym. Mąż miał natomiast dziesięciodniowe dyżury. W energetyce, na Kuropatwińskiej. Zadzwońią – musiał jechać. Nawet miał służbowy telefon. Ja musiałam pracować na jedną zmianę, żeby Kingę odebrać i zaprowadzić do przedszkola.

A mieszkanie? Kupiliście? Dostaliście?

Ja miałam swoją książeczkę mieszkaniową, na którą się odkładało pieniądze. Pracując wpłacałam, a mąż miał też swoją. Jak je złączyliśmy, to nawet nie musieliśmy dużo dopłacać, żeby mieszkanie kupić. I mamy to do dziś.

A jak się poznaliście z mężem? W pracy?

Nie. W pracy nie! Ale pośrednio tak, bo na zabawie w zakładzie. Ja miałam iść z kolegą, który w ostatniej chwili powiedział, że nie może. A ja już miałam opłacone wpisowe. A były to bale koszykowe – co sobie przyniosłaś, to zjadłaś. Ja już naszykowana, a partnera nie ma. Należałam do ZSMP [Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej]. Prężnie to nasze koło działało. Różne rozrywki były. Najpierw pomyślałam, że dużo facetów jest na warsztatach, to tam pobiegłam. [śmiej] Ale żaden jakoś nie wpadł w oko. I zagadnęłam mojego kolegę Arka: „Ratuj mnie, bo mam zabawę, facet nawalił i nie mam z kim iść!”. On na to: „Pomyślę i dam ci znać”. Nie minęło wiele, a on: „Ty - mówi - mam faceta dla ciebie! Jesteś umówiona na 17.” i podał adres. No to ja poszłam. Otworzyła mi przysła teściowa. Przedstawiłam się, że ja do pana Marka, weszłam i od razu mówię: „Potrzebuję faceta, który się nie opije, umie tańczyć. I już”. I poszliśmy na zabawę. On z wielkim telefonem, na dyżurze, kierowca, zabawa pierwsza poszła. A potem następna. To był karnawał, a w czerwcu już ślub braliśmy. Także poszło bardzo szybko. A Kinga się po roku urodziła.

Do którego roku Pani pracowała w Zeltorze?

Do samego końca... W którym to było roku? W 2004 r.

Jak wyglądały te ostatnie lata, miesiące pracy?

To było takie stopniowo wygaszane. Najpierw tkalnia znajdowała się w osobnym budynku, krosien było ok. 200 (krosna STB po jednej stronie, a MAV-y po drugiej). Potem produkcja się zmniejszała. Najpierw odchodziły osoby, które już miały uprawnienia – 25 lat pracy w szkodliwych warunkach albo wiek emerytalny, 55 lat dla kobiet. Nie było takich zwolnień z dnia na dzień. Ludzie raczej nie odchodzili z kwitkiem. Potem tkalnię przenieśli tam, gdzie była wykończalnia, do zdecydowanie mniejszego pomieszczenia. Tamten duży budynek był nierentowny. Co się później działo z krosnami? Nie wiem. Czy niszczały? Czy je sprzedawano? Te mniejsze ilości maszyn przenoszono, było ich coraz mniej i mniej. Wreszcie praktycznie produkcja wygasła. Została nas garstka i trzeba było spisać ten inwentarz. I też tym się zajmowałam. Byłam planistką, ale później się już nie planowało, tylko robiło się z marszu, później byłam starszym referentem ds. rozliczeń produkcji – co miesiąc naliczałam, ile majster produkcji oddał, to wszystko się ręcznie robiło, liczyło, z kartki na kartkę się przepisywało cyferki. Remanenty były na koniec roku do wykonania. No i wreszcie zamknięcie zakładu. Zrobiło się inwentaryzację i się odeszło.

W sumie ile lat w zakładzie?

Wychodzi, że 25 lat...

Co się z zakładem stało?

Ten ostatni prezes, śp. Grzegorzewski i dyrektor Klamrzyński. Oni we dwóch jeszcze działali, czymś handlowali? Ale czy tymi pozostałościami? Tego nie wiem. Zamknęło się.

To był wielki teren...

Brama, po prawej stronie biurowiec, a potem hale – przędzalnia, tkalnia, wykończalnia, farbiarnia, kotłownia. Nasz zakład dochodził do Poloprenu. Na terenie zakładu była strzelnica. Mieliśmy swoją straż ogniową. Warsztaty – samochodowy, remontowy. Pociąg [parowóz] dowoził węgiel. Cały kombinat. To był naprawdę duży zakład. I umarł śmiercią naturalną, tak jak i wszystko.

Całe życie podporządkowane pracy... Całe dorosłe życie w jednym zakładzie? Czy nie czuła się Pani zawiedziona? Oszukana w jakiś sposób?

No tak... Było to przykre, był jakiś żal w środku, a z drugiej strony, do kogo o to mieć pretensje? Całe włókiennictwo w regionie padło – Zgierz, Łódź. Poszczególne zakłady zamykano i nikt się za nami nie wstawiał, żadne słowa wyjaśnienia nie padły. Po prostu jakby nic się nie wydarzyło, nie było strajków. To tak etapami gasło. I tak my pracowaliśmy dłużej niż Fresco. Na końcu dwie osoby zostały. Ja i pani Bogusia. Potem byłam chwilę na bezrobotnym, pracowałam w prywatnej firmie. A za rok przejdę na emeryturę! Jak dożyję! [śmiech]

Bardzo dziękuję za rozmowę.



ИСТОРИЧЕНО & ИКОНИЧНО

ZZPO

ИСТОРИЧЕНО & ИКОНИЧНО

ZZPO

ZZPO „Zeta”

Zgierskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Zeta”

Drugim dużym zgierskim kombinatem przemysłowym były w okresie PRL-u Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Zeta”, których dyrekcja i szwalnia mieściły się przy ul. 1 Maja 11. Ich początki wywodzą się z kilku zakładów zorganizowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej. W wyniku kontynuowanej komasacji oraz upaństwowienia przemysłu lekkiego Zgierza 1 stycznia 1947 r. zorganizowano państwową fabrykę przemysłu konfekcyjnego. Od 1967 roku fabryka znana była pod nazwą Zgierskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Zeta”.

Budynki, które zajmowały ZZPO „Zeta” pierwotnie należały do zgierskich fabrykantów z okresu przełomu XIX i XX wieku. Główna siedziba zakładów mieściła się w kompleksie wzniesionym przez rodzinę Zachert. Pozostałe oddziały, rozsiane po dzielnicy Nowe Miasto, miały swoje siedziby również w XIX-wiecznych zabudowaniach.

Zakłady składały się z pięciu oddziałów produkcyjnych oraz kilku działów i służb. Podstawowe oddziały to: oddział przygotowania produkcji, krojownia, szwalnia bielizny pościelowej i produkcji nakładczej (pl. J. Kilińskiego 1). Piąty oddział produkcyjny – szwalnia – znajdował się poza miastem, w odległej Iławie. Dział transportu mieścił się przy ulicy gen. J. H. Dąbrowskiego.

ZZPO „Zeta” w 1988 r. produkowały ubiory męskie i damskie, bieliznę pościelową, obrusy i inną bieliznę domową. Wielkość produkcji w tym czasie wyniosła łącznie 1977 tys. sztuk, z tego 580 tys. sztuk to ubrania, a pozostałe 1397 tys. sztuk to bielizna pościelowa i domowa. „Zeta” zaopatrywała się w surowce do produkcji głównie w okolicznych miastach: Łodzi, Pabianicach i Ozorkowie w tkaniny bawełniane, a w samym Zgierzu, Konstancynie, Pabianicach, ale również w Bielsku-Białej, Zielonej Górze, Tomaszowie Mazowieckim i Złoczynie w tkaniny wełniane. Część surowców, zwłaszcza tkaniny bawełniane i ścierkowe, w niewielkich ilościach sprowadzano z terenów ówczesnego ZSRR.

Wyroby gotowe sprzedawane były w około 1/5 na eksport, głównie do ZSRR, Francji, Niemiec i Danii. Pozostała część sprzedawana była w kraju, w 90% w sklepach handlowych znajdujących się pod patronatem Zety, 10% kupowali handlowcy, związani z zakładem umowami. Łącznie produkcja ZZPO „Zeta” sprzedawana była prawie w połowie kraju.

W 1988 r. zakłady zatrudniały 1234 pracowników, w tym 969 kobiet, a ponadto 106 uczniów. 228 osób pracowało w systemie nakładczym, czyli na zlecenie zakładu w domu lub przydomowym warsztacie. W zakładzie pracowali głównie ludzie z wykształceniem zasadniczym (584 osoby) i średnim (333 osoby).

Pozostali zatrudnieni mieli wykształcenie podstawowe (286 osób). „Zeta” zatrudniała bardzo mało osób po studiach wyższych (31). Z ogólnej liczby zatrudnionych, 173 osoby pracowały w szeroko rozumianej administracji, pozostali byli pracownikami produkcyjnymi. Większość pracowników pochodziła ze Zgierza.

W 1980 r. ZZPO „Zeta” dysponowały prawie 50 mln ówczesnych złotych funduszu socjalnego, który przeznaczano głównie na dopłaty do wczasów i kolonii oraz na organizację wycieczek krajowych. Z funduszu socjalnego zorganizowana była również stołówka zakładowa, mieszcząca się w części biurowej przy ulicy 1 Maja.

Po 1989 r., na skutek recesji w przemyśle włókienniczym i odzieżowym, firma popadła w tarapaty finansowe. Próbą jej ratowania była prywatyzacja, która jednak nie przyniosła oczekiwanego przez pracowników firmy ratunku. W wyniku braku odbiorców, rosnącej konkurencji i złego zarządzania zakład zamknięto w połowie lat 90.

Janina Błachowicz (z d. Rosiak), ur. 1953 r. i Maciej Błachowicz, ur. 1951 r.

ZZPO „Zeta”

Lata pracy: 1968-1989

Rozmawiał Paweł Kobyliński, ur. 1971 r.

Paweł Kobyliński: Dzień dobry. Chciałbym się dowiedzieć, jak Pani trafiła do zakładu pracy i przepracowała praktycznie dwadzieścia lat.

Janina Błachowicz: Dzień dobry, witam. 1 września 1968 roku poszłam do Zasadniczej Szkoły Odzieżowej „Zeta” w Zgierzu i tam się uczyłam dwa lata w tej szkole, w trzecim roku dostałam staż. Na tym stażu pracowałam w kilku zespołach: na marynarkach, na spodniach, na przygotowaniu. Robiono to po to, żeby nauczyć się kilku operacji, które mi się kiedyś tam przydadzą, jak majster mnie tam wyśle. Ale w pierwszej klasie było bardzo fajnie, bo skończył się wrzesień. 10 października dostałam pierwszą wypłatę, było to 200 złotych. Biegiem leciałam do mojej mamy, tak się cieszyłam, bo to są pierwsze moje zarobione pieniądze. W drugiej klasie miałam 320 czy 360, coś koło tego. W każdym razie również się cieszyłam, a w trzecim roku na stażu to już miałam tyle pieniędzy, ile zarobiłam: na różnych operacjach, na różnych stanowiskach i wtedy było wyliczone to wszystko z akordu. No i oczywiście miałam tam koleżanki, kolegów, w pracy było super. Jeździliśmy z dziewczynami na obóz już po ukończonej pierwszej klasie do Niechorza. Tak nam się tam podobało. Miałyśmy namiot dwuosobowy. W następnym roku z powrotem pojechaliśmy do tego Niechorza, bo była okazja, bo to nie były za drogie wczasy. W trzecim roku oczywiście znów pojechaliśmy do Niechorza było super, super, super. Miałyśmy tam po osiemnaście lat, to chciałyśmy iść na zabawę, na dancing, ale komendant oczywiście nie za bardzo nam pozwalał, no bo wiadomo. „Młode dziewczyny, jesteście pod moją opieką, nie możecie iść.” Była strażnica, na tej warcie żeśmy brały udział w no... Po prostu jako pilnujące obozu, tam grałyśmy z chłopakami, z dziewczynami w karty, w tysiąca. Tam się nauczyłam grać w karty. Tej chwili to już nie pamiętam, bo to nie ten wiek, jak to wszystko wyglądało.

Z kolei w tym zakładzie przepracowałam 21 lat. 21 lat wyjeżdżałam na wczasy, miałyśmy urlopy, miałyśmy dział socjalny, który dobrze nas zaopatrywał we wszystkie sprawy. Poszłam po ukończeniu stażu do Łodzi, do szkoły technicznej, do technikum na Irysową, ale wiadomo, była praca, trzeba było jeździć tramwajami na zajęcia, no to się za bardzo nie chciało. Częściej żeśmy z koleżanką chodziły na wagar, ale jak przyszłam po roku do pracy, po tych wagarach całych, no to tam było, tak że trzeba było iść do innej szkoły, którą utworzyli dwuzmianową

na Sokołowskiej w Zgierzu. Rano na 5 do pracy, do Zety, do 12. O 12 kończyłam pracę i do szkoły na 14:30. Jak szłam do szkoły rano, to później na 13:30 do pracy i tak to było cały czas.

Maciej Błachowicz: Musisz nadmienić, że w tym czasie poznałaś mnie, no ja tą szkołę ci finansowałam.

JB: No tą szkołę to żeś mi finansował. [śmiech]

MB: No jak to nie?

JB: No tak, w trzeciej klasie, jak już żeśmy się pobrali.

MB: No i maturę pisałaś, no z brzuszkiem.

JB: Już, no nie. Madzia już była. W każdym razie było fajnie, zaliczyłam wszystkie egzaminy, które tam były, maturę zdałam nawet dosyć dobrze i z kolei później, po porodzie, poszłam na wychowawczy, dziesięć miesięcy nie pracowałam. Po dziesięciu miesiącach poszłam pracować na spodnie – zespół to był 225. Na tym zespole pracowałam do '82 roku, dopóki nie zaszłam w drugą ciążę, ale tam już były takie czasy, że tam się zaczynały strajki. Mój mąż przynosił mi do bramy jedzenie – kanapki, bo już wtedy zakład naprzeciwko – Mag-Rys – stał.

MB: Walter.

JB: Walter, wtedy tak, Walter, to już oni stali, my żeśmy też stanęli. Po prostu wtedy nie wychodziliśmy w ogóle za bramę, tam chyba po dwóch dniach poszliśmy do domu, ale to był taki czas, że tramwaje nie chodziły. Zaczął się rok '81, 13 grudnia, to już wtedy był stan wojenny i z Kuraka – bo na Kuraku mieszkalam – to pieszo musiałam zasuwać i z powrotem. Na Kurak trzeba było na piechotę, no bo nie było czym dojechać. Zasy straszne były wtedy tej zimy, nieprawdopodobne były. Z kolei później skończyła się ta zima, to ja zaszłam w ciążę drugą, dziecko urodziłam. Po czterech latach wróciłam, po wychowawczym do pracy. I w pracy w maju, jak zaczęłam pracować, na jednej zmianie, na zespole matek, które miały małe dzieci na oddziale A, tam, gdzie była kiedyś krojownia i tam na tym oddziale pracowałam może ze cztery miesiące, no i później poszłam do kierownika kadr, poprosiłam o zmianę pracy. Zaproponował mi, żebym była kierowniczką w sklepie zakładowym Zety na Tuwima 20, ale ze względu na to, że nie miał za bardzo mi kto dziecka przypilnować, bo mąż pracował najczęściej w delegacji, to rodzice by byli uwięzieni cały czas z moją córką. No więc chodziło o to, żebym nie pracowała tak długo, ale...

MB: Powiedz też jak to było ze socjałem w zakładzie, wczasy były.

JB: Oczywiście, że były wczasy dlatego już wspomniałam...

MB: Kartofle, węgiel... Było coś takiego.

JB: Wszystko było, kwit na węgiel. W Zecie były... Majstrowa mi dawała takie z funduszu.

MB: Ale nie musiałaś się zapisać do partii, żebyś coś takiego otrzymała?

JB: Nie, musiałam się, miałam propozycję od pana Smolenia, żebym się zapisała do partii, ale ponieważ byłam młoda, i powiedziałam mu, że nie i tyle.

MB: Nic nie mówisz, że należałaś do ZMS-u [Związek Młodzieży Socjalistycznej].

JB: Należałam do ZMS-u i oczywiście w tym ZMS-ie było super, kurczę, bo były wtedy wycieczki, były organizowane dancingi, zabawy, no po prostu było super, super, była stołówka...

MB: Mówisz super, super, ale mówisz o tych czasach, o których się mówi, że słusznie minionych.

JB: Nie szkodzi, ale wtedy w tamtych czasach, kiedy ja pracowałam, to mnie to wszystko wystarczyło, bo było i jedzenie. Fabryka zaopatrywała we wszystko i na zimę, i socjal był, i odzież ochronna. Jak było lato, to mogłyśmy iść w czasie przerwy – która była od 17 do 17:15 z tego, co pamiętam – w tym czasie iść do łaźni. W łaźni się wykąpać i wrócić z powrotem po przerwie na...

MB: Muszę ci powiedzieć, że ja kiedyś pracowałam w straży pożarnej i byłam dwa razy na ćwiczeniach w Zecie i co mnie tam uderzyło, to to że jak kończyła się zmiana, to dużo szwaczek, pewnie szwaczki, stało przy poręczy, na schodach, co do minuty, że tylko sygnał i do domu. Jak to było? A robiliście na drugiej zmianie, to opowiadałaś, jak żeście szybko kończyli, żeby jak najszybciej wyjść i jeszcze do Mariolki na tańce.

JB: No to wcześniej się nie wychodziło z pracy, kończyłaś pracę... Pięć minut przed tym. Potrzeba było maszynę odkurzyć, wyczyścić, poskładać produkcję...

MB: Ale ja mówię o tych dołkach startowych, że na korytarzu już czekały, jak żeście wcześniej musieli to zrobić, żeby...

JB: No tak, tylko że majstrowa sama potrzebowała wyjść wcześniej, bo przecież ona miała do pozamykania wszystkie drzwi, piętra, to tak wyglądało. No i na dole portiernia, jak zadzwoniło, to trzeba było iść do kontroli – albo była osobista, albo była nieosobista, tylko zajrzeli do torby i się przechodziło.

MB: A jak się spóźniłaś do pracy, to przepustkę zabierali.

JB: Przepustkę zabierali oczywiście, była szara przepustka, pamiętam, ze zdjęciem.

MB: I po premii.

JB: Nie, premii wtedy nie zabierali. Raz mi zabrali premię, jak pracowałam na brakarni. To mi zabrali premię, bo zanim synka zaprowadziłam do przedszkola i przyszedłam do pracy, to niestety już byłam spóźniona, no i majstrowa mnie podsadziła do dyrektora i wtedy dyrektor Antczak mnie poprosił o spotkanie. No i poszłam, no i mówił: „No niestety, przykro mi, nagana się pani należy”. Ja mówię: „Panie dyrektorze, ale przecież to nie jest codziennie”. Nie można się spóźniać, no i dla przykładu po premii mi polecał, a że ta premia później miała znaczenie po zakończeniu roku, no to wtedy była i mniejsza trzynastka... Wiadomo, że mniejsza premia, to i na trzynastkę było też mniej pieniędzy. W każdym razie były trzynastki, było wszystko wyliczone co do grosza i ja byłam z tej pracy bardzo zadowolona. I ja na brakarni pracowałam, no niecałe cztery lata, w '89 roku 30 kwietnia z Zety odeszłam. I w sumie wspominam dobrze ten okres.

MB: Bo wcześniej wspominałaś, że byłaś od kieszeni, bo każda szwaczka robiła...

JB: To były operacje...

MB: Jedna wszywała pasek, druga kieszeń, nogawkę.

JB: To były operacje. My, jako młode dziewczyny, od podstaw zaczęłyśmy szyć to, co nam majster kazał. Raz się szyło szlufki, drugi raz się te szlufki przecinało. Następnym razem, jak już poszłam na inny zespół, na przykład na marynarki, to trzeba było odszywać koserki – to są takie klapki przy marynarce, to wtedy trzeba było iść na inny zespół, żeby zrobić odszyć kołnierza, obrysować na filcu wierzch i spód, przyszywać guziki ręcznie. Majster na przykład mnie uczył słubkowo szyć, przyszywać guziki, na cztery dziurki, no dużo rzeczy się tam nauczyłam, a później...

MB: Muszę panu powiedzieć, panie Pawle, że zakład Zety to był jeden z lepszych zakładów w Polsce. Szyli wspaniałe garnitury, prawie większość to szła na eksport. Później, jak już się sypło, przyszła Solidarność i sprywatyzowali, dużo szwaczek odeszło ze Zety. Nie miały problemu z pracą, bo zakłady prywaciarzy się bili, bo to byli rzeczywiście fachowcy. Kobity były rzeczywiście fachowcy, to nie były zszywaczki, tylko szwaczki.

JB: No dużo, dużo szło na eksport, bo to szło i do Związku Radzieckiego, i do Stanów, szliśmy na zachód, bardzo dużo – bardzo dużo rzeczy.

MB: Bardzo dużo tirów stało przed Zetą...

JB: Oczywiście.

MB: Odbierali garnitury.

JB: W magazynie gotowizny też pracowałam, bo jak któryś tam zespół miał urlop, to też poszłam do magazynu gotowizny. Trzeba było na wieszaki rozmiary przyklejać, później we worki pakować, no i później część worków ze sobą zsunąć, że jest określona ilość tych marynarek, tych kompletów całych, i wtedy się to wysyłało.

MB: No ale były też jakieś tam rygory?

JB: Rygory?

MB: Jakiś majster?

JB: To znaczy, ja nie narzekam na żadnego majstra. Nie narzekam, bo ja byłam ugodową osobą, wkurzał mnie bałagan, jak na przykład przychodziłam na popołudniową zmianę, a koleżanka, która kończyła o 13 pracę i nie pozamiatwała przy maszynie. Ja wtedy skarżyłam do majstrowej, żeby zwróciła uwagę, że tam ma być porządek. Po prostu i tyle, maszyna ma być odkurzona, wyczyszczona pędzelkiem, a nie kurzu pełno dookoła, a wiadomo jak to by było, a ja przy brudnej maszynie mam usiąść. Tak nie można było robić, bo wiadomo, że jak kurzu jest pełno...

To na tej samej maszynie inna osoba też szyla?

JB: No tak. Ja przychodziłam na 5 do pracy i ja o 1 schodziłam, musiałam tę maszynę wyczyścić. Na 13:30 przychodziła następna osoba i ona siadała na tej maszynie, i wykonywała tą samą produkcję co ja. Tak to wyglądało. Były paczki świąteczne, były dla dzieci różne takie. Dla starszych dzieci spotkania z mikołajem, także no spokojnie. Ja miałam dobrych majstrów i nawet jak była jakaś taka sytuacja podbramkowa, to mówili: „Nie płacz, nie denerwuj się, spokojnie”. Była tam, ale już nie żyje, Jadwiga Majchrzak – moja majstrowa. Ja jestem po prostu z tej Zety zadowolona, bardzo zadowolona jestem.

MB: Dużo ludzi masz, dużo koleżanek, kolegów, którzy...

JB: Dużo wspomnień, oczywiście... Same młode, całe młode lata tam spędziłam, tam pracowałam, tam zarabiałam i stamtąd wyjeżdżałam na wczasy, na obozy...

MB: Ale dzieci wyjeżdżały też na kolonie.

JB: Córka moja pojechała na trzy dni i przyjechała z płaczem z Kolumny, bo powiedziała, że nie chce tam być. Były czyny społeczne, gdzie mamy zdjęcia porobione przed... W tej chwili to jest Urząd Stanu Cywilnego, a przedtem był Urząd Partii. Brałyśmy udział w różnych spotkaniach partyjnych z moimi koleżankami, też tam były nagrody, bo to byłyśmy przewodniczącymi w tych... Nie! To nie jest przewodniczący, to jest taka osoba – przodownica. Przodownicami

byłyśmy i brałyśmy właśnie w spotkaniach takich udział. W Kolumnie były takie spotkania, kiedy trzeba było malować siatkę, żeby dzieci na koloniach miały ładnie. Przed sezonem to się jechało i się robiło. Dla mnie to jest okej, dobrze. No, a po pracy to wiadomo, że mijało się Mariolkę [kawiarnię], bo na Kuraku mieszkalam, to wstąpiło się jeszcze na ostatnie tańce do Mariolki na dancing. Parę razy się zatańczyło i się szło do domu. Zabawy przecież były w Zecie także. Na te zabawy też przyjeżdżała orkiestra wojskowa z Konstantynowskiej – z tego, co pamiętam – i panowie grali...

MB: Zarobki to nie były za duże...

JB: Zarobki to zależy na jakiej operacji, jeżeli słaba operacja to zarobki...

MB: Ja mam na myśli ogólnie, bo z tego, co patrzysz po emeryturze, to zarobki nie były za duże.

JB: No to głównie jeszcze zasłużyło, to... W tym czasie mnie oszukali, ten '53 rocznik i to dlatego tak wyszło, jak się okaże... Przeliczenie było inne, przepracowałam w sumie 36 lat w swoim życiu i to jest udokumentowane.

MB: Z czego 21 w Zecie.

JB: Z czego 21 w Zecie, to już jest... Ho, ho, ho! Jakiś czas, szmat czasu. Dużo ludzi się znało, fajne koleżanki, do tej pory się spotykamy gdzieś na ulicy, z każdą się tam porozmawia, czy z kolegami pogada. Miłość moja też tam była oczywiście w Zecie, tak oczywiście, że tak...

MB: Mechanik od maszyn, tak...

JB: Nie, elektryk, to był elektryk, no ale wszystko minęło, człowiek się zestarzał i koniec.

Jaki był koniec? Dlaczego Pani przestała pracować w tym '89 roku w Zecie?

JB: To był taki czas, że dostałam zaproszenie do Kanady, z tego powodu właśnie zwolniłam się ze Zety i pojechałam do Kanady, to był taki czas wtedy. Mąż się opiekował dziećmi, a ja pojechałam w odwiedziny...

MB: Ale zakład też się sypał.

JB: No już wtedy, no jeszcze nie, jeszcze nie. Może w '91 czy '92 roku sprzedany został. Sprzedana została Zeta innemu nabywcy, a w tej chwili to stoją tylko ruiny, wiatr hula po hali, szyby powybijane, poogradzane wszystko i...

MB: No to nie tylko był powód, że wyjeżdżałaś do Kanady... Miałś ciekawą propozycję, otrzymałaś prowadzenie tego sklepu zetowskiego.

JB: To była propozycja, tylko że ze względu na to, że rodzice by musieli cały dzień z Madzią być i wtedy, z tego powodu, musiałam, wiesz co, zrezygnować i iść na brakarnię. Na brakarni było też okej, bo pracowałam na jedną zmianę. Dziecko zaprowadziłam jedno do przedszkola, drugie poszło sobie do szkoły, a ja później odbierałam, jak skończyłam pracę, odbierałam sobie dziecko z przedszkola i nie było problemu. Tak to wyglądało.

A jak wyglądał typowy dzień pracy?

JB: Jak wyglądał? Wychodziłam z pracy, z Zety o godzinie 13. Szłam albo do teściowej, albo do rodziców odebrać córkę, przychodziłam do domu, obiadek, podwieczorek, pranie. Nie było wtedy jeszcze automatów, trzeba było wszystko we frani [potoczna nazwa pralki wirnikowej] uprać i wieczorem kolacja, mycie, kąpiele i spać, i tak było tydzień za tygodniem, tydzień za tygodniem. Dopóki dzieci nie urosły.

MB: A w pracy jak ten dzień wyglądał?

JB: No w pracy, no to mówię, że to zależało. Jak przyszłam do pracy na godzinę 5, to też się pytałam majstra, na którą operację mam iść usiąść. No to pójdziesz na tą, pójdziesz na tą i tak się szło albo tu, albo tam. Była taka sytuacja, że miałam na przykład stanowisko, takie stałe – wszywanie pasków do spodni. To bardzo długo na tym pracowałam i nawet z tego robiłam pracę dyplomową z wszywania, to były Rodzaje wszywania pasków do spodni męskich, taki to był tytuł pracy mojej dyplomowej. I najdłużej pracowałam właściwie na tej operacji. Najbardziej denerwowało mnie szycie na marynarkach, wszywanie podszewek i rozporków do tkaniny, to było coś ohydneho dla mnie, ta podszywka ślizgała się niesamowicie, zsuwało się to z maszyny, bo to było takie jedwabne takie, jakieś atlasowe te podszewki i jeszcze to trzeba było doszywać do rozporka w tkaninie, to była niesamowita robota. No i oczywiście boczne kieszenie w spodniach, to też była paskudna praca dla mnie. Gdy szły bananowe kieszenie, taki inny fason tych kieszeni, to spoko, można było to zrobić. Tylne kieszenie się fajnie odszywało z dwoma wypustkami, z jedną wypustką, no to też była fajna praca. Ale jeśli później poszłam na tą operację do wszywania pasków męskich, to bardzo długo tam pracowałam. Szlufki się podkładało, było takie urządzenie, które prowadziło z metra pasek i tylko się odkręcało, patrzyło się, w którym miejscu jest łączenie tego paska, bo to szło z takiego dużego bębna, no i się przesuwalo pod maszyną, przecinało się i następna. Były takie haki, które były zawieszane na rurkach i na tych hakach przesuwaly się właśnie nogawki spodni. Później tam szło to chyba na łączenie tyłów w spodniach, no i ryglowanie podszlufeczek, dziurki, guziki. No i na końcu siedziały panie w Zecie przy takim wielkim jednym pojemniku, można to tak nazwać, i te wszystkie spodnie tam były zrzucone do tego pojemnika, i one tam siedziały, nożyczkami to obcinały. Wszystkie nitki, wszyściusieńkie nitki i stamtąd te spodnie, takie oczyszczone, szły na prasownię. Z prasowni jedna osoba zajmowała się prasowaniem nogawek, a druga się zajmowała prasowaniem góry od spodni. Już później te spodnie, jak już były wyprasowane w kan-

ty, to to szło wszystko do brakarki, no i u brakarek, kilka było tych brakarek przy stole. Tam nie wiem, może ze sześć siedziało, jedna koło drugiej i każda swoją parę spodni przeglądała. Jak były jakieś błędy, to zaznaczała mydełkiem krawieckim i odkładała. Później, jak przechodziła na przykład do palarni na fajorę, no to ona wtedy zanosila do szwaczki i szwaczka musiała to poprawić, i z powrotem, jak poprawiła zanosila do brakarki, brakarka sprawdziła jeszcze raz, i wtedy było, że już jest poprawione, że jest okej.

MB: A park maszynowy? Maszyny żeście mieli dobre?

JB: No na początku to wiadomo, że te maszyny były takie sobie średnie. Ale przyszły takie czasy – 80. lata to już były nowoczesne maszyny. To już były minerwy, to już były textimy. Były juki... Nie, pfaffy, dobre te maszyny były. Także wiadomo, że mechanik był na miejscu, kilku mechaników było na miejscu, na każdym zespole, bo był na spodniach, mechanicy byli, mechanicy byli na marynarkach. Na jedną zmianę pracował dyspozytor, który rozdysponowywał, co jest w pierwszej kolejności, które zlecenie jest potrzebne do wywózki i wtedy wiadomo było, że każdy ma swoje zajęcie. Kawiarka gotowała kawę, miętę, herbatkę. Każdy szedł o godzinie w czasie śniadania z kubeczkami, czy tam ze słojem jakimś, niektórzy szli po kawę, no i się rozkładało śniadanie na maszynie, i się jadło. Po śniadaniu, wiadomo, to na fajkę albo się wytarło stół przy maszynie.

MB: A co z tymi papierosami? Całą paczkę wypaliłaś w pracy?

JB: Nie no, ja bym nic nie zarobiła jakbym całą paczkę wypaliła... Pomyśl. No, ale już po śniadaniu, podwieczorku na popołudnie, no to wiadomo, że na tej palarni to siwy dym, bo przecież to okna tam nie było – albo jak były, to wysoko. To już tak każdy prześmierdzał tymi papierochami, że coś straszego!

Czy były przerwy na papierosy?

JB: Były przerwy, tak, ale głównie to po śniadaniu najczęściej każdy tam szedł, chyba że już nie było na czym tam usiąść, bo były ławeczki też na tej palarni, to było takie zejście ewakuacyjne i tam każda sobie siadała i paliła. A później, wtedy, kiedy miała ochotę albo kiedy mogła, żeby tam zastoju nie było za następną operacją. Jak na przykład nie miałam, co robić w tym momencie, to wykorzystuje to, żeby sobie zapalić, a jak przyjdę, to ona mi już trochę uszyje, no to ja wtedy pracuję. Była też taka sytuacja, koleżanka moja pracowała ze mną, taka Tereska. Za mną siedziała i szyła też, wszywała paski, no i te sztuki, które tam wisiały na tych hakach, położyła sobie na kolanach i w pewnym momencie był straszny krzyk. Ja pytam: „Co ci się stało?!”. Okazało się, że ktoś jej podrzucił między tymi sztukami, pająka takiego gumowego. Miał czerwoną mordę i ona jak go zobaczyła, to tak zaczęła pisać, tak zaczęła wrzeszczeć, że ciężko ją było uspokoić. I taka moja koleżanka druga – Basia, która się zajmowała apteczką, musiała ją leczyć jakimiś kroplami uspakajającymi, bo ona się sama nie mogła uspokoić, to było coś niesamowitego: płacz, krzyk, a ona później z tych nerwów to już po prostu

się popłakała, bo nie umiała się opanować, ale taka była sytuacja, no niezręczna. Następnym razem wiedzieli, że nie ma co żartować, no bo to rzucali różne tam węże, czy tam jakieś pająki, jedna przez drugą maszynę przelatowały. No ja też się tego brzydzę, nawet tego nie chcę dotykać, nie chcę o tym nawet myśleć, to... Jak to mogło by mnie spotkać, że na kolanie albo kolanach wylazło spod jakiejś nogawki, to było coś niesamowitego, to był horror po prostu.

MB: Ale dużo szwaczek, po tym jak Zeta się rozsypała, odeszło i też one miały wzięcie u pracodawców, nie? To były dobre fachowczynie.

JB: No tak, ale to generalnie poszły na... Do tej amerykańskiej firmy do Łodzi. Na Warecką czy jak to się tam nazywa ta ulica? Dużo tam poodchodziło osób.

A tak wracając do tego dnia pracy, to jeżeli chodzi o posiłki, to była jakaś wyznaczona godzina na to?

JB: Tak, to była wyznaczona godzina jak szło się na 5 do pracy rano, to o godzinie 7 było śniadanie do godziny 7:15, a jak szliśmy na popołudnie, to o 17 był podwieczorek i o 17:15 był koniec podwieczorku. Ale jeszcze był taki czas, że jak pracowałyśmy po południu i w tym czasie był Wyścig Pokoju, to był radiowęzeł w Zecie. No to przez ten radiowęzeł wszystkie musiałyśmy wysłuchać, który pierwszy wpadł na metę, no wszystkie tak byłyśmy zainteresowane. Ale był taki moment, że ten radiowęzeł nie działał. No to wiadomo, jak nie działał radiowęzeł, no to co tu zrobić? Któraś miała jakiegoś takiego, nie wiem, małe radyjko, jakieś takie, nie wiem, kieszonkowe, podłączyła tam do jakiej baterii i wszystkie się wtedy usadziły przy tym radyjku i wysłuchałyśmy, który pierwszy wpadł na metę.

MB: Majster to tolerował?

JB: Majster tak, bo majster również był zainteresowany, kto wygra, oczywiście, a jakby to było inaczej, no co ty. Oczywiście, że tak... Był taki moment, że już mu chyba było za długo, bo mówił: „No koniec już, koniec już, koniec”, no to wtedy żeśmy się rozchodziły i nie było dyskusji...

MB: Do roboty.

JB: No tak, każda szła do pracy i tyle. No ale, też były takie czasy, jak ten stan wojenny i te strajki, to był smutny czas. Do domu się szło wtedy, kiedy można było iść. Ale co tu zrobić? Wszystkie siostry mi mówią: „Siostrzo, nie denerwuj się, siostrzo nie denerwuj się”. Jedna do drugiej „siostrzo” mówiła, nie wiem dlaczego, ja byłam zaskoczona. Mówię do tych kobiet: „Ale ja siostrę to ja mam?”. „No tak, ale w takim przypadku, a czy my w ogóle z tego zakładu wyjdziemy?” Były zmarzwione te kobiety, no ja akurat miałam męża na miejscu, wtedy w delegacji nie pracował, dzieckiem się moim zajmował, ale jeszcze miałam rodziców, którzy też jeszcze wtedy pracowali i jak się skończył w Zecie strajk, to się zaczęła Pietrusiń-

skim, gdzie pracowali moi rodzice, no i tak to wyglądało. Na zmianę i później już poszło po sznureczku, i Walter miał strajk, i Fresco, i wszystko dookoła, i Boruta, i każdy strajkował, no ale każdy przeżył jakoś ten okres i było tak jak było, nic się na to nie robi, nie od nas to było zależne. No i tyle.

A proszę mi powiedzieć, jeżeli chodzi o ten dzień pracy, to posiłki były organizowane przez zakład czy każdy miał swoją wałówkę?

JB: Nie, nie, każdy sobie przynosił swoje śniadanko albo na podwieczorek do pracy. Chyba, że były takie możliwości, żeby iść na stołówkę i sobie kupić karnet, i tam się stołować, ale to rzadko. Najwięcej to chyba biuro, no to na przykład, korzystało z tej stołówki. Ja później, jak byłam na brakarni, to też korzystałam, ale nie z takiego karnetu, tylko tak jednorazowo. Jak mi się zachciało jeść, to o 1 godzinie czy tam w pół do 1 mówię do majstrowej, że idę na stołówkę na obiad... „No to idź.” No to tam sobie kupiłam ten karnecik-bilecik i dostałam obiad, no i przyszłam już po jedzeniu do domu... Do pracy i tyle, na salę.

MB: To kuchnię też mieliście w Zecie?

JB: Stołówkę, oczywiście.

MB: Ale mnie chodzi o kuchnię.

JB: Tak, wszystko się tam gotowało, wszystko się tam gotowało. No i trafiłam wtedy tam, co poszłam, dla mnie niedobre jedzenie, bo był kapuśniak... No względny był [słysząc zwątpienie], ale były naleśniki ze serem. To już nie dla mnie jedzenie jest, naleśniki ze serem. Zapchałam się tymi naleśnikami, coś paskudnego to było, ale jak umiały, tak ugotowały, nie? No ale nikt głodny nie chodził. Kto chciał sobie kupić jedzonko jakieś, to sobie kupił, jak nie miał pieniędzy na obiadek, to sobie musiał kanapeczki jakieś przynieść z domu i wtedy sobie zjadł. A jak na brakarni pracowałam od 7:15, to od 10 żeśmy miały przerwę i o 10 maszyny były wszystkie wyłączone i jadłyśmy śniadanie - piętnaście minut. Tam już palarni nie było, tylko się wychodziło na hol i na holu żeśmy paliły papierosy albo przed zakładem. Zależy od pogody. Też była taka sytuacja, stało takie wielkie drzewo przed wejściem do zakładu, do działu A. Tam się zadomowiły pszczoły. No to wtedy było, ja nie mogę! No do portiera, no co ten portier może zrobić, no zrób pan coś, no bo przecież te pszczoły, a tam królowa pod nimi, pod tym całym majdanem była. No, ale jakoś sobie poradził, kazał nam wejść na salę, żeby którąś tam nie ukąsiły, no i wszystko zgarnął i oddał, nie wiem tam, straż przyjechała później, pożarna czy jakaś przemysłowa, no taka była sytuacja też.

PK: A na czym konkretnie polegała praca brakarza? Jak to było i jaki stosunek pracownicy mieli do tych osób? No bo bądź co bądź oni byli przez nich kontrolowani?

JB: Jeśli chodzi o brakarnię, to była brakarnia surowca, czyli były jedne wielkie, długie stoły. Kilka tych stołów, jeden koło drugiego stał. Przed stołem był taki długi jakiś pręt, na tym pręcie się wieszało tkaninę taką z beli i rozwijałyśmy po tym stole, i patrzyłyśmy jakie są błędy. Gdzie jest krajka, gdzie jest jakieś zgrubienie, gdzie jest niedociągnięta nitka czy zaczepiona, to wszystko mydełkiem krawieckim musiałyśmy zaznaczyć, zapisać w dokumencie, że tyle i tyle błędów jest w tej sztuce. Te sztuki żeśmy zdejmowały, jak już cała była przewinięta, sprawdzona, na wózek i na tym wózku one czekały tak długo, dopóki nie przyjechał ktoś z krojowni i zabierał na krojownię, żeby to wykorzystać później na wykroje, te wszystkie sztuki. Na tym polegała ta praca.

A co to była krajka?

JB: Krajka to jest taki brzeg tkaniny, jeśli jest kolor nitki: czerwony, niebieski to są pewne oznaczenia. Jedna jest elanobawełna, jedna jest wełna i te wszystkie nitki, które są, czerwona czy niebieska, to są oznaczenia i już wtedy żeśmy wiedziały: „O, wełna! O, bawełna!”. Albo jakaś tam mieszanka na przykład, na tym to wszystko polegało. Także to była też fajna i przyjemna praca. Kierowniczką bardzo dobra, nie było problemu. Naprawdę ja jestem ze Zety bardzo zadowolona, bardzo zadowolona. No może faktycznie ta emerytura w tej chwili, kiedy już się jest ileś lat na niej, no to mogłaby być wyższa, no ale to nie ode mnie było zależne, takie były zarobki, to wszystko było w akordzie, stawki były niskie. Przychodziła do nas z technologicznego działu, kontrolowała, ile zajmuje uszycie jakiejś tam sztuki, operacji... Tak to wyglądało. A później szły do swojego biura i rozliczały, ile sztuk można uszyć, wykonując tę operację w ciągu godziny, następnie mnożyły razy osiem i była wyliczona cała dniówka.

Czy były zakładowe żłobki i przedszkola? No bo Pani wspominała, że opieką nad dzieckiem zajmowały się babcie.

JB: Jeśli chodzi o żłobki, to był żłobek zakładowy – zetowski, ale ja z tego żłobka nigdy nie korzystałam. Przedszkole może też było jakieś. Moja córka nigdy nie chodziła do żłobka, ani do przedszkola. Syn nie chodził do żłobka, ponieważ ja się nim opiekowałam przez trzy lata, a później poszedł do przedszkola, no to ja poszłam na brakarnię w '86 roku. Tak to wyglądało.

Czyli nie chodzili, dlatego że Pani nie chciała?

JB: Tak. To znaczy mogłam po macierzyństwie córkę zaprowadzić do żłobka, ale nie chciałam. Rodzice doradzali, żeby nie szło, bo będzie częściej chorować, tak jak to po urodzeniu. Dlatego uważaliśmy, że lepiej być na tym wolnym, żeby opiekować się nią w domu. A później już sobie dawaliśmy radę. Ona już była coraz większa, bo już miała chyba roczek, no nawet więcej niż roczek. No i majstrowa mówi, żeby... To znaczy przysłała sąsiadkę, żeby mnie poinformować, że się zwolniło jakieś tam stanowisko na spodniach, żebym ja wróciła do pracy. No i wróciłam w marcu do pracy, po córce, to był '80 rok i tak się pracowało.

A trudno się było dostać do Zety czy to było na zasadzie takiej, że każdy, kto chciał, to znalazł pracę?

JB: Nie wiem, najczęściej to było tak, że chodziły dziewczyny od pierwszej klasy, dwa lata chodziły do szkoły, no to tam były praktyki po kilka dni w tygodniu.

Czyli to była szkoła przyzakładowa, tak?

JB: Przyzakładowa szkoła to była, tak. Trzy dni nauki i dwa dni praktyki w pierwszej klasie. W drugiej klasie było trzy dni praktyki, dwa dni nauki. No troszeczkę było więcej tej pracy w drugiej klasie. No ale i większe pieniądze to takie stażowe było. Nie wiem, czy osoby z zewnątrz przychodziły do pracy. Można było iść albo wyżej, albo żeby się nauczyć. Niektórym wystarczyło że po tej zasadniczej szkole są i że pracują. Dużo osób po tej zasadniczej szkole odchodziło z Zety. Nawet mam taką wiedzę, że moje koleżanki odchodziły z pracy.

A nie było obowiązku kontynuowania pracy po zakończeniu nauki?

JB: Trzy lata, trzeba było przepracować trzy lata po zakończeniu szkoły. Wszyscy musieli odrobić naukę.

A jeżeli ktoś nie chciał zostać w Zecie po szkole, czy mógł się wycofać?

JB: Musiał się przemęczyć trzy lata.

MB: Ale ponosił jakieś koszty?

JB: Nie, nie, najczęściej nie. Żeby nie ponosić kosztów, to te trzy lata musiał się przemęczyć w pracy.

MB: A jak musiał się zwolnić?

JB: Nie. Każdy się tak starał, żeby te trzy lata, te trzy lata odbębnić. Dzisiaj kończy szkołę, kończy staż, ma to wszystko udokumentowane i odchodzi. To tak nie było! Te trzy lata jednak trzeba było odpracować, a później po tych trzech latach wypowiedzenie i do widzenia, jak ktoś chciał odejść. Nie było już wtedy żadnego wstrzymywania.

MB: No to już było w latach 90.

JB: No niekoniecznie, jakie 90., jak w '68 ja poszłam do pierwszej klasy, no co ty mówisz?!

A jeżeli chodzi o płace, to te płace w Zecie były porównywalne do innych zakładów czy było gorzej, lepiej?

JB: Nie mam takiej wiedzy, nie wiem, nie mam pojęcia. Miałam wiele koleżanek, które były prządkami albo tkaczkami, ale ile one zarabiały, nie wiem. Jeśli chodzi o szkoły te przyzakładowe, no to było to samo, takie same były pieniądze.

Ale później już, pracując?

JB: Nie mam pojęcia, nie mam pojęcia, jak to wyglądało. W każdym razie, nie tak dawno spotkałam koleżankę, która jest mój rocznik, do tej samej szkoły żeśmy chodziły na Barlickiego, bo to była przyzakładowa szkoła. Tyle, że ja chodziłam do odzieżowej, a ona chodziła do przędzalnianej i tam się okazało, że ona ma mniejszą emeryturę niż ja. Fakt, że ten Pietrusiński się szybciej rozleciał chyba niż Zeta, tak mi się coś kojarzy, i ona szybciej poszła na taki zasiłek przedemerytalny... Chyba tak i to też było spowodowane, że którąś tam stówkę ma mniej niż ja.

MB: Ale różnice w zarobkach były, bo moja matka na przykład pracowała we Fresco i pracowała jako cerowaczka – naprawiała te błędy, które tam Jańcia wyłapywała, jakiś brak nitki czy coś. Cerowaczki zarabiały bardzo dobrze, o nich się mówiło, że to jest szlachta włókiennictwa. Zarobki miały bardzo duże, także te różnice w zarobkach były, może nie w odzieżowym, ale we włókiennictwie.

JB: No, no, włókiennictwo, no tak, tylko że, gdyby na przykład twoja mama nie pracowała jako cerowaczka, tylko na przykład jako brakarka, to podejrzewam, że by nie miała takich zarobków jakie miała.

MB: No też mówię o tym, bo nazywali ich szlachtą włókiennictwa, bo dużo zarabiali.

Ale to jeszcze było w Zecie czy jakimś innym zakładzie?

JB: Nie, nie. To było Fresco. To jest ten budynek, w którym w tej chwili jest urząd skarbowy. Ale w '79 odeszła na emeryturę. To też były inne czasy i inne zarobki, to nie była taka kobita, że przyszła do szkoły przyzakładowej i się tam uczyła, ona po prostu poszła do pracy i tam pracowała od razu, nauczyła się zawodu i to robiła. Babcia Hela też była pracownicą Zety, bo mi o tym opowiadała i tam kiedyś przed wojną czy po wojnie, nie pamiętam już, jak ona mi mówiła, szyli wojskowe ubrania – ciężkie, zielone mundury, płaszcze. Tam było strasznie – mówiła. No ale ona skąd się nauczyła szyć? Tam się nauczyła szyć w Zecie. Wiele osób tam pracowało naszych znajomych, może i moja babcia też pracowała tam, nie wiem nawet.

MB: Moja na pewno pracowała.

JB: Twoja też tam pracowała. Inaczej zupełnie to wyglądało, był fajny majster, który nas przyjmował w pierwszej klasie, na praktykę do Zety.

MB: Na staż.

JB: Na praktykę, bo to była pierwsza klasa i cała gromada tych dziewczyn i jednego chłopaka w klasie mieliśmy. Przyszliśmy na zespół, na spodnie, ty będziesz to robiła, ty będziesz to robiła, tutaj masz to robić. On pracował od 8 do 4. I sobie myślimy, kiedy on już pójdzie do domu, jak po południu żeśmy były, kiedy on już pójdzie do domu. Ty będziesz robiła na fastrygówce, no dobrze. To ja usiadłam na fastrygówce, to była taka duża maszyna, z dużym pulpitem i jedną wielką na środku igłą. I co się okazuje, że ja miałam fastrygować paski, takie były z lnu, takie parciane paseczki. No i sobie tak fastryguję, ta igła tak sobie skacze po tym pasku, tak skacze, ja sobie też podłożyłam razem z palcem i też mi poskakało po palcu, to było pierwsze moje skaleczenie na tym. Naprawdę, to było pierwsze moje skaleczenie i poszłam do pani Stasi, która była prasowaczką, i ja mówię tak: „Wie pani co? Przekłułam sobie palca”. A ona mówi tak: „Czym przekłułaś?”. A ja mówię: „No przeszyłam sobie na fastrygówce skokowej”. Ona mówi: „Nie-samowicie, ale krew ci nie leci”. I za chwilę ta krew zaczęła lecieć. „No to dawaj opatrunek ci zrobię”. Tak to wyglądało.

Czy był lekarz i dentysta zakładowy?

JB: Oczywiście.

No bo wypadki, jak Pani wspomniała, się zdarzały.

JB: Zdarzały się, tak. Był lekarz dentysta, był lekarz ginekolog, był lekarz internista, dbali o nas naprawdę. Była rejestracja, była pielęgniarka w razie jakiejś potrzeby, nie było problemu. Doktor Kamila Piątkowska była naszą lekarką, doktor Rutkowska stomatologiem, doktor Górski – ginekologiem, tak. Kto tam jeszcze był? No i taka Piotrkowska... Piotrowska pani, ale nie pamiętam imienia. Ona była rejestratorką i pani Bożenka była pielęgniarką. Nie pamiętam, jak ta Bożenka miała na nazwisko, ale dzisiaj już jesteśmy takie stare kobietki i sobie do tej pory dzień dobry mówimy, bo się po prostu znamy. Wiemy, kto kim był i dzień dobry, dzień dobry, czy nawet w dziale technologicznym, jak tam dziewczyny przychodziły na zespół i kontrolowały, ile szyjemy, w jakim czasie, jaką operację. Dzień dobry, dzień dobry, do tej pory sobie kłaniamy się, tak było.

Jeszcze chciałem wrócić do tego lekarza. Te porady to się odbywały w trakcie pracy czy się chodziło po pracy? Jak to wyglądało u ginekologa czy dentysty? Czy borowanie było między 6 a 15?

JB: Oni pracowali od 8 do 16, tak mi się zdaje, że tak było i w tych godzinach, jak ktoś miał jakiś problem, to szedł. Lekarz pracował dłużej na dwie zmiany, na dwie zmiany pracował lekarz, to szłam wtedy od rana do lekarza. Była mierzona temperatura, mierzone było ciśnienie – w zabiegowym gabinecie to było robione. A do lekarza tylko się szło z informacją, jakie było ciśnienie, jaka była temperatura, no i wtedy lekarz – doktor Kamila Piątkowska, ona wtedy badała. Później

był taki lekarz Tołłoczko w Zecie i też leczył ludzi, też leczył ludzi. Dużo było, bardzo dużo ludzi korzystało z pomocy medycznej, bo z kolei każdy potrzebował iść do ginekologa, bo kobiet było bardzo dużo, głównie kobiety były. Z dentysty również, z dentysty tak samo się korzystało, a że dentystka była dobra, to każdy jednak wolał do niej iść, prawda. Wtedy nie było takich prywatnych gabinetów, żeby chodzić do prywatnego lekarza dentysty czy tam prywatnego internisty, to nie były takie czasy, nie... Później dopiero jakaś moda tam nastąpiła, że była Piątkowska 3, Piątkowska 5, tam się wtedy jeździło, ale tak wcześniej to generalnie wszyscy chodzili do zakładowego lekarza. Była jeszcze taka sytuacja: w tej chwili, gdzie jest ZUS, tam była też przychodnia i tam w tej przychodni byli lekarze specjaliści, tam nie było potrzeby, żeby jakieś skierowania brać. Nie, nie było takich sytuacji, do chirurga to każdy wiedział, że trzeba iść do chirurga czy do dermatologa, czy do okulisty. Nikt nie potrzebował żadnych skierowań, nie było takich kolejek jak dzisiaj, a dzisiaj to jest tak jest.

A jak to wyglądało? Ktoś budził się rano, czuł się źle, to musiał się zgłosić do lekarza zakładowego? Czy szukał porady tam, gdzie...?

JB: Nie, nie, do zakładowego.

To był obowiązek?

JB: Tak, tak, do zakładowego lekarza. Lekarz zakładowy wtedy zbadał, ciśnienie zmierzył, przepisał lekarstwa. Jeżeli stwierdził, że trzeba mieć jakiś odpoczynek w domu, położyć się do łóżka, no to nie było sprawy. Wiele ludzi też takich było, którzy nagminnie korzystali ze zwolnień lekarskich. Jeszcze były wtedy takie czasy, jak ja miałam małe dzieci... 56 dni w roku było opieki zdrowotnej dla matki z dzieckiem. Tylko tyle dni mogłam wykorzystać w ciągu roku. Jeżelibym wykorzystała więcej, to prawdopodobnie bym miała niezapłacone. Kiedyś zwolnienie było płacone chyba 100%, każde zwolnienie, nie tylko wypadkowe czy szpitalne, ale każde. Wtedy było 56 dni zwolnienia i ani dnia więcej! Obojętne, czy się miało dwoje dzieci, czy troje, to tylko 56 dni było przypisane na rok dla dzieci.

MB: Mieliście jeszcze badania okresowe.

JB: Badania okresowe to były obowiązkowe. To były obowiązkowe, z tego powodu że trzeba było stwierdzić, czy się nadaje do pracy, czy ma oczy zdrowe, czy w ogóle. Trzeba było zrobić te badania okresowe, konieczne były po prostu.

MB: Też u zakładowego lekarza?

JB: Oczywiście, u zakładowego lekarza.

Czy zdarzały się wypadki? Czy miały miejsce trudne sytuacje?

JB: To znaczy o wypadkach to za bardzo nie wiem, żeby się tam jakieś wydarzyły.

To może przy maszynie jak się pracuje, to jakaś tam igła albo strzeli, albo pęknie, i może tam uszkodzić palec na przykład. Ale jeśli chodzi o jakieś drastyczne sytuacje, to nie mam takiej wiedzy, po pierwsze. A po drugie, to była też taka sytuacja – mieliśmy ćwiczenia. Te ćwiczenia miały miejsce, bo ja należałam do PCK jako młoda dziewczyna. No i te ćwiczenia tam były na dziedzińcu zakładu i trzeba było się ubrać w jakiś taki strój, położyli mnie na noszach i ci, nie wiem, kto to był, żołnierze jacyś, bo to ćwiczenia wojskowe były: „Jak się pani czuje?”. Pamiętam, taki był dyrektor Korab i mówi tak: „No proszę, dobrze się czuje, a taka, mówi, jest schorowana, na noszach leży!”. [śmiech] Taka była sytuacja. Pamiętam to, położyli mnie na tych noszach, na portierni i tak się nachylili nade mną: „Jak się pani czuje? Jak się pani czuje? – No dobrze. – O proszę, dobrze się czuje, a taka schorowana na noszach leży!”. No to takie były różne sytuacje. Przez tyle lat, to się tam sporo rzeczy wydarzyło. No, ale generalnie było spoko. Fajnie wspominam tamten czas przynajmniej.

Mówi pani, że fajnie wspomina tamten czas, a czy na przykład pracownicy obchodzili imieniny tam w zakładzie czy raczej to się wszystko odbywało poza terenem?

JB: Nie, nie. Jeśli chodzi o imieniny, to jak były imieniny, to się przynosiło worek cukierków i się każdego częstowało po kolei, tak było. No i się usłyszało życzenia obok od koleżanek, od kolegów, od majstra.

Jak się obchodziło Dzień Kobiet, święta Bożego Narodzenia?

JB: Jeśli chodzi o Dzień Kobiet, to była taka sytuacja, że zadbali o nas kiedyś, że dostaliśmy ciasteczka, takie zwierzaczki. No i tam któraś dziewczyna się dopatrzyła, że te ciasteczka są przeterminowane [śmiech], więc zaczęliśmy składać z powrotem na ten wózek transportowy, niech sobie zjedzą, i honorowo żeśmy poddawały wszystkie te ciasteczka, co oni z tym zrobili, nie mam pojęcia, ale któraś tam się dopatrzyła, że tak było. Były też pochody pierwszomajowe, były kwiaty, były goździki, było śmiesznie, wesoło. Wiadomo, na pochód spod Zety, a później na plac Stu Straconych, a stamtąd z powrotem, myk i do domu.

Czy obecność na pochodach była obowiązkowa?

JB: Tak, oczywiście, pochody były obowiązkowe, tym bardziej, że my byłyśmy z dziewczynami w ZMS-ie. Koniecznie, tak, krawat czerwony musiał być, biała bluzeczka. Czasami byłam zasłonięta do samego gardła, żeby nikt nie widział, że się ma czerwony krawat pod spodem. Tak się szło na te spotkania. Ale z kolei miałyśmy też z tego powodu, no taką satysfakcję, żeśmy się mogły gdzieś spotkać z dziewczynami, z ludźmi, którzy są starsi od nas na przykład, zachęcają nas do takiego współdziałania, no tak jak mówiłam – przodownice, co byłyśmy na tym zebraniu, no tak było, no kurczę.

Ale to się odbywało w ramach ZMS-u?

JB: Tak, i w ramach pracy. Wywołał nas tam przewodniczący, teraz idziemy tu i tu, no i żeśmy się poubierały w płaszczki i poszłyśmy sobie do Domu Partii. To było tam, gdzie w tej chwili jest Urząd Stanu Cywilnego. Tam było spotkanie, były oklaski, była kawa albo były obiady w Zecie. Kiedyś też taka sytuacja była jak pracowałam na brakarni, mimo tego, że nie byłam partyjna, to było jakieś spotkanie w Kolumnie z dyrekcją, z przewodniczącymi związków zakładowych, rady zakładowej. No i wszyscy przyjechali, kielbaczki były, różno, ognisko, śpiew, zabawa, niesamowicie. Wszyscy nas zawieźli, przywieźli. Ja zabrałam dzieci, pojechałam z dziećmiakami.

A jak to było z rozliczeniem takiego dnia? Jeśli w czasie pracy jeździłyście na uroczystości, no to wiadomo – żadna z was nie szła, a to był akord.

JB: To wtedy się nie zarobiło, tak. No to wtedy dostałyśmy jakąś premię.

Czyli straty nie było?

JB: Nie było straty, wtedy dostałyśmy jakąś premię i było spoko.

Czy pracownicy otrzymywali mieszkania zakładowe?

JB: Były mieszkania zakładowe, ale w tym czasie, kiedy się zakład starał o mieszkania dla pracowników, to były budowane wieżowce na Kuraku, ale mój mąż już wtedy miał książeczkę mieszkaniową i nie korzystaliśmy z takiego przywileju, żeby tam no wykańczać te mieszkania, żeby wcześniej gdzieś dostać w tym celu inne mieszkanie. Bo żeby dostać inne mieszkanie, to trzeba było wykończyć jakieś tam, gdzieś w innym bloku, po to żeby wcześniej dostać to z przydziału. Tak to wyglądało.

Czyli swój czas i swoją pracę się wkładało w nie swoje mieszkanie, tak?

JB: Dokładnie tak było. Mój kolega tak pracował na Kuraku...

I tym sposobem mógł zdobyć...?

JB: Po to, żeby wcześniej dostać mieszkanie, to on wtedy pracował na Kuraku i dostał wcześniej mieszkanie na Dubois w blokach. A ten, który nie pracował, nie miał takich możliwości, musiał czekać. Też były przydziały: rada zakładowa przydzielała mieszkania, na przykład, pracownikom – z tego, co się później dowiedziałam już po fakcie, jak już byłam sporo dorosłą kobietą, że takie były sytuacje, że za taką marną sumę można było te mieszkania kupić. Rada zakładowa pomogła, bo był przecież dział socjalny, to również się z tym wszystkim wiązało, że można było dostać jakąś zapomogę i wtedy włożyć wkład na mieszkanie, a resztę spłacić w ratach i mieszkanie było.

MB: No ale jeszcze żeście mieli tak zwaną kasę zapomogowo-pożyczkową. Można było brać pożyczki.

JB: Tak mieliśmy kasę zapomogowo-pożyczkową, nawet kiedyś skorzystałam z takiej kasy remontowej, to się tak nazywało, trzy lata.

MB: Większość ludzi w Zecie związana była z taką kasą zapomogowo-pożyczkową.

JB: No na pewno, na pewno. Trzy lata takiej remontówki to już jest większa suma bez oprocentowania albo jakieś takie minimalne oprocentowanie i koleżanka koleżance podżyrowała, bo to musiał wtedy być żyrant i ona dostała taką pożyczkę, i ja dostałam taką pożyczkę. Ona nie spłacała tylko żyrowała, przychodził miesiąc i z paska było odsunięte: sto złotych czy tam dwieście złotych – zależy, jakie to były pieniądze. Wiadomo, że to było przed denominacją. Jeszcze był fundusz węglowy, nam dopisywali, dopłacali do paska, do pensji, tak było.

A jeszcze jakieś inne dodatki do pensji były?

JB: Dodatki? Nie. Tylko ten przydział węglowy i nic więcej.

A na dzieci na przykład?

JB: A na dzieci – rodzinne, to były takie groszowe sprawy. Bardzo groszowe, ale dostawali wtedy tylko ci, których nie przekroczył zarobek. Jak przekroczył zarobek, to już nie dostawali, ja nie dostawałam takich rodzinnych zasiłków. Nie dostawałam, bo mąż zarabiał więcej, bo pracował w delegacji, przekroczył zarobek i nie dostawałam. Gołą pensję miałam tylko i premii trochę, jak tam się uzbierała jakaś.

Czy oprócz 1 Maja obchodziliście inne święta narodowe, państwowe?

JB: Nie, nie.

A 22 lipca?

JB: Nie. To był dzień wolny od pracy, to się po prostu człowiek tak migał. Pamiętam, że 22 lipca to zawsze były żniwa i zawsze było pełno kurzu za blokami. To, co pamiętam, bo tam było zboże posiane. Ale tak, żeby były jakieś okoliczności czy inne... Nie, nie pamiętam, żeby coś takiego było. Ten pierwszy maja, no to pamiętam, bo niejednokrotnie dyrektor szedł razem z nami w pochodzie, no i był czasami też w stanie wskazującym, no. [śmiech]

Czyli był poczęstunek?

JB: Tak, przed, ale myśmy były młode dziewczyny, on był może trochę starszy

od nas, nie za wiele... Może miał inną potrzebę i szłyśmy, dostałyśmy po goździku, różowym, pamiętam. [śmiech] No ale był dział socjalny, dostawałyśmy raz do roku fartuszki, ręczniki, mydełko do prania. Proszku to nie było wtedy, nie pamiętam, żeby był proszek, ale mydło, fartuszki i ręczniki żeśmy dostawali ściereczki jakieś raz w roku takie i to już wtedy każdy za darmo dostał. W takim magazynie, jak taka kobitka pracowała, to ona miała fajną robotę, bo przyszedł zespół, na przykład 224, no to ileś tam osób, tylko nie wszystkie naraz, no to tam parę poszło. Poodbierały sobie to, co ich było. Naszykowane było, ręcznik dla każdego, była taka pajdka. Każda podpisała tylko w karcie obiegowej, że dostała, no i szła na zespół pracować dalej, bo to trzeba było wyjść z budynku, żeby iść do drugiego pomieszczenia odebrać właśnie te rzeczy.

MB: Ale miałaś jeszcze dodatek za pranie. Nie płacili za pranie?

JB: Nie, za pranie nie płacili.

MB: Za pranie zwykle płacili.

JB: No może płacili, a może... Nie pamiętam.

MB: W ubraniu, w którym pracowałaś, musiałaś sobie uprać to ubranie sama.

JB: A tak, tak masz rację. Teraz sobie przypomniałam, tak. Tak, pamiętam. Tak, pamiętam, po 35 złotych kiedyś dostaliśmy i z koleżanką żeśmy się spotkały, i ją okradł kolega z tych 35 złotych, tak teraz sobie przypomniałam. 35 złotych wtedy dostałyśmy, to już byłyśmy takie dziewczyny dziewiętnaście-dwadzieścia lat, tak, to pamiętam.

MB: To był jeden z dodatków przecież. Mydło to był obowiązek i zakład dawał mydło.

JB: No mówię, że dostawałam mydełko, fartuszek.

MB: Co miesiąc?

JB: Co miesiąc nie.

MB: Mydełko, no jak to nie?

JB: Mydełko może częściej, ale fartuszek i ściereczki czy ręczniki to dostawaliśmy raz w roku, tak. A mydło to może i częściej było.

Czy Zeta organizowała wczasy? Czy miała swoje ośrodki?

JB: Oczywiście miała. Zeta miała ośrodek w Kolumnie, w Jastarni... Gdzie jeszcze miała? W Poroninie prawdopodobnie. I kiedyś była taka sytuacja, że miałyśmy

jechać z dziewczynami do Poronina na wczasy. Już tak się cieszyliśmy bardzo, że mówimy: „No wreszcie sobie odpoczniemy i góry zobaczymy”. Co się okazuje – jest informacja, że tych wczasów dla nas nie ma. Moja pani majstrowa Jadzia mówi tak: „To ja wam doradzę, co macie zrobić. Idźcie do POP-u”. Poszliśmy do POP-u, to jest Podstawowa Organizacja Partyjna. Poszliśmy tam i z kobietką, która była przewodniczącą – ona się nazywała chyba Elżbieta Matusiak z tego, co ja pamiętam, ona była później moją profesorką w technikum. To ona mówi tak: „No co mamy z wami zrobić?”. „No my żeśmy przyszły tutaj po pomoc do pani. Niech pani coś zaradzi, no bo skoro miałyśmy jechać do Poronina na wczasy, a tu się okazuje, że tych wczasów nie ma, to ktoś zawalił sprawę”. „No chyba tak, ale ja wam pomogę. Nie przejmujcie się ja wam pomogę.” Ona faktycznie nam wtedy pomogła. Dostałyśmy wczasy w tym samym terminie z Funduszu Wczasów Pracowniczych i pojechaliśmy wtedy do Czarnej Wody – to było gdzieś w okolicach Stargardu Gdańskiego. To też były fajne wczasy. W prywatnej chałupie żeśmy mieszkały, ale generalnie było wesoło. Też był tam basen, mogliśmy sobie popływać, super.

A to z całą rodziną na te wczasy oczywiście?

JB: Na te wczasy pojechaliśmy z koleżankami, bo byliśmy wtedy młode dziewczyny. Byłam ja i trzy moje koleżanki. Razem żeśmy mieszkały w tym domu.

MB: Ale razem żeśmy byli też z Tomkiem i Magdą.

JB: Ale byliśmy... Gdzie myśmy byli razem z Madzią i z Tomkiem? A w Jastarni byłam też na wczasach ze Zety, no to też byłam jako panna, ale z tobą byłam w Łazach... Nie, w Łebie. W Łebie, jak wróciłeś z Iraku. Tak, jak wróciłeś z Iraku, to żeśmy pojechali do Łeby.

MB: Ale to nie był ośrodek Zety.

JB: To nie był ośrodek Zety, ale to Zeta organizowała te wczasy, w prywatnym domu. Odkupili od kogoś mieszkania, wynajęli i tam mieszkali lokatorzy, a my na górze. Kilka pokoi było do wynajęcia. Tak było.

MB: Ale Zeta zabezpieczała przewóz, autokar był.

JB: Tak.

Czy ceny tych wczasów były porównywalne do takich, jakby się samemu organizowało?

JB: Nie wiem, dlatego że nigdy się nie interesowałam. Uważałam, że jak jestem w pracy i pracuję, i jest dział socjalny, to można się zwrócić do takiego działu i oni organizują takie wczasy. Były jeszcze zapisy na wczasy, trzeba było tam zapisać się na ten termin, bo każdy zespół miał w innym terminie urlop i tak, żeby

zakład nie stanął na ten czas. No więc myśmy się tam zapisywały na te wczasy, bo w tym terminie będzie urlop, no i nie było problemu. I nigdy mnie to nie interesowało, jakbym tak miała pojechać prywatnie. Zresztą nie wiem, czy tak było, dużo pewnie zakładów takich państwowych i te państwowe zakłady organizowały dużo wczasów, obozów dla dzieci i kolonii, prawda.

MB: Prawdopodobnie coś dokładali w Zecie.

JB: Oczywiście, oni dostawali jakieś pieniądze na dofinansowanie do takich urlopów. Bo to trzeba było pojechać. Autokar był jaki był, ale na szczęście dojechał i z powrotem wrócił. Była taka sytuacja, że się w Pile popsuł i staliśmy, i czekaliśmy na drugi. Zawsze było tak, że jechaliśmy na noc. O godzinie 10 była zbiórka i jechaliśmy. „Papa!” każda sobie tam powiedziała, bo niektórzy wychodzili z pracy, a tu zbiórka, autokar podjechał. Jechaliśmy na rano, przyjechaliśmy do domu, nie było pierwszej kategorii, dróg, tylko było tak jak było. Nie było autostrad ani żadnych dróg szybkiego ruchu. To się jechało całą noc nad morze.

Czy tam na miejscu zakład pracy organizował czas czy każdy robił to, co chciał?

JB: Nie, nie, nie, też był kaowiec¹, on tam organizował wolny czas: spotkania, wycieczki. Byliśmy na wczasach w Jastarni, na przykład, to był zorganizowany przejazd z Jastarni na Hel pociągiem. Tam żeśmy sobie trochę pozwiedzali. W Helu był statek podstawiony i my tym statkiem żeśmy przyплыnęli do Jastarni albo jęździliśmy na przykład do Gdańska na wycieczki. Gdańsk do Kamiennej Góry, Gdańsk-Oliwa, zwiedzaliśmy ten kościół z tymi słynnymi organami w Gdańsku-Oliwie, także dobrze było zorganizowane.

Ale każdy chciał jechać na tę wycieczkę w ramach wczasów? Czy można było zostać i na przykład robić, co się chce?

JB: Dużo osób chciało, no bo jednak każdy chciałby zobaczyć coś więcej niż tylko miejsce, gdzie się idzie na plażę i z powrotem do ośrodka. Inaczej było na przykład jak byśmy w Niechorzu, no to już wtedy wiadomo, że był ośrodek zamknięty i nikt się nie szwendał. Każdy miał swój namiot, po kilka osób w tym namiocie mieszkało. O jednej godzinie były posiłki. Czasami były dyżury na kuchni. Trzeba było pomóc kucharkom ziemniaki obrać, włoszczyznę, chlebek pokroić. Zależy, który namiot kiedy miał jaki dyżur. No ale dawałyśmy radę i nie było problemu.

A jak Pani uczyła się w szkole i później pracowała na drugą zmianę, to zakład pracy dawał jakiś dodatek motywacyjny albo pracownik mógł trochę mniej pracować? Jak to było?

¹ Kaowiec – potoczna nazwa od skrótu KO, czyli kulturalno-oświatowy – osoba, często zatrudniana przez zakład pracy, dbająca o odpowiedni poziom rozrywki pracowników, także na wczasach.

JB: Tak było: pracowałam godzinę krócej niż wszyscy i wcześniej wychodziłam. W dni, w które nie chodziłam do szkoły, czyli w środy, to niestety musiałam normalnie pracować osiem godzin. W dni, w które chodziłam do szkoły, godzinę wcześniej wychodziłam. Czy była popołudniowa zmiana, czy to była zmiana ranna to tak wychodziłam – albo o 12, albo o 12:30. No i później się spotykałam ze swoim obecnym mężem. Zaprosił mnie na kawę, no i mówi: „Mam dla ciebie jakąś informację”. Ja mówię: „Tak? Ciekawe co...” A chciałam z koleżankami iść tego dnia na dancing. „Nie, nie chodź, mówi, do Mariolki”, no i pokazał dwa pierścionki i mówi: „Wybierz sobie”. No i to już były takie, wiesz, poważne sprawy. Przyszliśmy do domu, powiedziałam rodzicom, że chcieliśmy zrobić zaręczyny i tak żeśmy zrobili za dwa tygodnie zaręczyny.

Wspominała Pani, że po pracy chodziło się do Mariolki, czyli po tej nocnej zmianie tam się chodziło?

JB: Po tej popołudniowej.

Popołudniowej, czyli o 22.

JB: O 21:30 kończyłyśmy pracę, a Mariolka była czynna do 22. No to z Zety do Mariolki na plac Kilińskiego to było kawałek. Każda się spieszyła i już była w dołkach startowych, żeby tylko szybko zmyknąć z pracy, no bo wcześniej się nie wychodziło tylko o wpół do 10. I szybciotko do Mariolki. „Jest jeszcze jakaś zabawa? No i jest!”. Trzy razy w tygodniu grali: w środy, w soboty i w niedziele. Były fajne zabawy, fajny był zespół, który zawsze grał na żywo. Nie z jakiś tam, z płyt, tylko po prostu zespół grał. Dancing był jak ta lala, dużo ludzi, zresztą bardzo dużo ludzi. Tam papierosów się wypaliło, hu, hu, hu! Tam siwy dym był w tej Mariolce, ale była dobra kawa, była dobra galaretka z bitą śmietaną, psychota. No ale co? To wszystko upadło, przyszedł czas i skończyło się.

Czy produkty szyte w Zecie sprzedawane były pod marką własną? Czy były jeszcze inne marki?

JB: Nie, nie, tylko była Zeta. Zgierskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Zeta”, 1 maja 11.

A jak za granicę, to też tak było?

JB: To też tak było, tak ostemplowane. Też tak było, to były wszywki, to były etykiety, metki różne. Wszystko było poprzyczepiane, że to były Zgierskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Zeta”.

Czyli można powiedzieć, że cała Europa chodziła w zetowskich ubraniach.

JB: Dokładnie tak. Te tkaniny były dosyć dobre, bo tam były elany, tam były wełny, elanobawełny. Dobre tkaniny były i dużo tego schodziło, no bo wiadomo –

jak tyle ludzi pracowało, że dwa tysiące może w tym czasie, kiedy ja pracowałam, początek lat 70., to tam ze dwa tysiące ludzi na pewno pracowało.

Czy oprócz garniturów Zeta produkowała inny asortyment?

JB: Także kamizelki. I później, za jakiś czas, jak już się ta Zeta chyba rozleciała, to tam szyli różne rzeczy, różne, i sukienki tam chyba były, i spódniczki, i jakieś zakłady. Jakoś chcieli dać sobie radę, żeby to utrzymać, ten budynek i w ogóle te maszyny, no bo to, wiadomo, park maszynowy nowocześniejszy, a z kolei odbiorców nie było, bo ile tych rzeczy poszło do Związku Radzieckiego. Bardzo, mnóstwo i „zdiełano w Polskę” [z ros. „zrobiono w Polsce”]. Tak było.

Czy była różnica, w produkcji na kraj i zagranicę?

JB: No jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, to tam już musiała być taka jakość perfekcyjna. Tam już musiało być takie super! To znaczy każdy się starał, żeby to było jak najlepiej zrobione i uszyte, ale... Dlatego też byli brakarze. Stany brały małe ilości, ale bardzo zwracali uwagę na jakość i chcieli, żeby to było jak się należy.

A czy szwaczki z brakarzami lubili się? Czy występowały animozje?

JB: Prawdopodobnie to tam były jakieś też scysje, jak tam jest dużo poprawek, to się czepia. Ja na przykład miałam taką sytuację, że jak wszywałam paski do spodni, to były szlufki o innym odcieniu niż pasek. No to już wtedy wiadomo, że trzeba było wszystko wypruć i przeszyc, i dobierać taki kolor do takiego koloru, taki kolor do takiego koloru. Tak to wyglądało. No może na kraj... Nie mam takiej wiedzy, żeby szło to na patałajkę wszystko zrobione. No każdy jednak się starał, żeby to było czysto zrobione, nitki nie wisiały, nie było dziur przy kieszeniach. Musieliśmy jednak dbać o to, żeby to było dobrze zrobione, bo to był nasz cel, żeby ta praca jednak była.

Czyli jakość miała znaczenie.

JB: Oczywiście, tak.

Przynajmniej większość osób dbało o to.

JB: Tak, tak.

Wspominała Pani o sklepie zakładowym. Ten sklep funkcjonował na terenie zakładu czy to było poza terenem i każdy tam mógł kupować?

JB: Każdy mógł kupować w sklepie zakładowym Zety na Tuwima 20 w Zgierzu. Każdy tam mógł iść. Tam była dostawa, przyjeżdżał kierowca, przywoził garnitury, przywoził marynarki, spodnie. Zależy, co kto potrzebował, to sobie wtedy kupował.

Czy można było w sklepie kupić bez problemu wasze garnitury? Czy były kolejki, zapisy?

JB: W tym czasie, ja to kojarzę, to nie było takich kolejek, bo każdy jednak tam pracował, no to każdy sobie nawet z magazynu gotowizny coś tam kupił. Zresztą Zeta organizowała kiermasze na świetlicy. Na tej świetlicy były różne rzeczy i tam wtedy można było kupić dużo ubrań – czy spodni samych, czy marynarek. Każdy coś tam potrzebował. Też była biblioteka, gdzie można było sobie książki wypożyczać. A jak już były rzeczy na kartki, to je tam można było wykorzystać, na przykład kupując obuwie. No to obuwie tam kupowali, bo jak były kiermasze, wyprzedaże różne, no to wiadomo, że każdy sobie tylko wyciął karteczkę, już tam sobie kupił buciki jakies. Dużo rzeczy tam było do kupienia, a już jak przychodziła jesień, to już dbali o nas, żebyśmy mieli jabłka, żebyśmy mieli jajka, żebyśmy mieli cebulę, ziemniaki.

Ale to w sklepie zakładowym?

JB: Tak, na terenie zakładu był taki wyszczególniony budynek i tam w tym sklepiek żesmy zawsze się ustawiali w kolejce, bo każdy jednak chciał tych jabłek tańszych kupić, nie? No to wiadomo, żeby kupić tańszych jabłek, no to trzeba było w ogonku stanąć. Jedna potrzebowała cebulę, druga potrzebowała jeszcze jakąś tam marchew czy ziemniaki. Na ziemniaki też żesmy się zapisywali i też tam przywozili ziemniaki do domu, po worku tylko. Teraz po piętnaście kilo są te woreczki, a przedtem jak było pół metra takich ziemniaków, no to było ho, ho, ho, pięćdziesiąt kilo. I każdy jednak sobie dawał radę i nie było problemu. Na Boże Narodzenie, jak na przykład były karpie, to też zaopatrywali nas w tym sklepie. A w Zecie była taka jedna pani, która umiała karpia zabić i łeb urznęła i nie było sprawy, i się wzięło do domu takiego gotowego właściwie, nie? Dbali o nas, jak mogli, tak dbali. Jakby się dzisiaj pogadało z jakimś tam, czy miał jakieś wątpliwości czy coś, no gdyby miał, to prawdopodobnie by się zwolnił ze Zety i poszedł gdzie indziej, nie? A tak to dużo ludzi jednak pracowało i w sumie niektórzy to do samej emerytury, i tak się jakoś przeżyło tamten czas. Takie były czasy i nic się na to nie zrobi, no kurczę.

Czy była różnica w zaopatrzeniu w sklepie zakładowym, porównując lata 70. i 80.? Czy zakład zapewniał te wszystkie rzeczy, o których Pani wspominała?

JB: Tak jak w Zecie, to jak dostawaliśmy kartki na różne artykuły, głównie mięso, cukier i wędliny. Jeszcze nawet takie kartki mam chyba w domu niewykorzystane, to każdy sobie jednak tam po tej pracy... No bo co można sobie kupić o 1 godzinie? Każdy szedł rano do sklepu, do rzeźnika i stał w ogonku albo kogoś tam wysłał, żeby ktoś mu kupił. A z kolei, jak się pokazał papier toaletowy, no to się stało tam ze dwie godziny albo za ciasteczkami jakimiś, albo jak czekolady przywieźli. Każdy mówił: „O, drobnica dzisiaj będzie”. No to się stawało w ogonku i się czekało z dziećmi albo bez dzieci. Różnie było.

Dlaczego zaczęliście strajkować?

JB: Dlaczego zaczęliśmy strajkować? Bo to było tak: tym dokładają, tym też dokładają, a tym nie dokładają. A tym dlaczego nie dokładają? No to my też nie będziemy pracować, a niech nam dołożą! No i zaczęliśmy postulaty wystosowywać. Prośli, przyjechał dyrektor: „Dziewczyny, weźcie się za pracę, pracujcie. Dołożymy wam, dołożymy, będzie dobrze”. A my, że nie, jednogłośnie – nie i tyle. No to jak nie, no to nie. Później następne postulaty, no bo trzeba było teraz wykombinować, żeby zarobić trochę więcej na tym wszystkim, nie? Na tych operacjach, no bo co z tego, jak się załóżmy było 80 groszy za jakąś tam operację, a każdy by chciał więcej zarobić, no to trzeba by było poprosić dyrekcję, żeby dołożyła do tej operacji. No i tak było. W końcu się dołożyli, no i my wtedy zaczęliśmy pracować. No bo, mówimy, już po strajku, jak po strajku, to po strajku.

Czy to Solidarność organizowała ten strajk? Czy była bibuła? Czy był przywódca, który chodził i namawiał do strajku?

JB: To był przewodniczący węzła, radiowęzła zakładowego. On tam przychodził z dyrektorem, mówił różne informacje, tam przez ten radiowęzeł też ogłaszał. Ja nie wiedziałam tak do końca, jak to mogło wszystko wyglądać. Mówię, no może faktycznie, może trzeba by było zacząć pracować, bo człowiek miał jakiegoś cykora, nie? A może zwolnią? A może nie dołożą? Co z tego, że postulaty były. No i tego dnia co myśmy stanęły, to dyrekcja przyjechała w nocy i rozmawiała, żebyśmy zaczęły pracować, ale że dogadaliśmy się za jakiś tam czas, że oni nam dołożą. Solidarność, może jakaś Solidarność była. Ja do Solidarności nie należałam, do związków zawodowych należałam, no bo ze związków się miało jakieś tam korzyści, bo były opłacane składki związkowe i się korzystało ze wczasów różnych i tych przywilejów. A jeśli chodzi o Solidarność, nie mam pojęcia czy jakaś tam... Pewno jakaś była Solidarność, gdzie ktoś się tam tym wszystkim zajmował, jakiś przewodniczący, ale nie brałam w tym udziału, to nie wiem, trudno mi jest powiedzieć.

Czy to był strajk okupacyjny?

JB: Tak, to był taki strajk. Żeśmy powiedziały: „Nie pracujemy, bo nam nie dołożyli”. No i wtedy zaczęli... Też były wywieszone takie flagi na tym, na bramie, że jest strajk. No to jak strajk, no to strajk, to nie pracujemy. Nikt nie pracował, na żadnym piętrze nikt nie pracował. Siedziałyśmy tylko na tych parapetach w toalecie i tylko patrzyłyśmy, czy Walter stoi, czy jeszcze nie, bo to naprzeciwno.

Ale wracaliście do domu czy tam zostaliście?

JB: Nie, nie. Wtedy z tej popołudniówki to żeśmy nie wrócili, to już nie wróciliśmy do domu. Jak Maciek przyniósł mi kolację, to pod bramę powychodziliśmy, a potem z powrotem na zespół. Tam na tym zespole żeśmy siedziały, dopóki nie przyszła pierwsza zmiana o 5 rano. To jak oni przyszli, to nas wymienili. Tak to wyglądało.

A jak się skończył ten strajk?

JB: Nie pamiętam, oni prawdopodobnie nam coś podkładali do wypłaty i wtedy się uspokoiło wszystko. Tych postulatów tam było pełno, i o to nam chodziło, i o tamto. I tak właściwie nie wiadomo, dlaczego się to skończyło.

Ale to były bardziej postulaty finansowe czy także te wolnościowe? Słynne dwadzieścia jeden postulatów pojawiło się w Zgierzu? Czy ten strajk miał jakieś powiązania z protestami w Gdańsku?

JB: Trudno jest mi powiedzieć.

Nie wiadomo.

JB: Ja się tym raczej nie zajmowałam. Nie wiedziałam, o co tam chodzi. Uważałam, że ktoś, kto organizuje te strajki, to on ma większą wiedzę niż ja i nawet gdybym chciała coś tam komuś pomóc, doradzić czy się dowiedzieć, nie było takiej sytuacji.

Ale nie pracowałyście w tym czasie.

JB: Nie.

A co robiłyście, no bo osiem godzin to...

JB: Nic, po prostu żeśmy siedziały, po prostu żeśmy siedziały. Nie pracowałyśmy. Jedna do drugiej dochodziła do maszyny i żeśmy rozmawiały. Myślałyśmy o tym, żeby to się jak najprędzej skończyło i żeby do normy to wróciło, do normalności.

Co może Pani powiedzieć o stanie wojennym?

JB: No stan wojenny, no to tak jak już opowiadałam, że na pieszo się chodziło do pracy, no bo nie było wtedy pojazdów żadnych, bo też były wtedy strajki.

Ale zakład funkcjonował normalnie?

JB: Zakład tak, funkcjonował normalnie. Zakład funkcjonował.

Czy trzynastki były wypłacane na koniec roku?

JB: Trzynastki to były zawsze na początku roku. Na początku roku, no może tak w pierwszym kwartale bym powiedziała. Do wycieńzeń były brane z całego roku zarobki, mnożone przez jakiś tam procent, o którym zdecydowała rada. Wtedy wyciecali dla każdego pracownika. Była lista ogólna z informacją, kto ile dostaje tej trzynastki i przysła rachmistrzyni-księgową na zespół z listą i wypłacała. Po ogonku żeśmy się ustawiały i każdemu wypłacała pieniądze do ręki, tam nie było,

że komuś brakuje, że nie ma drobnych. Wszystko musiało się zgadzać. Były listy płac, na tej liście płac były nazwiska, który numer zespołu, i wypłacała.

Proszę powiedzieć, jak wyglądała organizacja pracy. Wspominała Pani, że raz pracowała na kieszeni, drugi raz wszywała rozporek. Czy o tym decydował majster?

JB: Tak majster... To znaczy może nie majster, ale brygadzysta, bo jeśli chodzi o majstra... Majster głównie był taki, taki główny majster od 8 do 16 siedział w zakładzie na sali, a brygadzysta był na zmianie albo dwóch brygadzystów było na zmianie i w zależności od tego, gdzie była jaka potrzeba, może kogoś brakowało, może ktoś zachorował czy nie mógł przyjść, na przykład wolne sobie wziął, to wtedy się szło na taką operację, gdzie kogoś brakowało. Chyba, że była taka sytuacja, że ktoś miał stałą operację, tak jak ja miałam wszywanie pasków i jak mnie później zabrakło, no to ktoś musiał mnie zastąpić.

Jeszcze chciałem zapytać, dopytać właściwie – dlaczego pani wybrała Zetę?

JB: Nie wiem, nie wiem dlaczego. Nie mam pojęcia, lubiłam szyć. Jako młoda dziewczyna, lubiłam się bawić lalkami. Ubranka szyłam dla nich i chyba dlatego na tą szwaczkę tam poszłam do tej Zety. Tak to wyglądało. A dzisiaj się robi coś innego i się inne rzeczy lubi robić. Dzisiaj może bym poszła na jakąś kucharkę.

A co było taką największą zaletą pracy w tym zakładzie?

JB: Największą zaletą? Trudno jest mi powiedzieć, niewiele rzeczy tam mi przeszkadzało. Nawet jeżeli ktoś miał jakieś wątpliwości, że dostał za małą premię, że jakieś były tam niesprawiedliwości w przydzielaniu operacji. Główną zaletą było, że to stała praca była. W sumie stałe pieniądze były, dział socjalny dobrze zaopatrzone. Wszystko, tak jak uważam, było według mnie dobrze.

A co najbardziej przeszkadzało w pracy?

JB: Że trzeba rano wstać, no tak, że 4 godzina. Trzeba było wstać na 5 do pracy, no ale to był jeden tydzień, a na drugi tydzień się szło na popołudnie. Tylko, że tak wtedy, co ja pracowałam w Zecie, to były dwie zmiany i pracowało się od poniedziałku do soboty włącznie. Najgorsza była sobota, kiedy pracowałam po południu do godziny 17:30 od godziny 11. Co prawda, to było tylko sześć godzin, ale i tak było smutno. Gdyby nie to, to by można, można było iść na jakąś zabawę wcześniej. A tak niestety, do godziny 17:30 trzeba było pracować. Nie było wyjścia... Ale tak to spoko. Przeżyło się tyle lat. Gdyby mi było tak bardzo źle, to podejrzewam, że nie przepracowałabym tych prawie dwudziestu jeden lat. Odeszłam w kwietniu, a zatrudniłam się we wrześniu.

Dziękuję za rozmowę.

JB: Dziękuję.

Teresa Górską, ur. 1934 r.

ZZPO „Zeta”, szwaczka

Lata pracy: 1951-1989

Rozmawiał Bartek Górski, ur. 1987 r. (wnuczek)

Proszę się przedstawić i powiedzieć, w jakim zgierskim zakładzie Pani pracowała?

Nazywam się Teresa Górská, mam lat 86. W roku 1951 przystąpiłam do pracy w Zecie mając lat 17. Jednego dnia byłam zapisana, a drugiego już na godzinę 8 rano trzeba było przyjść do zakładu. Pracowaliśmy do 16, ale to było tylko przyuczenie do zawodu. Uczyliśmy się na kawałkach materiału. Warunki były bardzo prymitywne: nie było portierni, brakowało ubikacji. Trzeba było się dostosować do warunków jakie były, ale szybko były postępy. Po tygodniu założono płytki na podłodze, były powieszzone zasłony, starano się o dobre warunki dla pracowników. Potem utworzył się po jakimś czasie drugi zespół i ja cały czas pracowałam na zespole marynarek, a spodniowy był od strony podwórka. Bardzo szybko utworzono ten zespół i po dwóch tygodniach już wprowadzano materiał, garnitury, marynarki, a spodnie, jak mówiłam, produkowano od strony podwórza. Po jednej, po dwie, po trzy sztuki żeśmy szyli. Bardzo wolno szła ta praca, ale posuwaliśmy się do przodu. Pierwsza wypłata, jaka była, to każdy dostał jednakowo. To była taka wstępna kwota. Później, jak były zmiany pełne, znaczy komplet ludzi na jednym zespole, to przychodziliśmy do pracy od 5 rano do 13, a zmiana popołudniowa od 13 do 21. Był jednak bałagan, ludzie się mieszała, więc zmieniono to od 13:30 do 21:30. Pomału człowiek się wdrażał w tą pracę. Z chęcią chodziliśmy do tej pracy, była duża motywacja, że się zarobi pieniądze i będzie można sobie życie układać, bo innego wyjścia nie było wtedy.

Dlaczego wybrałaś akurat zakłady Zeta?

To było z musu. Zakłady się otwierały, było to w gazetach ogłaszane, w mieście było o tym głośno, że Zeta się otwiera i ja po szkole podstawowej zdałam egzamin w Tomaszowie Mazowieckim na przedszkolankę. Miałam na egzaminie powiedzieć – pamiętam jak dziś – życiorys marszałka Rokossowskiego i ułamki dziesiętne. Zdałam i byłam zadowolona z możliwości dalszej nauki, ale mój ojciec mi nie pozwolił. Było nas siedmioro rodzeństwa i ja musiałam iść do pracy, bo mama nie pracowała, a ja musiałam jej pomóc. Słuchałam rodziców i podjęłam tą pracę. Początki, jak szłam do zakładu, byłam bardzo niezadowolona. Mi się to nie podobało, że idę do pracy w fabryce, ale później atmosfera była bardzo miła. Człowiek był młody i w zakładzie nie był zorientowany, więc zapisano mnie do Związku Młodzieży Socjalistycznej i dopóki nie wyszłam za mąż, do

tego związku musiałam należeć. Raz w miesiącu były zebrania i właśnie z tego związku byłam wysłana wraz z kilkoma innymi osobami na szkolenie do Łodzi. Trwało to dwa tygodnie, ale było to szkolenie nudne, typowo partyjne, polityczne i ideologiczne. Tam, gdzie byliśmy zakwaterowani wtedy nie wolno było wychodzić na miasto. Były dwie godziny wykładów do południa i dwie godziny po obiedzie. W czasie wolnym organizowaliśmy zabawy na świetlicy, podawano świetne obiady. Po tych dwóch tygodniach wróciłam do Zety i już miałam stałą pensję jako pełnoprawny pracownik. W innym czasie, ale to w ramach wyróżnienia, zakład wysłał mnie do Zakopanego. Tam już była sama młodzież. Była to wycieczka jednodniowa. Jechaliśmy samochodami ciężarowymi, bo zakład wtedy jeszcze nie posiadał autokarów. Pamiętam też częste wycieczki do Warszawy.

Pamiętasz swój pierwszy dzień pracy?

Byłam młoda i taka trochę nieprzyswojona. Podporządkowana pod regulamin. To, co krawiec powiedział, trzeba było wykonać. Krawcy nas uczyli zawodu. Zaraz po szkole jako młodzieńka dziewczyna, wiadomo, nie miałam takiego rozeznania, ale starałam się być posłuszna. Jeden taki przypadek powiem. Chodziły po zespołach takie delegacje z rady zakładowej i oglądali się po tych młodych. Doszli do mnie i pytają się, czy chciałabym się uczyć. Ja odpowiedziałam, że jak najbardziej. Kazano mi złożyć w radzie swój życiorys i układ był taki, że trzy dni będę chodziła do szkoły, a trzy dni pracowałam. Miałam zrobić małą maturę i iść do pracy do biura. To mi odpowiadało! Złożyłam ten życiorys i co się okazało? Zawołano mnie i powiedziano, że nie będę mogła chodzić do szkoły, bo utajniłam, że mój ojciec był więźniem politycznym. Pytam się, co to ma wspólnego z moją pracą? Ja pracuję i zarabiam na siebie! Odmówiono mi, niestety, i ja mimo to nie byłam tym zrażona. Wróciłam do pracy na zespole. Atmosferę wśród pracowników mieliśmy przyjazną, zapoznawaliśmy się. Szczególnie młodzież była bardzo mile postrzegana.

Jak wyglądał typowy dzień pracy w Zecie?

Od godziny 5 chodziliśmy do pracy i jeśli się ktoś spóźnił, to zabierali legitymację. Nie mieliśmy przepustek, tylko legitymacje. Zabierano ją na portierni, bo ta już istniała. Oddawano tą legitymację do wydziału personalnego i trzeba było tam się zgłosić i wytłumaczyć, dlaczego się spóźniłam. Za kilka takich przypadków można było zostać ukaranym naganą. Moim zdaniem to raczej tylko było straszenie, bo nie pamiętam takich przypadków, bo nawet myśmy między sobą rozmawiali, czy ktoś coś takiego dostał. Taki był regulamin, nie wolno było się spóźniać. Po przyjściu wchodziło się na salę i każdy udawał się do swojej maszyny. Była włączana siła, maszyny szły w ruch i każdy szył. Do południa był pewien rygor, to znaczy trudno określać to złośliwie. Rygor to trzeba było szyć, szyć i szyć, bo na tym to polegało. Przychodziły różne komisje z zakładu, chodziły po zespole i pytali, jak się pracuje, czy były uwagi co do wykonywanej pracy. Tego musieliśmy pilnować. Natomiast po obiedzie, jak żeśmy przychodzili na drugą zmianę od 13:30, to można powiedzieć, że już było luźniej. Śniadanie było rano

o 7 i trwało 15 minut. Kawę nam podawano, przywożąc ją w takich bańkach jak od mleka. Specjalny pracownik był do przygotowania tej kawy. Przywożono ją wózekciem na zespół i rozlewano. Muszę powiedzieć, że roboty było bardzo dużo. Ciągłe chodzili i mówili: „Szyć, szyć, szyć, kobiety, nie gadać, tylko szyć!”. Nie wolno było wyjść wcześniej. Koniec pracy oznajmiał dzwonek. Dopiero po dzwonku można było opuścić stanowisko pracy. Każda szwaczka miała szczotkę i taki koszyczek. Musiała pozamiatać, oczyścić maszynę, naoliwić ją i dopiero odejść. Po jakimś czasie dopiero zrobiono nam szatnię. Po wejściu na zakład z portierni szło się do szatni, rozebrać się i dopiero wejść na halę. Człowiek robił to szybko, żeby być na czas przy maszynie, bo taki był regulamin.

Rozwinięcie skrótownica ZPO to Zakłady Przemysłu Odzieżowego. Co dokładnie produkowała Zeta?

Produkowała przede wszystkim garnitury: spodnie, marynarki. W późniejszych latach doszły również kamizelki, ale to w wyjątkowych przypadkach. Można powiedzieć, że to taka partia szła i szyło je zaledwie kilka osób, a tak to przede wszystkim marynarki. Ja przez tyle lat, co pracowałam, to szyłam tylko spodnie.

Jak układała się współpraca międzyludzka w zakładzie? Były znajomości, przyjaźnie, może z czasem i małżeństwa?

Były, oczywiście, że były. Dla przykładu, właśnie w Zecie ja poznałam mojego męża, który pracował jako brakarz, a potem był starszym brakarzem. Atmosfera i przyjaźnie były wspaniałe. Nie zdarzały się jakieś drastyczne sytuacje. Kar nie było przynajmniej na moim zespole, nie wiem, jak to wyglądało na marynarkach, bo nam nie wolno było tam chodzić. Mnie, dla przykładu, kontrolowano z wydziału technologicznego. Mierzyli mi czas, ile ja szyję, ile mogę wydobyć produkcji na minutę, ale źle to na człowieka nie oddziaływało. Kontakty nasze z biurem były bardzo sympatyczne. Ja też lubiłam tam chodzić, bo byłam tam miło widziana. Wiele razy szłam w zastępstwie na inne stanowiska jak marynarki, kilka razy wysłano mnie na krojownię na ostatnie piętro. Tam materiał lagowano, czyli z takiej ogromnej beli materiał szedł na stoły. Klamrami było spinane, kładziono na niego szablony, kredowano według szablonu, czyli tył, przód, plecy, rękawy i tak dalej. Następnie podchodził krojczy ze specjalną maszyną tak pionowo ustawioną i on to wycinał. Ale wróćmy do stosunków międzyludzkich. Gdzie bym nie poszła, jak się jeszcze uczyłam, to byłam bardzo mile przyjmowana. Jeden drugiemu tłumaczył, nie było takiej złośliwości absolutnie! Byłam bardzo młoda, kiedy dali mnie na krojownię i nie bardzo się w tym odnajdywałam. Zaraz ktoś podchodził i mówił: „Chodź, pokażemy ci i wyjaśnimy, co masz robić”. I tam robiłam tylko trzy dni. Ten materiał, już pokrojowy, wiązali sznurkami i spuszczały taką prymitywną windą na dół. To się kłapa otwierała, to szło na dół, tam były koryta i na poszczególnych zespołach te paczki odbierano. Na górze były szykowaczki, na krojowni natomiast na zespole, na którym szyto, były rozkładaczki – tak się nazywały te funkcje. One brały te paczki, odwiązywały, zbierały drobne części w woreczek i puszczały na zespół. I tak ta robota

upłynniała się.

W jakim systemie zmianowym pracowała Zeta?

W dwuzmianowym, od rana i po południu. Ale zdarzały się, bo to był plan kwartalny i on musiał być wykonany. Nas jako załogi to nie obchodziło, ale majstrowa powtarzała, że plan musi być wykonany. Chodzili i prosili, żeby przyjść do pracy na noc. To były dodatkowe wypadki, kiedy było dużo materiału do przerobienia. Jeżeli zaś plan nie był wykonany, to tempo narzucili, że dodatkowo ludzie przychodzili na noc. Dawali za to premie, ale ta premia nie była za duża. Tak ogólnie Zeta była dwuzmianowa.

Czy praca w Zecie należała do ciężkich?

Trudno to powiedzieć, bo każda praca powoduje wysiłek, ale powiedziałbym, że nie była taka ciężka, bo jeżeli się siedziało przy maszynie, nie było to bardzo męczące. Co było jednym z problemów w Zecie, nad czym ludzie ubolewali? Że było tempo! Był akord! Ten akord spowodował, że ludzie byli zmęczeni, to był wysiłek narzucony właśnie przez to tempo. „Daj, daj, daj, prędko, prędko, prędko” – to był jedyny minus pracy. Tak to nie można powiedzieć, bo... każdy starał się, żeby zarobić, więc to było taką jedyną perspektywą naszą. Żeby można było zarobić i godnie za to żyć.

Czy w trakcie pracy dochodziło w Zecie do wypadków?

Nie. Ja bynajmniej na moim zespole wypadków nie pamiętam i nigdy ich nie widziałam. Ja miałam taki jeden wypadek na parowej maszynie, o którym mogę powiedzieć. Poprawiałam sztukę materiału i poprawiłam ją, bo pracowałam wtedy już na maszynach automatycznych, ale poszłam na maszynę parową. Położyłam na niej sztukę materiału, nacisnęłam i ta kłapa mi nacisnęła na rękę. Miałam duży siniec i nie wiem, jak to było, że ktoś o tym zdarzeniu powiedział majstrowi. Majster przyszedł i mówi, że teraz musi pisać protokół. Ja na to się odezwałam, żeby nie pisał, bo wszystko jest w porządku. No i było takie małe zatuszowanie tego, ale majster powiedział, że nie powinnam nawet dochodzić do tej maszyny. Mam swoją przydzieloną maszynę i na niej muszę pracować, a od maszyny parowej lepiej trzymać się z dala. Ale w większości tego typu wypadków zaraz pisało się protokół, który od razu szedł do działu BHP.

Na jakich stanowiskach pracowałaś i co należało do Twoich obowiązków?

No do obowiązków należało szyć dużo! Rychtowałam fronta, to obcinałam z płótna, wykonywałam z płótna sztychlówkę. Na czym to polegało? Sztychlówka polegała na tym, że dostawałam małą, cienką igłę i nici były półjedwabne i igłą, żeby ten brzeg był usztywniony, to pół milimetra od brzegu trzeba było igłą wkładać i wyjmować. To była droga operacja, ale mi się bardzo nie podobała. Byłam z tej pracy bardzo niezadowolona, ale musiałam pracować, bo do tego

mnie oddelegowano. Później przesłałam na maszynę i to już było znacznie ciekawsze. Szyłam patki na marynarkach. Ręczna była przede mną i ręczna była za mną. Jak ja szyłam na maszynie, to ona mi patkę wyróciła, już miałam gotową patkę, którą wsuwałam przeciętą w przody. Wywracałam, stebnowka, rygielek i popychałam dalej. Prasowaczka była za mną i ona zaprasowywała tą sztukę i to tak na tym polegało. Później, jak szyłam spodnie i kogoś brakowało na marynarkach, to wypożyczano mnie z wydziału. Uważano, że dobrze szyję i szłam do innego zajęcia, ale nie byłam z tego powodu zadowolona, ale trzeba było być posłusznym, bo kazał majster i to było obowiązkiem.

Czy wyroby Zety były wysyłane za granicę?

Tak! Oczywiście! Były. Szyliśmy do Niemiec, do Danii garnitury, ale to była robota precyzyjna. Były wspaniałe materiały do tego celu, wełny. Były kraty, były paski, to trzeba było dokładnie wszyć. Niemcy dla przykładu byli bardzo wymagający i myśmy się nieraz śmiali, że jesteśmy murzynami, bo szyjemy za grosze. Natomiast do ówczesnego ZSRR szła elana. To szło, jak to mówią, na hura! Naturalnie było wszystko przestrzegane, że trzeba szyć dokładnie i tak dalej, żeby to miało ręce i nogi, ale tam to już było masowo. Bardzo dużo, olbrzymie ilości szły do ZSRR. Później już zarówno jak i Niemcy, tak i Dania nie przysyłała zapotrzebowania. Inna sprawa – miarówki tak zwane. To już było dla dyrektorów, dla wyższego szczebla. To nie było reklamowe tylko takie troszkę utajnione. To wzorcownia była utworzona – taki wydział – i na wzorcowni były szabloni i majstrowie na miarę je wycinali. Były to sztuki szyte na miarę. Garnitury te były wręcz wypieszczone, bo robione na miarę we wzorcowni, w laboratorium.

A czy to prawda, że wyroby Zety trafiały również do ówczesnie rządzących?

O tak! O tak! Z komitetu ile przychodziło ludzi i dla nich w pierwszym rzędzie się szyło. To było niesamowite parcie. To był komitet, który miał prawo wymagać, bo oni zarządzili.

Jak wyglądały kwestie finansowe? Czy w Zecie dobrze się zarabiano?

Trudno powiedzieć, bo były różne zarobki. Ile się uszyło, tyle zarobiło. Jeżeli brakło pieniędzy bo nie było tak, że było do syta. Na ludziach były oszczędności i zakład oszczędzał. Myśmy szyli za grosze, można powiedzieć, a zakład na tym zarabiał. Myśmy się domagali, żeby nam płacili więcej, bo za grosze szyjemy, ale na tym polegał właśnie ten akord, że uszyje się więcej, to i będzie więcej zapłacone. Jeśli mi brakło na życie, to szłam do tabelowej i ona dawała mi kwitek. Chciałam „chwilówkę”, tak się nazywała taka pożyczka. Później szłam do kasy i pobierałam, powiedzmy, sto złotych i jak była wypłata to oni już sobie to odliczali.

Czy pracownik mógł liczyć na pomoc od zakładu?

Tak! To była specjalna komisja. Można było ubiegać się o bezzwrotną pożyczkę. Była taka jedna z pracownic mieszkająca na Słowiku, która miała pięcioro dzieci. Ona o taką pomoc wystąpiła i ją dostała. Pojechali, wyremontowali jej mieszkanie, jakieś meble jej dali od nas z biura. Jedno z dzieci dostało opiekę tygodniową w żłobku. Był żłobek zakładowy z opieką dzienną i tygodniową. Jeśli ktoś miał udokumentowane swoje ciężkie warunki, to pomoc otrzymywał. Ja akurat pracowałam z mężem i nie występowaliśmy o taką pomoc. Dostaliśmy pożyczkę, jak mieliśmy otrzymać mieszkanie. Zakład kupił bloki i miał dać mieszkania dla swoich pracowników. Między innymi myśmy mieli dostać, ale była taka jedna osoba na zakładzie, która się temu sprzeciwiła, bo uważała, że jej się bardziej należy. To była głośna sprawa. Finalnie z mężem tego mieszkania nie otrzymaliśmy. Proponowano nam za to warunki, żebyśmy się zapisali do spółdzielni, a zakład nam wpłaci pełną sumę, lecz mąż nie chciał się na to zgodzić. Jak zaczęliśmy się budować, to zakład nam dał dwa razy pożyczkę. Poszłam do tabelowej i mówię: „Dlaczego ja mam tą pożyczkę nieodciąganą z pensji?”. „Pani Górską, ma pani pożyczkę bezzwrotną. Zakład pani i mężowi to przydzielił.” Myśmy z mężem z resztą mieli duże poważanie w zakładzie, bo nawet dostaliśmy takie odznaczenia zasłużonych dla zakładu. Nie byłam jakąś aktywistką, raczej byłam przeciwniczką tego. Kiedy jeszcze... Kiedy byłam przed ślubem, nie pytając mnie o zdanie, wpisano mnie w szeregi partii. Byłam z tego bardzo niezadowolona i generalnie przestałam opłacać partyjne składki.

Czy przynależność do partii dawała jakieś profity?

Moim zdaniem nie. Osobiście, z własnego doświadczenia, twierdzę, że nie. Może, jak ktoś miał jakieś tam kłopoty i do partii się udał, coś zdziałał. Jednak my oboje z mężem należeliśmy, a mieszkania mimo wszystko nie otrzymaliśmy. Zawołano mnie kiedyś na zebranie partyjne i ja na nie poszłam. Padło pytanie, dlaczego nie płacę za partię? Powiedziałam głośno, że nie będę płacić, bo nic z tego nie mam. Partia mi nic nie daje. Kilka razy pytałam się na zebraniach, gdzie te pieniądze idą. Ilu ludzi w Zecie pracuje, tyle ludzi należy prawie do partii, bo byli niemalże zmuszeni. Mnie nikt nie pytał, tylko jak należałam do ZMS-u, to automatycznie bez mojej wiedzy wpisano mnie do partii. Ubolewalam nad tym, ale poniekąd i życie do tego zmuszało, bo tylko była praca i dom. Powiedziałam, że jeżeli partia jest z narodem, to czemu nie daje obywatelom godnych warunków? Nie ma mięsa, kartki są! Odpowiedzi na to nie dostałam, była cisza. Powtórzyłam, że proszę mi odpowiedzieć, bo partia rządzi, tak się powszechnie mówi, a człowiek z tego nie ma nic. Powiedziałam jeszcze raz stanowczo, że nie będę płacić. Mój mąż należy, po co ja mam należeć? Dwie składki mają iść na partię?! Nikt się nic nie odezwał. Dyrektor w końcu powiedział, że-bym oddała legitymację. Odpowiedziałam, że legitymacji nie oddam, bo tyle lat płaciłam i mogę sobie zostawić na pamiątkę. Zebranie oczywiście było po pracy więc dorzuciłam, że teraz ja muszę iść stać w kolejce! Oto są plany partii! Brawo mi bili na sali, jakiś szemrania przeszły, ale dyrekcja się nic nie odezwała. Na drugi dzień, jak przyszłam do pracy, to wszyscy mówią „Teresa, będziesz miała

kłopoty, bo się ponoć postawiłaś”. Jednak żadnych przeszkód mi nie robiono. Po prostu powiedziałam prawdę.

Czyli potrafiłaś walczyć o swoje.

Naturalnie, bo dla kobiet to nie były warunki. Wychodziłyśmy z pracy i biegałyśmy po sklepach, a nie było nic prócz kolejek. Dla kobiet to były utrudnienia, bo musiały ugotować i dać jeść rodzinie, a nie było z czego.

Czy pamiętasz zakładowe uroczystości i święta państwowe?

Oj tak! W Zecie był Dzień Kobiet na zakładzie. Przychodził dyrektor, a razem z nim rada zakładowa. Dawali po jednym goździku, jakieś upominki, kosmetyki, pończochy, obrusy raz też dano i były ciasteczka – herbatniki. Piętnaście minut przemowy i później do pracy. Jak kadra kierownicza poszła, to my z koleżankami te herbatniki otworzyłyśmy i co się okazało? Można na nich było zęby połamać, takie były twarde ze starości. Mnie wtedy wybrano do takiej trójki zespołowej. Wzięłam wózek, do pomocy jednego z prasowaczy i żeśmy jeździli po zespole i zbierali te ciastka. Pojechałam z tym do rady zakładowej i mówię: „Macie na śniadanie do herbaty”. Podniósł się krzyk, żebym nie prowokowała. Odpowiedziałam, że nie prowokuję, ale tych ciastek nie idzie zjeść i ludzie z zespołu mogą to potwierdzić. To był jedyny taki śmieszny przypadek. Jeśli zaś chodzi o święto 1 Maja, to dzień wcześniej było powiedziane, że każdy zespół na przyjść na godzinę 9:30, bo o 10 był wymarsz i obowiązkowo – tak było powiedziane – obowiązkowo. Na terenie zakładu był plac i na nim były takie miejsca, gdzie było napisane 221, 222 i tak dalej. W tym miejscu każdy dany zespół miał się stawić. Wymarsz był o 10 na plac Stu Straconych. I to było kategorycznie powiedziane, że jeśli ktoś nie przyjdzie, będzie miał premię zabraną, ale nie było takich przypadków, bo ludzie mimo wszystko się bali, to każdy przyszedł.

Czy do Zety przyjeżdżały delegacje rządowe?

Tego nie pamiętam.

A delegacje zagraniczne?

Jeśli przyjeżdżały, to mieli kontakty z dyrekcją. Natomiast jeśli ktoś przyjechał, to tylko był przemarsz i było pokazane jak zakład pracuje, jak wygląda produkcja. Ale to było bardzo rzadko. Pamiętam jak szylam już na spodniach, to chyba już było w latach 80-tych, kiedy weszły maszyny automatyczne. Przygotowano nas do tego. Cztery kobiety szyły spodnie po bokach i po kroku. Mówili że z Niemiec przyjdą maszyny automatyczne i będziemy na nich szyli. Wraz z maszynami przyjechała również niemiecka delegacja. Dali nam jedną taką maszynę i przydzielili do niej mnie. Ja drżałam, bałam się tego, bo to było dość duże urządzenie. Jak już była ustawiona doszedł do mnie majster i kazał szyć. Jak usiadłam, pokazał mi tłumacz – bo tam było dwóch Niemców i tłumacz. Był też

dyrektor, był ktoś z rady zakładowej, był technolog i tak otoczyli mnie. Pokazał mi ten tłumacz, na czym to polega, pokazał jak mam szyć i ja szyłam, ale bardzo wolno, bo się bałam. Ale po chwili nabrałam tempa i to szycie szło bardzo szybko. On do mnie doszedł i mówi, że to trzeba robić wolniej. Odpowiedziałam, że u nas nakazują tak robić. Ten tłumacz przekazał to jednemu z gości niemieckich, ale jednak tak nie wolno było robić. Doszedł złapał mnie za łokieć i powiedział, że trzeba szyć wolniej. Dwa dni na tej maszynie mnie pilnowali, pokazywali i objaśniali, zaraz od 8 rano tych dwóch Niemców i tłumacz. Ostatniego dnia, jak przyszedli, to podobała im się moja praca, że szybko opanowałam tą maszynę. Dostałam od nich taką bardzo dużą czekoladę, pamiętam to jak dziś. Podał mi jeden z nich rękę, a ja powiedziałam „Danke”. Jak odchodzili uśmiechnęli się, na co ja odpowiedziałam „Auf wiedersehen”. Więc tutaj wszyscy z dyrekcji i rady zakładowej byli zdziwieni, że ja umiem po niemiecku. A ten Niemiec jeszcze się wrócił, podał mi rękę na pożegnanie. Takie to było właśnie podziękowanie. Po roku dali nam drugą maszynę automatyczną i wtedy szyłam razem z koleżanką.

Jak wyglądała integracja pracowników w dawnych latach?

Były wczasy do Jastarni. Dwa razy byłam na takim wyjeździe z mężem. Grosze się płaciło za takie wakacje. Pociągami jechaliśmy, bo zakład nie miał autobusów i za taką podróż kosztą nam zakład zwracał. Dzieci pracowników miały zagwarantowane kolonie w Bąkowej Górze. Ja swoje dzieci również tam wysyłałam. Były tam przez pełny miesiąc, a myśmy do nich jako rodzice dojeżdżali. Zakład nam dawał specjalne auto i tym ciężarowym autem jeździliśmy do dzieci w niedzielę. Byliśmy tam od rana do wieczora i były takie udogodnienia, że rodzice mieli kontakt z dziećmi na koloniach. Później nam zrobili tzw. „herbatkę” przy okazji Dnia Kobiet i to już było bardzo uroczyste – taki bankiet. W sobotę to było i trzeba było się zapisać. Były wpłaty jakieś tam symboliczne i mieliśmy tam na sali ciasto na talerzach, wędlna, kanapki i po dwie butelki wina na stół. Mieliśmy tylko przynieść talerzyk deserowy i szklankę na herbatę. Była muzyka, tańczyliśmy, było bardzo przyjemnie. Były też zabawy całonocne, ale to już były zabawy koszyczkowe. Polegało to na tym, że każdy musiał wnieść swój posiłek, były organizowane bale sylwestrowe. Odbiegając trochę od tematu dla pracowników, były przydziały ziemniaków na zimę. Wpłacało się za to jakąś śmieszna sumę i kierowca do domu przywoził. Były jabłka w zakładzie i również za grosze można było je kupić. Na Boże Narodzenie były karpie dla pracowników. Staliśmy wtedy w kolejce przy wejściu od ulicy.

Czy przy Zecie działały jakieś kluby, koła?

Nie, tego nie pamiętam. To znaczy na początku działał klub sportowy, ale później to zlikwidowano, ponieważ ludzie sami już byli zmęczeni tym. W piłkę młodzież grała, brygadziści się bardzo w takim klubie udzielali.

Czy zakład roztaczał opiekę również nad rodzinami swych pracowników?

Moim zdaniem nie było tej potrzeby. Pracowało się, był lekarz, jakieś zwolnienia... Nie pamiętam, bo sama z takiej pomocy nie korzystałam. To raczej odbywało się na poziomie tej pomocy, jak już wcześniej to powiedziałam.

Czy zawodowe obowiązki odbijały się na życiu rodzinnym?

Nie, bo człowiek żył tym, że do pracy trzeba było iść i jeżeli człowiek był wyczerpany szedł na zwolnienie, te dwa-trzy dni zwolnienia lekarz dał, żeby odpocząć. Ale to była motywacja, powtarzam, to była motywacja! Zakład był naszym opiekunem. Tam żeśmy szli, tam żeśmy zarabiali i były perspektywy na dalsze życie. Można było planować przyszłość, bo było wiadomo, że nie zwolnią nas, bo było potrzeba ludzi. Pracy było bardzo dużo. Jedynym minusem był ten akord, żeby sporo szyć i człowiek był tym zmęczony.

Czy w zespole, w którym pracowałaś, zdarzały się jakieś zabawne historie?

Nie powiedziałabym tego. Był humor, ktoś jakiś żart powiedział, ale dowcipów sobie nie robiliśmy. Każdy starał się jak najwięcej szyć i był skupiony na swojej pracy. Natomiast jakieś zabawne historie były tylko na ostatki. Na dziale marynarek się przebierali ludzie i przechodzili po piętrach, coś powiedzieli, coś zaśpiewali, wszyscy im brawo bili. Taka luźna atmosfera wtedy była.

Jak wspominasz sierpień 1980 roku i powstanie Solidarności?

W Zecie to raczej dziwnie. Były takie dziwne nastroje. Niemcy nam już materiału nie przywozili. Jedynie do ZSRR jeszcze szyliśmy. Zdecydowanie było już mniej nakładu pracy. Choć i nastrój wesoły też dominował, nie mogę powiedzieć. Była atmosfera takiego rozluźnienia, nie baliśmy się, a wręcz byliśmy dumni. Była taka pewność, że Solidarność nad nami trzyma pieczę. Utworzył się taki komitet solidarnościowy, dano nam takie znaczki z logo związku i każdy musiał ten znaczek nosić. Do mikrofonu wygłaszano przemówienia. Pamiętam, Włodek Wiewiórski był takim przewodniczącym i mówił, że Solidarność wywalczyła sobotę jako dzień wolny od pracy. Posypały się gromkie brawa. Walczono o lepsze życie, o lepsze warunki bytowe. Wiadomości były na zakładzie podawane z głośników. Podawano komunikaty o tym, co się dzieje w Gdańsku, ale mimo wszystko nie wiedzieliśmy, co z tego wszystkiego będzie. Baliśmy się, że zakład padnie, że może nagle zmienić się ustrój, a zakład w końcu był naszym żywicielem, to było nasze jedyne życie, że chodziło się i zarabiała.

A 13 grudnia 1981 roku i wprowadzenie stanu wojennego? Jak wpłynęło to na pracę w zakładzie?

Atmosfera była smutna, robota szła wolno, każdy siedział i nie był pewny przyszłości. Nikt nikomu nic nie mówił. Ani dyrekcja, ani rada zakładowa nie przechodziły do zespołów. Myśmy siedzieli i szyli spokojnie, ale już nakład pracy był mniejszy. Mimo, że stan wojenny, ale do pracy musieliśmy chodzić i nie

było jakichś innych regulaminów. Do pracy się chodziło, ale na miasto trochę było strach wyjść. Były kartki, a w sklepach nic. W ogóle w mieście we wszystkich zakładach było smutno, człowiek nie wiedział, co będzie jutro. Każdy się generalnie szykował na to, że z tego może być wojna. Mimo tego zakład szedł, każdy przychodził do pracy i swoje obowiązki wykonywał, ale już zamierała ta pozytywna atmosfera. Nie było pewne, jakie jutro nas czeka.

Czy teraz, po latach jesteś dumna z pracy w Zecie?

Tak! Jestem dumna. Miałam autorytet i byłam lubiana. Później, będąc już na emeryturze, czy jechałam autobusem, czy byłam gdzieś na mieście, zawsze słyszałam miłe głosy: „Dzień dobry, Tereniu, co słychać?”. Byłam zadowolona, że pracowałam i mam pozytywne wspomnienia, bo na zespole panowała pozytywna relacja, taka rodzinna.

Odeszłaś z zakładu w roku 1989, roku wielkich przemian. Tęskniłaś za zakładem?

Z początku nie, bo jak odchodziłam to w wieku 55 lat, ale mogłam odejść, bo takie prawo było. Można było odejść po przepracowaniu 35 lat, a ja miałam przepracowane 37 lat w jednym zakładzie. Z pracy w Zecie byłam zadowolona, bo zakład o nas pracowników mimochodem dbał. Jak odchodziłam na emeryturę, to przyszedł do mnie dyrektor wraz z radą zakładową oraz kilku pracowników. Dostałam dużo kwiatów i przyszedł też ktoś z wydziału personalnego z pytaniem, czy nie mogłabym dłużej pracować, chociażby dwa miesiące. Odpowiedziałam na to: „Panie dyrektorze, mój mąż zmarł w wieku 58 lat i jestem załamana tym faktem. Już nie mam chęci pracować. Dzieci założyły swoje rodziny, a ja zostałam sama i nie mam zadowolenia.” Odezwała się wtedy jedna z aktywistek, że mogłaby pani zrobić to dla zakładu! Zareagowałam na to w ten sposób, że nawet rok bym pracowała, jakbym miała takie stanowisko jak pan dyrektor. On zaś podszedł do mnie i powiedział, że to jest pani osobista wola. Dyrekcja nawet zaproponowała odwiezienie mnie do domu ich służbowym samochodem, ale podziękowałam z racji, że miałam blisko. Majster do mnie doszedł i powiedział, że ze mnie roboty dziś już nie będzie. Miałam 50 sztuk gotowego materiału zrobione, to dałam koleżance, mówiąc „Zapisz sobie te sztuki na swoje konto, a ja od dziś idę na emeryturę”. [śmiech] Wychodząc z zakładu, koleżanki stanęły przy maszynach i zaśpiewały mi „Sto lat”. To było takie piękne, tak wzruszające, a ja tylko pomachałam ręką, zesłam do portierni i tak się zakończyła historia mojej pracy. Byłam jeszcze na zakładzie po wypłatę. Tak wyglądał koniec mojej pracy, przerobionej w jednym zakładzie 37 lat. Na początku emerytury było mi trochę smutno, bo byłam sama bez męża. To było rok po jego śmierci. Byłam taka osamotniona, więc powiedziałam, że nie byłabym zadowolona, pracując dalej, już miałam dość, byłam zmęczona tym życiem. Mówię, dzieciom chociaż pomogę. Ale później, jak mi się poprawiła taka atmosfera domowa, tak stanęłam trochę na nogi i w zapomnienie poszły te smutne rzeczy, to mile wspominam zakład i mogę powiedzieć, że do końca swojego życia będę mile wspominać.

Czy odwiedzałaś jeszcze Zetę po przejściu na emeryturę?

Nie, to znaczy na początku, jeszcze jak odbierałam swoje wypłaty, bo tak było w ciągu miesiąca, jeszcze tam chodziłam, ale później już nie, bo nie było potrzeby. Jeszcze jak pracowałam, to tzw. konto było dwudziestego trzeciego, a wypłata była dziesiątego, więc którąś z tych wypłat musiałam odebrać. Jeszcze miałam prawo wejść na zakład, porozmawiać z koleżankami, ale później już nie chodziłam, bo nie było takiej potrzeby. Na początku starałam się zapomnieć to smutne moje życie, bo to był straszny czas kiedy zostałam sama po śmierci męża. Teraz dopiero wspominam mile to, co było, bo była atmosfera rodzinna, były udogodnienia dla ludzi, jak człowiek poszedł do rady zakładowej i poprosił o pomoc, to oni tego nie odmawiali.

Co dziś czujesz, patrząc na to, co pozostało po zakładach Zeta?

Z przykrością na to patrzę. Idę i patrzę na to wszystko z przykrością, że to wszystko poszło na marne. To wszystko poszło pod młotek, te maszyny, te gospodarcze budynki, które były. To wszystko zostało zniszczone, wywiezione i został tylko jeden budynek. Wspominam to jako smutny koniec tego wszystkiego.

Jakie, Twoim zdaniem, były przyczyny upadku Zety?

To była chyba przyczyna upadku systemu komunistycznego. Już zakład nie szły do Związku Radzieckiego, partia upadła. Myśmy legitymacje partyjne zebrali i kto chciał, ją oddawał, a ja nie oddałam, bo sobie po prostu zostawiłam na pamiątkę. Zbierał je mój kolega z zespołu, Włodek Wiewiórski. Ja z racji, że byłam w tej trójce zespołowej, poszłam razem z nim do dyrekcji i oddaliśmy taki woreczek z legitymacjami. Zakład w ówczesnym czasie nie miał rynku zbytu. Po moim odejściu działał jeszcze przez jakiś czas, ale to już była taka końcówka. Szyto spódniczki, szyto jakieś bluzki, ale to nie miało zbytu i w końcu był nakaz zamknięcia zakładu. Ale tak jak mówiłam, że początkiem tego były te zmiany, których oznaką był upadek systemu komunistycznego.

Czy gdybyś miała jeszcze raz podjąć decyzję o wstąpieniu do pracy w Zecie, byłaby ona taka jak kiedyś?

Raczej byłaby to decyzja pozytywna, ale gdybym miała te młode lata, bo trudno, żebym teraz tą pracę podjęła. Jakbym była młoda jak przed laty, to oczywiście, bo człowiek musiał szukać jakiejś perspektywy na życie. Zeta była naszą perspektywą życia. Tam się szło, tam się zarabiano, tam była atmosfera rodzinna i dalsze plany były. Planowaliśmy z mężem dalsze życie, budowę domu i to wszystko gwarantował zakład. Zeta była naszą podstawą życia. Podstawą było, że tam pracowaliśmy.



Teresa Górka na hali zakładów ZZPO „Zeta”.



Teresa Górka (po środku zdjęcia) przy maszynie na hali szwalni ZZPO „Zeta”.



Pracownicy ZZPO „Zeta” podczas kursów zawodowych, wśród nich Teresa Górka.



Pochód z okazji Święta Pracy (1 Maja), pracownicy ZZPO „Zeta” wychodzą z bramy zakładu przy obecnej ulicy 1 Maja.



Pracownicy ZZPO „Zeta” podczas pochodu pierwszomajowego.



Pracownicy ZZPO „Zeta” podczas kursu pierwszej pomocy, wśród nich Teresa Górską.



Pracownicy Zety na wycieczkach organizowanych przez zakład.

Urszula Grzelązka, ur. 1948 r.

ZZPO „Zeta”

Zastępca kierownika Działu Zaopatrzenia: 1972-1977

Dział Przygotowania Produkcji: 1977-1981

kierownik Działu Eksportu: 1981-1990

Rozmawiała Dagmara Leszczyńska, ur. 1989 r.

Do Zety trafiłam w '72 drugim roku. Skończyłam wcześniej studia na politechnice [Politechnice Łódzkiej], ze specjalizacją odzieżownictwo, ale półtora roku pierwsze pracowałam w Krakowie, w Vistuli krakowskiej. Ponieważ byłam stypendystką tego zakładu, ale później tutaj bywałam na naradach w Zjednoczeniu Odzieżowym, bo tutaj raz w miesiącu wszystkie zakłady odzieżowe, te kluczowe polskie, miały taką naradę. To było w formie takiego szkolenia, doradztwa, no i właśnie Vistula mnie wytypowała jako tę osobę, która do tego Zjednoczenia z tymi informacjami raz w miesiącu przyjeżdżała. Myślę, że to było podyktowane również tym, że bym mogła odwiedzić rodziców. [śmiej]. Myślę, że to było takie wyjście. Na takich naradach zabierałam głos, coś prezentowałam, jakiś odcinek z życia produkcyjnego Vistuli. Na którejś tam naradzie dyrektor, właśnie z Zety, podszedł do mnie z zapytaniem, czy ja – bo ktoś tam powiedział, że ja jestem tutaj ze Zgierza – czy ja nie chciałabym wrócić do Zgierza, bo bardzo bym mu się w tej Zecie przydała. No i rozważyłam to i to się zgadzało z taką potrzebą mojej rodziny. Wróciłam tutaj do rodziny. Zaczęłam pracować w Zecie. No już miałam, powiedzmy, te półtora roku pracy za sobą, już jakieś takie pierwsze doświadczenia. Takie sprawdzenie tego, co nam na studiach powiedziano, a jak to jest w życiu, w przemyśle, w zakładzie. Także, no ale pan dyrektor jakoś tak bardzo mi od razu zaufał i ustawił mnie tutaj od razu na zastępcę kierownika Działu Zaopatrzenia. Byłam odpowiedzialna za tkaniny. Pracowałam tutaj kilka lat, w tym dziale. No podobało mi się, ponieważ to wiązało się z wyjazdami również do zakładów tkaninowych, gdzie zamawiało się tkaniny, a jeszcze wcześniej były takie targi w Poznaniu. Międzynarodowe, ale również krajowe. Dla przemysłu odzieżowego dwa razy w roku były tam targi, na których były prezentowane modele opracowane przez plastyków. Propozycje, co my chcemy robić, na co pozwala park maszynowy, jakieś doświadczenia z zakładów, potencjał ludzki również, to mówiło się, pamiętam, wtedy, że największym takim osiągnięciem, najbardziej skomplikowaną odzieżą jest uszycie marynarki męskiej lub żakietu damskiego. To jest najwyższa umiejętność. Także no, w Zecie było wielu krawców, mistrzów, inżynierów, którzy się tym zajmowali. Koło plastyczne także. Nie był to zakład najlepszy w Polsce, no niemniej jednak myślę, że w tej dziesiątce pierwszej na pewno się Zeta mieściła.

Pracowałam tutaj kilka lat, no ale to był taki czas no... Młodzi ludzie! Od razu utworzyło się takie koło, nazwijmy to... Dyrektor nazywał to „koło inżynierów”, ale nie tylko! Tam wszyscy tacy młodzi, gniewni, po studiach – powiedzmy, przezważnie, ale nie tylko. Tak się jakoś zaczęliśmy przyjaźnić, pomagać sobie, dyskutować. Później, jak gdyby pod to, były zrobione takie narady. No dyrektor się bardzo cieszył, że taka inicjatywa w załodze, że tak powiem, jest.

Później, ale to był też czas, kiedy zakładaliśmy rodziny, prawda. Później z tego działu... Małżeństwo, macierzyństwo i z tego działu nie mogłam już jeździć w delegacje. Było mi ciężko. No i przesłam do innego działu. Działu Przygotowania Produkcji. To był dział, gdzie powstają szablony, opracowuje się układ rozkroju, zachowując wszelkie zasady, gdzie powinna być nitka prosta [oraz] dopasowywanie wzorów i krat [i tym podobne elementy]. Przygotowanie produkcji w pełnym tego słowa znaczeniu. Tam powstawały również szablony do wykroju, normy i na jakim odcinku tkaniny ten wyrób ma się zmieścić z zachowaniem zasad, ale również oszczędności surowca. Takie dokumenty, wyszczególnienie, co należy uszyć i to już było przekazywane na produkcję. To był też czas, kiedy w Polsce powstawały nowe zakłady, tkaniny typu torlen¹, czy... Wtedy powstał zakład tkanin w Opocznie, tych poliestrowych. Powstał Teofilów – dzianiny, więc to był też czas wprowadzania tych nowych tkanin. Pamiętam, że wtedy były również wykonywane garnitury z lnu, czego wcześniej się nie robiło. Był to czas takiej nowej technologii stosowania klejonek pod tkaninę, bo wcześniej zasady uszycia garnituru – to tam się jakieś takie włóścianki, sztywniki wkładało, a później przyszła era tych klejonek. Gdzieś na odpowiednich takich prasach, te klejonki były przyklejane, żeby uzyskać zaplanowany fason, przez plastik. Na pewno było to bardzo ciekawe. No i kontakt z produkcją – bezpośrednio, bo ten dział, jak gdyby, nie był na produkcji. No, ale ciągała bytność, jak to zdaje egzamin. Poza tym przychodziły nowe maszyny i nowa technologia, no to na pewno była jakaś taka ciekawość, się oglądało.

No na pewno tak entuzjastycznie, jak to młodość, braliśmy udział w tym życiu zakładu. Kiedyś to, powiedzmy, te święta były... To Dzień Włókniarza, powiedzmy, Odzieżownika, no powiedzmy, te święta majowe [uśmiech], były wtedy eksponowane. No, ale to w jakiś sposób łączyło załogę. Z jednego się wyśmiewaliśmy, do innych rzeczy zacieraaliśmy ręce, że to fajnie. Zakład, no jak teraz wspominam – myślę, nie wiem czy to teraz jest, bo ja już nie pracuję – no ale było jeszcze dla załogi stałe... Jakaś taka pomoc, kiermasze. Może nie było takich pełnych sklepów jak teraz, te kiermasze to pewnie miały nam wynagrodzić, uzupełnić, czy pomóc żyć po prostu. Można tam było kupić takie rzeczy, których w sklepach niekoniecznie było. Jakieś ubranka dla dzieci, jakieś tam... Bielizna czy ręczniki. Tego w sklepach wtedy za dużo nie było. Często były kiermasze. Były również kiermasze warzyw przed zimą, można było ziemniaki zamówić. [śmiech] Tam ciągle był taki pracownik socjalny, który te warzywa tam sprzedawał, te ceny były troszkę niższe niż w sklepie. No i przede wszystkim ten towar

1 Torlen – nieiotliwa tkanina, mająca osnowę z ciągłych włókien poliestrowych.

był! Także to tyle wspominam, to łączyło załogę. Tak jak to jeden zajął kolejkę, drugi leciał... No tak! Był również żłobek przy tym zakładzie, który no też nam pomagał tymi dziećmi się zaopiekować. Także tutaj pracowałam wiele lat, a później mi zaproponowano... Byłam kierownikiem Działu Eksportu.

W jakich latach pracowała Pani na tych stanowiskach?

Jak w '72, no to w tym Dziale Zaopatrzenia, no z pięć lat może tak, tak. W Dziale Przygotowania Produkcji, no to może ze cztery lata pracowałam, a później już Eksport – bo ja pracowałam do '90 roku. '72-'90. No, a później w eksporcie no to zupełnie jeszcze inna praca. Tak, marzył mi się ten eksport, bo będąc w tych poprzednich działach, no to z Działem Eksportu stale się współpracowało... Bo czy wybór tkanin, no to pod konkretne zamówienia te eksportowe. Jako włókiennik, jako odzieżownik ja potrafiłam zbadać, jakie to są te tkaniny, także mój udział tutaj w tym wyborze też jakiś tam był. No pewnie – słowo decydujące było przez człowieka, który zamawiał u nas te wyroby. Robiliśmy bardzo dużo eksportu. Jakies 80% produkcji, no może nie... Może mniej, no ale 70% produkcji to był eksport do Związku Radzieckiego. To była bardzo duża [produkcja] i to takie wydłużone serie. Taki model, powiedzmy był zamawiany w ilościach 100 tysięcy, 50 tysięcy. No i to tak, odpowiednia obsługa, bo zamówienie eksportowe od razu mówiło, jak to należy zapakować, jak to wykonać, w jakich tam rozmiarowo-wzrostach, tyle tych, tyle tych... No z tym, że z racji takich dużych serii – to był taki trochę automat na produkcji, jak ten wzór wszedł, to szedł i szedł, i szedł, ale z dwadzieścia procent, może piętnaście, może osiemnaście, to był eksport do krajów kapitalistycznych. To się mówiło eksport KS – do krajów socjalistycznych, tak to się dzieliło, i KK – do krajów kapitalistycznych. No tutaj obsługa różniła się bardzo, no bo jak dla Związku Radzieckiego, to był taki pewnego rodzaju automat. Natomiast te kraje zachodnie, jak przyjeżdżały, no to miały bardziej wymyślne te modele i myślę też, że oczekiwali wyższej jakości. Na KK było takie wykonanie bardziej dokładne, bardziej to było sprawdzane – inny standard, ale to i też w cenie miało odzwierciedlenie. Ta praca w tym eksporcie była bardzo ciekawa, bo kontakt z ludźmi – taki inny... [niż na co dzień].

Również były wyjazdy, z racji tej pracy to byłam wiele razy w Moskwie, na takich kontraktacjach tych wzorów i później prezentowaliśmy te swoje wzory, ale również jeździłam do tych krajów kapitalistycznych, ale znacznie mniej. Chyba tylko dwa razy byłam. Miałam możliwość zobaczenia, że te zakłady [kapitalistyczne] są na wyższym poziomie niż u nas, trochę lepsze maszyny. Chociaż... Wiedziałam, że było u nas takie mniemanie, że oni to po prostu mają, a my te swoje maszyny, nieraz i stuletnie, poprzez oddaną pracę naszych mechaników – to te maszyny jeszcze pracowały. Nieraz zadziwili się przyjeżdżający z Zachodu, że takie maszyny jeszcze u nas pracują. A one pracowały i miały, i wydajność, i długo, długo te maszyny nam służyły.

Głównie szyliśmy dla Niemców, ale zdarzały się również dla Francuzów, ze Szwedami też mieliśmy kontrakty. Każdy kraj miał inne wymagania, inną specyfi-

kę. Nawet te tkaniny troszkę się różniły i wzorniczo, i jakościowo. Także... Miło to wspominać. Czułam się potrzebna – to na pewno. Trzeba było dzielić czas na dom, dzieci i pracę, ale to też, jeśli chodzi o rodzinę, no to też taka... No ja wiem... Praca wychowawcza.

A później [ożywienie] chyba taki największy rozwój [osobisty], no to jak odeszłam z Zety [śmiech]. To znaczy poszłam do firmy... Do handlu zagranicznego. To był '90 rok. Przeszłam do firmy handlu zagranicznego i... No to zupełnie inny rodzaj pracy, bo wtedy reprezentowałam te firmy, no powiedzmy, zachodnie, bo to dla zachodu szyliśmy i ja musiałam, przyjeżdżając z tym zamówieniem do zakładu produkcyjnego – na przykład jak Zeta – przekazać to [zamówienie], nadzorować później, żeby uzyskać to, co klient zachodni oczekiwał. Bardzo ciekawa praca... Pracowałam aż do 2003 roku, jeszcze tam trzynaście lat. No... A później przemysł odzieżowy zaczął kuleć, u mnie się pojawiły wnuki, więc już się zajęłam trzecim pokoleniem. Ale generalnie myślę, że pracy... Nie straciłam tego czasu... Ciekawie [było]... Miałam możliwość poznania dużo ludzi.

Były takie historie, że patrzymy w kilka osób na festiwal w Sopocie. Zeta wtedy ubierała orkiestrę Debicha [Henryk Debich - polski dyrygent i kompozytor]. No i już orkiestra tuż, Debich ręce do góry podniósł, prawda? Wszyscy tak oczekują, a ja w tym momencie się odezwałam i mówię: „O jejku! Żeby mu się tylko rękawy nie oberwały!” [śmiech]

Czy jak jakiś był wywiad, to ja po prostu zwracałam uwagę, jak ten garnitur leży, czy jest dobrze uszyty, czy jest spartaczony, nawet się zakładaliśmy w swoim gronie, który to zakład taki ładny garnitur uszył... No pamiętam jeszcze Gierka, na przykład [śmiech] – miał bardzo dobrze uszyte garnitury.

Czy te garnitury były może z Zety?

Nie, nie – jego ubierał Bytom, bo był z Katowic. Miał zawsze bardzo dobrze uszyte garnitury! Ja po prostu do tej pory... Może teraz inna moda... Kiedyś się kupowało na lata. Musiało kilka sezonów służyć jakieś ubranie. Teraz nie. To Francuzi dążyli do tego, żeby kolekcja no była, powiedzmy, najwyżej dwa sezony, a najlepiej jeden sezon i nowa, i nowa. Teraz tak w wielu przemysłach zapanowało.

Proszę powiedzieć o tych naradach produkcyjnych. Był to właśnie ten „krąg inżynierów”, o którym Pani wcześniej wspomniała? Czy udział w naradach brali pracownicy innych działów, produkcji, zarząd? Często te narady się odbywały?

Tak, tak. Raz w miesiącu to na pewno. Wcześniej [przed naradą] już wiedzieliśmy, że to będzie temat, na przykład głównie eksport... Bo na produkcji obowiązuje zasada odpowiedniego ustawienia maszyn, żeby ta produkcja mogła być dobrze zorganizowana, więc... Tak! Tam byli mistrzowie tych zespołów, kie-

rownik szwalni i oni oczywiście brali udział, bardzo. I tak nawet i mechanik, no bo od niego też zależało... Czy on podpowiadał, czy te maszyny zapewnią taką pracę, jak oczekuje dyrekcja czy tam kierownictwo zakładu lub nie! Podpowiadał, czy to trzeba wesprzeć. Czy takie maszyny, czy takie [chodzi o dobór maszyn]. Tak, tam było bardzo dużo ludzi. Ja wspomniałam o „kole inżynierów”, to może tak bardziej prywatnie i służbowo, ale służbowo to było rozbudowane i bardzo. Nawet i kierownik magazynu, bo on musiał wiedzieć, ile tej produkcji mu zejdzie. To też się mówiło, że to zamówienie wyjedzie z magazynu, to będzie miejsce – to wszystko były ważne sprawy, żeby to dobrze zorganizować, bo nieraz jak się tak zbiegło, że dwa zamówienia, realizacja ich [była] zbieżna w czasie, to się zamawiało taki kontener, żeby część tej produkcji mogła być [w nim magazynowana]. Bo się już w magazynie nie mieściło. Także takie sprawy bieżące, dotyczące organizacji pracy i osiągnięcia tego efektu końcowego były właśnie poruszane, tak.

Jak wyglądały takie narady? Jak długo trwały? Jaki był nastrój? Burzliwy czy spokojny?

Ja myślę, że gdzieś tak z godzinę, no bo to w ciągu dnia. Były najczęściej na styku zmian. Pierwsza zmiana pracowała od 5 do 13 i od 13 do 21 [druga zmiana]. Najczęściej to było na styku zmian, bo ktoś z tej produkcji musiał dojść na to zebranie...

Bardzo dużo takich mądrych ludzi wtedy pracowało, wielu z nich już rzeczywiście przeszło do wieczności, ale spotykamy się w dalszym ciągu [opowieść o współczesnych spotkaniach]. Zaprzyjaźniliśmy się właściwie na całe życie. To takie bardzo miłe. Teraz spotykamy się razem z taką dozą szacunku, z taką zadumą, że kiedyś byliśmy razem, byliśmy dzielni, a teraz jest już nas coraz mniej.

Użyła Pani takiego określenia: byliśmy dzielni. Chodzi o wyzwania, które stawiał zakład lub praca? Czy może o system, o to w jakich czasach Państwo żyli?

To znaczy wtedy nikt nie musiał się bać, że wyleci z pracy. Tak jakoś nie było takiej rywalizacji. Każdy miał to miejsce [pracy]. Natomiast... Byliśmy dzielni. [zaduma] Wtedy to był taki czas, że były tzw. czyny robotnicze, ja sobie teraz przypomniałam [uśmiech], że na przykład porządek wokół zakładu. Przychodziło się w sobotę czy w niedzielę na kilka godzin i myśmy to robili własnym sumptem. Czy jakiś teren zielony [porządkowaliśmy], czy miasto wyznaczało, że tym fragmentem miasta opiekuje się ten zakład, ten, ten... [wymienia]. Myśmy to robili i frekwencja była, i nikt nie uważał tego, za nie wiadomo co... No, pochichraliśmy się, no! Nieraz się oburzaliśmy, ale raczej nie! Pogadaliśmy, pogadaliśmy, ale wszyscy się stawili. Zrobiliśmy. Czy to malowanie jakiegoś płotu to było. Tak jak kto umiał. Jeden robił to, drugi to. Posprzątałiśmy, nachichraliśmy się. Nieraz przychodziliśmy z dziećmi... I takie czyny społeczne były.

Chciałabym jeszcze na chwilę wrócić do wymiaru czasu pracy. W jakich godzinach Pani pracowała jako pracownik umysłowy? Czy soboty również były pracujące?

Kiedyś, kiedyś to ja pamiętam, że w soboty się pracowało, tylko krócej. Nie osiem godzin, a sześć. Ja już nawet nie pamiętam, w którym to roku ta wolna sobota przyszła. Najpierw była jedna w miesiącu, potem dwie, no tak stopniowo.

W jakich godzinach Pani pracowała?

8-16 albo latem pracowaliśmy od 7 do 3. Nie raz trzeba było zostać, ja jako ten eksport to nie raz zostawałam i do 21, do końca zmiany [produkcyjnej], bo tego wymagała sytuacja. Trzeba było to skończyć, szwaczki nie dawały rady, no więc trzeba było coś tam pomóc, czy przy odbiorze jakości, bo ja wiedziałam, jak to ma być wykonane. Jak trzeba było, żeśmy zostawali. Nie przypominam sobie, żebyśmy ładowały bezpośrednio [towar], raczej mężczyźni na te kontenery, które przyjeżdżały. Zostawało się po godzinach, z tym, że to nie były częste sprawy. Jak była taka sytuacja zagrożona realizacji zamówienia na dany termin.

Proszę scharakteryzować swój dzień pracy. Jakie czynności Pani wykonywała?

Może ten eksport? Trzeba było robić takie zestawienia i to zajmowało trochę pracy, bo w tym eksporcie byliśmy tylko dwie, ja i koleżanka. Może bardziej ta koleżanka [zajmowała się raportami]. Ja może miałam więcej chodzenia, sprawdzania, dogadywania. Sprawdzania, czy na przykład zaraz zaczniemy to zlecenie na produkcji, czy już tkanina przyszła, czy wszystkie dodatki, czy szablony są gotowe, czy już ta produkcja może ruszyć – czy wszystko jest dogadane. Raczej tym się zajmowałam, natomiast ta koleżanka musiała później rozliczyć te tkaniny, bo przyszła jakaś tam pula tkanin, trzeba było rozliczyć zużycie i taką sprawozdawczość wykonywało się do Zjednoczenia, do klienta, ale również do księgowości, żeby obliczyć opłacalność tego eksportu, zużycie.

Proszę powiedzieć, co to było to Zjednoczenie.

Zjednoczenie [Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego w Łodzi] to była taka instytucja do której należały wszystkie zakłady, bo wtedy mówiło się, że wszystkie zakłady są w kluczu, tzn. takie państwowe. Takie jak: Zeta, Bytom, Vistula, Kalpo [Zakłady Przemysłu Odzieżowego “Kalpo” w Kaliszu] czy tam jeszcze inne zakłady... Pilica [Zakład Przemysłu Odzieżowego “Pilica” w Tomaszowie Mazowieckim]. Były też zakłady tego typu, powiedziałabym... Spółdzielnie, takie organizacje terenowe nadzorowały te zakłady. Te zakłady kluczowe wszystkie należały do tego Zjednoczenia i to Zjednoczenie organizowało takie spotkania, spotkania... Chyba zabiegało również o odbiorców zagranicznych. Oni ich tutaj do Polski przyprowadzali. Poza tym [Zjednoczenie prowadziło] rozdzielnictwo tkanin. Zakłady wełniane, tkaninowe wyprodukowały tkaninę, a my – zakłady odzieżowe – musieliśmy o tę tkaninę, jak gdyby, zabiegać. Tak żeby jakiś tam

zakład nie zrobił sobie zwałów [zalegających zapasów] na parę lat, a inny by nie miał z czego produkować, to Zjednoczenie to też regulowało trochę, jaki musieliśmy mieć procent, powiedzmy, tkanin wełnianych, jaki torlenowych, elanowelnianych, żeby było tak sprawiedliwe [rozdzielone].

Wspominała Pani o wyjazdach do Moskwy, ale również była Pani w krajach kapitalistycznych. Jakie to były kraje?

Ja byłam w Niemczech, w Bonn [wtedy RFN – Republika Federalna Niemiec]. Tam był taki zakład odzieżowy. Tam dużo zakładów przyjechało, ale nie tylko z Polski. Tam modę damską prezentowała Claudia Schiffer [słynna niemiecka modelka]. Było to takie spotkanie wszystkich producentów, którzy dla tej firmy szyli, nie tylko z Polski, bo tam i Czesi byli, i Rosjanie, i Węgrzy, i każdy z tych zakładów prezentował swoje modele. Po tej prezentacji oni [kontrahenci] decydowali, ile w danym modelu zamówią u nas do szycia.

Czy na takie targi przyjeżdżały delegacje głównie z państw bloku wschodniego czy również z krajów kapitalistycznych?

Znaczy, taaaak... Pamiętam, że dla Szwedów szyliśmy. Szwedzi byli naszą produkcją zachwyceni. Szyliśmy nawet jakąś partię do Stanów i do Kanady, dla Niemców, do Francji, tak. Dla Zachodu – tak. Z tym, że to były takie zamówienia po 2-3 tysiące sztuk, ale do Związku Radzieckiego, to dużo, dużo więcej. [uśmiech]

Jak wspomina Pani działanie przemysłu odzieżowego od '90 roku?

Ja w '90 roku odeszłam, a ona [Zeta] w '92 albo '93 przestała istnieć. Jakaś duża fala odejść wtedy nastąpiła, nie mówię, że byliśmy niezastąpieni. [uśmiech] Niemniej jednak, [Zeta] podupadła, być może to było spowodowane tym, że ten eksport do Związku Radzieckiego się zmniejszył. Kraje kapitalistyczne z kolei miały wyższe wymagania. Zawsze szukali [towaru] w lepszych zakładach, na pewno większe szanse na eksport do krajów kapitalistycznych miał Bytom, Vistula czy te lepsze zakłady. Natomiast Zeta była no... W dziesiątce, ale w tej drugiej piątce. Później, jak te zakłady upadały kolejno, to dużo się mówiło, że nie powinno się dopuścić, żeby takie zakłady, które potrafią to najlepsze uszyć, tą górę, czyli marynarkę, lub kostium – te zakłady powinno się chronić, żeby one jednak produkowały. Mówiło się w branży, że szkoda, że te zakłady upadły.

Wspomniała Pani o żłobkach przyzakładowych. Jakie jeszcze zakład oferował dodatkowe korzyści. Mam na myśli Fundusz Wczasów Pracowniczych, mieszkania robotnicze itp.

A, tak! To znaczy... Mieszkania to raczej Zeta nie. Nie! Mieszkania – nie! Był za to żłobek i dosyć długo on funkcjonował. Można było się też tam dogadać, że kilka godzin dłużej [można było zostawić dziecko]. Był taki elastyczny w godzinach pracy. Natomiast wyjazdy... Mieliśmy swój ośrodek, w... Jastarni i w Ła-

sku. Z tym, że ja tak dużo z tego nie korzystałam. Może dwa, trzy razy byłam. Były również kolonie dla dzieci i było to trochę dofinansowane. Tak. Dział socjalny to prowadził. Poza tym była pomoc tym rodzinom słabszym. Jak ktoś sobie nie radził, to była pomoc koleżeńska, ale i z zakładu pracy. Od razu dział socjalny był poinformowany i tam pomagał, na pewno dyskretnie. Nawet były noworoczne bale w Zecie. Ja nigdy nie byłam wprawdzie, ale cieszyły się dużym uznaniem i dużo chętnych zawsze było. Trzeba było się śpieszyć, żeby bilet [na bal] dostać.

Wspominała Pani o Dniu Włókniarza, Odzieżownika. Jakie jeszcze święta obchodzono w zakładzie?

Tak to były okolicznościowe akademie u nas w zakładzie. Na pewno przychodzili przedstawiciele urzędu miasta, tego Zjednoczenia. Były kiedyś takie wyróżnienia, dyplomy, nawet medale, takie brązowe. Takie nagrody. Nieraz na szczuble zakładu, ale i na szczuble tego Zjednoczenia – nasi delegaci tam również jechali. Zdarzały się i takie wyróżnienia w załodze u nas, ale i zgłaszało się do wyższych instancji. Tak. Wtedy była taka moda na te wyróżnienia.

Czy na Dzień Kobiet otrzymywała Pani rajstopy, goździki?

Tak, tak... U nas były ręczniki najczęściej albo właśnie rajstopy, czekoladki nieraz. O! Był radiowęzeł, w którym też życzenia składali. Można było tam życzenia dla koleżanek złożyć... Na przykład, że panie z jednych maszyn pozdrawiają panie z drugich maszyn i proszą, żeby szybciej pracowały. [śmiej] Takie sobie tam dowcipy. Tak radiowęzeł działał. Nieraz jakieś informacje były przekazywane o różnych kiermaszach czy akademiach różnych.

Nawiązała Pani dużo przyjaźni w miejscu pracy, a jak wyglądały stosunki między pracownikami różnych zakładów w Zgierzu? Mieli Państwo okazje nawiązywać ze sobą znajomości podczas jakichś wydarzeń w mieście czy raczej zakłady między sobą rywalizowały?

Tu w Zgierzu to było sporo tych zakładów włókienniczych, ale one były głównie tkaninowe. Był i zakład bawełniany, dwa albo trzy zakłady wełniane, bo Fresco, Pietrusiński, ten Zeltor. O nas mówiło się odzieżówka. Nie... Raczej takich spotkań to nie było. Jeżeli to takie służbowe, bośmy od nich kupowali tkaniny. Później to oni tam przychodzili i prosili, żeby im lepszy garnitur załatwić. [śmiej] A! Jeszcze był u nas także prowadzony przez kilka lat taki oddział, w którym można było sobie uszyć garnitur na miarę. Był katalog tkanin, które są w posiadaniu zakładu. Można było sobie wybrać tę tkaninę i model, tak. Wtedy były robione szablony specjalne dla tego człowieka. To tam nie za wiele drożej kosztowało, ale jak była taka nietypowa sylwetka, no to wtedy nasi krawcy tam obmierzyli i taki garnitur można było kupić, na miarę.

Rozmawialiśmy o Bytomiu, Vistuli, o tym, że Zeta była w drugiej piątce czołowych zakładów odzieżowych w Polsce. Do jakiego innego zakładu porównałaby Pani Zetę?

Myszę, że można ją porównać z Pilicą, to było w Tomaszowie [Mazowieckim]. Pilica... Był jeszcze taki zakład Torpo w Toruniu. Kalpo w Kaliszu, jeszcze... To były takie zakłady, powiedzmy... Ten sam standard co Zeta. Te wiodące to na pewno była Vistula... I jest do tej pory. Bytom, Intermoda wrocławska – to były takie zakłady, które się miały za trochę lepsze. Teraz to już tak na wesoło powiem, że ja nie umiem kupować odzieży. [śmiej] Głównie damskiej, ale to się stało tak, że jak ja już pracowałam w tej centrali handlu zagranicznego, no to szyliśmy dużo odzieży, i damskiej i męskiej. No i jak tam szyliśmy, to ja miałam możliwość kupić tę odzież, bo to już było tak trochę swobodniej i ona najczęściej do mnie do pokoju przychodziła ta odzież. Teraz jak ja wchodzę [do sklepu], to ja widzę, że mam taką decyzję ograniczoną, widzę mankamenty i dlatego bardzo długo zastanawiam się nad kupnem. [uśmiech] Miło wspominać. Nie czułam się niewolnikiem w PRL-u, to na pewno nie! Nieraz ktoś tam wspomina i mówi, że się czuł taki zniewolony, ale może to było to, że ja miałam taką pracę, że mogłam coś wybierać, o czymś decydować, na coś miałam wpływ. To mi dawało takie poczucie, że... W sumie coś tam, może nie za dużo – teraz na pewno jest dużo większa swoboda, ale na coś tam wpływ mam. Czy na zakład, czy na pracę zakładu. Mogłam zabrać głos, swoje powiedzieć, no... Przeszło, nie przeszło, ale taką możliwość miałam i odwagę też. A jak tak na początku wspomnę dom rodzinny, to byliśmy z tą siostrą – Zofią – takie nieśmiałe i takie zagubione no, ale wykonałyśmy jakąś pracę. Siostra też jest zadowolona z tego, co osiągnęła [jest lekarzem].



Urszula Grzelązka ze współpracownicami z działu.



Przemysł terenowy

Przemysł terenowy

W latach 50. i początku 60. obok tzw. przemysłu kluczowego, zarządzanego centralnie, rozwinął się w Zgierzu przemysł terenowy i spółdzielczy. Wśród działających w tym okresie na obszarze Zgierza zakładów tego typu na wyróżnienie zasługuje między innymi Spółdzielnia Pracy im. L. Waryńskiego „Splot”, wyrabiająca kilimy i kapy, głównie na eksport. Siedziba przedsiębiorstwa mieściła się przy ulicy Długiej 56. Zakład pracował stacjonarnie, ale także w systemie chałupniczym, to znaczy pośredniczył w pracy drobnych rzemieślników z dostawcami. Chałupnicy, pracujący w domach lub przydomowych warsztatach, otrzymywali zamówienia i schematy materiałów, następnie – po ukończeniu pracy i przekazaniu gotowych wyrobów – otrzymywali rozliczenie. Spółdzielnia zatrudniała kilkuset takich pracowników.

Ostatnim zakładem pracy, o którym opowiedzieli nasi rozmówcy, jest Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Spożywczego. Nie jest to zakład przemysłowy, jednak hurtownia mieściła się przy ulicy Uroczej, w ścisłej zabudowie fabryczno-magazynowej, w południowo-wschodniej części miasta, w rejonie dworca kolejowego. Z racji na jej wojewódzki charakter główna siedziba mieściła się w Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Hurtu Spożywczego powstało w 1950 roku po likwidacji Państwowej Centrali Handlowej. Było to przedsiębiorstwo państwowo-spółdzielcze z siedzibą w Warszawie, posiadające 14 ekspozytur wojewódzkich. Te zaś z kolei dzieliły się na różne oddziały w całym kraju, między innymi w Zgierzu. Zwierzchni nadzór nad Centralą sprawowało Ministerstwo Handlu Wewnętrznego. Przedmiotem działania WPHS był handel hurtowy artykułami spożywczo-przemysłowymi i kolonialnymi. W przedsiębiorstwie funkcjonowały działy: finansowy i handlowy, zatrudniające kilkudziesięciu pracowników umysłowych i fizycznych. Oprócz sprowadzania towarów i zaopatrywania w nie sklepów, hurtownia zajmowała się też paczkowaniem artykułów spożywczych.

Iliana Mordzak, ur. 1961 r.
Spółdzielnia Pracy im. L. Waryńskiego „Splot”
dział administracji
Lata pracy: 1978-1990

Rozmawiali Mateusz Słowiński, ur. 2001 r.
i Maciej Rubacha, ur. 1986 r.

Mateusz Słowiński: W jakich zakładach Pani pracowała?

W spółdzielni Splot, później zakład się rozsypał i pracowałam w Andrze.

MS: Na jakim stanowisku Pani pracowała?

W Splocie? Byłam uczniem najpierw, później byłam na rozliczeniu produkcji, bo mieliśmy dziewiarzy chałupników i później no prowadziło się administracyjne sprawy.

MS: W jakich latach Pani pracowała?

W '70... Jak to było, muszę sobie przypomnieć, moment... [krótkie zastanowienie] W '78 skończyłam jako uczeń, a do '90 roku tam u nich pracowałam, cały czas, bo to była zawodowa... Chodziłam do ekonomika, do zawodowej i później musieliśmy mieć praktyki, w każdym jednym zakładzie, więc ja miałam w tej spółdzielni, także zostałam tam od '78 do '90 roku, cały czas pracowałam.

MS: A jak wyglądały te praktyki?

To znaczy na początku to były praktyki, bo rozpoczęłam dziewiarstwo. Ten zakład się zajmował dziewiarstwem, a jeszcze wcześniej były robione kopeliny do Rosji – do Związku Radzieckiego, bo to kiedyś był Związek Radziecki. Później szwalnia była razem z tym wszystkim, bardzo dużo było chałupników, co zszywali, robili swetry, zszywali swetry. No i pod te konto poszłam do szkoły. Później urodziłam dziecko, później poszłam do szkoły wyżej, żeby skończyć technikum, no i tak się życie ciągnęło. Były kartki, którymi też w pracy... Zajmowałam się socjalnymi rzeczami, więc rozdawało się kartki, na święta zawsze staraliśmy się ludziom coś załatwić, co było ciężko na tamte czasy.

MS: Czyli taką normalną pracę zaczęła Pani od '78?

Od '78 byłam uczniem, właściwie w '76, bo to jak się kończyło szkołę, mieliśmy szkołę, mieliśmy praktyki. To tak się ciągnęło. Szkoła miała podpisane z niektórymi zakładami.

MS: I to dwa lata trwało?

Tak.

MS: I od '78 zaczęła Pani już taką zasadniczą pracę?

Tak.

MS: Dobrze, to jak wtedy to wyglądało?

Jak zaczęłam pracę, to mnie właściwie, można nazwać, puścili małą łódką na dużą wodę. [rozbawienie w głosie] Miałam rozliczenie chałupników. Chałupników się rozliczało z przędzy, wypisywało im się, ile wypłaty dostaną... Właściwie no robiłam takie rzeczy.

MS: Jak wyglądał Pani typowy dzień pracy?

No jak przychodziliśmy do zakładu... Znaczy, jak ja przychodziłam do zakładu, przychodziłam na godzinę 8, no to wiadomo, że przedtem nie było komputerów. Trzeba było sobie wszystko naszykować papierami. Kierowca przywoził chałupników – miałam kartoteki, każdego pracownika i wtedy oni nam towar zdawali. Magazyny przyjmowały, przychodzili do mnie z tymi kartkami, ja wtedy wpisywałam na kartotekę i rozliczałam takiego. I nieraz było, że po prostu, jak ich przyjechało z dziesięć osób, czy tego, no to tego, to długo trwało, nieraz do tej godziny 3 to cały czas się robiło... Rozliczało się tego pracownika.

MS: A może mi Pani powiedzieć, kim byli chałupnicy, czym się zajmowali?

No chałupnicy... Były dwa rodzaje, jedni robili na maszynach dziewiarskich, swetry, a drudzy byli, co zszywali i gotowy wyrób do nas przywozili. Przyjeżdżali do nas, znów brali przędzę, jechali do domu, robili na tych wszystkich maszynach, później przywozili na przykład półfabrykat, drugim się dawało ten półfabrykat, zabierali do domu, zszywali, przywozili. Później, jak chałupnicy... zrezygnowali z chałupników, no to były kupione nowe maszyny i robiło się to w zakładzie.

MR: Czyli chałupnik to była osoba pracująca w domu.

Osoba pracująca w domu.

MS: A może mi Pani wyjaśnić termin „dziewiarstwo”? To jest szycie?

Dziewiarstwo to jest: przędza, maszyna, która ma zakładane i maszyna produkuje dzianinę. [gestykulacja ręką – przesuwanie dłonią, imitując ruch maszyny] A szwalnia to jest rzecz, którą się zszywa na maszynie. A jeszcze wcześniej, ale to nie za moich czasów, jeszcze byłam za młoda, były maszyny, które robiły skarpetki, też w tym naszym zakładzie.

MS: A w jakim dziale Pani pracowała?

Spółdzielnia miała takie działy administracyjne... Ja w takim dziale pracowałam. Były magazyny, była administracja, była księgowość i kadry. No nie licząc, że były, gdzie ludzie pracowali, tkalnia, dziewiarnia i szwalnia. Później, jak chałupników tego, to jeszcze byłam przerzucona do... Później też do spraw kadrowych. Bo to była spółdzielnia, więc to się robiło właściwie wszystko, jak już szkołę miałam, to już później i kadry, i rozliczenia wypłat, także pracowało się we wszystkim.

MS: A pamięta Pani, jak wyglądała praca na innych działach? Miała Pani w ogóle styczność z innymi działami?

No to znaczy styczność na przykład miałam z mechanikami, bo ich też rozliczałam i z kierowcami. No to... Jak praca no na maszynach, to wiadomo, przechodziłam kursy, więc maszyny też znałam. Tylko, że mówię, to były maszyny stare, teraz już wszystko było zrobione później, nowe maszyny, nowy park maszyn, wszystko się rozwijało.

MS: Wspominała Pani wcześniej o kopelinach. Co to było?

To były takie gobeliny robione na maszynach tkackich, to były takie za dawnych czasów na ścianę zakładane albo na przykład Związek Radziecki bardzo dużo sobie na łóżka nakrywał, to były takie narzuty, inaczej można powiedzieć, po naszymu teraz.

MR: Czyli gruba tkanina...

Taka robiona, tylko z wzorami.

MR: Z wzorami takimi dywanowymi, można powiedzieć.

No można tak to powiedzieć.

MR: Kapy, narzuty...

Tak, tak, tak, bo oni sobie to życzyli, to to robiliśmy dla nich na zamówienie, ale później, mówię – park maszyn był zlikwidowany i były dziewiarskie maszyny nowe kupione.

MR: Przepraszam, Mateusz, wejść ci w słowo. A w którym roku to mniej więcej było? To przejście z chałupnictwa na park maszynowy...

To mogło być yyy... Zaraz powiem... Gdzieś '80... W '80 się urodziła Monika, to chałupnicy jeszcze byli, to tak gdzieś '80-'81, bo wtedy nie byłam na wychowawczym, tylko prosili, czy mogę być w pracy, no bo nie mieli ludzi. I wtedy się później stan ten wojenny zaczął, więc to wszystko tak...

MS: Wspomina Pani ten stan wojenny. W którym roku to było?

Był stan wojenny i były kartki, które z urzędu miasta dostawaliśmy, i które trzeba było ludziom rozdać, to jeszcze byli chałupnicy. Bo jak miał gospodarkę czy coś, to dostawał tylko pół kilograma, tylko taką kartkę na dziecko, my dostawaliśmy wtedy więcej, no w sklepach było wtedy ciężko, więc współpracowało się ze sklepami, współpracowałam. Później się zajmowałam za takim dla kobiet, jak był Dzień Kobiet czy coś, no to się taką socjalną, można powiedzieć, teraz to się tak nazywa, pracowało się z Zetą – z tym, żeby coś załatwić, no bo były ciężkie czasy, nie można było tego dostać. No w sklepach było tak jak było, no nic nie było. No ale człowiek starał się dla ludzi załatwić. Na przykład naprzeciwko był ze śledziami sklep, więc załatwialiśmy beczki ze śledziami na święta czy karpia, tak żeby pracownicy mieli no...

MS: A czy zakład jeszcze coś produkował oprócz tych swetrów i gobelinów?

Nie, tylko już później weszliśmy na swetry.

MS: Mmm, tylko swetry były produkowane.

Tak tylko na swetry.

MS: A gdzie się ten zakład znajdował?

Na ulicy Długiej [56], przy samej komendzie.

MR: Czyli tam, gdzie dzisiaj...

Tam, gdzie dzisiaj jest opieka społeczna, te budynki były nasze i... Tam najprawdopodobniej ktoś to wykupił i tam na dole nadal coś działa. Ale wszystkie te budynki, jak ten wieżowiec postawili nam jako biurowiec, to później opieka społeczna to przejęła.

MR: Mateusz pytał o miejsce, a ilu było pracowników?

Oj, nie pamiętam... Ale spora była, dlatego bo mówię, mieliśmy raz, dwa, dwa piętra... No już nie pamiętam, bo naprawdę to już tyle czasu...

MR: Ale taki rząd wielkości – to było kilkadziesiąt, kilkaset osób?

Nie, nie, to nie było tak jak Zeta, no nie wiem... No u nas na pewno było ponad stowę chałupników w tym czasie też, jednych i drugich, dziewiarzy i szwaczy.

MR: Po stu czy setka razem?

Sto razem, na pewno było. Ile mogło być na oddziale? No nie będę strzelała, bo już nie pamiętam. No było sporo, bo nas w biurze na przykład były trzy osoby, w jednym pokoju, w drugim trzy osoby, to jest sześć osób. Później handlowy sześć, to jest dziewięć... Z piętnaście osób było samych umysłowych, może więcej, no ja tak mniej więcej liczę. Później byli mechanicy, później w magazynie były trzy osoby, no ale tak pracowników nie pamiętam, ile tam przy maszynach było. Każdy dział też miał swojego kierownika, dwóch brygadzystów na zmianę na przykład, bo była dwuzmianówka.

MR: Pytam z tego względu, że Spółdzielnia „Splot” jest trochę mniej znanym zakładem.

To znaczy się... Spółdzielnia „Splot” kiedyś była według mnie bardzo znanym zakładem, bo my mieliśmy po Poloprenie najlepsze pensje, na tamte czasy. Wiadomo, że my podlegaliśmy pod Łódź więc może to też te spółdzielnie były jakoś łączone.

MS: Mówiła Pani, że zakład współpracował z Zetą...

To znaczy załatwialiśmy, na przykład, dla ludzi prześcieradła, nieraz tam garnitury, no... Bo to... Wspieraliśmy się, żeby coś dla ludzi załatwić. Tak samo były momenty, że załatwialiśmy z zakładów Pietrusińskiego, każdy zakład starał się coś załatwić dla swoich pracowników.

MS: A pamięta Pani może jakieś historie zabawne lub smutne z tego okresu?

MR: Z życia zakładu...

[westchnięcie] No takie... [śmiech] No ja nie mogę powiedzieć, ten zakład mnie nauczył właściwie bardzo dużo. Miałam taki moment, że jak rozliczałam kobiety starsze, no to płakałam. Bo to młody człowiek, wiadomo, starsza pani coś tam powiedziała, [na przykład] „Ty nie będziesz mi rządziła” czy „Ty mi tam źle tego”. Miałam bardzo dobrego prezesa. On zawsze mówił, że „Ty tu jesteś, ty tu rządzisz i jak coś, to przychodź do mnie”. Naprawdę mnie ten zakład nauczył bardzo dużo, później były zwolnienia z zakładu, bo już wiedzieliśmy, że zakład zostaje rozwiązany, więc my akurat – ja i tam kilka innych osób – poszliśmy z tym pierwszym zwolnieniem, no nic takiego... Wiadomo, odbywały się... W spółdzielniach musieliśmy mieć dywidendę, musieliśmy mieć dywidendę, no bo to spółdzielnie zawsze miały tą dywidendę, więc odbywały się zebrania, spotkania takie, także

ja dobrze wspominam ten zakład. Później z tego zakładu poszłam do innego zakładu, w którym też pracowałam 24 lata, to tam znów...

MR: I który to był rok?

No w '90 roku odeszłam, tam z zakładu, później byłam rok niecały na kuroniówce...

MR: Czyli to był okres transformacji.

Tak. Później poszłam do Andry [firma pasmanteryjna z siedzibą w Zgierzu, działająca do dziś] tutaj pracować i tutaj też pracowałam w magazynie, a później zostałam kierownikiem. No to tu pracowałam 24 lata, później poszłam na operację i z operacji już tu nie wróciłam, poszłam na rentę, cztery lata byłam na rencie chorobowej, ale już pracowałam w Towarzystwie Przyjaciół Osób Niepełnosprawnych, no i pracuję do tej pory. Pracuję w dziale też administracyjnym...

MS: Wspominała Pani o swoim szefie, a jakie było w ogóle szefostwo?

To znaczy był główny prezes spółdzielni, prezes Dziugan, który był bardzo świetnym prezesem. To był naczelny, później, po jakimś czasie, był przyjęty prezes techniczny i prezes handlowy. Także później było ich trzech. Bo jak się zakład coraz więcej trochę rozwijał, przyszły te nowe maszyny, więc to było tak więcej rozwinięte trochę.

MS: Czyli szefostwo było...

Bardzo dobre było.

MS: A wspominała Pani o kuroniówce¹. Co to było?

[lekkie rozbawienie] To jest takie... Kuroniówka to jak zakład się rozwiązuje, idzie się do urzędu pracy, przedtem było w urzędzie miasta... Składało się, teraz chyba jest na Sadowej [urząd pracy obecnie znajduje się przy ulicy Barona, przy Sadowej ma siedzibę Starostwo Powiatowe], że jak nie masz pracy, to idziesz się rejestrować. Przedtem tą kuroniówkę nam płacili tak jakby, nie płacili całe 100%. Przez ten rok czasu, bo miałam lata pracy, ponad dziesięć, ale rejestrowaliśmy się wtedy w urzędzie miasta. I przez rok czasu można było dostać takie wsparcie, bo kuroniówka to według mnie wsparcie, że szukasz w tym czasie pracy.

1 Kuroniówka – potoczne określenie zasiłku dla bezrobotnych, przysługującego osobom, które mają urzędowy status bezrobotnego, nie mogą znaleźć zatrudnienia odpowiadającego kwalifikacjom oraz płaciły przez 365 dni w ostatnich 18 miesiącach pełne składki na Fundusz Pracy. Potoczna nazwa kuroniówki pochodzi od nazwiska Jacka Kuronia – dwukrotnego ministra pracy i polityki społecznej w latach '89-'91 i '92-'93, który w początku lat 90. XX wieku na jednej z ulic Warszawy osobiście rozdawał mieszkańcom stolicy grochówkę.

MS: Były jakieś plusy pracy w tym zakładzie albo jakieś minusy?

No plusy to było to, że wszyscy wspólnie się wspieraliśmy, można tak powiedzieć. Minusy to były takie... No były takie sytuacje, że towar na przykład na czas nie przyszedł czy przędza była zła, że nici urywały się, tak można powiedzieć.

MS: Czy praca wpłynęła jakoś na Pani życie?

Na moje może nie, ja więcej poświęcałam pracę, można powiedzieć, niż na przykład dom. Dla mnie praca zawsze była na pierwszym miejscu.

MS: Czyli oddzielała Pani życie osobiste od pracy...

No nie zawsze, bo były nieraz rzeczy, które trzeba było zrobić i dokumenty też brałam do domu, żeby zrobić.

MS: A jak była Pani w ciąży, to jak to wyglądało?

No jak w ciąży byłam, to wiadomo, że trzy miesiące nie pracowałam, bo to taki był okres, ale od razu po trzech miesiącach przyszedłam do pracy.

MS: A pamięta Pani jakieś sfery życia niekoniecznie związane bezpośrednio z pracą... Żłobki, wczasy?

No był u nas w naszej spółdzielni, było to, że my naszym pracownikom załatwialiśmy wczasy. I jak była sytuacja, że kobieta, czy mężczyzna mieli po trzy czy cztery osoby to wtedy im się na raty... Za skierowanie wpłacali, że na przykład nie jednego miesiąca od razu za trzy skierowania, tylko się im rozdzielało, szło się im na rękę i rozdzielało, co miesiąc z pensji zabierało się im. Załatwiało się dzieciom gwiazdki, załatwialiśmy... Były też momenty, że komuś załatwialiśmy sanatorium. No żłobki to w mieście były. Moje dzieci akurat nie chodziły, ale były matki, co dzieci prowadziły do żłobków. Nasz zakład, spółdzielnia, nie posiadała żłobków.

MS: Klubów sportowych...

Nie, nie. Spółdzielnia nie posiadała żadnych żłobków, przedszkoli. Z tym, że mieliśmy przedszkole, do którego dzieci mogły chodzić, za komendą było przedszkole, co tam też najczęściej dzieci nasze chodziły.

MS: A propos rodziny – czy ktoś jeszcze miał styczność z tym zakładem z Pani rodziny?

To znaczy się mój wuj był tam też prezesem później, później był przerzucony do Łodzi, ale już nie żyje.

MS: A jak się nazywał? Aha, był prezesem...

Zieliński, ale to był krótko, bo później był zabrany do spółdzielni do Łodzi.

MS: Wspominała Pani o wczasach, że załatwialiście...

Staraliśmy się załatwiać pracownikom skierowania.

MS: A gdzie? Zakład posiadał swoje ośrodki?

Nie, my swoich ośrodków nie mieliśmy, tylko po prostu jeździliśmy i załatwialiśmy, a to nad morzem, a to w góry. Tylko mówię, my szliśmy na rękę pracownikom i jak ktoś miał dwa czy trzy skierowania, co miesiąc się z pensji na jedno skierowanie brało. Nie płacił od razu, tylko po prostu... Prezes się na to zgodził, żeby ludziom pomóc i mieliśmy z pensji co miesiąc potrącane. Zawsze ktoś pojechał. Dla dzieci zaczęliśmy kupować na gwiazdki zabawki, według wieku dziecka, zawsze dziecko dostało na gwiazdkę prezent.

MS: Wspomina Pani święta – w zakładzie były obchodzone jakieś święta?

No mieliśmy kilka takich spotkań.

MS: Coś zapadło Pani w pamięć?

No każdy się spotykał, dzielił się tym opłatkiem, wiadomo, że choinkę się ubierało, kto mógł, to przyniósł ciasto i zawsze – piętnaście-dwadzieścia minut – było takie spotkanie. Prezes przychodził, życzenia składał każdemu, także wtedy się wyłączało nieraz maszyny i wtedy dwie zmiany w tych godzinach, co były na przykład... No bo my pracowaliśmy, umysłowi, od 8 do 16, ale zmiany pracowały na zmiany, więc w tych godzinach szczytu zmiana jedna przychodziła i druga, w tym momencie zawsze było takie... I Wielkanoc, i święta – składane życzenia i, mówię, te piętnaście minut zawsze każdy tam po ciastku czy po cukierku... No, zawsze tak było miło.

MR: Czy to tylko święta Bożego Narodzenia, czy jakieś inne dni też Państwo świętowaliście?

MS: Majówkę, Święto Niepodległości...

[uśmiech] No 1 maja to był obowiązkowo, kiedyś trzeba było iść na pochód. Nawet zdjęcia jeszcze mam takie swoje, co na 1 maja musieliśmy z chorągwiami iść. [gest machania chorągwią] Każdy musiał być pracownik podpisany, że jest w pracy i... 11 listopada tak nie wtedy, ale 1 maja to był obowiązek. I zawsze na placu.

MR: Wspominała Pani wcześniej o Dniu Kobiet.

O Dniu Kobiet, to też był organizowany. Zawsze kupowane były prezenty, ale tam żadnych takich bali się nie robiło, ale zawsze prezenty dla kobiet były. Bo to był Dzień Kobiet, bo to jest świątowy i wszyscy uważali, że Dzień Kobiet to jest dzień kobiet. Więc były albo talony, albo się coś tam załatwiało i zawsze kobiety ten prezent dostawały.

MR: Ale to też było w takiej formie jak te spotkania wigilijne? Też chwila zatrzymania pracy...

[twierdzące kiwanie głową] Tak, i w tym momencie najczęściej prezes, później kierownicy przychodzili, no najczęściej panowie, i każdemu wręczane było, życzenia składane, wiadomo, że nieraz w pokoju każdy tam sobie kawkę wypił, ale to tak każdy przerwę miał, to tam sobie wspólnie wypijali tą kawkę czy herbatę. No i u nas co roku było to zebranie, ta dywidenda, jak to się mówi, no to wtedy było zebranie duże, no to u nas była za mała świetlica, więc było gdzieś w jakimś lokalu, no i później z obiadem. [uśmiech]

MR: To wypłacenie dywidendy to przy okazji było takie święto zakładu.

To można tak powiedzieć, bo to wtedy się prawie wszyscy spotkali, no i takie zebranie główne. Przyjemne to było, no tak wszyscy razem wspólnie.

MS: A czy należała Pani do partii? Czy partia miała jakiś wpływ?

[śmiejch] Należałam do młodzieżowego... No był taki okres, że należałam do ZMS-u, mieliśmy dwa mieszkania... Wtedy staraliśmy się, były dwa mieszkania w blokach, co kto miał ciężkie sytuacje... [westchnięcie] No akurat byłam na liście, no ale akurat zakład się roztegowalił, można powiedzieć, no i mieszkanie przeszło na inną firmę. Był okres, że do partii należałam.

MS: A jakieś relacje ze współpracownikami, jakieś przyjaźnie, znajomości? Jak to wyglądało? Jakieś spotkania po godzinach?

[westchnięcie] No może się tam ludzie spotykali, ja miałam trzy koleżanki takie, co razem pracowaliśmy w biurze, no to nieraz się tam spotkaliśmy po pracy, ale ja miałam później małe dziecko, więc więcej człowiek ciągnął po pracy do domu. Wiadomo, że jak się zakład... Rozeszliśmy się, to się spotykaliśmy nieraz na kawie tam gdzieś na mieście, no ale już te moje koleżanki, już poumierały... Z tych młodszych to właściwie zostałam tylko ja, z tych, co tam się z biura kolegowaliśmy – no jeszcze trzy-cztery koleżanki takie, co tam nieraz się widzimy na mieście, „dzień dobry” i pogadać tylko tak. Ale tak, żeby się spotykać już, to nie. Już każdy poszedł potem do innej pracy, niektórzy poszli na te wcześniejsze emerytury, co można było iść i tak. No ale mówię, ja bardzo dobrze wspominam ten zakład.

MR: Czyli jest sentyment...

Tak, po pierwsze było przyjemnie, ludzie byli naprawdę życzliwi, no i dużo się nauczyłam, po prostu dużo stamtąd wyniosłam. [wzruszenie] Teraz też cały czas z ludźmi pracuję i uważam, że dobrą szkołę miałam tam.

MS: Czyli gdyby była możliwość, powróciłaby Pani do tej pracy?

[śmiech] Teraz to ja już się szykuję na emeryturę. Ale gdyby ten zakład był, to na pewno bym była do końca, jakby ten zakład był. Dlatego bo, mówię, szkolenia robiliśmy, później był taki moment, że w tej pracy byłam wybrana, jak były robione takie kontrole w sklepach przez urząd miasta – z każdego zakładu były wybierane osoby, spotykaliśmy się i na przykład kontrole w sklepach były. Jak na przykład, czy rzucony jest towar na sklep, czy nie, więc no mówię, współpracowałam dużo, z urzędem...

MR: Czyli ta praca nie kończyła się w momencie...

To znaczy to w trakcie pracy mieliśmy...

MR: Tak, tak, tak, ja rozumiem, tylko praca zakładu nie kończyła się z wyjściem tego towaru od Państwa, a sprawdzaliście czy ten towar faktycznie...

Nie tylko nasz towar, na przykład był okres taki, że z urzędu miasta zakłady dostały takie pismo, że sklepy spożywcze sprawdzane były. Jak było ciężko, był taki okres, już nie pamiętam, w którym to roku, że... Czy wszystko idzie na półki, czy w magazynach sklepy nie trzymają i były wybrane osoby, to zakłady dostawały z urzędu miasta na przykład, żeby wybrać dwie osoby czy trzy osoby.

[brak fragmentu wywiadu]

Czy po prostu schodziło, bo nie było tego w sklepach, więc jak schodziło i zysk był dobry, no to prezes dawał ludziom zarobić.

MS: Wspomniała Pani wcześniej o szkoleniach. Jakie to były szkolenia?

No mieliśmy różne szkolenia, tak samo jak teraz są szkolenia.

MS: Ale z czego to były szkolenia?

No tak jak na przykład ja miałam, na przykład z BHP, później były jak te do urzędu miasta, to były takie szkolenia, jak mamy to organizować i to wszystko robić.

MR: Czyli tą pracę taką... Można powiedzieć, kontrolę.

Taka kontrola, czy jak na przykład kartki dostałam i kazali tego... To też mnie

szkolili, jak te kartki rozpisywać, rozdzielać, jak te kartki później zwracać, które zostały, to wszystko trzeba było dokumentować, bez tego nie dało rady nic, wszystko trzeba było, nie było komputerów, wszystko robiliśmy ręcznie. Kiedyś listy wypłat to się robiło na takich długich...

[brak fragmentu wywiadu]

Dokładał i na przykład za obiady ludzie płacili pięć złotych, a jedli z dwóch dań. Na komendzie, jak jeszcze na komendzie była kuchnia, to były i w kuchni tam załatwiane obiady i później w Expressie [barze Express, niemal vis-à-vis Splotu], tam naprzeciwko w tym barze. Także no, pracownikom się pomagało i... Teraz tak... Przedtem po prostu w zakładach ludzie tak jak rodzina byli, naprawdę jak rodzina... Czy jedne drugiemu pomógł, czy...

MS: Czy pamięta Pani może jakieś wypadki z maszynami? Komuś coś się stało?

Z tego, co ja pamiętam, tylko jeden wypadek był, ze schodów dziewczyna schodziła i se nogę złamała, ale tak, żeby przy maszynach coś, to nie kojarzę sobie.

MS: A czy bliskość komisariatu jakoś wpływała na pracę?

Nie. Zakład później... Komenda, ale później było tak, że jak biuro, to duże nam wystawili, bo byliśmy po lewej stronie, to później tam zrobili prześwietlenia...

MR: Przychodnię...

Klatki takie no, bo wtedy oni tam sobie robili prześwietlenia klatki piersiowej, a nas do tego dużego biurowca wszystkich...

MR: Czyli na początku ten budynek, który dzisiaj jest przychodnią pulmonologiczną...

To był naszym też biurem, tu było biuro i biuro było za tym dużym budynkiem, tym nowym wystawionym, co jest opieka społeczna, tam chyba sklepy teraz są, jak byłam któregoś razu zobaczyć, to kiedyś były nasze biura.

MR: A jak Pani zagląda w te miejsca...

[radość w głosie] To tak przypomina sobie człowiek, jak tutaj fajnie było, jak zaczynałam. Nawet mówię, że co się spotkam z tymi dwoma koleżankami na mieście, to tak nieraz wspominamy: „Wiesz, jak fajnie było, nawet na 1 Maja, wszyscy razem szliśmy...”

MR: No właśnie, a jaki był stosunek do tego 1 Maja?

To znaczy się [śmiech], no wiadomo było, że to trzeba było iść, przymus taki był, no można powiedzieć. Przymus, ale wszyscy zadowoleni szli, naprawdę z grupami, te chorągwie, uśmiechnięci, naprawdę jakoś tak...

MR: Ale to było, tak mówiąc kolokwialnie, takie odfajkowanie czy później się gdzieś wybieraliście razem?

Nie, to nieraz się wracało jeszcze do pracy razem, bo to zależy, jaki dzień był. To nie był taki wolny dzień, że można sobie było iść do domu, się wracało do pracy i się robiło, co swoje.

MR: A ile trwał taki dzień pracy?

Nie, źle się wyraziłam, bo 1 Maja to nam za to wolny dzień dawali, ale nieraz było tak, że z powrotem się wracało do pracy, no bo to były... Chorągwie trzeba było zanieść, tego... U nas były wypłaty, tak jak my później robiliśmy, no to pierwsze nieraz się siedziało i te rozliczenia trzeba było zrobić. Później nam tam inny dzień oddawali albo po prostu mieliśmy płacone za to.

MR: A tak ogólnie zwykły dzień pracy to było osiem czy sześć godzin?

Osiem, nie pracowało się dłużej.

MR: A ile dni w tygodniu?

Siedem. Nie, sześć. Dopiero później sobota była wolna, poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek i sobota – sześć dni.

MR: A sobota to był taki dzień, kiedy pracowano w pełnym wymiarze godzin?

Na początku tak, a później zmienili nam na sześć godzin, no a później w ogóle zlikwidowali. Także tylko niedziele mieliśmy wolne. Tylko że mówię, wszyscy, tak jak rodzina, zawsze tak jakoś się trzymali, można powiedzieć, nikt tak... Bo teraz, jak tak widzę, idziesz do pracy, każdy osobno, nieraz przez osiem godzin nie powiedzą za dużo, a przedtem to rozmowa była, cały czas i się rozmawiało. Ten mówił, co w domu, ten, co tam się dzieje, no wiadomo, że „Ach, trzeba iść w kolejkę”, bo całą noc trzeba stać, żeby kupić kawałek wędliny...

MR: A pomagaliście sobie w takich sytuacjach tak, że ktoś stał za kogoś?

Pomagaliśmy, na przykład ja... Moja teściowa pracowała w Pietrusińskim [Zgierskie Zakłady przemysłu Wełnianego im. J. Pietrusińskiego „Zeltor”] i tam był kiedyś Olczyk, co wędlinę robił i można było wtedy kupić. To oni po nocy już szli, już kolejkę zamawiali, jednej, drugiej osobie i później mówią, że będzie tam pięć-sześć osób. No i później każdy tam przychodził i się tak koło tej 8 w kolejkę ustawiał.

MR: Wspominała Pani, że to doświadczenie zdobyte w swojej pierwszej pracy w Spółdzielni „Splot” pomaga Pani do dnia dzisiejszego...

To znaczy współpraca z ludźmi. No bo wiadomo, że biurowe sprawy i takie inne rzeczy przez tyle lat, no to już wszystko ma się w jednym paluszku, ale współpraca z ludźmi... Ja na przykład w Splocie, jeszcze jak złączyli nas z kadrami, to przyjmowało się dużo ludzi, o pracę przychodziło się pytać. Mam takie dobre wspomnienie, bo idę na mieście i mi się ludzie kłaniają, ja mówię nieraz: „Boże, skąd ja tą osobę znam?”

MR: Czyli mimo, że to był zakład, gdzie pracowało między 100 a 150 osób...

Nie no, na pewno więcej jak 150, ale nie tak dużo jak Zeta czy Fresco, czy Pietrusiński...

MR: Ale duża była rotacja tych ludzi?

To znaczy nieraz było, że szwaczki się zmieniały, ale przychodziło dużo osób z kartkami, z urzędu, żeby podpisać, czy mamy pracę, czy nie mamy, więc zawsze ciągle ktoś tam przychodził. I mówię no, na mieście ile jest nieraz osób, nieraz tego, ja tak wzrokowo jestem, że pamiętam, a! Ojej, to z tego zakładu.

MR: A ludziom pasowała taka chałupnicza praca?

Wielu ludziom tak.

MR: Kto taką pracę wybierał?

To znaczy się osoby, które na przykład miały dzieci i nie prowadziły do żłobka czy do przedszkola. Albo miały rodziców, chorych rodziców. Łooo, i w Pabianicach mieliśmy chałupników, i w Aleksandrowie mieliśmy chałupników... No ten, kto nie mógł na godzinę przyjść do pracy. Chałupnicy są tacy, że, jak to mówią, pracują w domu wtedy, kiedy czas – ugotują sobie obiad, coś zrobią albo wieczorami.

MR: Popularny był to system pracy?

Kiedyś tak, na tamte czasy dużo chałupników było. I dużo zakładów – z tego, co wiem – miało chałupników, w Łodzi chyba był zakład, co długopisy składał, później te teczki jakieś wiąźali tego. Też był taki zakład i chałupników też mieli. A jeszcze pamiętam, jak cukier – miało się po dwa kilo cukru – sprzedawali w sklepie i się rodziny ustawiały po dwie, trzy osoby. „Ach, to będzie w domu więcej cukru”. Małe dzieci się ustawiało też w kolejkę. A teraz wszystko jest, dużo pieniędzy nie ma.

Bardzo dziękujemy za rozmowę.

Danuta Żurańska, ur. 1948 r.

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Hurtu Spożywczego, księgowa

Lata pracy: 1966-1993,

Rozmawiała Dagmara Leszczyńska, ur. 1989 r.

W jakim przedsiębiorstwie Pani pracowała?

Najpierw było WPHS – Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Spożywczego, później było Łódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Spożywczego [ul. Uroczą 4], tak zmieniały się nazwy... Zarząd tej hurtowni był w Łodzi na ul. Piotrkowskiej 60, pod który podlegały te hurtownie, też były te hurtownie ze dwie czy trzy w Łodzi, ja już nie pamiętam... Na ul. Duńskiej, na Tuwima.

Hurtownia gromadziła artykuły spożywcze, które później były wysyłane do sklepów. Sklepy po prostu zamawiały swoje towary, takie jakie chciały, a do tej pracy były panie, tzw. akwizytorzy, które jeździły do sklepów do Zgierza, do Ozorkowa, do Główna, do Aleksandrowa [Łódzkiego] i robiły spis towarów, które zamawiały sklepy. Na tej podstawie panie w dziale handlowym robiły taką specyfikację-zbiorówkę i przygotowywane były towary na każdy sklep.

W jakich latach pracowała Pani w hurtowni?

Od 1966 do... 19..., 27 lat [...], do 1993. Zostałam zwolniona, bo nastąpiła prywatyzacja tej hurtowni. Potem jak odeszłam z pracy, to jeszcze ta hurtownia trochę działała, natomiast później uległa likwidacji. [...] To była moja pierwsza praca w tej hurtowni zaraz po ukończeniu... Po zadaniu matury.

Poszłam do pracy w księgowości zupełnie bez żadnego przystosowania, bez niczego. Nauczyłam się szybko po prostu księgować, no i tak właśnie pracowałam, księgo wałam sobie dopóki nie urodziła się moja córka, później miałam trzy miesiące przerwy, w 72 roku to było i właśnie dalej do tego 1993 roku tam przepracowałam.

Wspominam to mile, bo oprócz tego, że księgowość no to w każdym przedsiębiorstwie – kasa. Dział handlowy, który zajmował się właśnie sprowadzaniem towarów i sprzedażą tych towarów, takie rzeczy załatwiano się przez telefon. Przez telefon były zamówienia głównie, tak. Natomiast tak jak już wspomniałam o akwizytorach, to one musiały pójść do każdego sklepu, zebrać zamówienie, żeby ten towar później wysłać do sklepu. Rozwozić towary, rozwoziła firma PTHW [Przedsiębiorstwo Transportu Handlu Wewnętrznego].

W hurtowni była jeszcze paczkarnia. Była paczkarnia, gdzie paczkowany był cukier, paczkowana była sól, takie artykuły sypkie. Może nie wszystkie, ale jak był taki kryzys, po prostu nie było tych artykułów spożywczych w sklepach i tak dalej, no więc paczkarnia paczkowała tyle, ile się dało tych towarów, bo przychodził też cukier powiedzmy z cukrowni, ale już zapczkowany do hurtowni.

Hurtownia też posiadała taką bocznice swoją, gdzie podjeżdżały wagony i one były rozładowywane, a później były odstawiane na stację, odjeżdżały sobie.

Proszę opowiedzieć o pracy paczkarni? To wyglądało w ten sposób, że przychodzili duże worki cukru lub soli i jak dalej wyglądała ta praca?

Tak, tak... 50 kilo? Czy 25? Chyba 25 kilogramów, tak, tak. Czy mąka... Bo to paczkowane później po kilogramie. Czy kasza manna, nie wiem czy była paczkowana. Już nie pamiętam. Były też sortowane cytryny, bo też jak cytryny się psuły trzeba było szybko sprzedać... No to my – pracownicy umysłowi – schodziliśmy do paczkarni, na taką sortownię, żeby przesortować to wszystko i żeby później sprzedać.

Jak często pojawiały się cytryny w hurtowni? Nasze pokolenie zna opowieści, że cytrusy pojawiały się tylko raz do roku – na święta.

Już tego nie powiem Pani, ale były. Były pomarańcze. Były też winogrona, tak... No różne artykuły spożywcze. Była też wódka, były wina, był ocet, były przetwory, to znaczy ogórki były, no wiele takich rzeczy, w które hurtownia się zaopatrywała, a później wysyłane były do sklepów.

Mówi się o tym, że w PRL-u był tylko ocet w sklepach, a Pani wymienia całą gamę towarów?

Nie, nie, nie! To nie jest tak wcale, bo ten ocet w sklepach to się później pojawił, bo ja wiem... Chyba dopiero w latach 80. Po '80 roku, tak? Gdzie ludzie wykupowali wszystko, co tylko można było, robili sobie ogromne zapasy, no bo nie było [towarów w sklepach].

Ja wiem, że po prostu w '79 czy '80 roku byłam w Sobieszewie z córką na wczasach, bo zakład załatwiał też wczasy. Nie mieliśmy takiego ośrodka wypoczynkowego własnego, bo hurtownia była mała – nie powiem, ile ludzi tam pracowało. W każdym bądź razie, Pani zajmująca się socjalnym funduszem załatwiała takie prywatne kwatery, czy w jakimś ośrodku wczasowym miejsca, żeby można było wyjechać na wczasy właśnie czy dzieci na kolonie.

No też były paczki dla dzieci. Paczki były, no co tam jeszcze było... [...] Wtedy, co nie było – jak Pani wspomniała, ocet – hurtownia też posiadała taki własny sklepik. Jak było trudno, to artykuły spożywcze... Raz w tygodniu była dostawa do tego sklepiku, dla pracowników. Były w ogóle reglamentowane przeciw ar-

tykuły, tak? No więc czy cukier, czy mąka, a więc dyrekcja wydała zarządzenie, że pracownicy mogą zakupić sobie takie i takie artykuły spożywcze. Ileś tam na każdego pracownika przypadało, jakaś tam część tych artykułów spożywczych, czyli mąka, czyli cukier, papierosy były bardzo takie no... To był taki chodliwy towar i wódka właśnie, i to też było na kartki wtedy. To my po prostu jako pracownicy mieliśmy raz w tygodniu bodajże, czy raz na dwa tygodnie, ja już teraz nie powiem, nie pamiętam tak dokładnie, ale mieliśmy. To wiem.

Ja paliłam papierosy. Tak. To się wymieniałam z tatą, to wszystkiego nie było. Był czas, że nie było wszystkiego.

[...] Później stan wojenny. To ja się wystraszyłam tego stanu wojennego, muszę Pani powiedzieć. Jak telewizor włączyłam i usłyszałam, że stan wojenny, no to... Ale jakoś tam przeżyliśmy ten stan wojenny. Przeżyliśmy. Ja nie musiałam, mnie nie zabrakło cukru [na przykład], no tylko dlatego może, że pracowałam właśnie w tej hurtowni. [...]

Był też handel obwoźny. Dyrekcja wynajmowała samochody i po prostu pracownicy właśnie [...], i pracownik z magazynu, i pracownik umysłowy, jeździliśmy sprzedawać towary. Czy cukier, czy mąkę, no to co tam trzeba było. Jeździliśmy, sprzedawaliśmy towar, to była taka sprzedaż z samochodu. Chodziło o to, żeby mieć tą sprzedaż jak największą.

Jeździli Państwo po domach, czy zatrzymywali się w jakichś punktach?

Nie, nie, nie. To było w punktach.

Gdzie w Zgierzu mieściły się takie punkty?

Tego nie wiem. Nie, bo ja chyba byłam w Głownie, ale to gdzieś na jakimś placu, po prostu takim, gdzie ludzie mogli sobie dojść, zapytać czy jest to, to, to... I sobie kupić. Dokładnie tak, jakby Pani poszła na rynek.

Czy kojarzy Pani, ile osób pracowało w tej hurtowni w Zgierzu? Kilkadzieściąt czy może więcej?

[...] Nie wiem, ile w magazynie, bo był magazyn A, magazyn B, paczkarnia. [...] W jednym magazynie były takie, powiedzmy, artykuły tłukące się: wódka, wino, przetwory i tak dalej. W drugiej mogły być sypkie. To panowie jeździli, układali towary wysoko na paletach, tymi wózkami... No i trzecia była paczkarnia. [...] Z paczkarni, zapaczekowane towary znowu zostały magazynowane w odpowiednim magazynie.

Codziennie robiło się takie raporty sprzedaży i przychodów, bo przecież z tych zakładów hurtownia też kupowała towary, żeby je później sprzedać... Z zakładów takich przetwórczych – z cukrowni, na przykład, kupowała cukier, kupo-

wała sól z kopalni soli, no co jeszcze... Te wszystkie przetwory, dzemy, wódkę z Polmosu – to też musiała kupować [hurtownia].

W jakich godzinach Pani pracowała?

Od godziny 8 do 16. A nie! Był czas, nie wiem do którego roku, ale był czas, że pracowało się od 7:30 do 15:30 albo od 8 do 16, ale pracowaliśmy też w soboty i to wszyscy pracowali. W soboty była praca do godziny 14.

Jeszcze chcę powiedzieć, że żeby ułatwić dojście do pracy pracownikom, bo autobusy po Zgierzu zaczęły jeździć później, dyrekcja miała dwa takie żuki. Żuk? Czy to był inny taki mały właśnie samochód? W każdym bądź razie robił dwa kursy, żeby pracowników dowieźć. Jednym kursem chyba jeździł na Rudunki i plac Kilińskiego. [...] I później jak już zaczęło powstawać osiedle [650-lecia], no to też jeździł na osiedle. [...] I później też tak rozwoził. [...] Akurat wsiadałam tu na placu Kilińskiego, bo dziecko odprowadzałam jak już mogło chodzić do przedszkola, to chodziła tutaj właśnie, gdzie jest teraz słynna palmiarnia¹ – róg Narutowicza a Długiej.

W jakich godzinach pracowała hurtownia? To była praca zmianowa?

Jedna zmiana była, bo później były przyjęcia [towaru], to były dyżury. Panowie dyżurowali, panowie magazynierzy, ale już, już później zamknęli bocznice kolejową, już artykuły spożywcze zaczęły być do hurtowni dowożone samochodami. Rozładowywane na stacji i dowożone do hurtowni samochodami, po prostu w godzinach... No były dyżury. Na jedną zmianę pracowała hurtownia, PTHW też pracowało na jakąś tam zmianę, od 6 czy od 7, powiedzmy. [...]

Robiliśmy takie remanenty w magazynie, spisy były, później rozliczenie tych remanentów. Oczywiście jak były jakieś braki, no to był magazynier za to obciążany. Były też protokoły ubytku robione, jak się coś potłukło nie z winy pracownika...

Gdy szła Pani na magazyn, w celu dokonania np. remanentu, czy musiała Pani założyć jakiś specjalny strój ochronny?

Nie. To znaczy, jak wchodziłyśmy na paczkarnię, to musiałyśmy mieć fartuchy. Natomiast w magazynie nie, bo w magazynie nie było styczności bezpośredniej z towarem.

Nie to, że wzięłam cukierka, bo te cukierki były zawijane w papierki, one były w kartonach, nie były luzem, tak jak w sklepie jest. [...] Natomiast jeżeli szliśmy

1 Palmiarnia – potoczna nazwa budynku przy ulicy Długa 34 w Zgierzu. Nazwę zawdzięcza złemu stanowi technicznemu: dach zapadł się do środka, a jego wnętrze porasta roślinność. Pierwotnie budynek należał do parafii Ewangelicko-Augsburskiej, a w latach 60. XX w. mieściło się tu przedszkole miejskie.

do paczkarni, trzeba było obowiązkowo założyć fartuch. To była fajna praca, to znaczy dla takiej paczkarki – na godzinę, dwie, ale one też pracowały na akord, więc ile zapaczkowały, za tyle miały zapłacone. My natomiast miałyśmy stałą pensję.

Czy na terenie zakładu, w biurze, można było palić papierosy?

Pałam, można było.

A w magazynie czy w paczkarni?

Nie, to oni mieli wydzielony chyba [pokój] albo wychodzili zupełnie gdzieś tam na zewnątrz. Bo później, dopiero później było zarządzenie, że każdy zakład musiał wydzielić pomieszczenie na palarnię.

Jak wyglądały święta? Imieniny, urodziny, Dzień Kobiet, sylwester?

[...] Mogłam zapamiętać Dzień Kobiet, bo hurtownia nie miała jako takiej sali... Sali gdzieś tam, dużej sali, żeby pomieścić wszystkich, żeby zrobić jakiś bal sylwestrowy. Za magazynem, gdzieś na piętrze była taka salka, prawda? [...] Tam właściwie organizowany był Dzień Kobiet. Była muzyka, były tańce, śpiewy, herbata, ciasto, no przyjemnie. Natomiast jeśli chodzi o sylwestra, to nie było. Nie było organizowanych sylwestrów, bo nie było gdzie po prostu. Nie było gdzie. Zresztą mało ludzi, tam nie pracowało dużo ludzi. Ja nie wiem, czy 100 osób pracowało wszystkich, no może 100 to pracowało, ale nie powiem Pani, bo nie pamiętam. Ja nie liczyłam tych ludzi, no bo w biurach... To było tak: dział handlowy, księgowości, była kasa – no to jedna kasjerka i jeszcze jeden dział... Administracja, no to tam były ze dwie osoby, planowanie – ze dwie osoby, kadrówka – jedna, druga osoba, tam ze dwie, czy trzy osoby w kadrach i to wszystko. Każdy za swój odcinek pracy odpowiadał, prawda? Musiał się z tego rozliczyć.

Pamiętam też, no co pamiętam? Pochody pierwszomajowe. Pochody to już niestety były, ale przymusowe, bo za to były jakieś takie punkty, później jakby premiowane. Nie poszło się to ta premia została zmniejszona.

Czy Pani również udzielała się w Solidarności albo w innych związkach zawodowych?

Ja nie udzielałam się, bo ja po prostu nie miałam na to czasu. Ja pracowałam, moje dziecko tu w przedszkolu. Jak pracowałam do godziny 16, to jak ją zabrałam, zanim przyszedłam do domu, cokolwiek zrobiłam, to już wieczór i za moment trzeba iść [spać]. Takie prace, takie udzielanie się, czy wtedy była partia, tak? Czy związki zawodowe? To na to mogła sobie pozwolić osoba, które nie miała rodziny, tak? Trzeba było zdecydować, albo rodzina, albo kariera.

Jakie były plusy pracy w tym zakładzie?

Lubiłam chodzić [do pracy], lubiłam pracować i praca w księgowości, to jest praca taka bardzo dokładna, tak? Powiem, że nauczyłam się, że coś robię, to robię dokładnie. Ja nie lubię robić tak na odczep się. Praca w księgowości to jest właśnie: cyferki, cyferki, cyferki i uzgadnianie, i jeszcze raz cyferki. I to jeden grosz trzeba było szukać. [...]

Jakieś minusy pracy w hurtowni?

Nieeee... No jaka praca, trzeba wszędzie pracować, tak?

Jak był nastrój w pracy?

Nie, nie mogę powiedzieć... Były życzliwe panie. Było fajnie. Tylko pod koniec mojej pracy, ale to w urzędzie wojewódzkim, te nastroje zaczęły się psuć. Zaczęły się psuć, ale to wszędzie, a tutaj [w hurtowni] to jedna drugiej pomaga, jak coś nie wiedziałaś, to nie mogę powiedzieć, bo tak dobre nauczycielki miałam. [...] Potrafiły nauczyć, wytłumaczyć dobrze, bo to najważniejsze, jak się wytłumaczy temat i tak dalej, ale później no sama – bardzo chciałam się nauczyć, bardzo chciałam pracować dobrze, inaczej się nie dało. Nie ma tak, żeby niedobrze pracować. Także wspominałam miło. [...] Lubiłam swoją pracę, pomimo że taka dziubanina.

Czy były jakieś minusy w tej pracy?

Minusy, to tylko ta dziubanina, nic więcej. Powiem Pani, że dużo robi atmosfera w pracy, jak się atmosfera zaczęła psuć.

Gdy Pani pracowała w hurtowni, nie było jeszcze komputerów. Jak wyglądała praca księgowej bez komputera, te wszystkie księgi, konta?

Nie było komputerów wtedy, nie było, nie. Liczenie było... Jak nie umiałam liczyć na liczydło, musiałam na takim liczydło, tak jak są takie małe liczydełka dla dzieci, to u nas były takie duże liczydła z dużymi takimi, tymi do przesuwania [koralikami]. Duże liczydła, nauczyłam się na tym liczydło i dodawać, i odejmować. Później wprowadzone były takie maszynki – kręciołki. Nastawiało się cyferki... Trzeba było nastawić np. tysiąc – to jedynekę i trzy zera, i przekręcić korbelką, jak chciała Pani dodać sumę, to w przód, jak odjąć, to do tyłu. Dopiero później, tylko też nie wiem, w którym roku, zostały takie maszyny liczące wprowadzone – no to już łatwiej było, bo były rolki takie papierowe i te rolki po prostu jak trzeba było coś uzgodnić, to na rolce były wszystkie cyferki powbijane i można było to sobie odhaczyć, czy dobrze wybite, czy nie. [...] To jest, to wszystko udoskonalane, bo są też te małe kalkulatorki – ale to były takie na prąd, takie maszynki – nieduże już później, bo najpierw były duże takie maszyny, a później były mniejsze już, takie fajne.

Może pamięta Pani jakieś anegdoty, zabawne historie z hurtowni?

Nie, nie kojarzę. A! Jeszcze powiem, że przy tej hurtowni to był taki zakład. Nie, nie zakład, a warsztat naprawczy wózków, tych magazynowych. Tak zakład naprawczy tych wózków widłowych. To już pod sam koniec, pamiętam... Tam pracowali sami panowie.

Kojarzy Pani czy są jeszcze budynki po tej hurtowni przy ul. Uroczej albo może chociaż pozostałości?

Chyba są, tylko nie wiem, co tam w tych magazynach jest teraz, bo to były takie niskie budynki. Pierwszy ten budynek taki biurowy, no to był piętrowy, ale ja w tamtym kierunku już nie chodzę, nie byłam tam już bardzo dawno, więc nie umiem powiedzieć, czy coś tam jest.

W jaki sposób zakończyła Pani pracę w hurtowni?

Przepracowałam 27 lat tam, a później zostałam zwolniona, bo nastąpiła prywatyzacja. [...] Nie było wiadomo, kogo zwolnić w pierwszej kolejności, to osoby, które przebywały na zwolnieniu, zostały zwolnione. A ja uległam wypadkowi właśnie, jak szłam do pracy, to nogę sobie skręciłam. [...] To jeszcze poszłam do pracy, to pamiętam. Słysimy taką grupką koleżanek, od przystanku tam przy stacji na Kolejowej i musiałyśmy przejść przez szlaban [przejazd kolejowy], żeby dostać się do zakładu. A to był 1 kwiecień, to pamiętam. Śnieg zaczął padać, jeszcze w kozakach – noga mi się przekreśliła, pomimo że w kozaku i pękła torebka stawowa. Poszłam jeszcze do pracy, całe osiem godzin przesiedziałam, noga bardzo bolała, no to później prosto z pracy pojechałam na pogotowie do szpitala i tam w gips miałam tę nogę włożoną. Dlatego poszłam na zwolnienie, no i zostałam zwolniona po 27 latach pracy. Trudno, na kogoś to musiało wypaść. [dalsza opowieść o kolejnych pracach: w Urzędzie Skarbowym, Urzędzie Wojewódzkim w Łodzi, Wojewódzkiej Inspekcji Transportu Drogowego i Wojewódzkim Centrum Zdrowia Publicznego – wszędzie jako księgowia, również po przejściu na emeryturę].



*Zdjęcie Danuty Różańskiej z legitymacji
pracownika Wojewódzkiego
Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego.*

Bibliografia:**Czurko J., Zysiak A.**

2010: Historie mówione: podręcznik. Łódź.

Dąbrowski R.

2008: Historia mówiona. Elementarz. Warszawa.

Hammersley M., Atkinson P.

2000: Metody badań terenowych. Poznań.

Karpińska G. E.

2014: Dziedzictwo w cyfrowym archiwum: fotografie robotników w repozytorium cyfrowym, [w:] Lech A. (red.) Zeszyty wiejskie XIX. Łódź: 201-215.

2017: W robotniczym domu, w fabrycznej hali. O praktykach kulinarnych włóknarzy Łodzi i Żyrardowa, [w:] Součková T., Šlobodová Nováková K., Priečko M. (red.), Ethnologia Europae Centralis. Jurnal of Central European Ethnology, Trnava-Cieszyn: 8-22.

Karpińska G. E., Kopczyńska-Jaworska B., Woźniak A.

1992: Pracować żeby żyć, żyć żeby pracować. Warszawa-Łódź.

Kosiada-Król M.

2010: Doświadczenia młodego badacz w stosowaniu wywiadu narracyjnego, [w:] Teraźniejszość – Człowiek – Edukacja: kwartalnik myśli społeczno-pedagogicznej nr 1 (49), s.81-91.

Madejska M.

2019: Aleja Włókniarek. Warszawa.

Mikołajczyk Sz.

1988: Wybitni Zgierzanie z urodzenia i wyboru. Zgierz.

Przygucki T.

1994: 100 lat koloru. Łódź.

Rokuszevska-Pawełek A.

2006: Wywiad narracyjny jako źródło informacji, [w:] Media Kultura Społeczeństwo, nr 1 (2006), s. 17-28.

Rosin R. (red.)

1995: Zgierz. Dziej miasta, Łódź-Zgierz.

Materiały źródłowe ze zbiorów Muzeum Miasta Zgierza

Spis treści

Wstęp	3
Krótki zarys dziejów zgierskiego przemysłu	9
Opowieściami podzielili się z nami	11
Zakład Przemysłu Barwników „Boruta”	15
Wacław Bogucki.....	19
Brunon Fige.....	31
Andrzej Grabia.....	35
Wiesław Hulewicz.....	47
Leonard Jabłoński.....	53
Mariusz Klimkiewicz.....	67
Jadwiga Szumacher (z d. Kibitlewska).....	81
Zakład Urządzeń i Elementów Technicznych	
Przemysłu Lekkiego (ZUiETPL) „ZUT”	95
Jolanta Bliźniewska.....	97
Janem Jaborskim.....	109
Kuzński Stanisław.....	115
Jacek Opawski.....	123
Pan Piotr.....	141
Zgierskie Zakłady Przemysłu Wełnianego	
im. J. Dąbrowskiego nr 30 „Fresco”	151
Jadwiga Jasina.....	153
Zgierskie Zakłady Przemysłu Wełnianego	
im. J. Pietrusińskiego nr 31 „Zeltor”	163
Pani Maria.....	165
Henryka i Jakub Rogalscy.....	173
Mirosława Siemońska.....	189
Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Zeta”	201
Janina Błachowicz (z d. Rosiak) i Maciej Błachowicz.....	203
Teresa Górka.....	231
Urszula Grzelązka.....	245
Spółdzielnie i inne zakłady pracy	257
Iliana Mordzak.....	259
Danuta Żurańska.....	273
Bibliografia	281